



**Październik 1917 roku
— narodziny Związku Radzieckiego.**

**Czy
w październiku
1994 roku
będziemy
świadkami
pogrzebu ideologii
Marksa i Lenina?
Czy
Michał Gorszko'w,
najpopularniejszy
człowiek świata,
przeżyje
ten proces,
który sam
zapoczątkował
— pieriestrojkę?**

Bohaterka książki ma na imię Dahlia, a raczej (po przebytej operacji plastycznej) Ewa. W miarę rozwoju wydarzeń sama już nie wie, kim jest naprawdę: szpiegiem czy dziennikarką, strategiem, wróżką, morderczynią czy kobietą zakochaną.

Ma za zadanie uwieść i wciągnąć w swoją grę najbardziej popularnego generała Armii Czerwonej – Piotra Karatowa. Jej misja mogłaby potoczyć się bez większego ryzyka, gdyby na jej drodze nie pojawił się synowy inspektor Borys Płucz z Komsomriatu 1 Maja w Moskwie...

W tej historii akcja toczy się w pięciolatnym tempie, od ostatniej linijki, aż do ostatniego słowa. W swojej powieści Andrej Szwab (dziennikarz, specjalista w geopolityki i propagandy, autor bestselleru „Czy dżeriaż” oraz „Twardza”) twierdzi swój tytuł i oraz dar przewidywania, jakim z dziecięcej wieści i zawarł w przedmowie książkę (dziło się).

ANDRÉ SOUSSAN

PAŹDZIERNIK II

Powieść

Przełożył

Paweł Latko

Wydawnictwo Dolnośląskie Wrocław 1991

Tytuł oryginału Octobre II

© Éditions Robert Laffont, S.A., Paris 1990

© for the Polish edition by Wydawnictwo Dolnośląskie,

Wrocław 1991

Projekt okładki

Mirosław Gron

Redaktor

Stanisław Lejda

Redaktor techniczny

Marek Krawczyk

ISBN 93-7023-176-4

Printed in Poland Wydawnictwo Dolnośląskie 1991 Wydanie 1 Skład: Palabra

Druk: Wrocławskie Zakłady Graficzne

Wrocław, ul. Oławska 11 Zam. 698/91/00

Pamięci moich rodziców.

Maurycemu i Krystianowi

Część pierwsza

Langley, budynek CIA, 22 grudnia 1993 roku.

W sali projekcyjnej zabłysły światła. Robert Nelson, dyrektor służb specjalnych CIA, pięćdziesięcioletek o niebieskich oczach, podszedł w milczeniu do magnetowidu i wyjął z niego kasetę.

Dahlia nerwowo gniotła w palcach dziesiątego z kolei papierosa.

— Masz pytania? — zwrócił się do niej obojętnym głosem.

Dahlia chwyciła pudełko „Marlboro”, zawahała się przez chwilę i odłożyła je na stół.

— Piotr Karstow to typowy Gruzin — powiedziała, patrząc przed siebie.

— No i typowy brutal. I megaloman! Na kasecie widać to najwyraźniej. Masz pytania? — powtórzył.

Patrzył przez chwilę na zamyśloną Dahlię.

— W porządku — powiedział podając jej brązową kopertę. — Wyjedziesz dziś wieczorem. Tu masz wszystko: bilety na samolot, paszport, kartę kredytową i pieniądze. Resztę znasz na pamięć.

Dahlia wstała, wzięła kopertę, wsadziła ją do torebki i podeszła do drzwi.

— Jesteś pewna, że wiesz wszystko! — spytał po raz ostatni z prośbą w głosie.

— Wszystko jasne, jak woda w kałuży.

Uśmiechnęła się szczerze i zamknęła drzwi.

Paryż, 23 grudnia.

W drodze z lotniska Roissy taksówkarz obserwował ją w lusterku wstecznym. Dahlia już miała ochotę powiedzieć mu coś przykrego, ale w końcu... za kilka minut będą w Paryżu. Lot z Waszyngtonu był dość męczący. Nie mogła zasnąć, a film nie był interesujący. Szybko rozprawiła się z typowym podrywaczem, który usiadł obok niej w kabinie pierwszej klasy i przez cały czas myślała o przedmiocie swojej misji. Szanse na jej powodzenie były minimalne, ale już za późno na wycofanie się. Musi iść do przodu i grać do końca rolę, którą przyjęła. Ostatecznie, ma okazję sprawdzić się, a będzie to fantastyczna przygoda...

Taksówka wjechała w aleję Grande Armée. Widok Łuku Tryumfalnego na tle bładoniebieskiego grudniowego nieba wzruszył Dahlię. Przy placu Etoile taksówkarz chciał skrócić w aleję Wiktora Hugo, lecz Dahlia kazała mu jechać przez Champs Elysees.

— Proszę jechać powoli.

Nagle przypomniała sobie, jak po raz pierwszy przemierzała tę aleję w Boże Narodzenie 1972 roku. Miała wtedy zaledwie osiem lat. Gdy bywała tu później, miała wrażenie, że na tej najpiękniejszej alei świata czas zatrzymał się na zawsze.

Nagle zapagnęła wyjść z taksówki, iść pieszo i wtopić się w tłum porannych przechodniów, beztroskich i nieznanomych. W chwilę później taksówka zatrzymała się przed luksusowym hotelikiem przy alei Wiktora Hugo, na rogu Kopernika. Dahlia podała kierowcy pięćsetfrankowy banknot i warknęła:

— Reszty nie trzeba, a następnym razem niech pan stara się patrzeć przed siebie.

Rozejrzała się wokół siebie i weszła do hotelu. Kierowca, niosąc jej dwie walizy, szedł za nią.

W pokoju usiadła przed lustrem i zaczęła dokładnie przyglądać się swojej twarzy. Jej nowy wygląd, po niedawno przebytej operacji plastycznej, nie dawał jej spokoju. Zatrzymywała się przed każdym

lustrem, by rozpoznać siebie, by upewnić się, że ta dwudziestoosmioletnia kobieta o czarnych, krótkich włosach i ciemnoniebieskich, oprawionych w długie czarne rzęsy oczach to na pewno ona.

— Wyglądasz wspaniale! — wykrzyknął Nelson zobaczywszy ją w miesiąc po operacji. — Szkoda, że...

Rzeczywiście, teraz Dahlia bardziej wyglądała na wschodzącą gwiazdę filmową niż na podejrzanego agenta Mosadu, czy CIA, którym była naprawdę.

Chirurdzy agencji lekko poprawili jej nos i policzki. Nie zgodziła się na usunięcie dołeczka w brodzie, mimo że Robert Nelson nalegał:

— Ten dołek łatwo zapamiętać!

— To jednak cała moja osobowość! — odparowała.

Element mojego uroku. Jeżeli mi go usuniecie, ja przestanę istnieć!

Nelson ustąpił.

Dahlia wyjęła z torebki kasetę i włożyła ją do magnetowidu, który zainstalowano w pokoju hotelowym na jej prośbę. Chciała po raz ostatni przyjrzeć się człowiekowi, od którego zależało powodzenie lub fiasko jej misji. Nacisnęła klawisz i położyła się na łóżku. Film nakręcono w Afganistanie dziesięć lat temu, dokładnie 17 maja 1983 roku. Służby techniczne CIA dokonały montażu, jakiego nie powstydziliby się fachowcy z Hollywoodu. Kilka sekund później na szklanym ekranie pojawiły się obrazy, które oglądała już w towarzystwie Roberta Nelsona.

Dwa helikoptery Mi-24 lecą nad górami, przecinając nocną ciszę piekielnym hałasem. Wykonują skręt pod kątem prostym i zawisają dwa metry nad ziemią. Spod wznoszących tumany kurzu skrzydeł wyskakują mężczyźni i rozbiegają się, szukając schronienia wśród skał. Śmigłowce unoszą się w niebo i odlatują w kierunku północno-wschodnim. Trzydziestu komandosów w ubraniach maskujących,

z pistoletami wyposażonymi w tłumiki, gromadzi się wokół swojego dowódcy, podpułkownika Piotra Karstowa. On, klęcząc przed mapą, z latarką i kompasem w ręku wskazuje palcem dwa gaziki, które kilka minut wcześniej zostały przerzucone przez helikoptery. Dał znak mężczyźnie siedzącemu przy jednym z gazików. Ten podbiegł natychmiast. Owinięta w ciemny turban twarz nie pozwalała odgadnąć jego spojrzenia. Karstow, patrząc na mapę, przemówił poważnym głosem:

— Wiem, że niecierpliwie czekacie na podanie szczegółów naszego zadania. Jest ono proste. Naszych dziewięciu generałów dostało się w ręce bandytów afgańskich Dżalluda w czasie potyczki dwa miesiące temu. Cały świat o tym wie, oprócz narodu radzieckiego. My musimy ich uwolnić!

Zrobił przerwę i rozejrzał się po siedzących dookoła.

— Biuro Polityczne kategorycznie odrzuciło negocjacje na temat ich zwolnienia. Andropow wydał nawet rozkaz uznania ich za poległych... Zapewne w ciągu kilku dni i tak zginą. Ja zdecydowałem nie posłuchać tego rozkazu.

Karstow rozejrzał się po twarzach. Nikt nawet nie drgnął.

— Tej nocy uwolnimy ich.

Ktoś w szeregu uśmiechnął się. Karstow skierował latarkę na mapę i zaczął wydawać polecenia.

— Jesteśmy tutaj, niedaleko Orgum. Nasi są trzydzieści kilometrów stąd, po drugiej stronie granicy pakistańskiej, w pobliżu Miriam Szach. Jest dokładnie godzina 22⁰⁷. Nastawcie zegarki. Ali będzie naszym przewodnikiem. To nasz agent wywiadu wojskowego wprowadzony do partyzantki afgańskiej. Zna miejsce, gdzie są przetrzymywani nasi towarzysze. Gaziki staną pięć kilometrów od obozu nieprzyjacielskiego, resztę drogi pokonamy więc biegiem. Operacja powinna rozpocząć się o godzinie 0¹⁵ i nie może trwać dłużej niż pięć minut. O 23⁰⁰ musimy być z powrotem w tym miejscu. Śmigłowce będą czekać, oczywiście ze względów bezpieczeństwa nie będą tu stać,

ale przelatywać co godzinę, aż do świtu. Potem, gdybyśmy nie zdążyli, zostaniemy uznani za zaginionych...

Wstrzymał na chwilę oddech i dodał:

— Towarzysze, jest to najbardziej spektakularna akcja, jaką kiedykolwiek prowadziła Armia Czerwona. Nikt z kierownictwa partii i sztabu generalnego o niej nie wie. Nie mamy prawa zawieść! Powodzenia!

Piotr Karstow wydał następnie rozkazy dla poszczególnych grup, objaśnił plan ataku i rozmieścił ludzi w samochodach.

Trzy minuty później dwa gaziki z pomalowanymi na niebiesko reflektorami ruszyły w drogę. Noc była mroźna. Komandosi, ściśnięci jeden przy drugim, wyglądali jak posągi.

Dahlia wiedziała, że wszyscy oni zostali wyszkoleni w słynnej szkole wojsk lotniczych w Riazaniu i należeli do elity radzieckiej armii. W ciągu czterech lat przechodzili pełne szkolenie praktyczne i teoretyczne. Uczono ich walki wręcz, działań sabotażowych, ataków nocnych, walki na morzu, na dachach, w lasach, w każdych warunkach klimatycznych, z ciężkim sprzętem lub bez, a następnie wcielano do piechoty lub wojsk desantowych. Najlepsi z nich trafiali do czterdziestotysięcznego oddziału specjalnego, chluby Armii Czerwonej i zmartwienia NATO. Ze wszystkich armii zachodnich jedynie Izrael posiadał szkołę podobną do tej w Riazaniu — słynnych spadochroniarzy i komandosów *golani*.

Po dziesięciu minutach nagle jeden z samochodów stanął. Mężczyźni natychmiast wyskoczyli i rozbiegli się po terenie. Kierowca otworzył pokrywę silnika i zaczął szukać uszkodzenia. Karstow podbiegł do niego.

— Co się dzieje?

— Nie mam pojęcia. Silnik zgasł nagle. Pewnie zapłon... Te silniki są do niczego! — odparł, spluwając ze złości.

— Zostaw to. Nie mamy czasu na naprawy. Jedziemy tym drugim.

Przywołał ręką pozostałych.

— Wsiadajcie do drugiego gazika. Nie mamy innego wyjścia...

Kopnął zepsuty samochód i zaklął: „Gównol!” Po chwili ruszyli dalej krętą i stromą drogą. Karstow spojrział na zegarek: nie mieli spóźnienia.

Po czterdziestu pięciu minutach jazdy w nie znanym terenie, gdzie w każdej chwili ktoś mógł do nich strzelić, samochód zjechał z drogi i zatrzymał się w zagłębieniu terenu. Mężczyźni wysiedli i podzielili się na cztery grupki. Karstow wydał ostatnie polecenia.

— Za niecałą godzinę będziemy na miejscu. Nie miejcie litości, chłopcy. Robimy to dla sławy naszej armii. Nie chcę żadnych jeńców.

Zaczęli biec, każda grupa w odległości około dziesięciu metrów od siebie. Ali, biegnąc na czele pierwszej grupki, omijał każdą przeszkodę, każdy kamień. Karstow biegł tuż za nim i stale rozglądał się za pozostałymi. Nagle Ali podniósł rękę, Karstow zrobił to samo i wszyscy rzucili się na ziemię.

— Sto metrów przed nami granica — mruknął.

Granicę pakistańską, w tym miejscu nie pilnowaną, przekroczyli bez kłopotu. Panowała zupełna ciemność. Po chwili znaleźli się w pobliżu afgańskiego obozu. Z odległości około dwustu metrów Karstow zauważył ogniska. Niedaleko przechodził wysunięty patrol partyzantów. Karstow podczołgał się i podciął im gardła z okrucieństwem, które go samego zadziwiło. Dał znak kapitanowi Bukowskiemu, porucznikom Korolence i Leonowowi, by przesunęli się — jeden na wschód, a dwaj pozostali na zachód. Pięć minut później obóz afgański znalazł się w kleszczach. Karstow ustawił swój oddział w szyku rozwartym, pozostawiając z tyłu kilku komandosów jako osłonę. Przez lornetkę na podczerwień zlokalizował grotę, w której trzymano jeńców. Przy wejściu zauważył dwóch uzbrojonych po zęby Afgańczyków. Spojrział na zegarek: jest 11⁵³. Za siedem minut tych dwóch strażników zostanie zmienionych i pozostanie tylko jeden. Karstow

wiedział, że Afgańczycy nie grzeszą punktualnością. Myśl, że będzie tak siedział, zaledwie o kilka metrów od zakładników jeszcze dziesięć, a może nawet dwadzieścia minut, denerwowała go coraz bardziej, ale innego wyjścia nie było. Należało czekać.

Z informacji przekazanych przez Alego wynikało, że jeńców pilnuje pięćdziesięciu mudżahedinów rozlokowanych w małych namiotach. Karstow doliczył się ośmiu namiotów. Zazwyczaj w każdym z nich jest trzech żołnierzy, więc razem jest ich zaledwie dwudziestu czterech. Gdyby ich było po czterech w każdym namiocie, to pilnujących byłoby dopiero trzydziestu dwóch. Gdzie są pozostali? Nagle pomyślał: „A jeśli Ali skłamał, albo...?” Odgłos kroków przerwał mu myśl. W stronę groty szedł Afgańczyk. Karstow trącił nogą sąsiada, ten następnego i tak dalej. Oddział był gotów do ataku.

Trzej Afgańczycy rozmawiają i śmieją się głośno. Karstow wykorzystał ten moment i podczołgał się bliżej groty. Spojrzał znów na zegarek: 0¹². Za trzy minuty rozpocznie atak. Trącił dwa razy swojego sąsiada i sześciu strzelców wyborowych złożyło się do strzału z pistoletów wyposażonych w tłumiki i celowniki noktowizyjne. Strażnikom najwyraźniej się nie śpieszyło. Piotr odliczał sekundy. Jest 0¹⁵ — dał znak ręką. Strzały padły jednocześnie i trzej Afgańczycy bezgłośnie upadli na ziemię. Był to sygnał do generalnego natarcia. Karstow biegł z całych sił w stronę groty, za nim podążali trzej jego komandosi, pozostali skierowali się ku namiotom. Zaczęło się piekło. Huk wystrzałów z pistoletów Kałasznikowa i ciosy zadawane bagnetem całkowicie zaskakują Afgańczyków. Nie mają najmniejszych szans.

Wchodząc do groty Karstow poczuł dziwny ból, jakby mu ręka odpadała od ciała. Rzucił się na ziemię i wrzasnął z całej siły:

— Towarzysze, nie ruszać się! Przyszliśmy po was.

Leżąc na ziemi, spojrzął za siebie. Jeden z jego trzech ludzi trafiony w plecy, leżał martwy kilka kroków od niego.

— Pomóżcie mi — zawołał Karstow i dwóch żołnierzy natychmiast stanęło przy nim. Weszli do groty. W świetle latarki dostrzegli zakładników. Stali powiązani łańcuchami jeden do drugiego, wychudzeni i osłabieni. Przerazonym wzrokiem patrzyli w stronę przybyłych. Któryś z komandosów podbiegł do Karstowa i zacisnął mu opaskę na ramieniu, chcąc opatrzeć ranę.

— Nie ma teraz czasu! Zrobisz to później. Pomóż teraz innym.

Wystrzały na zewnątrz nagle ucichły. Karstow wyszedł. Widok był straszliwy: dziesiątki trupów leżało pokotem w bezładzie. Ktoś zameldował:

— Trzydziestu jeden Afgańczyków zabitych. Dwóch naszych nie żyje, trzech rannych, w tym dwaj ciężko.

— Aleksander zginął obok groty. Policzyłeś go?

— Tak. Wśród rannych jesteś także ty.

Wydał rozkaz, by nie zostawiać nikogo na miejscu. Rozglądnął się dookoła i spytał o Alego.

— Zniknął — odpowiedział ktoś. — Nikt go nie widział w czasie operacji.

— To bydlak! — zaklął Piotr. — Idziemy bez niego, trudno.

Wzrokiem szukał kamerzysty. Władimir stał za nim.

— Wszystko sfilmowałeś?

Władimir skinął głową i poklepał z dumą swoją kamerę marki Betacam.

— Nawet gdy mnie trafili?

— Tak, byłem dwa kroki od ciebie. W skrzynce jest wszystko.

— O.K., chłopcy, ruszamy. Nie wiem jak odnajdziemy drogę i jak się pomieścimy w samochodzie. Bóg pomoże!

Oddział Karstowa bez trudu odnalazł drogę. Pozostawiono więcej znaków niż się spodziewał: tu na drzewie, tam na studni, na wraku helikoptera...

Uwolnieni jeńcy, ranni i dwóch zabitych uniemożliwiali szybki marsz, ale już po godzinie wszyscy znaleźli się za granicą. Ciężarówka czekała tam, gdzie ją zostawiono. Wszyscy rzucili się do niej biegiem.

Po pięćdziesięciu pięciu minutach jazdy zatrzymali się obok zepsutej i porzuconej ciężarówki.

— Michaił, wysadź to świństwo! Te sukinsyny gotowi ją naprawić i wykorzystać przeciw nam. Są tak zdolni, że przerobią ją na odrzutowiec w ciągu dziesięciu minut...

Nocną ciszę przerwał huk wybuchu. Gdy ruszyli, zegarek Piotra wskazywał 2¹⁰.

— Dodaj gazu! Mamy zaledwie dwadzieścia minut.

— Wiem, wiem, ale nie mogę szybciej. Wóz jest przeładowany i cud, że w ogóle jedziemy.

Przez moment Karstow dostrzegł obiektyw kamery, która pracowała bez przerwy. Spojrzał znów na zegarek.

— W życiu nie dojedziemy — warknął.

Cztery minuty przed trzecią dojechali wreszcie do miejsca, skąd wyruszyli. Wszyscy wyskoczyli z ciężarówki i rozbiegli się po terenie. Karstow niecierpliwie rozglądał się wokół. Panowała absolutna cisza. Musieli czekać.

Piotr wyciągnął się na ziemi. Leżący obok komandos zapalił papierosa i podał go mu.

— Bierz, biały „Pall Mall” z czarnego rynku — rzekł śmiejąc się.

Sanitariusz chciał opatrzeć rękę Karstowa, ale ten odtrącił go.

— Zajmij się innymi. Ja mogę poczekać.

Przyprowadzono uwolnionych oficerów, którzy, jeszcze w szoku, z trudem trzymali się na nogach.

— Towarzysze — zaczął Karstow — uwolniliśmy was wbrew rozkazom Andropowa. Jeńców — jak za Stalina — wciąż traktuje się jako zdrajców. Nasza akcja powiodła się — jesteście wolni i żywi. A ja, przy odrobinie szczęścia, dostanę za to dziesięć lat. Kazałem całą operację sfilmować. Być może film ten przyda się armii. Nigdy nie wiadomo...

— Za takie gadanie to nie tylko dziesięć lat zarobisz, ale jeszcze oberwą ci jaja — wtrącił się porucznik Andriej Leonow.

Karstow roześmiał się.

— Przy montażu to się powycina, nieprawdaż Władimir?

Jeden z uwolnionych przedstawił się zdławionym głosem:

— Generał wojsk pancernych, Igor Nikołajewicz Wasiliew. Z głębi serca dziękuję...

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale głos mu się załamał. Karstow wstał i uściślał go. Pozostali zrobili to samo. Pośpiech, w jakim przeprowadzono akcję, oszołomił ich tak, że dopiero teraz zrozumieli, że są wolni.

— Za piętnaście minut helikoptery powinny...

Karstow nie dokończył zdania, gdyż nagle ciszę przerwała seria wystrzałów. Dwóch ludzi upadło na ziemię. Granaty wybuchały tuż obok. Wszyscy rzucili się na ziemię. Krzyki i jęki mieszały się z hukem wystrzałów.

— Rozproszyć się, na Boga! Uciekajcie — krzyczał Karstow. — Nadchodzą z północy.

Jak tu się podnieść pod ostrzałem? Komandosi próbują odpowiedzieć ogniem. Jednak im się to nie udaje.

Piotr rozpoznał amerykańskie superszybkie M-16, którymi zręcznie posługują się Afgańczycy.

— Jankeskie dranie! — zaklął.

Tuż obok wybuchł granat. Przez chwilę Karstow widział wylatującego w powietrze jednego z uwolnionych jeńców. Sięgnął po raketę świetlną i wystrzelił ją w kierunku, skąd padały strzały. W świetle mignęły cztery sylwetki. Strzelcy wyborowi spisali się na medal.

Warkot helikopterów zmieszał się z tumultem walczących. Narreszcie! Karstow wyjął latarkę, wysunął się zza krzaka i, nie zważając na niebezpieczeństwo, nadał sygnały wskazujące ich dokładną pozycję. Nagle poczuł silne uderzenie w czoło, a krew załała mu oczy.

Oprócz dwóch helikopterów bojowych Mi-24 nadleciał także duży transportowiec, słynny Mi-6/Hook. Natychmiast jeden z Mi-24 skierował się ku Afgańczykom i wystrzelił serię rakiet. Ziemia zadrżała i podniósł się tuman kurzu.

Mi-6/Hook wykorzystał ten moment i wylądował. Ludzie rzucili się w jego kierunku, niosąc na ramionach rannych i zabitych. Karstow popędzał ich:

— Nie zostawiajcie nikogo!

Kule ze świstem latały we wszystkie strony. Afgańczyków było mniej niż dziesięciu, ale strzelali jak opętani. Oba Mi-24 zrzucały cały swój arsenał bomb i rakiet na nich, osłaniając w ten sposób ostatnich, wskakujących z niebywałą szybkością do helikoptera ludzi. Jeden z uwolnionych zginął trafiony w głowę. Kapitan Bukowski podbiegł do niego, ale upadł, gdy szykował się do skoku na pokład śmigłowca. Karstow nachylił się nad nim i w tym momencie kula przeszła Bukowskiemu kark. Piotr zawołał o pomoc. Ktoś wyskoczył z helikoptera, podczołgał się do zabitego i wciągnął go na pokład. Karstow przetrzczył przez ramię Bukowskiego i wspomagany przez Andrieja Leonowa znalazł się wewnątrz maszyny. Mi-6 uniósł się i natychmiast pomknął na północ. Oba Mi-24 podążyły za nim.

Dahlia wyłączyła magnetowid, wyjęła kasetę, otworzyła ją i wyciągnęła taśmę, tnąc ją na tysiące kawałków. Wyrzuci je później gdzieś do publicznego śmietnika. Po ponownym obejrzeniu filmu, tym razem w samotności, Dahlia zmieniła zdanie o Karstowie. Nie, nie był to brutal i megaloman, jak go określił Nelson, ale dokładnie coś odwrotnego — to prawdziwy żołnierz i patriota.

Musiała wyciągnąć jakieś wnioski z tego odkrycia, zmieniał się bowiem charakter jej misji.

Rozebrała się i weszła do rozświetlonej łazienki. Stała nago przed lustrem i raz jeszcze przyjrzała się sobie. Wzięła gorący prysznic, po czym wyciągnęła się na łóżku i patrząc w sufit, zaczęła powtarzać sobie fakty ze swojego nowego życiorysu:

— Nazywam się Ewa Dumoulin, mam 28 lat, jestem Francuzką. Urodziłam się we Frankfurcie, matka była Niemką, a ojciec Francuzem. Pracował jako inżynier w fabryce Mercedesa. W wieku 6 lat wyjechałam z rodzicami do Włoch, gdzie mieszkaliśmy 5 lat, a później

do Anglii, gdzie przebywałam aż do ukończenia 16 lat. Rodzice zginęli w wypadku lotniczym, a ja wyjechałam do Stanów Zjednoczonych, do Los Angeles. Studiowałam język rosyjski i ekonomię polityczną w San Diego. Dyplom otrzymałam w 1992 roku. Zaraz po studiach wróciłam do Europy, gdyż zaproponowano mi staż dziennikarski w „Herald Tribune”. Sześć miesięcy później dziennik „Le Soir de Bruxelles” zatrudnił mnie w dziale zagranicznym, w sekcji krajów Europy Wschodniej. Artykuły podpisywałam pseudonimem. Podróżowałam do Związku Radzieckiego i państw Układu Warszawskiego. Obecnie zostałam mianowana szefem agencji EAP w Moskwie (EAP – Europejska Agencja Prasowa utworzona niedawno przez „dwunastkę”). Mówię po francusku, niemiecku, włosku, angielsku i po rosyjsku.

Wszystko to było tylko częściowo prawdą... Dahlię znaleziono pod drzwiami sierocińca na przedmieściach Hamburga jako jednonieścięzne niemowlę. Jej matka, młoda dziewiętnastoletnia Niemka poznała podczas wakacji na jednej z greckich wysp pewnego Izraelczyka. Po miesiącu okazało się, że jest w ciąży. Kochała tego mężczyznę i postanowiła urodzić dziecko. Jednakże dwa miesiące przed rozwiązaniem narzeczony zniknął i nie dawał żadnych znaków życia. Matka podrzuciła niemowlę do sierocińca. Zaledwie trzy miesiące spędziła Dahlia w domu dziecka, gdyż zaadoptował ją francuski przemysłowiec żydowskiego pochodzenia, ożeniony z Niemką, protestantką. Gdy ukończyła osiemnaście lat, przybrani rodzice powiedzieli jej całą prawdę i przekazali list, który naturalna matka zostawiła podrzucając Dahlię pod drzwi sierocińca. W tym, napisanym odręcznie, liście wyjaśniała zwięźle przyczynę opuszczenia dziecka. Dwa lata później Dahlia otrzymała wysłany pocztą inny list, w którym prócz fotografii nie znanego mężczyzny, nie było ani słowa. Wyglądał na sześćdziesiąt lat, miał siwe włosy i niebieskie oczy. Był nawet do niej podobny. Czyżby ojciec? List został wysłany z wyspy Rodos. Włożyła zdjęcie do teczki „Sprawy osobiste”.

Przed rozpoczęciem kariery adwokata Dahlia postanowiła pojechać do Jerozolimy, by poznać lepiej historię i kraj rodzinny jej obu ojców, który i ona w końcu uznawała za swoją ojczyznę. Miała wtedy dwadzieścia dwa lata i oba dyplomy uniwersytetu San Diego w kieszeni. Test z jej egzaminu wstępnego wpadł w ręce dziekana wydziału historii, dawnego inspektora Mossadu (służb wywiadowczych Izraela). Wyniki testu, a zwłaszcza wysoki współczynnik inteligencji, zwróciły jego uwagę i przesłał ich kopię do swoich dawnych szefów.

W rezultacie studiów nigdy nie zaczęła. Już w październiku 1990 roku, zaledwie dwa tygodnie po zgłoszeniu się na uniwersytet, została zaangażowana przez Mossad.

W ciągu trzech lat zmieniła się nie do poznania. Dostała się w ręce najlepszych instruktorów służb specjalnych Izraela, którzy zapewnili jej bardzo intensywne i wszechstronne wyszkolenie, czyniąc z niej agenta wysokiej klasy.

W ciągu tych trzech lat wstawała codziennie o 5 rano. Po godzinie gimnastyki i pływania otrzymywała obfite śniadanie. Przed południem odbywały się zajęcia z języka rosyjskiego, historii i kultury Związku Radzieckiego, dziennikarstwa, psychologii stosowanej z elementami jasnowidztwa i zjawisk telepatycznych. Popołudnie zarezerwowane było dla technik szpiegowania, obrony, przekazywania informacji, walki wręcz itd. Po dwóch latach nauki odbywały się staże praktyczne — zostawiano ją samą na pustyni Negew, w Bejrucie, w Teheranie. Ani razu nie wspomniano o żadnej misji.

Czasami, gdy wieczorem sama i wyczerpana leżała w swoim baraku w obozie specjalnym numer 2 Mossadu, myślała, że chyba żadnej misji nie otrzyma, a całe to przeszkolenie przechodzi dla przyjemności kilku zwariowanych facetów.

Jednakże pewnego majowego ranka zawieziono ją do luksusowej willi, gdzie oczekiwał na nią nieznamy mężczyzna, którym okazał się sam generał Aron. Usłyszała od niego, że przewidziano jej udział

w największej akcji, jaką kiedykolwiek organizowały na Wschodzie wywiady państw zachodnich.

Przez następne trzy miesiące trwało szkolenie specjalistyczne wynikające z faktu, że była kobietą. Została skierowana do Waszyngtonu na dalszy kurs. Mossad i CIA przygotowywały wspólną akcję, o której nie informowały nawet swoich rządów. Przed wyjazdem spotkał ją wyjątkowy zaszczyt: poznała samego szefa Mossadu, człowieka, którego nie znało więcej niż cztery, pięć osób. Spotkanie odbyło się wieczorem w niczym nie wyróżniającej się willi na przedmieściu Hajfy. Tu dopiero poznała szczegóły swojej misji.

— Jeżeli dobrze przeprowadzisz całą akcję, zmienimy oblicze świata — usłyszała. — A dla naszego kraju twoja misja to problem przetrwania! Sądzę, że jej podolasz, że potrafisz. Musi ci się udać!

Mówił powoli i spokojnie.

— O twojej misji wiedzą tylko cztery osoby: ty, szef tajnych operacji CIA Nelson, którego spotkasz w przyszłym tygodniu, generał Aron i ja. Nikt więcej! Muszę przyznać, z żalem poniekąd, że pomysł podsunął Nelson. My jednak podeślemy mu klejnot, bez którego pomysł, choćby najgenialniejszy — a takim jest rzeczywiście, byłby guzik wart.

Mówiąc to, cały czas patrzył jej prosto w oczy. Dahlia jemu również.

— W razie niebezpieczeństwa i w wyjątkowych przypadkach dzwoni pod numer, który poda ci Nelson. Tam są nasi ludzie, którzy wykonają każdy twój rozkaz, także wtedy, gdy trzeba będzie kogoś zabić. Oczywiście, nie wiedzą oni nic o naszej misji.

Gdy usłyszała słowo „zabić”, zadrżała. Chciała zadać całą serię pytań, ale ostatecznie się nie odezwała.

— Masz pytania?

— Nie — odpowiedziała.

— To dobrze. Takiej odpowiedzi się spodziewałem.

Wstała i podeszła do niego z wyciągniętą ręką. Objął ją i uściśnił mocno w ramionach, jak ojciec. — Niech cię Bóg strzeże, Dahlia. *Szalom.*

Moskwa, 26 grudnia.

Piotr Karstow spojrzął na zegar — trzecia nad ranem. Zaklął i podniósł słuchawkę.

— Gorszkow. Proszę przyjść natychmiast. Czekam na pana w biurze.

Karstow wyskoczył z łóżka i pobiegł do łazienki. Dziesięć minut później siedział już za kierownicą swojego volvo i mknął w stronę Kremla.

To nie pierwszy raz prezydent zrywa go w środku nocy. Od czasu, gdy został mianowany szefem Rady Bezpieczeństwa Państwa, w maju 1991, i doradcą specjalnym prezydenta w rok później, rzadko miał okazję rano pospać dłużej. Doświadczenie i intuicja podpowiadały mu, że nowa katastrofa już wisi w powietrzu, albo niebawem zawiśnie. Po cóż wzywano by „strażaka”, jak nazywała go międzynarodowa prasa, gdyby nie trzeba było gasić kolejnego pożaru grożącego wybuchem i rozpadem Związku Radzieckiego. Od czasu Afganistanu tyle się zdarzyło! Tego samego dnia, gdy uwolnił jeńców, został odesłany do Moskwy, osądzony przez sąd wojskowy za nieposłuszeństwo i skazany na piętnaście lat więzienia. W czasie tego błyskawicznego procesu znalazł jednak okazję, by wyzwalać Andropowa od łajdaków, bezdusznych biurokratów i stalinowców. Wystarczyło tego i na skazanie, i na wydalenie z armii za „obrazę jej honoru”.

Siedmiu uwolnionych oficerów wysłano na wcześniejszą emeryturę, kazano osiedlić się w różnych stronach kraju i zabroniono kontaktowania się ze sobą.

Piotr odsiedział trzy lata, zanim objęła go amnestia ogłoszona przez Michaiła Gorskowa. 15 maja 1986 roku, o świcie, sam komendant więzienia wszedł do jego celi:

— Towarzyszu Karstow, spotkała pana wielka i niewybaczalna niesprawiedliwość. Ale koniec koszmaru. Nastaly nowe czasy i ojczyzna potrzebuje swoich bohaterów. Pan jest jednym z największych.

Piotr patrzył na niego ironicznym wzrokiem. W końcu spytał o los uwolnionych przez siebie jeńców.

— Wkrótce będą wolni...

— To ja poczekam, aż rzeczywiście ich zwolnią. Wcześniej nie wyjdę.

— Daję panu słowo honoru...

— Mam gdzieś pańskie słowo. Chyba się nie mylę, ale pan także był sędzią w moim procesie. Nieprawdaż?

— No, to były inne czasy. Rozumiem pańską gorycz, ale tym razem zapewniam, że my...

— Już powiedziałem, co chciałem. To tyle.

Dwa dni później Piotr wyszedł z więzienia i wraz z siedmioma kolegami został przyjęty przez nowego władcę na Kremlu. Wręczono mu Order Lenina i Order Zwycięstwa — najwyższe odznaczenia wojskowe — oraz mianowano generałem. Zażądał oficjalnego pogrzebu i takich samych odznaczeń pośmiertnie dla poległych w czasie akcji w Afganistanie komandosów i dla dwóch jeńców. Wszyscy pozostali wrócili na swoje stanowiska i zostali awansowani.

Po trzech miesiącach zasłużonego odpoczynku Karstow przeszedł do Sztabu Generalnego i w kwietniu 1988 roku powierzono mu organizację i koordynację wycofywania wojsk radzieckich z Afganistanu.

Karstow wiedział, że wojna od początku była bezsensowna i niepotrzebna, że mimo chwilowych korzyści dla systemu — zubożnienia opinii publicznej w kraju i za granicą — Armia Czerwona nie była w

stanie rozstrzygnąć jej na swoją korzyść. Ponadto Karstow, i nie tylko on, był świadkiem upadku moralnego i fizycznego żołnierzy. Pod tym względem wojna w Afganistanie podobna była do wojny w Wietnamie. Wielokrotnie sprzeciwiał się decyzjom swoich przełożonych. Główny argument sztabowców, że lotnictwo radzieckie znajduje się zaledwie 400 kilometrów od Zatoki Perskiej i jej pól naftowych, wydawał się mu co najmniej śmieszny, skoro ich samoloty miały możliwość dotarcia do Arabii Saudyjskiej ze swych baz wojskowych nawet bez konieczności tankowania w powietrzu, a marynarka radziecka, usadowiona w bazach na Oceanie Indyjskim i w Jemenie Północnym, mogłaby zdławić kraje nad Zatoką Perską w ciągu kilku godzin.

Pojawiły się plotki, że to właśnie Karstow namówił Gorskowa, by w końcu wycofał się z tego bagna. Kiedyś, podczas wspólnej kolacji Karstow napomknął mu o Afganistanie:

— Wyjście z sytuacji wydaje się jasne: albo zostajemy i dalej ładujemy tam ogromne środki, i polityczne, i wojskowe, a wiadomo, że nie przyniesie to ostatecznego rozwiązania kwestii afgańskiej, albo się wycofamy i przynajmniej ograniczymy straty i spustoszenie, jakie czynią w naszej armii narkotyki. Obawiam się, że już jest za późno. Dziesiątki tysięcy chłopców, którzy tam służyli, to już nie ci sami ludzie. Stracili wiarę w marksizm, nie wierzą też armii. Jeżeli ktoś mówi panu coś innego, jest albo idiotą albo łajdakiem. Unikniemy przede wszystkim nowych ofiar, a już obecna ich liczba może okazać się dla opinii publicznej w kraju zbyt duża. Jeżeli zaś chodzi o korzyści polityczne, pan sam potrafi je ocenić najlepiej.

Powtarzano też plotkę, że Karstowa z całych sił popierała Tania Gorskowa...

Piotr Karstow to typowy góral z Kaukazu, a więc znany z urody, brawury, jednocześnie rycerski i porywczy. Ma 187 cm wzrostu, wygląd atlety, jasne włosy z grzywką skrywającą ostre spojrzenie jego ciemnozielonych oczu. Ukończył właśnie czterdzieści cztery lata.

Mając ich za ledwie 27 został mianowany dowódcą słynnej szkoły lotniczych wojsk desantowych w Riazaniu i jako jeden z pierwszych 27 grudnia 1979 roku znalazł się w Afganistanie na czele jednostek specjalnych. W wieku 32 lat został pułkownikiem, najmłodszym w całej Armii Czerwonej.

Volvo zatrzymało się na parkingu zarezerwowanym dla członków Politbiura. Michaił Gorszkow stał w progu.

— Jest źle, bardzo źle — rzekł podając mu rękę.

Karstow potrząsnął nią energicznie, jakby chciał dodać prezydentowi odwagi.

Ledwie weszli do środka Karstow spytał:

— Święta wojna?

— No, właśnie... Otrzymałem raport KGB, że przywódcy tajnych organizacji muzułmańskich zbiorą się za parę dni, ogłoszą świętą wojnę w Azerbejdżanie i zażądadą jego niepodległości. Chciałbym usłyszeć pańskie zdanie, zanim zbiorę sztab kryzysowy.

Mówił szybko, zdławionym głosem. Karstow popatrzył na jego zmęczoną i pełną niepokoju twarz.

— To można było przewidzieć, panie prezydencie. Po rozpędzeniu tyłu manifestacji, strzelaninach, setkach zabitych i rannych, połowicznych ustępstwach, niedotrzymanych obietnicach i prowokacjach, należało się spodziewać takiego stanowiska muzułmanów. Trzeba działać natychmiast, od zaraz, ale bardzo ostrożnie. Należy ogłosić stan wojenny, wydać zakaz publikacji prasowych i zlikwidować tych szaleńców Allaha. A co robi KGB? Od dawna prosimy ich, by wkręcili się między nich. Udało się w Afganistanie, więc czemu nie tu?

Zrobił przerwę i spokojnym głosem dodał:

— Trzeba zapełnić sklepy. Głód jest zawsze złym doradcą.

— Najlepiej gdyby pan zaraz tam pojechał, ocenił sytuację na miejscu i przesłał mi dokładny raport.

— Chciałem to panu zaproponować, panie prezydencie. Wieczorem muszę być w ambasadzie Izraela. Spotkam się z ich ministrem

obrony. To on prosił o spotkanie. Wyjadę jak najszybciej.

— Wyśmienicie. Poczekał na pański raport, zanim zwołał zebranie sztabu kryzysowego.

Karstow pożegnał się. Przy drzwiach prezydent zatrzymał go. Jego głos nabral już normalnego wigoru:

— Generale, tym razem trzeba będzie iść na całość. Trzeba im przetrącić kark. Ze świętą wojną nie ma żartów, trzeba strzelać jak leci.

— Podzielam pańskie zdanie, panie prezydencie. Gdyby KGB tak się nie patyczkowało, nie mielibyśmy obecnej sytuacji. Mam nadzieję, że przestanie mi rzucać kłody pod nogi...

— Wiem, wiem. Teraz jednak trzeba działać szybko. Nie mam wyboru. Chodzi o zwycięstwo lub śmierć Związku Radzieckiego.

Samolot Airbus A320 linii „Air France” wylądował na nowym lotnisku im. Gorskowa. „Od tej chwili zaczyna się moja misja. Teraz jestem Ewą Dumoulin.” — pomyślała Dahlia. Z bijącym sercem podeszła do kontroli paszportów, która przebiegła znacznie szybciej niż to bywało dawniej — trwała zaledwie dwie minuty. Młody celnik o bladej twarzy z obojętną miną przejrzał jej paszport, poprosił o otwarcie torebki, rzucił na nią okiem i życzył miłego pobytu w Moskwie.

Przechodząc do hallu, od razu zobaczyła swoje nazwisko na karcie, którą trzymał człowiek w nieokreślonym wieku.

— Witam w krainie pierestrojki — powiedział. — Nazywam się Hans Mahnfield. Przychodzi pani na moje miejsce. Zazdroszczę. W naszym zawodzie ZSRR jest najbardziej fascynującym krajem w dzisiejszych czasach. Ale pani przecież to wie...

Ewa uśmiechnęła się z aprobatą i ucałowała go w oba policzki, jak czynią to Francuzi.

— Na sposób rosyjski byłoby lepiej... — mrugnął do niej znacząco.

Wziął jej obie walizki i razem poszli w kierunku parkingu.

— Jakie plotki krążą ostatnio po Moskwie? — spytała, sadowiąc się w hondzie.

— Związek dogorywa. Libanizacja Afganistanu, bałagan, strajki, korupcja, sklepy bardziej puste niż kiedykolwiek przedtem, brakuje

węgla, zeszytów szkolnych, inflacja, bezrobocie... Ogólny burdel. Zapatrzenie nie wyrabia. Po dwóch próbach zamachu na Gorskowa, praktycznie nie rusza się on z Kremla. Rok 1994 będzie rozstrzygający. Być może poszczęści się i na własne oczy ujrzy pani jego upadek. Opozycja w Komitecie Centralnym umacnia się, a konserwatyści wespół z neostalinowcami i nacjonalistami krytykują go otwarcie. Bardzo chciałem tu zostać jeszcze ten rok...

— O ile dobrze rozumiałam — nic nowego. Od kiedy on tu rządzi, każdy rok jest decydujący...

— To prawda, ale tym razem, sądzę, że...

Ewa zmieniła temat:

— Jedziemy do „Meridianu”, prawda?

— Tak. Zarezerwowano tam pokój. Spodoba się pani. A nie było to łatwe. Hotele są przepełnione. Biznesmeni niemieccy, amerykańscy, japońscy i włoscy pozajmowali wszystkie pokoje. Musieliśmy prosić o wsparcie aż w dyrekcji w Paryżu. Po moim wyjeździe, za jakieś dziesięć dni, przeniesie się pani do mojego mieszkania. Jest nieduże, ale za to w dobrym punkcie. Wynajmuję je od pewnego dyplomaty, Rosjanina, będącego w Berlinie na placówce. Mieści się ono na ulicy Dońskiej.

Ruch na ulicach był spory i minęło półtorej godziny, zanim dojechali do centrum Moskwy. W ciągu ostatnich paru lat ruch uliczny w większych miastach radzieckich wzrósł dziesięciokrotnie. Nowo powstałe klasy przedsiębiorców, drobnych handlarzy, przedstawicieli wolnych zawodów, ale także przemysłowców wszelkiej maści rozrastały się w oszałamiającym tempie.

Popierani przez Gorskowa zmienili obraz Moskwy nie do poznania. Restauracje, pizzerie, cukiernie, bary szybkiej obsługi, bistra i dyskoteki powyrastały jak grzyby po deszczu, a ich nachalne neonowe reklamy rozświetlały ulice Moskwy. Jednakże większość z tych lokali była zastrzeżona wyłącznie dla tych, którzy posiadali waluty obce, zwłaszcza dolary i marki. Kontrast między bogactwem jednych, a rosnącym ubóstwem drugich bardzo niepokoił starych komunistów,

którzy codziennie stali listy do redakcji „Prawdy”, „Izwestii” i „Ogonioka” wyrażające ich oburzenie z tego powodu. Reakcji na nie jednak prawie nie było, gdyż — zwłaszcza młodym ludziom — sytuacja taka odpowiadała.

Diennikarze starali się — stosując autocenzurę — wyrażać osądy, lawirując między krytyką a „obiektywnym” komentarzem do ogólnej informacji. Uprzywilejowani, a zwłaszcza „nowobogacy”, coraz częściej i bez większych kłopotów czy restrykcji wyjeżdżali za granicę. Ułatwienia te jednak po kilku latach musiały przynieść niepokojące rezultaty: strajki, bezrobocie, wzrost cen i inflację. Nie były to jednak najgroźniejsze zjawiska. Dla całości systemu i samego Związku Radzieckiego najniebezpieczniejsze były powtarzające się rewolty na tle narodowościowym, religijnym i wystąpienia w obronie środowiska naturalnego. „Plagi Zachodu” stały się codziennością: narkotyki, uprowadzenia i rozboje nie schodziły z pierwszych stron gazet. Poza tym istniał problem byłych żołnierzy z Afganistanu tzw. afganów. Milicja była absolutnie bezsilna wobec tej nowej „klasy bandytów”, nierzadko uzbrojonych. Wyzbyci w czasie okrutnej wojny wszelkich skrupułów, rozczarowani marksizmem i zupełnie opuszczeni przez wszystkich, traktowani po powrocie z Afganistanu jak psy, sięją teraz strach we wszystkich większych miastach Związku Radzieckiego. Zorganizowali się w bandy lub rodzinne mafie i nie wahają się napadać w biały dzień na banki i konwojentów pieniędzy, atakować przechodniów i turystów, a nawet mordować... „Nie można cieszyć się zdobyczami demokracji i kapitalizmu, nie płacąc za nie ceny” — stwierdzały doniesienia agencji zagranicznych opisujące ten problem. Zło polegało jednak na czymś gorszym, niż sobie agencje wyobrażały...

Portier otworzył drzwi pokoju 907. Ewa weszła i natychmiast pobiegła do łazienki. „Bez zarzutu” — rzekła sama do siebie. Uwielbiała duże łazienki w luksusowych hotelach. Wręczyła portierowi 10 dolarów; aż poczerwieniał z zadowolenia. Gdy została sama, rozejrzała się

po pokoju. Wyjęła zegarek elektroniczny „Rolex 2000” i nacisnęła igłą jeden z trzech miniaturowych przycisków. W okienku zaczęły przesuwając się cyferki, aż do ustawienia właściwej funkcji tego cacka zachodniej techniki. „Zegarek” potrafił wykryć najsłabsze nawet sygnały elektromagnetyczne, np. aparatów podsłuchowych czy mikrofonów ukrytej kamery. Ewa powoli przeszła wzdłuż ścian i mebli. Mrugające cyferki nie pozostawiały żadnych wątpliwości — pokój był naszpikowany mikrofonami.

Ewa uśmiechnęła się i po chwili wzięła gorącą kąpiel. Pół godziny później ubrała się ciepło, schowała zaproszenie, które leżało na widocznym miejscu na stole obok ogromnego bukietu kwiatów, i wyszła przejść się ulicami Moskwy.

Przyjęcie w ambasadzie Izraela zaczynało się o dziewiętnastej. Miała więc jeszcze czas przywitać się z pracownikami swojej agencji, która znajdowała się na ul. Razina, o kilka minut marszu od Kremła. Minęła piętnasta. Niebo było szare, a nad stolicą wiał zimny wiatr znad Syberii.

— Panna Ewa Dumoulin! — recepcjonista ambasady z trudem wymówił jej nazwisko. Oczy wszystkich obecnych zwróciły się w jej stronę.

— A, nareszcie piękna kobieta! — ambasador Izraela pocałował ją w rękę z nieco przesadnym gestem.

— Przepowiadam pani ogromne sukcesy w Moskwie. O ile się nie mylę, będzie pani kierować nową agencją prasową Europy. Gratuluję i witam w Moskwie. Jeżeli mógłbym pani być w czymś pomocnym, proszę się nie wahać. Na imię mam Dor, co po hebrajsku znaczy „niedźwiedź”, ale chyba nie wyglądam...

Ewa, dziękując, posłała mu swój uroczy uśmiech i weszła do rześkie oświetlonych i pełnych gości salonów.

Po godzinie miała już karnet pełen adresów wysokich urzędników, dyplomatów, dziennikarzy, a jej torebka nie zamykała się od kart wizytowych i zaproszeń na obiad.

— Generał Karstow z małżonką!

Zrobiło się zamieszanie. Dziennikarze rzucili się w stronę Karstowa, ale zatrzymał ich gestem ręki. Wziął pod rękę izraelskiego ministra obrony i razem weszli do pokoju obok. Ambasador zajął się rozmową z żoną Karstowa. Ewa podeszła do nich:

— Przepraszam, nie chcę przeszkadzać — powiedziała cichym głosem — ale muszę już pójść...

— Pójść? Nie mówi pani poważnie?

Ambasador zwrócił się do Olgi Karstowej:

— To Ewa. Jest Francuzką i dopiero co przyjechała do Moskwy. Twierdzi, że jest dziennikarką, ale ja podejrzewam, że będzie tu kręcić film. Chyba nowa Mata...

Panie podały sobie ręce.

— Bardzo lubię Francję — prawie krzyknęła żona generała. — To wspaniały kraj! A Paryż! Ach, mój Boże, Paryż! Pani jest z Paryża?

— Tak — odparła Ewa po rosyjsku — ale Moskwa też jest uroczym miastem. Już widzę, że mi się spodoba.

— Ależ pani wspaniale zna nasz język! Jakże chciałabym tak poznać wasz. Proszę mi mówić Olga, bardzo proszę, chciałabym się z panią zaprzyjaźnić... Chodźmy.

Podeszły do baru.

— Proszę mi wszystko opowiedzieć. O sobie, o życiu w Paryżu. Pani jest bardzo piękna, wie pani?

— Dziękuję, ale pani także. Widziałam pani zdjęcie w jakimś niemieckim magazynie kilka miesięcy temu.

— Tak, to był „Stern”. Mój mąż nie lubi, gdy publikuje się moje zdjęcia, a ja to uwielbiam — mówiła podnieconym głosem. — Jest pani mężatką?

— Nie, opieram się. W moim zawodzie lepiej być samotną.

— Ach co za szczęście! Zazdroszczę pani.

— Generał Karstow to przecież szlachetny człowiek!

— Tak o nim mówią... Ja widuję go rzadko. On ma czas przede wszystkim dla innych. Zaraz go pani przedstawię.

Nachyliła się ku Ewie i szepnęła jej do ucha:

— Nie jest aż tak męski na jakiego wygląda...

Wzięły się pod ręce i razem podeszły do generała, który na uboczu dyskutował z izraelskim ministrem.

— Pozwoli pan, że na minutkę odzyskam męża?

Piotr Karstow przeprosił Izraelczyka, mrucząc po angielsku.

— Niesamowite, ona nigdy nie zrozumie...

Uścisnął rękę Ewy, gdy Olga ją przedstawiła.

— Bardzo mi przyjemnie. Nigdy nie mogę się zdobyć na pocałowanie ręki, a zwłaszcza kobiet takich jak pani.

Ewa uśmiechnęła się i mocno uścisnęła mu rękę. Przyjrzała się generałowi bardzo uważnie. Był bardzo podobny do człowieka, którego widziała na filmie z kasety i wielu zdjęciach analizowanych w Jeruzolimie i Langley. Wyniosły i trochę sztywny. Jedyne twarz, ciągle piękna choć wyraźnie zmęczona, wydawała się trochę postarzała.

— Ma pan wspaiałą żonę, generale. Jest pan szczęściarzem.

— Widzę, że Olga już panią omotała. To uwodzicielka. Proszę mieć się na baczności!

— Nie chcę być niegrzeczna i nadużywać waszej uprzejmości. Jesteście państwo zajęci, a ja już także powinnam wyjść. Sądzę, że będę jeszcze miała przyjemność spotkać się z państwem...

— Niech pani zostanie ze mną — prosiła Olga. — Piotr jeszcze dziś wieczorem wyjeżdża do Azerbejdżanu. Zjemy razem obiad.

Ewa zauważyła zdenerwowanie na twarzy Karstowa.

— Dziękuję bardzo, ale czuję się tak zmęczona, że chyba zasnęłabym przy stole. Raczej pójdę do siebie.

— Rozumiem. Proszę wziąć wizytówkę, Ewo, i szybko do mnie zadzwonić — Olga prześliznęła się między gośćmi, zostawiając ich samych.

Ewa chciała pożegnać się także, ale Karstow dał jej znak żeby została. Od początku nie spuszczał z niej oka, starając się odgadnąć, kim jest ta kobieta i dlaczego powierzono jej kierownictwo agencji EAP. Przeważnie na takie stanowisko kierowano ludzi sprawdzonych, starych wyjadaczy, dobrze znających kraj. W Moskwie zaś potrzebny był ktoś znający na pamięć organizację partii, skład Biura Politycznego itp. Ewa Dumoulin wyglądała bardzo młodo. Chyba, że była jednym z tych „cudownych produktów” wypuszczanych przez zachodnie uniwersytety, mózgowcem przeprowadzającym błyskawiczne analizy. Albo...

— W jakiej dziedzinie specjalizuje się pani? — spytał nagle przyjaznym tonem.

— Ekonomia, a zwłaszcza waszego kraju. W tej dziedzinie dzieje się u was tyle nowego, że agencja nie miała wyboru — powiedziała, śląc mu swój urokliwy uśmiech.

Odpowiedź najwidoczniej zadowoliła go. Uśmiechnął się także.

— Na jak długo?

— Według kontraktu na trzy lata. Być może na krócej, ale to zależy także od ludzi takich jak pan.

— Czyżby?

— To nie jest tajemnicą, generale, że jest pan najczęściej wysłuchiwanym doradcą prezydenta. To pana nazywają „strażakiem”?

Uśmiechnął się.

— Zaczyna pani wywiad? — spytał rozbawiony.

— A byłby pan gotów mi go udzielić? Z prawem wyłączności?

— Nie traci pani czasu, pani...

— Dumoulin. Ewa Dumoulin. A więc, zgoda? Wiem, że od dwóch lat nie udziela pan wywiadów. Czas chyba przerwać milczenie.

— Do pracy nie potrzeba mi dziennikarzy!

— Tym gorzej dla mnie... — westchnęła Ewa, uśmiechając się ponownie. — Muszę już iść. Skoro nie udało mi się pana namówić, to znak, że jestem zmęczona. Ale do tematu wywiadu jeszcze wrócimy.

Podawała mu rękę. Ucisnął ją delikatniej niż zamierzał. Odczuł przyjemny dreszcz. Ewa popatrzyła na niego z żalem i ironią. Odwróciła dłoń generała i z rozbawieniem zaczęła przyglądać się jej liniom. Udawał niewzruszonego, ale serce zaczęło mu bić mocniej.

— Nic straconego, Ewo. Sprawy u nas toczą się tak szybko, że być może pewnego dnia zmienię zdanie. Obiecuję, że pani dowie się o tym pierwsza.

Patrzył na nią, jak odchodziła odprowadzana zazdrosnymi spojrzzeniami jego zachodnich kolegów. Opanowało go dziwne uczucie.

Na ulicy panował siarczysty mróz, ale Ewa postanowiła iść piechotą, by odzyskać równowagę, skręciła w Donskiej Pierejezd. Nie mogła dojść do siebie. Poznała Piotra Karstowa! Mossad nie cofał się przed niczym. Specjalnie wysłał do Moskwy ministra obrony, po to tylko, by umożliwić jej złapanie kontaktu! Poczula się dumna. Zacerpnęła haust mroźnego powietrza i zaczęła iść szybciej.

Przy parku Gorkiego przeszła Prospekt Lenina i skręciła obok Muzeum Geologii i Paleontologii.

Nie zauważyła, kiedy podeszło do niej czterech mężczyzn. Dostrzegła jedynie sportowe buty jednego z „afganów”, po czym poczuła silne uderzenie w głowę i przejmujący ból. Straciła przytomność. Nie miała nawet czasu pomyśleć, co się dzieje, a co dopiero właściwie zareagować.

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła nachylonych nad nią ludzi. Słyszała ich głosy, usiłowała się podnieść, ale nie miała sił. Głowa bolała ją okropnie. Słyszała, jak z piskiem opon zatrzymał się obok niej samochód, trzasnęły drzwiczki i zobaczyła pochylającego się milicjanta. Spytał, co się stało. Ewa zaczynała powoli odzyskiwać przytomność. Szukała torebki — zniknęła. Przeciągnęła ręką wokół szyi. Naszyjnika też nie było. Podniosła instynktownie lewą rękę — zegarek również przepadł. Była przerażona. Z ogromnym wysiłkiem udało jej się stanąć na nogi.

Milicjant pomógł jej wstać, wezwał przez radiotelefon karetkę, która lada moment powinna nadjechać. Ewa zaczęła przekonywać go, że nie potrzebuje lekarza, że czuje się dobrze i może wrócić sama. Mówiąc, starała się nie patrzeć milicjantowi w oczy. On jednak nie dał się przekonać.

— Zaatakowali panią „afgany”. Nie panią jedną. Dziś był to już trzydziesty napad. Proszę poczekać, zaraz przybędzie pomoc.

Czując beznadziejność sytuacji, Ewa wyjęła z ukrytej kieszonki płaszcz studolarowy banknot, odciągnęła milicjanta na bok i wsuwając mu go do ręki, szepnęła:

— Niech pan bierze. To sto dolarów. Ja muszę stąd odejść. Czeka ją na mnie. Dziś są moje urodziny — uśmiechnęła się, co spowodowało jeszcze większy ból. — Mieszkam tu niedaleko, z drugiej strony parku.

Milicjant wziął banknot, wsunął go do kieszeni, ale uparł się, że ją odwiezie. Nie pomagały zapewnienia, że nie potrzeba, że czuje się dobrze. Zaczynał coś podejrzewać, więc Ewa zrozumiała, że musi się zgodzić. Otworzył drzwi samochodu. Ewa wsiadła niechętnie, ciągle zasłaniając twarz. Przed zapuszczeniem silnika milicjant chciał połączyć się z komendą, gdy Ewa nagle spytała go, czy nie miałby ochoty pójść na jej urodziny. Był wyraźnie zmieszany, lecz włączył silnik. Wyglądał na trzydzieści lat i mógł pochodzić z Kaukazu.

— Gdzie pani mieszka?

— Nie przypominam sobie nazwy ulicy, to obok parku Sokolniki, ale rozpoznam dom...

— Sokolniki? Przecież to na drugim końcu miasta! To najbardziej niebezpieczna dzielnica, a pani chciała iść pieszo? Tu jest park Gorkiego. Musiała się pani pomylić. Pani jest cudzoziemką? Bardzo dobrze zna pani nasz język.

— Jestem profesorem rosyjskiego w Paryżu. Przyjechałam ze studentami na dziesięć dni. Idzie pan na moje urodziny?

— Nie mogę. Do północy mam służbę.

Popatrzył na nią z zainteresowaniem. Łada mknęła przez plac Czerwony, okrążyła Kreml i skierowała się na plac Rewolucji.

— Co robiła pani sama na ulicy o tak późnej porze?

— Byłam u znajomych. Chciałam się trochę przejść. W Paryżu zawsze chodzę piechotą. Lubię spacerować. A tu nagle tych czterech... Rzucili się na mnie i już niczego więcej nie pamiętam.

— Chyba chcieli także panią zgwałcić.

Spojrzał na nią. Uśmiechnęła się.

— Czterech, to trochę za dużo, co?

Uśmiechnęła się znowu. Miał niewyraźną minę. Samochód skręcił w prawo, w ul. Czernyszewskiego.

— Będziemy za pięć minut. Ma pani męża?

— Nie, wolę być niezależna.

Popatrzyła przed siebie. Czują, że milicjant zaczyna się niecierpliwić.

— Niech pan przyjdzie po służbie. Będę sama... Mam wolne mieszkanie. Przyjaciel wyjechał. Albo...

Dotknęła palcem jego policzka. Poczzerwieniał. Dojeżdżali do parku Sokolniki.

Ewa kazała poszukać zacisznego miejsca. Chciała mu podziękować zanim wróci do siebie...

Milicjant był zachwycony. Objechał cały park i wyszukał miejsce między dwoma drzewami, w najodleglejszej części parku. Przekręcił kluczyk i odwrócił się do Ewy. W ciemnościach nie dostrzegł jej lewej ręki, wymierzającej z całej siły cios w jego szyję. Bez krzyku opadł na kierownicę. Ewa obiema rękami ścisnęła mu kark i udusiła go. Wsiadła z samochodu i rozejrzała się wokół. Była mroźna noc. Zawahała się przez chwilę i otworzyła bagażnik. Znalazła kanister benzyny. Oblała nią silnik i wnętrze samochodu. Rozejrzała się raz jeszcze i rzuciła zapaloną zapalniczkę.

Była już na ul. Rusakowskiej, gdy usłyszała potężny wybuch. Szła szybko i wkrótce znalazła się na placu Komsomolskaja. Obok czynnego baru kooperatywy minęła grupę pijaków i doszła do placu Lermontowa. Przy stacji metra zawahała się, ale postanowiła iść dalej

pieszo. „Gdy życiu zagraża niebezpieczeństwo, nie wahaj się ani chwili” — przyszły jej na myśl słowa instruktora karate.

Do „Meridianu” miała jeszcze dwa kilometry. Znajdował się on na rogu ulic Wołhonka i Frunzego, pięć minut marszu od Kremla. Słyszała ryk syren. Dwa wozy strażackie i karetka, prowadzone przez wóz milicyjny, mknęły z włączonymi światłami w kierunku parku. Na czoło wypłynęły jej wielkie krople potu. Plac Dzierżyńskiego. Zwolniła kroku. Z naprzeciwka nadchodził mężczyzna w płaszczu z epoletami i w czapce z niebieskim otokiem. Rozpoznała mundur KGB. Serce waliło jej mocno. Ze strachu zapomniała, że znajduje się kilkadziesiąt metrów od siedziby sztabu KGB na Łubiance. Mężczyzna przeszedł obok, nie zwracając na nią uwagi i zniknął w bramie sześciopiętrowego gotyckiego budynku. Gdy zobaczyła światła placu Czerwonego poczuła się wreszcie bezpieczna.

Była u kresu sił. Poczula się źle i przyspieszyła kroku. W czasie treningów wyobrażała sobie wiele rzeczy, ale nigdy czegoś takiego, co przydarzyło jej się dzisiaj — że z zimną krwią zabije człowieka! Miała chęć biec. Zwymiotowała.

Sprzeczne myśli przemykały jej po głowie. Zegarek. Najnowszy wynalazek amerykańskiej techniki szpiegowskiej. Co oni z nim zrobią? Czy sprawdzą, co on naprawdę potrafi? Gapie musieli widzieć, jak wsiadała z milicjantem do wozu... Czy ją rozpoznają? Była noc, a ona starała się zakrywać twarz. Ale przecież leżała nieprzytomna... Ilu ludzi mogło ją wtedy widzieć? Poczula się strasznie winna. Przecież ją ostrzegano: „Żadnych nocnych spacerów! Moskwa jest miastem niebezpiecznym. Nie ryzykuj niepotrzebnie...”

W torebce nie było nic ważnego. Dokumenty, pieniądze i karty kredytowe miała zwyczaj nosić przy sobie.

Przed „Meridianem” poprawiła trochę fryzurę i starała się iść swobodnym krokiem. Wielki ścienny zegar wskazywał 22¹⁰. Po wejściu do pokoju natychmiast pobiegła do łazienki. Nie mogła opanować

nudności. Długo stała pod prysznicem, licząc że gorąca woda zmyje z niej zbrodnię...

Po raz pierwszy Ewa nie zerknęła do lustra. By nie spojrzeć w oczy Dahlii? Wśliznęła się pod kołdrę i zgasiła światło. Długo nie mogła zasnąć.

Plotki o nieuchronności secesji Azerbejdżanu przybierały na sile. Pisze o tym cała prasa światowa. Nie mówi się wprawdzie o niepodległości, ale wszyscy zdają sobie sprawę, że tylko takie rozwiązanie wchodzi w rachubę, by zapobiec niekontrolowanej wojnie domowej we wszystkich zakątkach Związku. Proponowane przez prezydenta reformy zmierzające do daleko idącej decentralizacji politycznej zostały kategorycznie odrzucone przez podziemne kierownictwo muzułmańskiej „świętej wojny”. Jeden z jego liderów, słynny Ahmed Chan, w wywiadzie udzielonym „Newsweekowi” zapowiedział „stuletnią wojnę z bezbożnikami z Kremla” i dodał: „Jeżeli Palestyńczykom udało się wywalczyć własne państwo, mając za przeciwnika najlepszą armię świata, my nie powinniśmy mieć z tym najmniejszych trudności. Służyliśmy w Armii Czerwonej i znamy od wewnątrz jej silne i słabe strony. Nasi synowie gotowi są walczyć o wolność Ojczyzny, jak Palestyńczycy, którzy zmusili armię żydowską do wycofania się. Będziemy walczyć aż do skutku. Niech pan to napisze. Nie boimy się Karstowa. Zapewniam, że nie skona on we własnym łóżku...” Ahmed Chan zakończył ostrzeżeniem skierowanym pod adresem mieszkańców wielkich miast radzieckich: „Terror osiągnie zwłaszcza was!”

W dniu, w którym artykuł ten ukazał się w amerykańskim tygodniku, milicja wdarła się do nowocześnie urządzonych biur „Newsweeka” w Moskwie i z niespotykaną brutalnością zajęła całe archiwum. Dziennikarz, który przeprowadził wywiad z Ahmedem, Roger Kaplan, był na tyle przewidujący, że wyjechał do Stanów

Zjednoczonych dwa dni przed opublikowaniem artykułu. Korespondenci zagraniczni zobowiązani zostali do przedstawiania swoich publikacji cenzurze wojskowej aż do odwołania. Niektórzy z nich zastanawiali się, czy nie zostanie wprowadzony zakaz sprzedaży czasopism obcojęzycznych... Protesty płynęły ze wszystkich stron, a dziennikarze akredytowani w Moskwie zapowiadali strajk.

Ewa zbudziła się. Nie wiedziała, czy spała godzinę, czy tylko parę minut. Sen miała niespokojny. Śniło się jej, że milicjant, pałac się jak pochodnia, goni ją wśród wrzeszczącego tłumu. Ona przewraca się, podnosi, znowu pada, a on, zbliżając się, głośno krzyczy na całe gardło: „To szpieg! Łapać szpiega!”. Czy przypadkiem nie krzyczała przez sen? Pytanie to zmroziło jej krew w żyłach.

Biorąc prysznic, próbowała się uspokoić. Jej misja dopiero się zaczyna. Zamówiła śniadanie, ubrała się i włączyła telewizor. Stacja CNN nadawała wiadomości. Dziennikarka omawiała właśnie wywiad, jaki ukazał się wczoraj w „Newsweeku”. Ewa nie słyszała komentarza od początku, ale zorientowała się o co chodzi. Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł kelner, pchając przed sobą wózek. Oprócz typowo amerykańskiego śniadania przyniósł także cztery zamówione gazety: „Wall Street Journal”, „Herald Tribune”, „Le Monde” i „Prawdę”.

Przejrzała radziecki dziennik, ale nie znalazła żadnej notatki o tym, co przydarzyło się jej wczoraj. „Prawda” zamykała swoje łamy o ósmej wieczorem, nie mogła więc zamieścić artykułu o czymś, co zdarzyło się później. Nie mówiono jednak o tym także w radio i to wydawało się Ewie dość podejrzane. Szybko przejrzała pozostałe gazety i rzuciła je na podłogę. Zaczęła obmyślać plan na resztę dnia. Dziś jeszcze musi wysłać pocztówkę Antonelli, do Rzymu. Napisała, jak bardzo cieszy się ze spotkania z tym „wielkim krajem”, spotkania „oszałamiającego”, i że kupi jej zegarek, jaki noszą żołnierze radzieccy, ciągle bardzo modny na zachodzie. Podpisała: „Annette”...

Następnie musi złożyć w AFP i AP komunikat przyznający się do zamachu w imieniu Ahmeda Chana z „Dżamiat islami” i zapowiadający, że był to dopiero początek. Później musi pozbyć się ubrania, które miała na sobie wczoraj, a zwłaszcza łatwo rzucającego się w oczy futra. Musi zmienić także makijaż i uczesanie, by nie zostać rozpoznaną, chociaż taka możliwość wydawała się jej minimalna. W ciemnościach nikt nie mógł zapamiętać rysów jej twarzy. Ewa spojrzała w lustro. Oczy... Właśnie w oczach udawało jej się zawsze — po długiej chwili koncentracji — zobaczyć Dahlię. Traktowała to zawsze jako zabawę, teraz odczuła to jako potrzebę. Ale tego ranka Ewa nie zobaczyła Dahlii. Poczula się nieswojo, a uczucie to pochodziło gdzieś z głębi niej samej. Spuściła oczy, wciągnęła głęboki oddech i wyszła trzaskając drzwiami.

30 grudnia.

Inspektor Borys Pljucz wszedł do swojego ciasnego, dawno nie odnawianego biura i — jak zawsze — rzucił czapkę na wieszak. Tym razem także nie trafił. Zaklął przez zęby i nalał sobie filiżankę kawy. Była gorąca, ale nie miała ani smaku, ani zapachu kawy. Usiadł i nacisnął przycisk interfonu. Przejrzał szybko poranną pocztę. W drzwiach stanął jego asystent, chłopisko metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ze szklanką kawy w ręku.

— O której godzinie pogrzeb Sokołowa?

— O jedenastej.

Podał mu kartkę. Pljucz czytał uważnie. Przysłano ją z „Pietrowki” — komendy głównej milicji, mieszczącej się na ulicy Pietrowka 38.

Ze względu na brak śladów zamach został w raporcie zakwalifikowany jako terrorystyczny. Zalecano także szczególne środki ostrożności. Milicji wydano natychmiast kamizelki kuloodporne i radiotelefony. Patrole milicyjne wzmocniono do czterech osób i zezwolono na aresztowanie każdego podejrzanego. Na jutro zaplanowano liczne rewizje w dzielnicach „afgańskich”. Dalsze instrukcje miały być podane w odpowiednim czasie.

Borys Pljucz spojrzął na asystenta. Nikitin zobaczył czapkę szefa na podłodze i uśmiechnął się. Pljucz wzruszył ramionami i dał mu znak głową.

Po trzydziestu latach służby inspektor Borys Pljucz był powszechnie znany jako bez wątpienia jeden z najlepszych specjalistów od spraw kryminalnych. Miał 57 lat, siwe włosy i niebieskie oczy osłonięte grubymi czarnymi brwiami. Z wyglądu przypominał młodego dziadka. Dziennikarze nazywali go „moskiewskim Maigretem”. Schlebowało mu to.

Koledzy, za jego plecami, nazywali go „starym Bondem”, ponieważ często nie trafiał czapką w wieszak... Pljucz wiedział o tym i nie gniewał się na nich. Spojrzał raz jeszcze do raportu z poprzedniego dnia: sześć zabójstw, osiemnaście kradzieży z bronią w rękę, pięćdziesiąt trzy napady, przeważnie na turystów, osiemdziesiąt dziewięć włamań do samochodów, dwa zbrodnicze podpalenia — to wszystko miało miejsce w jego rejonie — komisariatu z ulicy 1 Maja. Ponadto w piwnicach i zaułkach znaleziono siedmiu zmarłych wskutek przedawkowania narkotyków. Westchnął i przez interfon wezwał sierżanta odpowiedzialnego za informacje dla prasy. Nikt się nie zgłaszał. Wykręcił więc numer redakcji „Prawdy” i poprosił z redaktorem prowadzącym rubrykę kryminalną. W odpowiedzi podano, że wyjechał do Szwecji.

- Proszę połączyć z jego zastępcą.
- Jeszcze nie przyszedł.
- To z kimkolwiek z redakcji!

Prawie krzyczał do słuchawki. Kobieta odpowiedziała, że w redakcji nie ma jeszcze nikogo, że być może za godzinę...

Rzucił z wściekłością słuchawkę. Zaczął kłąć, ale dzwonek telefonu przerwał mu potok przekleństw. Podniósł słuchawkę.

- Inspektor Pljucz?
- Tak, słucham. Kto mówi?
- Usłyszał głośne westchnienie, po czym nastąpiła cisza.
- Słucham pana. Proszę mówić.

Instynktownie nacisnął klawisz magnetofonu. Przypuszczał, że chodzi o anonimowy donos, gdyż komisariat przyjmował ich dziennie co najmniej trzydzieści. Na ogół przyjmowano je na centrali, ale

czasami „prawdziwemu komuniście” udawało się dotrzeć bezpośrednio do jego numeru i donieść na jakiegoś „spekulanta” czy „przemyt- nika”...

— Słucham pana — powtórzył spokojnie.

W słuchawce słychać było odgłosy ulicy. Rozmówca dzwonił więc z budki telefonicznej. W końcu zaczął mówić:

— Panie inspektorze, wiem, że pan jest... tego... porządnym face- tem. Czytam gazety... (cisza). Ja nie jestem winny, ja nie wiedzia- łem... Ja nie...

Pljucz zaczynał się denerwować. Miał chęć krzyczeć, ale opanował gniew. Próbował łagodnie zachęcić nieznanego.

— Wierzę panu, ale proszę mówić o co chodzi. Mam bardzo mało czasu.

— Dobrze, chodzi o zegarek... Przysięgam, ja go nie ukradłem...

Pljucz wybuchnął złością:

— Słuchaj mnie kolego! Ten zegarek to sobie wsadź, sam wiesz gdzie.

Rzucił słuchawkę i zaczął stukać palcami w stół. Wszedł Nikitin i zameldował, że wszyscy czekają w sali. Dochodzi dziesiąta.

— Co za dureń! Zaczynajcie zebranie, zaraz przyjdę. Zaczekajcie na mnie przed przesłaniem raportu na Pietrowkę. A, niech pan za- czeka... niech pan dzisiaj przekaże informacje dla „Prawdy”. Ja nie mam siły rozmawiać. Ci dziennikarze mnie męczą...

Telefon zadzwonił znowu. Pljucz podniósł słuchawkę i dał znak Nikitinowi by wyszedł.

— Inspektor Pljucz przy aparacie.

Rozpoznał ten sam hałas uliczny, to samo wahanie i miał ochotę rzucić słuchawkę.

— Proszę mówić — rzekł jednak siląc się na spokój.

— To ja... Ten zegarek jest szpiegowski, inspektorze.

Borys włączył magnetofon.

— Niech pan mówi dalej, słucham.

— Kupiłem go dwa dni temu, od takiego typu na ulicy. Nic nie podejrzewałem, pan rozumie, wszyscy to robią... Później dopiero zobaczyłem, że nie jest to zwykły zegarek...

— Niech pan słucha uważnie. Jeżeli to prawda, obiecuję panu nagrodę. Proszę natychmiast przyjść tu do mnie. Czekam.

— Nie. Nie chcę spotkać się z panem... Nie chcę wpaść do kartoteki... Mogę podrzucić zegarek w kopercie. Niech pan powie, gdzie...

— Kolego — upierał się inspektor. — Jest pan uczciwym obywatelem. Daję słowo honoru, że dostanie pan nagrodę. Proszę się nie bać. Ma pan moje słowo. Czekam na pana.

Odłożył słuchawkę, by niepotrzebnie nie przedłużać rozmowy. Wyszedł z biura i skierował się do hallu.

— Za chwilę przyjdzie tu mężczyzna. Przyprowadźcie go do mojego biura. Natychmiast, nie stawiając mu żadnych pytań i bądźcie uprzejmi! Bardzo uprzejmi.

Zatrzymał się, odwrócił i dodał:

— To rozkaz!

Wróciwszy do biura, podszedł do okna. Zamyślił się. Burza śnieżna ucichła. Niebo było szare i ciężkie. Zapowiadano przejaśnienia i kilka słonecznych dni. Nigdy nie miał zaufania do specjalistów od pogody! Nagle zobaczył mężczyznę średniego wzrostu, stojącego na chodniku po drugiej stronie ulicy i z zimna przytupującego nogami. Pljucz był przekonany, że to jego niedawny rozmówca. Dzwonił zapewne z budki kilkaset metrów stąd. Najwyraźniej wahał się, czy wejść do komisariatu. Pljucz już miał wydać rozkaz, by ktoś wyszedł po niego, gdy nieznajomy przeszedł jezdnię. Minutę później milicjant zapukał do drzwi.

Mężczyzna miał na sobie kozuch. Na twarzy widoczny, z trudem maskowany, strach.

Inspektor dał mu znak, by usiadł i, nie pytając, podał mu kubek kawy. Siłił się na uprzejmość, podsuwając cukiernicę i zachęcając, by się odprężył. Mężczyzna wstał niepewnie i zdjął kozuch. Pljucz obserwował

go kątem oka. Miał na sobie zachodni garnitur, elegancką koszulę i krawat. Mógł mieć ze czterdzieści lat. Na lewej ręce miał wielki złoty sygnet. Borys wiedział, że ma do czynienia z „farsowszczykiem” — cinkciarzem, jakich wielu dzień i noc kręci się po Moskwie, handlując dewizami.

Mężczyzna zawahał się przez moment, ale w końcu wyjął z kieszeni zegarek. Podał go inspektorowi bez słowa, nie patrząc mu w twarz. Pljucz przyglądał mu się, ale nie dostrzegł w zegarku niczego nienormalnego. Popatrzył nieznajomemu w twarz.

— No więc? Cóż takiego specjalnego ma ten „Rolex”?

— Zaraz pokażę, panie inspektorze.

Położył zegarek na stole i zaczął obracać jego tarczę. Obok cyfry 12 zapaliło się małe czerwone światełko, a w biurze dał się słyszeć ciąg impulsów dźwiękowych, podobny do sygnałów Morse'a. Pljucz zrozumiał natychmiast, że cacko to musiało należeć do cudzoziemca, najprawdopodobniej szpiega. Na usta cisnęło mu się wiele pytań, ale była to sprawa dla KGB. Intuicyjnie czuł jednak, że powinien zająć się nią osobiście.

— Kto ci to sprzedał? — spytał nieznajomego, zwracając się do niego przez „ty”, by nabrał więcej zaufania. — Nagrodę dostaniesz, jak obiecałem.

— Nie znam go. Nigdy go przedtem nie widziałem. Spotkałem go na placu Czerwonym. Tam wielu handluje... Czasami tam chodzę...

— Skup się i posłuchaj mnie uważnie. Przyrzekłem ci coś i obietnicy dotrzymam. Gdybyś trafił na Pietrowkę, już dawno by wycisnęli z ciebie wszystko, co wiesz. A na odchodne dostałbyś jeszcze po mordzie. U mnie nic ci nie grozi, ale — w zamian — pomożesz mi znaleźć faceta, który sprzedał ci zegarek. On chyba często przychodzi na plac Czerwony ze swoimi gratami. Pokażesz mi go z daleka. Niczym nie ryzykujesz i będziesz wolny. Masz moje słowo honoru.

Mężczyzna wypił łyk kawy.

— Mogę zapalić?

Nie czekając na odpowiedź, wyjął pudełko „Marlboro”, podsuwając je także inspektorowi, który odmówił gestem ręki. Ten handlarzyzna działał mu na nerwy. Czym tak naprawdę zajmował się na co dzień?

Przez moment Pljucz miał ochotę dać mu w zęby.

— Dobra, zrobię to, o co pan prosi. To ile ta nagroda? — spytał prawie szeptem.

Inspektor popatrzył mu w oczy. Mężczyzna nagle przestraszył się i wyjąkał:

— Właściwie, to niczego nie chcę... Chociaż... tyle, ile zapłaciłem...

— Coś tam dostaniesz. Chodźmy, przejdziemy się na plac Czerwony — rzekł Pljucz, wstając z krzesła.

Dopiero po trzech dniach „Prawda” i „Izwestia” doniosły o wysadzeniu w powietrze samochodu milicyjnego wraz z kierowcą, niejakim Sokołowem oraz o tym, że do zamachu przyznało się jedno z ugrupowań muzułmańskich. Zamieszczono o tym wydarzeniu zaledwie drobną notatkę. Najwyraźniej ani władze, ani redakcje nie wiedziały, czego się trzymać. Ewa ucieszyła się, że jej komunikat potraktowano poważnie. Wciąż niepokoił ją jednak zegarek. Miała zamiar poszukać go na targowiskach, gdzie — nawet na placu Czerwonym — handlowano kradzionymi rzeczami, ale instynktownie porzuciła tę myśl. Postanowiła natomiast nie wychodzić z hotelu, bo — choć było to mało prawdopodobne — mogłaby zostać rozpoznana. Nie skorzystała z wielu zaproszeń, które dostała podczas przyjęcia w ambasadzie Izraela, ale poszła do agencji zapoznać się nieco z zadaniami, które na nią tam czekały. Miała jeszcze trzy tygodnie czasu na zorganizowanie sobie zajęć, nawiązanie pierwszych kontaktów z osobistościami radzieckimi i przeprowadzkę do mieszkania po Hansie Mahnfieldzie.

Już 29 grudnia, zaledwie trzy dni po przyjeździe, miała zgłosić się do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i omówić sprawę swojej akredytacji. Po trzech godzinach rozmowy, bardzo oficjalnej, urzędnik obiecał jej, że otrzyma kartę prasową przed objęciem agencji.

Tego samego wieczoru jadła kolację w towarzystwie Olgi i Piotra Karstowów.

— Jak pani smakuje wątróbka? — spytała Olga. — Kazałam ją kupić u Maxima w Moskwie.

— Jest chyba lepsza niż w Paryżu!

Zachwył Ewy nie był bezpodstawny. Wątróbka była rzeczywiście znakomita, jak zresztą całe przyjęcie przygotowane przez Olę na sposób francuski, by uhonorować swojego gościa. Usługiwało im dwóch kelnerów w białych kamizelkach.

Mieszkanie Karstowów było duże i gustownie urządzone, lecz bez zbytniego luksusu. Kryształowe żyrandole oświetlały umeblowane ze smakiem i wyłożone perskimi dywanami pokoje. Ewa ubrała czerwona garsonkę, nie zasłaniającą szyi. Nałożyła podwójny sznur pereł. Generał wydawał się nie zwracać na nią uwagi i w czasie kolacji odezwał się zaledwie kilka razy. Mimo wysiłków Ewy rozmowa obu pań najwyraźniej go nudziła. Mówiła o Paryżu, o Ameryce, o modzie, unikając tematów politycznych. Chciała, aby choć przez chwilę nie myślał o swoim zawodzie, a siebie starała się ukazać mu w pełni kobiecości, licząc, że uda się jej skruszyć ten granitowy blok, jakim okazał się Piotr Karstow.

Siedzieli w salonie na wygodnych kanapach z rosyjskiej skóry. Na marmurowym kominku żywo palił się ogień, a na ścianach wisiały obrazy współczesnych artystów. Ewa rozpoznała Mitię Kantorowa i Owczinnikowa, których dzieła w Londynie i Nowym Jorku sprzedawano za ciężkie miliony. Ich styl wyraźnie kłócił się z ogromnym, wiszącym naprzeciwko płótnem, przedstawiającym bitwę pod Borodino.

— Sądzi pan, że generał Kutuzow mógł wygrać tę bitwę? — spytała wskazując obraz.

Karstow rozlewał właśnie gruziński koniak i — zaskoczony — wyprostował się. Pomyślał chwilę i odparł:

— Historii nie da się zmienić. Często patrzę na ten obraz, ale nie po to, by czerpać z niego jakieś bohaterskie natchnienia. Chcę pamiętać, że ta gigantyczna bitwa była przędę wszystkim ogromną klęską — osiemdziesiąt tysięcy ludzi zginęło niepotrzebnie.

— Dlaczego?

— Niech pani przeczyta Clausewitza. Obiektywnie Napoleon przegrał już w dniu, gdy stanął na naszej ziemi.

Ewa chciała coś powiedzieć, ale Karstow ciągnął dalej:

— Panią interesuje Kriegskunst, sztuka prowadzenia wojen? To rzadkie zainteresowanie u kobiet, nawet dziennikarek.

— Czyżby istniały tematy zarezerwowane dla mężczyzn? To prawda, lubię historię wojen... choć nigdy w życiu nie miałam w rękę broni.

Generał Karstow uśmiechnął się nieznacznie. Ewa ciągnęła dalej:

— A czy masakry są potrzebne?

— Oczywiście. Ale, ale... widzę, że znów zaczyna pani ze mną wywiad...

Oboje wybuchnęli śmiechem i równocześnie podnieśli kieliszki, mrugając do siebie znacząco.

Olga zaproponowała, by generał odwiózł Ewę do domu. Ewa nie chciała się zgodzić. Wobec nalegań Olgi, pozwoliła się odwieźć samochodem służbowym z kierowcą. Ucałowała Olę, obiecując, że wkrótce znów do niej wpadnie. Karstow odprowadził ją. Na pożegnanie podał jej rękę. Ewa zawahała się. Odwróciła dłoń generała i przyglądała się jej w świetle latarni.

— Widzę, że umie pani czytać z ręki. O ile sobie przypominam, już przy naszym pierwszym spotkaniu rzuciła pani okiem na moją dłoń...

— Nie. Naprawdę? Chciałam tylko sprawdzić, czy pańskie dłonie mogą wywoływać u mnie wizje.

— Bawi się pani w chiromantkę?

— To nie zabawa, generale — odparła oschle. — Zwłaszcza, gdy mam, no, powiedzmy przeczucia wobec kogoś, kogo prawie nie znam.

Karstow wahał się między sceptycyzmem a fascynacją.

— A cóż takiego pani widzi, o ile nie jest to tajemnicą?

— Wysoko pan zajdzie.

Puściła jego rękę i wsiadła do samochodu.

Ewa otworzyła oczy. Czowała się niewyspana. Była siódma rano, 31 grudnia. Wieczór spędzi wspólnie z pracownikami agencji. Kolację u Karstowów sprzed dwóch dni mogła uznać za sukces. Na początku generał nie wykazywał zainteresowania jej osobą, ale od czasu do czasu ukradkiem spoglądał na jej biust. Później, gdy ściągnęła jego uwagę na problemy strategiczne, ich spojrzenia krzyżowały się bez przerwy. Dobrze, że nie zgodziła się na odprowadzenie do domu. Poszłoby zbyt szybko! Wstała i popijając wodę ze szklanki, stanęła przed lustrem.

Ubrała się w dres i zeszła do hotelowej sali gimnastycznej. Po godzinie zasiadła do obfitego śniadania. Gdyby to od niej zależało, mogłaby mieszkać w hotelu przez cały czas.

Po raz pierwszy od przyjazdu postanowiła wyjść na spacer ulicami Moskwy. Ubrała się ciepło i założyła nowe futro, które kupiła nazywając po napadzie w luksusowym butik w hotelu „Hilton”.

Bezwiednie skierowała się na plac Czerwony. Po to, by odnaleźć zegarek? Ledwie tam doszła, para turystów poprosiła ją o zrobienie zdjęcia. Zgodziła się. Młody człowiek zaferował jej ruble po cenie dziesięć razy przewyższającej kurs oficjalny. Minęła go, nie zwracając nań uwagi. Była na ulicy Razina, gdzie mieściła się agencja. Zajęła się poszukiwaniem drobnych podarunków na dzisiejszy wieczór. Wyczerpana, wróciła do hotelu o czwartej po południu. Miała za sobą spacer po mieście, zwiedzanie dwóch muzeów, sprawdzenie awaryjnego numeru telefonicznego i wizytę na Wzgórzach Lenina, w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby zostawiać zaszyfrowane wiadomości.

Potem przez pół godziny odpoczywała w wannie. Położyła się nago na łóżku.

Kończyła makijaż, gdy ktoś zapukał do drzwi. Trzy szybkie uderzenia.

Przecież powiesiła kartkę „Nie przeszkadzać”. Podeszła do drzwi i popatrzyła przez wziernik. Serce zabiło jej mocniej.

Za drzwiami stał generał Karstow, w cywilu, z bukietem róż w ręku. Nie zdążyła się nawet odezwać.

— Przychodzę z życzeniami. Szczęśliwego Nowego Roku!

Wszedł i palcem dał znak, że w pokoju jest zainstalowany podsłuch.

— Porywam panią na mały spacer. Pogoda w sam raz. Czekam w samochodzie... Błękitne volvo.

Nalozyl czapkę, którą trzymał w ręku i ciemne okulary. Była szósta. Za godzinę Ewa powinna spotkać się z kolegami w biurze. Włożyła kwiaty do umywalki, ubrała się w nowe futro i wsiadła do windy. Serce biło jej jak oszalałe. Karstow sporo ryzykował przychodząc aż tutaj...

Nikt nie obserwował Ewy, gdy oddawała klucz w recepcji. Wyszła z hotelu.

Volvo czekało kilkadziesiąt metrów dalej. Podeszła do niego niepewnym krokiem i zobaczyła za kierownicą Karstowa. Wsiadła.

— Dziwny z pana dżentelmen — rzekła trzęsącym się głosem. — Przyjechał pan bez kierowcy?

— Sporo o pani myślałem od czasu, gdy widzieliśmy się ostatni raz. Ja...

— Pan jest żonaty, generale — przerwała mu. — A pańska żona...

— Proszę nie mówić o żonie. Wiem, że urzekła panią — mówił włączając silnik. — A pani urzekła mnie, Ewo — odwrócił się ku niej i patrzył jej w twarz. — Pani jest czarująca.

— Dziękuję. Dokąd jedziemy, generale? To chyba nie jest porwanie?

Karstow wybuchnął śmiechem. Zamiast odpowiedzi włączył radio i nastawił muzykę z kasyty. Głos Raya Charlesa oznajmiał w samochodzie: *I can't stop loving you*.

— To mój ulubiony piosenkarz — rzekł Karstow.

— Wiem.

Popatrzył na nią zdziwiony. Uśmiechnęła się i ciągnęła spokojnym głosem:

— Śniło mi się tej nocy dokładnie to, co się teraz dzieje.

— Pani mówi poważnie? A, prawda, pani jest także wróżką — rzekł śmiejąc się. — A jak skończył się sen?

— Nie tak, jak pan sobie wyobraża. Proszę posłuchać, generale. Jest sylwester i umówiłam się z przyjaciółmi. Będę panu wdzięczna za odwiezienie do hotelu. Nie chodzi tu o mnie... Dla nas obojga będzie lepiej, jeżeli pan się teraz zatrzyma.

Mówiła wzburzoną głosem, nie spuszczać z niego oczu. Prowadził samochód tak, jakby nic się nie stało. Nie odezwał się ani słowem, obserwując jedynie drogę. Prawie nie zatrzymywał się na światłach i z zadziwiającą zręcznością poruszał się wśród innych samochodów. Nie było jak wysiąść. Wkrótce znaleźli się poza miastem, jadąc w kierunku leżącego około trzydzieści kilometrów na południe od Moskwy Podolska. Ewa, zrezygnowana, milczała. Niekiedy Karstow spoglądał na nią rozbawionym wzrokiem. Minęli Podolsk i jechali dalej w kierunku Krestów. Po dwudziestu minutach generał skręcił w prawo i wąską drogą wijącą się wśród ośnieżonych drzew dojechali do dacy.

Wysiadł pierwszy. Bez słowa podszedł do drzwi, otworzył je i zapalił światło. Wrócił, a Ewa wciąż siedziała w samochodzie. Otworzył drzwi i gestem poprosił, by wysiadła. Pozwoliła wziąć się na ręce i zanieść do dacy. Pokój był obszerny i dobrze ogrzany. Na ścianach wisiały kozackie szable, dwie strzelby wojskowe i obrazy z motywami geometrycznymi. Meble z malowanego drewna, duży wiejski stół, krzesła i ławy były gustownie ustawione wzdłuż ścian. Ogromny żeliwny piec zajmował cały jeden kąt. Stojąc, Ewa poddała się tej pełnej ciepła atmosferze i natychmiast poczuła się odprężona.

Karstow delikatnie ujął ją za ramiona i spojrzał głęboko w oczy:

— Nie wiem, co się ze mną dzieje — wyszeptał słodkim głosem.

— Nie panuję nad sobą, proszę mnie zrozumieć. Chciałem spędzić tę noc z panią. Pierwszy raz coś takiego mi się zdarza... Zaryzykowałem, przyjechałem bez ochrony... Nikt nie wie, gdzie jestem.

Miał poważną minę. Ewa wyrwała się z jego rąk i podbiegła do telefonu. Wybrała numer. Oczekując na połączenie nie spuszczała oczu z Karstowa.

— Ewa Dumoulin. Nie czekajcie na mnie. Mam pilne sprawy do załatwienia.

Odłożyła słuchawkę. Twarz Piotra rozjaśniła się. Podeszedł i ucałował Ewę w policzek.

— W bagażniku mam pełno dobrych rzeczy. Zaraz je przyniosę.

Po chwili w kuchni pojawił się czerwony i czarny kawior, importowane paszety, sandacze, tuńczyki, polska wódka, szampan, słynne gruzińskie wino „Twiszi”, bliny. Był nawet bukiet róż. Entuzjizm generała udzielił się Ewie i z zapalem zabrała się do pracy. Stół nakryli w ciągu pięciu minut. Generał biegał, jak zauroczone dziecko, to zapalając ogień w kominku, to otwierając butelki szampana.

Ewa zapaliła świece i zawołała:

— Generale, podano do stołu!

— Proszę mówić mi Piotr — powiedział, całując ją w rękę.

— Jest pan prawdziwym dżentelmenem. Mam nadzieję, że będzie nim pan przez cały wieczór.

— Za pani urodę — rzekł podnosząc kieliszek.

Zasiedli do stołu. Piotr jadł z apetytem. Mówił o sobie, o wojnie w Afganistanie, o swoim kraju. Był serdeczny i rozbawiony. Opowiadał nawet zabawne historyjki o radzieckiej biurokracji.

Ewa nie przerywała mu. Poznawała go z innej strony. Był uwodzieleński, sympatyczny i jeszcze przystojniejszy niż na oglądanym z kasety filmie. Nagle, z poważną miną, Piotr spytał, co zobaczyła na jego dłoni tamtego wieczoru.

Oczekiwała tego pytania. Uśmiechnęła się i poprosiła, by dał jej rękę. Podał prawą.

— Lewą proszę.

Przyglądała się jej w milczeniu, zamknęła oczy, udając, że usiłuje się skupić. Gdy je otworzyła, miała rozszerzone źrenice. Spojrzała mu w oczy i zaczęła mówić monotonnym głosem. Opowiadała o niektórych wydarzeniach z jego życia, o starszym bracie, który zginął tragicznie, o matce, kobiecie niezwyklej, o ojcu, którego nie znał...

Piotr oszołomiony, słuchał jej słów, nie ośmielając się przerywać. Zawahała się przez moment, jakby chciała zataić coś ważnego.

— Nie wiem, czy...

— Czy co?

— Pańska żona. Ona nie chce mieć dzieci... Ale sądzę... że jest niepłodna. Ona nie może mieć dzieci.

Piotr nie spuszczał z niej oczu. Nagle osunęła się na krzesło.

— To wszystko — rzekła zmęczonym głosem. Jestem wykończona.

Zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze. Zapanowało milczenie, którego nie miał odwagi przerwać.

— Od kiedy ma pani ten dar widzenia? — spytał w końcu. — Wszystko, co pani mówiła, to prawda.

— Mam go po ojcu. Mówią, że to dziedziczne. Dziadek miał go także. Ale on był prawdziwym medium! Odkryłam, że mi też się to zdarza, ale jakby przypadkowo. Wiem, co ludzie za chwilę powiedzą. Kiedyś, gdy miałam 10 lat, widziałam w Monachium mężczyznę, który usiłował przejść przez jezdnię. Nagle miałam wrażenie, że widzę jak przejeżdża go samochód. Ten człowiek wszedł na jezdnię, chciałam go zatrzymać... Za późno... To było straszne. Długo czułam się winna. W końcu opowiedziałam to ojcu. Uspokoił mnie, mówiąc, że on też miewa takie widzenia. Jesteśmy po prostu jasnowidzami. Nauczył mnie, jak nad tym panować. Na szczęście, bo już bym dawno oszalała!

Piotr słuchał jej z uwagą.

— Jak to się dzieje? Chciałem powiedzieć, jak...

— Dotyczy to tylko niektórych osób i w określonych okolicznościach. Wtedy, w ambasadzie, gdy pana spotkałam, nagle miałam widzenie... ale nie odważyłam się o tym mówić...

— Dlaczego?

— Wziąłby mnie pan za wariatkę. Poza tym, nie było to miejsce...

— Co pani widziała?

— Nie pamiętam dokładnie. Obraz był płynny... Widziałam wielu ludzi, słyszałam zbyt duży hałas. To było coś wielkiego. Tak, wielkie przeznaczenie.

— No, to już się sprawdziło, nieprawda?

— Owszem, ale pan będzie jeszcze awansował. Pańskim przeznaczeniem jest odegranie wielkiej roli, czy pan tego chce, czy nie!

— Może pani powiedzieć to precyzyjniej?

— Nie, to był obraz. Na pewno przyjdą następne...

Piotr potwierdził, że jego starszy brat zginął w czasie ćwiczeń wojskowych, że ojciec przepadł bez śladu zaraz po jego urodzeniu, a matka wychowywała ich obu w wielkiej miłości do ojczyzny. Długie lata była sprzątaczką w fabryce niedaleko Kutaisi, w Gruzji i odmawiała sobie wszystkiego, aby on mógł zostać kimś. Opowiedział jej także, że Olga zawsze odrzucała myśl o dziecku. Była córką działacza partyjnego, członka Komitetu Centralnego. Piotr nigdy naprawdę jej nie kochał, ale musiał się z nią ożenić, bo takie panowały zwyczaje wśród członków nomenklatury. „Bohater” Armii Czerwonej nie mógł być kawalerem...

— Wiem jeszcze coś, Piotrze — szepnęła. — Mówi się, że jest pan brutalny, nieprzejednany, wręcz żądny krwi. Ja wiem, że to nieprawda. Gdy pana zobaczyłam, od razu wiedziałam, że się mylą.

Patrzyła na niego, a Piotr, głęboko poruszony, wziął jej rękę i podniósł do ust.. Pragnął jej, Ewa to czuła. Nie nadszedł jeszcze właściwy moment. Zamknęła oczy i powiedziała:

— W młodości miał pan wypadek?

Nie czekając na odpowiedź zaczęła mówić nie otwierając oczu.

— Mógł pan mieć pięć lub sześć lat. Matka biegnie z panem do szpitala, pan płacze... pełno krwi — wskazała palcem na brzuch — tam powinna być blizna...

Piotr był wstrząśnięty. Pamiętał tę scenę. Dokładnie było tak, jak opowiadała Ewa. Wstał, rozpiął koszulę, opuścił nieco spodnie i pokazał bliznę:

— Wyrostek robaczkowy...

— Przepraszam, ale to silniejsze ode mnie. Gdy przyjdzie tak nagle, nie mogę...

Wypiła łyk szampana. Piotr miał ochotę wziąć ją w ramiona, rzucić na łóżko, lecz coś go powstrzymało. Peszyła go niewinna, młodziutka twarz Ewy i te błyszczące inteligentne oczy... Wyobrażał sobie jej ciało i pierwszy raz w życiu czuł się rozbrojony przez kobietę. Odczuwał taki przypływ czułości i szacunku, jak nigdy dotąd.

— Chce pani wracać? — spytał Piotr chcąc przerwać milczenie.

Ewa spuściła wzrok.

— Tak i nie — odparła. — Tak, bo nie lubię takich sytuacji. Pan jest żonaty, a ja w dodatku znam pańską żonę. Pan jest ważnym człowiekiem i ryzykuję, że mnie wyrzucą, zanim jeszcze napiszę swój pierwszy artykuł... A nie, bo...

Zamilkła na chwilę, podniosła oczy i spojrzała mu w twarz.

— ...bo jest pan atrakcyjnym mężczyzną. Bardzo atrakcyjnym.

Uśmiechnęła się. Wstali jednocześnie i w końcu Piotr wziął ją w ramiona. Pachniała podniecająco. Pocałował ją czule, opanowała go namiętność. Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Zachwycał się jej delikatnym i wspaniałym ciałem, okrągłymi piersiami. Szybko wtulił między nie swoją twarz. Odkrył jej kształtne uda. Chciał wziąć ją natychmiast, ale powstrzymała go:

— Pozwól mi popieścić cię — szepnęła mu do ucha.

Zacząła przesuwać ręce po jego muskularnym ciele. Czowała jak Piotrowi drgają mięśnie przy każdym jej dotknięciu. Dotknęła ustami jego skóry. Wprost szalał, poddając się miłosnej grze, której reguły narzucała Ewa. Miał wrażenie, że coś takiego przeżywa po raz pierwszy. Schwycił ją mocno, odwrócił się gwałtownie, tak, że znalazła się pod nim. Zamknęła oczy, drżąc cała, gdy ich ciała połączyły się.

— Ewo, nikt cię nie wyrzuci. A wiesz dlaczego? Bo zostaniesz moją żoną.

Trzy łady brygady kryminalnej z komisariatu przy ulicy 1 Maja jechały w kierunku Kubina, leżącego około 40 km na wschód od Moskwy. Inspektor Borys Pljucz spojrział na zegarek: była 5 rano. Potrzebował aż 9 dni na ustalenie tożsamości mężczyzny, który sprzedał zegarek. Ze swoim „mafiozo”, jak go nazywał, przeczesywali wszystkie targowiska, na których kwitł nielegalny handel. Oczywiście, dyskretnie towarzyszyli im milicjanci. Szczególną uwagę zwrócili na największe targowiska stolicy: słynny Cwietnoj Targ, Czeremuszeński — w pobliżu osiedli zamieszkałych przez nomenklaturę, Tiszyńsk — obok stacji metra przy lotnisku i „różowego getta”, gdzie mieszkali pisarze wierni władzy, a także wiele innych, mniej znanych miejsc, odwiedzanych jedynie przez członków mafii i „afganów”. Po zidentyfikowaniu mężczyzny, Borys kazał go śledzić, aż ustalono jego adres.

W Kubinie samochody zajęły na osiedle niedawno wybudowanych bloków i zatrzymały się za drzewami owocowymi, które rosły tu jeszcze przed zabudową osiedla. Pljucz wysiadł pierwszy. Po chwili ośmiu milicjantów weszło do bloku i windą wjechali na piąte piętro. Na znak szefa wyłamali drzwi i rzucili się do mieszkania.

„Afgan” był w łóżku z jakąś kobietą. Zrobił ruch, jakby chciał sięgnąć po ukrytą pod poduszką broń, ale dwóch olbrzymów rzuciło się na niego. Klął, wrzeszcząc i wyzywając ich od faszystów, przekupnych gliniarzy. Pljucz krzyknął jak mógł najgłośniej:

— Zamknij dziób, skurwysynie. Wsadzę cię na dziesięć lat, jak się nie zamkniesz!

„Afgan” zamilkł.

— Słuchaj mnie uważnie — zaczął inspektor. Sprzedałeś na placu Czerwonym kradziony zegarek. Dokładnie dwa tygodnie temu. Chcę wiedzieć, skąd go wzięłeś.

Wyjął zegarek Ewy z kieszeni i podsunął mu go pod nos.

— Nie wiem, o czym pan mówi. Nigdy tego nie widziałem.

— W porządku. Załóżcie mu kajdanki. Idzie z nami. A tu przetrząśnijcie wszystko porządnie. Nie zapomnijcie zabrać jego broni. Zaczekam na dole.

Po godzinie „afgan” siedział już na rozklekotanym krześle w biurze Borysa Pljucza, z rękoma skutymi w kajdanki. Ciągłe zaprzeczał, jakoby coś wiedział o zegarku. Inspektor obserwował go w milczeniu. Mężczyzna mógł mieć około trzydziestki, był barczysty, rzucał wokół spojrzenia pełne nienawiści i pogardy. Milicjant wszedł bez pukania i podał Pljuczowi kartkę. Inspektor przeczytał ją i zwrócił się do zatrzymanego:

— Zawrzemy umowę — powiedział spokojnym głosem. Wcale nie muszę tego robić, bo to, co znaleźliśmy u ciebie i to, co przeczytałem z twojej kartoteki, wystarczy, bym cię wsadził na co najmniej dziesięć lat. Zanim się zdecydujesz, mogę wydać instrukcje i za pięć minut nawet rodzona matka cię nie pozna. Dziesięć dni temu podczas wybuchu samochodu zginął milicjant. Mam podstawy oskarżyć cię, że maczałeś w tym palce, a oznacza to karę śmierci. Zrobię to, jeżeli mnie do tego zmusisz.

Przerwał. Mężczyzna udawał, że nie słucha tych gróźb. Rozglądał się po pokoju z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

Pljucz spokojnie ciągnął dalej:

— Układ, który ci proponuję, jest prosty. Ty powiesz mi wszystko, mówię wyraźnie — wszystko, a ja o wszystkim zapomnę.

Mężczyzna nagle wybuchnął:

— Co ten zegarek nagle taki ważny, że pan się czepia? Codziennie ktoś kradnie zegarki. Dlaczego nie przyskrzyni pan synalków dygnitarzy? Narkotyzują się, jak dzień długi!

— Ten zegarek nie jest zwyczajny. Decyduj. Masz pięć minut, by wyłożyć mi tu karty na stół. Później pożalujesz dwóch rzeczy: żeś się narodził i że odrzuciłeś moją propozycję.

„Afgan” milczał przez trzy minuty. Poprosił o papierosa. Pljucz wyjął pudełko „Marlboro”, które trzymał w szufladzie na takie okazje jak ta, zapalił papierosa i podał mu. Dla odprężenia zaoferował kubek kawy. Spojrzenie inspektora nieco złagodniało. Borys Pljucz nienawidził przemocy. Gdy zmuszony był ją parę razy zastosować, wspominał te momenty z odrazą. W końcu mężczyzna spytał chrapliwym głosem:

— Jakie gwarancje...?

— Żadne. Tylko moja obietnica.

Spojrzał na Pljucza, pociągając papierosa.

— Zgoda. W Afganistanie ryzykowałem więcej. Byłem trzy razy ranny. Mam medal za odwagę...

Inspektor był wściekły, ale milczał.

— Tego zegarka nie ukradłem, Nigdy nie atakuję kobiety. To kumpel, burżuj zasrany...

Pljucz wyraźnie poruszył się i spytał obojętnie:

— Powiedziałaś „kobiety”?

Opowiedział wszystko, co wiedział. Nie, nie rozpoznałby jej; było ciemno. Wyglądała na turystkę, dosyć wysoka, mogła mieć i 178 cm wzrostu, ubrana była w futro i kozaki. Miała krótkie czarne włosy, ale tego nie był pewien. Jeden z jego kumpli chciał ją zgwałcić, ale z parku wyszli jacyś ludzie, więc woleli uciec.

— Zabraliśmy jej tylko zegarek i złoty naszyjnik. Miała także torbę, ale nie było w niej niczego ciekawego, same babskie drobiazgi i jakieś wizytówki, więc wyrzucili ją do rzeki Moskwy. Naszyjnik sprzedali włoskiemu turyście, a zegarek handlarzowi... To wszystko.

Wypił łyk kawy i poprosił o papierosa. Coś sobie przypomniał.

— Z daleka widzieliśmy jeszcze, że obok dziewczyny zatrzymał się milicyjny samochód. Rozdzieliliśmy się, ale ja wróciłem. Mówiłem już, że nie atakuję kobiet. Bałem się, że ją zabiliśmy. Typ, który ją ogłuszył jest mistrzem karate. W Afganistanie...

Pljucz przerwał mu:

— Opowiesz mi o swoich wyczynach innym razem. Czemu wróciłeś? Nie bałeś się, że cię rozpoznają?

— Już panu mówiłem, myślałem, że koleś ją zabił. Nie dawało mi to spokoju, chciałem się upewnić.

— Dobrze. Mów dalej.

— Szedłem powoli i, gdy dotarłem na miejsce, ona siedziała już w samochodzie z gliniarzem i zaraz odjechali. Po chwili zjawiała się karetka pogotowia. Kierowca był wściekły...

Pljuczowi serce zaczęło bić mocniej. Z raportu wynikało, że ostatnim sygnałem nadanym przez Sokołowa było wezwanie przez radio o godzinie 20³⁷ karetki. Powiedział wtedy: „Widzę skupisko ludzi przy parku Gorkiego. Jadę tam. Wygląda to na napad.” Borys nie mógł uwierzyć, że istnieje jakiś związek między wybuchem samochodu — zakwalifikowanym na Pietrowce jako zamach terrorystyczny, a kradzieżą tego oto zegarka. A tymczasem...

— Która to była godzina? Przypomnij sobie dokładnie.

— Koło dziewiątej wieczorem. Między ósmą a dziewiątą. Pamiętam, bo umówiłem się z kolegami o ósmej pod hotelem „Saljut” na Prospekcie Lenina. Stamtąd poszliśmy... przejść się po parku Gorkiego i... tam właśnie...

— Starczy. Teraz słuchaj mnie uważnie. Będę cię potrzebował. I to przez długi czas. Nie rób takiej miny, obiecałem ci coś, czy nie? I dotrzymam słowa, ale ty także musisz mi coś obiecać. Muszę wiedzieć, gdzie można cię w każdej chwili znaleźć, bo mogę cię potrzebować jako świadka. Mogę ci już teraz powiedzieć, że chodzi o sprawę niezwykle ważną dla bezpieczeństwa kraju. Gdybyś chciał mnie wykiwać,

znajdę cię i tak, a wtedy pożalujesz. Wyobraź sobie, że ja nie żartuję.

Napisał swoje numery telefonu służbowego i domowego na kawałku papieru i podał mu go.

— Właściwie, to jak masz na imię?

— Aleksander.

— Aleksandrze, masz dzwonić codziennie, obojętnie o której, i masz mi mówić, gdzie jesteś. Gdy ta sprawa zostanie zakończona, będziesz wolny. Tymczasem uspokój się i nie rozpaczaj nad sobą! Możesz odejść.

Aleksander wstał jak zahipnotyzowany i zniknął bez słowa.

Pljucz popatrzył za nim i westchnąwszy głęboko usiadł w fotelu. Wszystko było prostsze niż sobie wyobrażał. Miał w końcu ślad, słaby wprawdzie, ale to już coś. Uśmiechnął się do siebie. Ta sprawa pochłonęła go całkowicie. Wstał i przeszedł do biura swojego zastępcy — Szymańskiego.

— Idź na pogotowie i przyprowadź tu kierowcę karetki, który wyjeżdżał do parku Gorkiego 26 grudnia, między dwudziestą a dwudziestą pierwszą. Sprowadź także faceta, który przyjął wezwanie. Oczywiście, o nic ich nie pytaj. A, Szymański — ani słowa nikomu! To rozkaz. Nie chcę, aby te chamy z Pietrowki pchały nos w nasze sprawy.

Szymański mrugnął porozumiewawczo i uśmiechnął się.

Już nie pierwszy raz szef prosi go, by działał dyskretnie. Sukcesy Borysa Pljucza wynikały bez wątpienia z faktu, że potrafił trzymać z daleka od swoich spraw cały biurokratyczny aparat policyjny, zanim nie doprowadził śledztwa do końca. Nikt nie mógł mu niczego zarzucić, bo najczęściej był to koniec pomysłu.

Pljucz wrócił do swojego biura, zamknął drzwi i usiadł w fotelu. Nacisnął przycisk interfonu:

— Pod żadnym pretekstem proszę mi nie przeszkadzać.

Wyjął z szuflady papierosa i zapalił go niemal teatralnym gestem. Był to pierwszy papieros od dnia, gdy skończył trzydzieści lat. Nie palił więc dwadzieścia siedem lat!

Moskwa, 15 stycznia.

Mimo mrozów i śniegu, gołedzi, zasp i nieustannych zawiei, jakie przewalały się przez Moskwę w ciągu ostatnich dni, stolica radziecka wyglądała jak w czasie wielkich świąt. Na ulicach tłumy posiadających dewizy moskwian spieszyły do restauracji spółdzielczych, teatrów, kin i niedawno otwartych francuskich bistr.

Ewa przeszła plac Swierdłowa obok ogromnego gmachu Teatru Wielkiego, zbudowanego w XIX wieku w stylu „starorosyjskim” i niedawno odnowionego. Przystanęła na chwilę, przyglądając się budynkowi. Nie była w nim nigdy, ale wiedziała, że jest to jedna z najlepszych scen świata. Lubiała to miejsce, to prawdziwe centrum życia kulturalnego Moskwy. Mieszkała niedaleko stąd, przy ulicy Czechowa. Z okna miała widok na plac Puszkina. Do placu Czerwonego było nie dalej niż dziesięć minut spacerkiem...

Od czasu słynnej konferencji na temat praw człowieka która odbyła się w Moskwie w 1991 roku, dziennikarze zagraniczni uzyskali wreszcie „pełnię praw”... Mogli mieszkać, gdzie chcieli — jak w stolicach państw zachodnich — a nie w wyznaczonym im specjalnym getcie jak w poprzednich dziesięcioleciach. Mieszkanie Ewy było niewielkie, ale udało jej się umeblować je według swojego gustu. Trudności z wynajęciem mieszkania w stolicy zmusiły prawie wszystkich dziennikarzy

do pozostanie w „getcie”, więc Ewa mogła uważać się za uprzywilejowaną. A była nią rzeczywiście. Któż bowiem mógł się domyślać, że temu jej szczęściu pomógł generał Piotr Karstow.

Po upojnej nocy Piotr wyznał, że kocha ją nade wszystko. Nie chce żyć z dala od niej i nie zważając na przeciwności chce, by została jego żoną.

Wyruszyli o świcie, uśmiechnięci i szczęśliwi. Twarz Piotra straciła poważny wyraz. Wydawała się jaśnieć, jak twarz rozbitka, który dotarł do bezludnej wysepki. Do Moskwy dojechali bardzo szybko i pożegnali się na pustej ulicy niedaleko „Meridianu”. Po tygodniu urzędnik państwowej agencji handlu nieruchomościami wręczył Ewie klucze do przyznanego jej mieszkania...

Ominęła ogromną kolejkę tłoczącą się przy wejściu do “Burger Kinga” — największego w Europie, otwartego przy ulicy 25 Października, o trzy minuty pieszo od placu Czerwonego. Na placu Rewolucji weszła przejściem podziemnym na stację metra „Prospekt Marksa”. Zatrzymała się przez moment przed Muzeum Historycznym, gdyż zobaczyła dwóch milicjantów wchodzących na stację. Stała na końcu długiej kolejki do muzeum. Serce biło jej coraz mocniej. Nie spuszczała oczu ze wskazówek zegarka. Wskazywały 16³⁰. Podszedł do niej „farsowszczyk” i zaproponował wymianę rubli. Odmówiła ruchem głowy. Odszedł bez nalegania, odprowadzany nienawistnymi spojrzeniami ludzi. Starsza kobieta, typowa „moralizatorka”, wyzwiała go od bandytów i pasożytów. Chciała także coś powiedzieć Ewie, ale nagle odgłos wybuchu rozdarł powietrze. Zadrżała ziemia i ściany muzeum. Po chwili, która wydawała się wiecznością, ze stacji metra słychać było wrzaski, a tłum w panice zaczął wybiegać, krzycząc coś o zamachu bombowym, o terrorystach... Ludzie w nieopisanym popłochu uciekali we wszystkich kierunkach, a dziesiątki gapiów zatarasowało wejście do metra, uniemożliwiając wyjście uciekającym. Gdy Ewa usłyszała syreny wozów milicyjnych, weszła w boczną ulicę i znalazła

się na Prospekcie Karola Marksa. Zaczynało się ściemniać. Skręciła w prawo, w ulicę Hercena, rozejrzała się szybko dookoła i wrzuciła trzy koperty do skrzynki pocztowej. Dalej szła już powoli. Minęła Twer-skiej Bulwar i pozostałe osiemset metrów poruszała się prawie spacerkiem.

Termin objęcia agencji przesunął się o dodatkowy tydzień. Miała zacząć pracę 1 lutego. Od nocy spędzonej z Piotrem minęły już dwa tygodnie. Umówiła się z nim dopiero na pojutrze, 18 stycznia. Przyjedzie po nią osobiście albo wyśle kogoś zaufanego, kto zawiezie ją w sekretne miejsce. W dniu, gdy się przeprowadziła, przysła ekipa monterów i założyła jej drugi telefon. O północy zadzwonił on po raz pierwszy. To był Piotr.

— Chciałem sprawdzić czerwony telefon — rzekł, śmiejąc się. Wyjaśnił jej, że ten telefon jest pewny i może mówić bez obaw, nawet powiedzieć mu, że go kocha. Ewa milczała, powtórzył więc, że chce, by została jego żoną.

— To niemożliwe — odezwała się w końcu. — Absolutnie wykluczone! Myślę, że nie powinniśmy spotykać się więcej. Nie znoszę takich sytuacji. Trzeba być rozsądnym...

Mimo zachęt Piotra usiłowała unikać jego imienia. Ponieważ uparczywie nalegał, zgodziła się na spotkanie 18 stycznia, ale miało to być po raz ostatni...

Z wielu źródeł donoszono, że w poprzednim tygodniu w Azerbejdżanie miała miejsce prawdziwa masakra. Zagraniczne gazety podawały liczbę zabitych — około trzech tysięcy, przeważnie dzieci. W Armenii wciąż trwał strajk generalny rozpoczęty po Bożym Narodzeniu. Tam także żądano niepodległości...

Ewa otworzyła lodówkę i nalała sobie szklankę mleka. Wróciła do salonu i włączyła telewizor. Reklamowano nową ładę coupée, równie dobrą jak porsche. Przy reklamie pralki Philipsa wyłączyła dźwięk czekając na dziennik o 20⁰⁰.

Pierwszego stycznia rano Ewa, wróciwszy do mieszkania, dokładnie przemyślała swoją sytuację. Nie była zadowolona z łatwości, z jaką potoczyły się wydarzenia. Pamiętała słowa jednego z instruktorów Mossadu: „Przed, w czasie i po każdej akcji, w każdej sytuacji — dobrze wszystko przemyśl, przeanalizuj fakty jeden po drugim, przejrzyj wszystkie hipotezy, nawet najbardziej nieprawdopodobne. Później postępuj uwzględniając wnioski...”

Przyznanie się organizacji terrorystycznych do zamachu zrobiło swoje. Nigdy jeszcze na ulicach stolicy nie widziano tylu milicjantów. Prasa radziecka oskarżała przywódców mużułmańskich i ich wina wydawała się bezsporna — żaden z nich nie wyparł się udziału „w zamachu”.

Ewa nie musiała się więc obawiać, jednak zegarek wciąż nie dawał jej spokoju.

Spośród, wszystkich możliwości wybrała tę, która wydawała jej się najbardziej prawdopodobna — napastnicy sprzedali go handlarzowi. Ten w końcu spostrzegł, że nie jest to zwykły zegarek i jako patriota, albo z innych pobudek, zgłosił się na milicję. Ta oczywiście ostrzegła KGB i wszczęto śledztwo. Zatrzymano „afganów”, ale ich zeznania nie są spójne, choć zgodne w wielu punktach: kobieta, wysoka, cudzoziemka, raczej młoda, w futrze... Ewa wprawdzie nazajutrz po zamachu kupiła sobie nowe futro w luksusowym butik hotelu „Hilton”, ale zachowała się jak amatorka. Pocięła stare futro na kawałki, wsadziła je do plastikowego worka i wrzuciła do kosza na placu Dzierżyńskiego. Przecież jakiś pijak mógł je wyciągnąć...

Milicjant też mógł zawiadomić swój komisariat, zanim wezwał karetkę pogotowia, a więc... podać także godzinę i miejsce napadu. Wielu ludzi widziało, jak wsiadała do samochodu milicjanta...

Czy KGB łączy ze sobą oba te wydarzenia, szuka świadków? Trzeba koniecznie zmylić ślad*... uniemożliwić KGB wejście na jej trop.

2 stycznia napisała zaszyfrowane polecenie dokonania całej serii zamachów w mieście i zniosła je na umówione miejsce na Wzgórzach Lenina. Dwa dni później znalazła pozytywną odpowiedź w nie używanej skrzynce pocztowej niedaleko klasztoru Nowodiewiczego, obok cmentarza, gdzie chowano dostojników partyjnych.

Pogrążona w myślach o mało nie przegapiła dziennika. Włączyła dźwięk. Twarz dziennikarza zniknęła z ekranu, w jej miejsce pojawiły się sceny z zamachu w stacji metra, którego tymczasowe skutki oceniono na pięciu zabitych, siedemnastu rannych, w tym dwoje ciężko. Prezenter pojawił się znowu i w tym momencie ktoś podał mu wydruk z teleksu. Zawahał się przez chwilę, po czym odczytał go: „Anonimowy rozmówca telefonicznie przyznał, że zamachu dokonano w imieniu »Bojowników z dekadencją«”. Ewa wyłączyła telewizor. Zadzwoił telefon. Był to Bruno, z agencji:

— Słyszałaś? Mówi się, że Gorszkow wezwał Karstowa. Tym razem chyba się zacznie.

— Rzeczywiście. Miałam właśnie dzwonić. Telepatia działa! Tak, widziałam. To dramatyczne.

— Wysłałem już faksem wiadomości do Brukseli. Któż to są ci „Bojownicy z dekadencją „? Jak myślisz? Ultraprawica?

— Nie mam pojęcia. Mam nadzieję, że szybko zwiną tych wariatów. Wygląda to jak w Europie dziesięć lat temu!

Nie przyjęła zaproszenia na kolację pod pretekstem, że jest trochę przeziębiona i chce jeszcze popływać w dużym basenie hotelu Hilton. Wzięła torebkę, przystanąła przed lustrem w łazience, po czym wyszła.

Samolot wojskowy wylądował na małym lotnisku Wnukowo, jakieś dwadzieścia kilometrów od Moskwy. Piotr wysiadł, a czarna czajka z włączonym silnikiem czekała już na niego przy stopniach samolotu. Ruszyli z miejsca. Piotr wybrał przez radiotelefon numer Ewy, ale nikt nie odpowiadał. Próbował wielokrotnie, ale bez powodzenia. Był wściekły. Pół godziny później stanął przed postarzałym ze zmęczenia Gorszkowem. Po krótkiej analizie sytuacji weszli do gabinetu, w którym zgromadził się sztab anty kryzysowy. Zebranie było burzliwe od samego początku. Szef sztabu generalnego Armii Czerwonej, generał Tierechow, odwieczny przeciwnik Piotra Karstowa, o mało nie rzucił się na niego. Zarzucał mu brak silnej ręki, ciągłe wahanie i zaniedbanie sprawy Azerbejdżanu.

— Czemu nie wystrzelano tych szytów jak kaczki? Dlaczego nie dano nauczki Iranowi, który dostarcza im broń? Po co cackać się z Ormianami i pozwalać im strajkować? Na co pan czeka? Na cud? Przykład krajów bałtyckich panu nie wystarcza?

Truszenko, szef KGB, przytakiwał głową marszałkowi Tierechowowi, co zupełnie wytrąciło Piotra z równowagi. Bronił się słabo, gorzej niż zwykle. Na zebraniach tego typu nie była to nowość. Sprzeczek między zwolennikami tego, co nazywano „rewolucją Gorszkowa”, a jej przeciwnikami bywały nieraz bardzo zaciekle. Była to gra i Piotr znał jej zasady. Jednak tego wieczoru zbyt wiele myślał o Ewie.

Ponadto prezydent Gorszkow tym razem nie zajął wyraźnego stanowiska i Piotr miał wrażenie, że sam jeden broni umiarkowanego kursu.

Decyzja o wprowadzeniu ostrego kursu wobec buntowników została przyjęta jednogłośnie — jak za najlepszych czasów — około drugiej nad ranem.

Piotr podniósł rękę i rzekł:

— O ile dobrze rozumiem, żądacie więcej krwi? Wzmocnienia terroru? Wracamy do stalinizmu?

Zapanowała głęboka cisza. Piotr wybuchnął śmiechem i wyszedł z sali. Rozmawiał potem przez pół godziny w cztery oczy z Gorszkowem, który uznał, że decyzja sztabu jest właściwa i usiłował o tym przekonać Piotra.

Piotr ostrożnie stwierdził, że nie podziela tego poglądu, ale nie zamierza się przeciwstawiać. Woli odejść. O 3¹⁰ w nocy zapukał do drzwi Ewy.

Kierowcy kazał zatrzymać się za rogiem i przyjechać po siebie o piątej w to samo miejsce.

Ewa otworzyła drzwi i rzuciła mu się w ramiona.

— Wiedziałałam, że pan przyjdzie. Czekałam.

Zrobił jej małą scenę zazdrości. Telefonował tyle razy... Gdzie była?

Kazała mu usiąść i zobaczyła zmęczenie na jego twarzy.

Uśmiechnął się tylko i opowiedział jej o porażce, jaką przeżył przed chwilą.

— Mój drogi, jeżeli nie pozbędzie się pan szybko swoich wrogów, to oni wykończą pana szybciej, niż pan myśli...

Pocałowała go w policzek i przyciągnęła do siebie. Pierwszy raz widziała go w mundurze.

— Wygląda pan w nim lepiej niż w garniturze — powiedziała, gdy zdejmował z niej szlafrok.

Przyniosła z lodówki coś do jedzenia i butelkę polskiej wódki.

— Masz kogoś? Powiedz prawdę, Ewo — spytał nagle.

Wybuchnęła śmiechem.

— Skąd taki pomysł, Piotrze. Coś takiego! Niech pan będzie poważny. Już pan mnie o to pytał, a ja odpowiedziałam. Miałam chłopca, jedynego, ale zginął w katastrofie lotniczej.

Mówiła takim tonem, jakby chciała mu dać do zrozumienia, że jego nalegania jej schlebiają. Piotr wypił jednym haustem kieliszek wódki i nalał sobie następny.

— Już kiedyś panu mówiłam — ciągnęła dalej — że musimy z tym skończyć. Nasza znajomość jest niebezpieczna. Jestem szczęśliwa z panem, ale nie możemy się widywać. Od tamtego wieczoru nie jestem już sobą, Piotrze...

— Rozwiódę się.

— To wszystko jest niepoważne. Nie mogę być żoną jednego... nie, to niemożliwe. Kocham swój zawód, kocham mój kraj... To absolutnie wykluczone.

Odwróciła się z oczami pełnymi łez.

— Kocham cię, Ewo — szeptał. — Kocham, jak nigdy nie kochałem żadnej kobiety. Nigdy tak nie pragnąłem, nie podziwiałem, nie pożądałem kobiety. Muszę cię mieć!

Wyczuła w jego głosie beznadziejność, ale także szczerłość. Zapadło milczenie. Ewa ukryła twarz w dłoniach. Patrzyła na niego poprzez łzy:

— To niemożliwe, Piotrze. Zostańmy przyjaciółmi, proszę. Tak mało pana znam...

Zawahała się, ale ciągnęła dalej:

— Pan tak nagle wdarł się w moje życie. A panu także nie wolno... dla pana kariery...

— Dla mnie kariera się skończyła — zawołał. — Już nie mogę iść wyżej! Do ministerstwa? Nie raz mi to proponowano. To mnie nie interesuje.

Patrzyła mu w twarz, kiwając przecząco głową:

— Tak, Piotrze, ale...

Wytarła oczy.

— Ale co?

Nie odpowiedziała. Wciąż kiwała głową i zmieniła temat.

— Pański brat... niedawno mi się śnił. Miał ciemne włosy, zielone oczy i podobny był do matki... Tak mi się zdawało. Pan jest blondynem, jak ojciec. Bo, jego śmierć... to nie był wypadek. Widziałam to przez sen...

Twarz Piotra znieruchomiała. Ewa myślała, że traci przytomność. Oczami dał jej znak, by mówiła dalej:

— To działo się w biurze. Widziałam mężczyznę obwieszonoego medalami. Strzelał do pańskiego brata z bliskiej odległości, na wyciągnięcie ręki. Brat upadł krzycząc. Wszędzie pełno krwi...

Piotr patrzył bezwiednie przed siebie. Odruchowo nalał sobie trzeci kieliszek wódki. Ewa podsunęła mu talerz z zakąską. Zdecydowała się mówić do niego przez „ty”.

— Jedz, nie pij na pusty żołądek.

Piotr milczał. Twarz miał wykrzywioną dziwnym grymasem. Ewa wiedziała, że myślał o bracie.

— Nie jestem głodny — rzekł w końcu.

Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Przystanął i spojrzał jej prosto w oczy.

— Żona przyznała się, że jest bezpłodna. Ale... dlaczego mówiłaś przed chwilą o moich wrogach?

— Bo masz ich wielu. Bardzo ci zazdroszczą.

Piotr usiadł obok i przytulił ją, ale Ewa mówiła dalej:

— Cały wieczór serce waliło mi jak młot. Wiedziałam, że przyjdiesz. Czulałam wrogość wokół ciebie.

Wyrwała mu się z rąk i rzekła poważnie:

— Uważaj. Bądź ostrożny, proszę cię. Dobierz sobie ludzi, na których możesz liczyć, przyjaciół, tych prawdziwych... Jeżeli takich masz...

Ujęła go za głowę i pocałowała w usta.

— Ja chyba oszaleję przez ciebie. Od kiedy cię spotkałam, mam dziwne przecucia, sny, boję się... ciągle się boję...

Wstała, wzięła go za rękę i zaprowadziła do sypialni. Rozbierała ją powoli, ale gdy była już naga, wziął ją z taką gwałtownością, że poddała mu się całkowicie. Nie słuchała jego wypowiedzianych chaotycznie

słów. Pozwalała unosić się jak na falach. Gdy wyczerpali leżeli obok siebie, położyła mu dłoń na ustach, by nie próbowali mówić i szepnęła mu do ucha:

— Piotrze, czeka cię wielka przyszłość. Bądź ostrożny!

Inspektor Borys Pljucz pożegnał się z żoną i wyszedł, obiecując — jak co rano — że wróci wcześniej. Wsiadł do czarnej wołgi, jednej z tych, jakich używają tylko najwyżsi przedstawiciele nomenklatury. Przydzielono mu ją w uznaniu za „nadzwyczajne zasługi dla ojczyzny”.

Był to jedyny tego typu samochód wyposażony w sygnalizator migający na dachu, tzw. koguta. Kazał go zainstalować, by odróżniano go od „rządzących wampirów”, jak ich nazywał w chwilach wściekłości. Wszyscy milicjanci w Moskwie, którzy instynktownie stawali na baczność na widok czarnych wołg, jego pozdrawiali bardzo serdecznie. Zazdroścnicy, których przecież nie brakowało, starali się tego nie okazywać.

Borys Pljucz, główny inspektor 31 komisariatu z ulicy 1 Maja w Moskwie był po prostu żywą legendą. Nie dbał o żadne luksusy. Mieszkał, w przeciwieństwie do swoich kolegów, którzy w pogoni za zbytkiem wplątali się mniej lub bardziej w różnego rodzaju afery łapówkarskie, w skromnym, dwupokojowym mieszkaniu przy ul. Piatnickiej 13.

Borys, by nie łamać swoich zasad, nie chciał początkowo przyjąć czarnej wołgi, ale ostatecznie przekonała go córka, a zwłaszcza współpracownicy z komisariatu: „Niech pan przyjmie. Będą nas także rozpoznawać!”

Po kilku minutach zatrzymał się przed dziesięciopiętrowym budynkiem przy ulicy Pietrowka 38, niedawno pomalowanym na żółto — jak przed laty. Wielokrotnie proponowano mu wyższe stanowisko

w „newralgicznym centrum stolicy” — komendzie głównej milicja ale odmawiał: „Lepiej zostanę tam, gdzie jestem”.

Borys Pljucz nie przepadał za organizowanymi co tydzień spotkaniami szefów stu czterdziestu dziewięciu stołecznych komend. Zawsze miał wrażenie, jakby brał udział w posiedzeniu Komitetu Centralnego. Wbiegł — biorąc po dwa stopnie na raz — na trzecie piętro, gdzie mieściła się sala konferencyjna. Chociaż raz remont budynku nie ograniczył się do pomalowania fasady, jak mówią moskwianie — do kosmetyki. Zmodernizowano również wnętrze. Wstawiono fińskie meble, ściany wyłożono niemieckimi tapetami i zawieszono włoskie żyrandole. Wystrój gmachu przypominał raczej biurowiec jakiejś zachodniej spółki.

Pljucz zajął swoje tradycyjne miejsce i przywitał się z kolegami. Wyczuwało się ciężką atmosferę. Plotka, że wyjątkowo w zebraniu będzie uczestniczył minister spraw wewnętrznych Baranow, potwierdziła się pięć minut później. Gdy się pojawił, spięty i ze zmarszczonymi brwiami, obecni powstali. W ich oczach widać było niepokój i zaskoczenie. Baranow wszedł na trybunę w towarzystwie szefa moskiewskiej milicji, generała Mojsejewa, i bez zbędnych powitań rozpoczął od razu swoje wystąpienie. Mówił dwie godziny, przerywając jedynie dla popicia wody i wytarcia spoconego czoła jedwabną, niebieską chusteczką. Przedstawił „głębokie zaniepokojenie prezydenta” i w jego imieniu zażądał rozprawienia się raz na zawsze z terrorystami. Przedstawił bliżej swoje zastrzeżenia — Moskwa stała się jednym z najniebezpieczniejszych miast świata. Zagraniczna prasa zamieszcza alarmujące reportaże i wypłasza turystów — a więc i dewizy. Taka sytuacja nie może trwać dłużej. Kreml żąda wyników.

Pljucz prawie nie słuchał, myślami był gdzie indziej. W ciągu trzech dni jego śledztwo posunęło się daleko naprzód. Telefonistka z pogotowia, która przyjęła zgłoszenie Sokolowa, potwierdziła godzinę i

miejsce, ale co najważniejsze — powtórzyła jego słowa, że ofiarą jest „ładna, wysoka brunetka, z pewnością turystka lub dyplomatka.”

Kierowca karetki stwierdził, że wsiadła ona do samochodu Sokołowa. Gdy przyjechał na miejsce, od dwóch mężczyzn, świadków wydarzenia, usłyszał: „Pojechała z nim. Ma facet szczęście... Cudzoziemka, a jaka ładna! Starala się chować twarz, ale było widać...”

To ostatnie zdanie zastanawiało go szczególnie. Po co zasłaniała twarz, jeżeli nie po to, by nie zostać rozpoznaną?

Kto w Moskwie mógłby zareagować w ten sposób? Ekskluzywna prostytutka? Córka oficera KGB? Działaczka partyjnego? Cudzoziemka w niedwuznaczonej sytuacji? Albo szpieg... „Jeżeli była szpiegiem i ma zamiar pozostać w Moskwie jeszcze jakiś czas, to już dawno zmieniła swój wygląd”.

To była pierwsza myśl Borysa. Instynktownie i jakby chodziło o normalną sprawę, wysłał dwóch ludzi, by rozglądali się po najlepszych butikach i zakładach fryzjerskich Moskwy. Nie sądził, że znajdą coś nowego, ale od czegoś musiał zacząć.

15 stycznia, w przeddzień „masakry w metrze” — jak nazywała ten zamach prasa, jeden z ludzi Pljucza odnalazł w hotelu „Hilton” kobietę, która nazajutrz po zamachu na Sokołowa, sprzedała futro wysokiej turystce, blondynce o wyglądzie modelki. Miała ona na głowie futrzaną czapkę, nosiła ciemne okulary i mówiła po angielsku. Spieszyła się i zapłaciła dolarami. Mogła mieć co najwyżej dwadzieścia, dwadzieścia jeden lat. Sprzedawczyni mogłaby ją rozpoznać.

Łoskot otwieranych drzwi przerwał rozważania inspektora. Do sali wkroczył młody milicjant, szybko podszedł do trybuny i podał ministrowi teleks. Twarz ministra pobladła. Zwrócił się do zgromadzonych, nie kryjąc wzburzenia:

— Znalezione dwóch milicjantów... zamordowanych sztyletami w czasie, gdy patrolowali okolice Akademii...

Wytańł chusteczką czoło i dodał: Do zbrodni przyznała się organizacja muzułmańska „Dżihad”.

Siedząc już w samochodzie Pljucz zaczął mieć wątpliwości. Rzeczywiście, nie zakładał, że zabójcą Sokołowa mógł być szpieg. Niepokoila go jednak ilość przypadkowych zdarzeń związanych z tą sprawą.

Sądził, tak jak wszyscy, że zamachów dokonuje terrorystyczne ugrupowanie muzułmańskie. Nie wyobrażał sobie, że młoda dziewczyna w wieku jego córki, zaledwie dwudziestodwuletnia, mogłaby udusić milicjanta i podpalić samochód, podłożyć bombę w metrze i zasztyletować jeszcze dwóch innych milicjantów. A jednak ta piękna i wysoka dziewczyna w ciemnych okularach, turystka czy dyplomatką, nosiła szpiegowski zegarek, wsiadła do milicyjnego wozu wraz z Sokołowem, który w godzinę później już nie żył. „Lepiej byłoby przekazać tę sprawę KGB” — pomyślał wychodząc z samochodu. W biurze jednak zmienił swój zamiar. Coś, czego nie potrafił określić, pociągało go w tej sprawie. Szpiegostwo?

Postanowił porozmawiać z jedynym przyjacielem, jakiego miał w KGB, dawnym jego zastępcą, który przeszedł tam trzy lata temu, a teraz jest kapitanem w dziale obsługi cudzoziemców. Widywali się czasami i darzyli wzajemnym zaufaniem. Jednak myśl, że tamten zarzuci mu — nawet po przyjacielsku — iż natychmiast nie przekazał sprawy dziewczyny KGB, odwiodła go od tego zamiaru. Pljucz ponadto uważał, że w końcu i tak ją odnajdzie. Być może naprawdę była tylko ofiarą? A może nawet nie wiedziała, że nosi szpiegowski zegarek! Otrzymała go od agenta, który się nią posłużył? Od KGB? A czemuż by nie! Pljucz, jak mało kto, znał sztuczki i metody wszędobylskiego Komitetu Bezpieczeństwa Państwa. Bezwiednie wyjął z szuflady wykaz ambasad w Moskwie i wyszukał wszystkie położone najbliżej

parku Gorkiego. Tuż za parkiem, przy ulicach Dońskiej i Chabałowce były dwie: Demokratycznej Republiki Palestyny, a dwie ulice dalej — Izraela. Uśmiechnął się. Osiemset metrów stamtąd, przy ulicy Dimitrowa, po drugiej stronie placu Oktjabrskaja była ambasada Francji. Nieznajoma szła w kierunku placu, więc — jeżeli była dyplomatką — jest wielce prawdopodobne, że wyszła z ambasady Izraela...

Równie dobrze mogła wyjść z ambasady francuskiej, spotkać się z kimś w parku Gorkiego i wracać Prospektem Lenina. Poszukał ambasady USA. Ulica Czajkowskiego oddalona była o cztery kilometry od miejsca zamachu...

Rzucił notatki na biurko i wycedził przez zęby: „Nie, idioto, przecież wszyscy dyplomaci są śledzeni dzień i noc. Gdyby coś takiego się zdarzyło, wiedziano by natychmiast. Ponadto dyplomaci orientowali się, że są śledzeni. Musiałby to być albo głupiec, albo wyjątkowy sprytniarz, by próbować wymknąć się spod oka KGB...” Rozumując w ten sposób, nie wyobrażał sobie, żeby dziewczyna w wieku jego córki, podjęła się roli szpiega w najniebezpieczniejszym mieście świata. „No, w drugim... po Pekinie” — dorzucił z goryczą.

Być może była zwykłą sekretarką w jednej z ambasad? To jednak niczego nie zmieniało. Je również śledzono, ponadto kręcili się wokół nich „podrywacze” z KGB. Mogła to być turystka. Ale jak to sprawdzić, skoro po konferencji w 1991 roku zniesiono wizy wjazdowe do ZSRR? Z państw zachodnich obowiązek ich posiadania mieli jedynie Amerykanie — na zasadzie wzajemności!

Mógłby przejrzeć setki dokumentów, kart wjazdowych, wybrać zdjęcia i pokazać je Aleksandrowi lub sprzedawczynie z „Hiltona”. Tak, potrzebował roboczego portretu dziewczyny. Miał dość danych, aby poprosić o jego sporządzenie specjalistę z Pietrowki. Był ciekaw, jak ta twarz wygląda.

Osobiście zawiadomił sprzedawczynię, że za parę dni zgłosi się do niej milicyjny portrecista. Prosił ją, by przypomniała sobie jak najwięcej szczegółów i z góry podziękował jej za współpracę. O to samo

poprosił Aleksandra gdy ten, jak co dzień, zameldował się przez telefon.

Asystent wszedł bez pukania i podał mu teleks.

— Do zamachu w metrze już się przyznali. Szaleńcy Allaha! Agencje zagraniczne otrzymały trzy listy. Ich treść potwierdzono telefonicznie dziś rano. Był to męski głos z silnym akcentem, być może azerbejdżańskim... W dwóch agencjach nagrano tę wypowiedź i przekazano nam. Borysie, chce pan znać moje zdanie? Bombę atomową! Oto, co trzeba rzucić na tych psubratów!

Inspektor przeczytał teleks i położył go na stole. To mogłaby być dziennikarka — pomyślał. Dlaczego by nie? Za młoda? Może jest starsza?

— Pan śni, szefie? — spytał Nikitin.

Pljucz podniósł oczy i powiedział:

— Nie, myślałem o pańskiej propozycji. Jest wyśmienita. Z pewnością ma pan rację. Mówię poważnie...

— Jakiej propozycji?

— Bomba, Nikitin. Bomba — ot co!

Śledztwo KGB w jej sprawie już się zaczęło albo wkrótce się zacznie. Ewa leżała na łóżku i usiłowała pozbierać myśli. Paranoja, na jaką cierpią wszyscy agenci, dosięgała ją z całą mocą. Głębokie przeżycie, intuicja, kazały jej wyjechać, opuścić Moskwę jak najprędzej. Zmienić się, przefarbować włosy...

Wstała i zaczęła intensywnie ćwiczyć. Wzięła prysznic i zabrała się za przygotowanie śniadania: kawy, mleka, białego sera, parówek, żytniego chleba. Jadła patrząc w lustro. Dahlia wciąż nie mogła przywyknąć do Ewy.

A powinna. Na ponowną operację plastyczną mogła dopiero liczyć po zakończeniu misji w Moskwie. Nie dawano jednak gwarancji, że stanie się znów Dahlia.

Mogła pozostać w Moskwie i zmienić swoją osobowość. W czasie treningów opanowała sztukę przebierania się. Nic łatwiejszego.

Dlaczego więc nie zrobiła tego nazajutrz, a poszła kupować nowe futro nie zmieniawszy wyglądu? „Bo spanikowałam” — mruknęła przez zęby. Powtarzała to wielokrotnie, ale przecież musiała podjąć jakąś decyzję. Nie odważyła się zadzwonić do Piotra, do Azerbejdżanu. Unikała telefonu... Odbierając odpowiedź ze „skrzynki pocztowej” w parku koło uniwersytetu, znalazła nowy wykrywacz mikrofonów; tym razem przypominał cukierek.

Natychmiast sprawdziła swoje mieszkanie. Mikrofonów nie było. Robiła to każdorazowo po powrocie do domu. By nie budzić podejrzeń, nie stosowała żadnych innych sposobów, jak przyklejanie włosów do drzwi i między szuflady, czy posypywanie niewidzialnym proszkiem.

W mieszkaniu i w biurze zostawiała „uporządkowany” bałagan charakterystyczny dla dziennikarza. Jej normalny telefon próbowano kilkakrotnie podsłuchiwać i to wbrew obietnicom Gorszkowa... „Czerwonego” telefonu jednak nie ruszano. Przez normalny telefon zawiadomiła agencję, że wyjeżdża na parę dni do Kijowa, więc nie będzie jej do końca miesiąca.

— Baw się dobrze! — rzekł jej Bruno. — Po tych zamachach coś znacznie się dzieć. I zadzwoń czasami, gdybyś czegoś potrzebowała.

Ewa owinęła się w futro, naciągnęła czapkę na uszy, włożyła ciemne okulary, zarzuciła na ramię torbę podróżną i zesłała po schodach. Wsiadła do zaparkowanej na podwórzu hondy coupée i ruszyła z miejsca. Jechała w kierunku Leningradu. Zegarek na tablicy rozdzielczej wskazywał 10⁵², 22 stycznia. Zachowując obniżoną ostatnio ze 120 na 100 kilometrów na godzinę prędkość dopuszczalną dojedzie na miejsce około szóstej wieczorem. Ewa nigdy nie była w Leningradzie, ale znała cały ZSRR lepiej niż niejeden przewodnik. Miesiącami studiowała najnowsze plany największych radzieckich miast i przeglądała filmy o nich kręcone z satelity. Znała nazwy poszczególnych ulic i dzielnic, zwyczaje, akcent, specjalności kuchni i modne w danym

regionie powiedzonka... Wiedziała, że w Leningradzie mieszka teraz siedem milionów ludzi, jego powierzchnia zajmuje 300 kilometrów kwadratowych, mieści się tam pięćdziesiąt muzeów i dwadzieścia dwa teatry, o cztery więcej niż w 1990 roku. Wiedziała też, że rozłożony w delcie Newy Leningrad pozostał miastem arystokratycznym, dumnym ze swej carskiej i rewolucyjnej przeszłości, ale także chlubiącym się tradycyjną uprzejmością i gościnnością. To dawna stolica Piotra Wielkiego, Katarzyny i oczywiście Lenina, o którym rozpuszczano plotki — antysemickie zresztą — że w swoim nazwisku zamienił jedynie „w” na „n”: Lewin stał się Leninem...

Wiedziała również, że dawny Sankt Petersburg posiadał sto kilometrów parku (jedna szóstą całej powierzchni miasta!), czterysta mostów, złożone kopuły, białe i niebieskie kolumnady, lwy, sfinksy, cudowne położenie nad Newą — słowem, że było to jedno z najpiękniejszych miast świata. Ciągle jednak nie wiedziała, gdzie spędzi swoją pierwszą noc w Leningradzie...

A co powie Piotrowi? Będzie zazdrosny. Pewnie już dzwonił i zadzwoni jeszcze nie raz. Przed wyjazdem z Moskwy połączyła się z automatem na kartę magnetyczną z numerem, pod którym miała zgłaszać każdy swój wyjazd. Zgodnie z instrukcją udała, że pomyliła numer. Szukała przyjaciela, który wyjeżdża do Leningradu...

W Nowgorodzie, o godzinę jazdy przed Leningradem, zatankowała samochód i o mało co nie zadzwoniła do Piotra. Ruszyła jednak w dalszą drogę, odprowadzana spojrzeniami gapiów. Przydałby się jej samochód mniej rzucający się w oczy, niż ten sportowy wóz odziedziczony po poprzednim szefie agencji. Chciała nawet wypożyczyć ładę, ale musiałaby wypełnić formularze i zostawić ślady: numery karty kredytowej, paszportu, prawa jazdy itp. Za duże ryzyko.

Przyjechała do Leningradu o 19³⁰ i bez kłopotu znalazła pokój z widokiem na zatokę w hotelu „Pribaltijskaja”. Zbudowali go Szwedzi

w 1979 roku przed Igrzyskami Olimpijskimi w Moskwie. Podziękowała Gorskowowi za pierestrojkę, która dawała jej tyle swobody...

Od razu poczuła się lepiej i zamówiła obfitą kolację. Wzięła gorącą kąpiel. Zaczęła jaśniej myśleć i postanowiła, że zadzwoni do Piotra dopiero po powrocie.

Zapewne miałyby więcej swobody, gdyby przyjechała do Moskwy — jak początkowo zakładano — pod pretekstem doktoratu na temat kina radzieckiego. Zajmowane zaś obecnie stanowisko wystawiało ją na zbyt częste kontakty z wieloma ludźmi, chociaż z drugiej strony ułatwiała działanie, zwłaszcza w świetle wprowadzonych ułatwień dla dziennikarzy zagranicznych. Fala zamachów wstrząsających ostatnio Moskwą miała spowodować żądanie władz ograniczenia swobody dziennikarzy. Tak przynajmniej plotkowano. Moskwa już przypominała oblężone miasto. Patrole milicyjne zatrzymały samochód Ewy trzy razy. Spodziewała się kontroli, ale milicjanci byli wyjątkowo uprzejmi i nie stawiali żadnych kłopotliwych pytań. Zalecali tylko ostrożną jazdę.

Po kąpeli Ewa stanęła nago przed lustrem. Lubiała podziwiać swoje ciało. Była wprost stworzona dla mężczyzn. Kilka przygód miłosnych nie pozostawiło po sobie szczególnych wspomnień, nie licząc tego, że przez moment obawiała się, czy nie jest zbyt oziębła... Dopiero później, w czasie szkolenia, odkryła możliwości swego ciała, a zwłaszcza możliwość wykorzystania ich w kontaktach z mężczyznami. Wiedza wyniesiona z kursów teoretycznych, podręczników i filmów edukacyjnych nauczyła ją zadowalać i roznamiętniać jakiegokolwiek partnera. Potrafiła dozować niewinność i pożądanie, nieporadność i ciekawość, strach i odczuwanie przyjemności. Umiała wzdychać i stękać, gdy jej partner był z uniesienia, i szeptać mu czule słówka, zapewniać go, że jest najlepszy, gdy okazywał się nieczuły. Zamykała oczy, gdy on je otwierał, a otwierała, gdy on zamykał. Te ułamki sekundy wystarczały do przełamania podejrzeń i wzmocnienia jego pożądania...

Pierwszy raz sprawdziła swoje teoretyczne umiejętności w praktyce z agentem Mossadu, którego nigdy wcześniej nie widziała. Ich spotkanie zaaranżowano w restauracji. Był bardzo przystojnym mężczyzną, o niebieskich oczach i jasnych włosach, fantazyjnie opadających mu na czoło. Później, w Waszyngtonie, oglądając po raz pierwszy kasetę magnetowidową, zauważyła, że był podobny do Piotra, niczym dwie krople wody. Spędzili noc razem. Nazajutrz, przed rozstaniem, stwierdził tylko: „Powiedz tak, a pobierzemy się natychmiast”.

Kiedy 31 grudnia zeszłego roku usłyszała z ust Piotra niemal identyczne zdanie, uśmiechnęła się.

Dimitrij Bołdin był bez wątpienia najlepszym na Pietrowce specjalistą od portretów pamięciowych. Miał około sześćdziesięciu lat, niski wzrost, okrągłą i pyzatą twarz. Nosił okrągłe okulary w stylu z 1930 roku. Jego szkice wielokrotnie pomogły milicji w ujęciu bandytów. Inspektor Borys Pljucz serdecznie uściskał mu rękę, gdy Bołdin zjawił się u niego w biurze. Był tak ciekaw rezultatu jego pracy, że zapomniał zaproponować mu tradycyjną filiżankę kawy.

— No, pokazuj swoje dzieło.

Bołdin podał wyjęte z teczki dokumenty.

— A mogę przynajmniej usiąść? — powiedział wycierając spocone czoło.

Pljucz usprawiedliwił się i podał mu filiżankę.

— Pij, póki gorąca.

Wyjął szkice i długo się im przyglądał.

— To nie było łatwe — zaczął Bołdin. — Muszę przyznać, że nie jestem zadowolony ze swego dzieła. Zeznania, jak zawsze, były sprzeczne. Twój złodziej twierdził, że była brunetką, a sprzedawczyni upiera się, że blondynką. W rzeczywistości nikt naprawdę nie widział jej włosów. Nie wiadomo nawet, czy były długie, czy krótkie.

Sprzedawczyni widziała ją w czapce i w ciemnych okularach. Nic nie wiemy też o oczach. Mogły być okrągłe, małe, duże, zielone, niebieskie, czarne... Żadnych szczegółów.

Pljucz nie ukrywał rozczarowania. Z portretów patrzyły na niego trzy różne twarze, z których każda mogłaby stanowić okładkę

amerykańskiego magazynu. Pierwsza kobieta była raczej blondynką o drobnej twarzy, wydatnych wargach, niebieskich oczach i włosach spiętych w koński ogon. Nos miała krótki i prosty. Druga była brunetką o długich włosach, zielonych oczach, lekko wypukłym nosie i z dołeczkami w policzkach. Usta miała takie same jak pierwsza. Trzecia była także brunetką, o wąskich ustach i drobnej twarzy z dołeczkiem w brodzie. Włosy miała krótkie.

— Ta dlaczego ma dołek w brodzie?

— Sprzedawczyni twierdzi, że kobieta miała dołek, ale gdzie, nie pamięta. Zazwyczaj Pan Bóg zostawia dołki na policzkach, ale skoro tamta nie mogła się zdecydować, zrobiłem także ten w brodzie.

Bołdin lknął kawy i rzekł nieco zażenowany:

— Na „Pietrowce” podpytywano mnie, co robię. Nic nie zdradziłem, ale musiałem powiedzieć, że to dla ciebie...

Inspektor odpowiedział spokojnie:

— Ja nie muszę spowiadać się „Pietrowce”.

Zaraz jednak pożałował, że to powiedział i dodał, żeby się poprawić:

— Po prostu to moja zwykła ciekawość odnośnie pewnej... turystki. Próba przemytu dewiz, nic strasznego. Nie przejmuj się! Zrobiłeś dobrą robotę. Dziękuję ci!

W drzwiach Bołdin dodał:

— Jak już ją złapiesz, daj mi znać. Ciekaw jestem, jak naprawdę wygląda. Intuicja podpowiada mi, że to będzie ta brunetka z krótkimi włosami i dołeczkiem w brodzie.

Pljucz nie miał zbyt wiele czasu na zajęcie się swoim — jak ją nazywał „szpiegiem”. Już kilka razy miał ochotę zadzwonić do KGB. Od czasu spotkania z ministrem zamordowano dalszych pięciu milicjantów. Do 22 stycznia było więc 8 ofiar. O dziwo, ten terror bez precedensu spowodował spadek przestępczości i rozbojów. Brutalność, z jaką milicja zachowywała się przy przetrząsaniu dzielnic szczególnie podejrzanych, aresztowania „afganów”, „farsowszczyków” (spekulantów

dewizowych), narkomanów i „ljuberów” (złodziejaszków z przedmieść Moskwy) też zrobiły swoje. Dienne raporty sygnalizowały wyraźny spadek liczby zabójstw. Wczorajszy raport z komisariatu Pljucza podawał tylko jedno zabójstwo w afekcie, dziesięć kradzieży odbiorników radiowych z samochodów i „zwózkę” pijaków, których jednak było tylko piętnastu, zamiast pięćdziesięciu, jak zazwyczaj.

Raporty z innych komisariatów były identyczne lub niewiele się różniły. Przystępczość była najniższa od 1988 roku. Strach przed nią jednak narastał i przeciwnicy „rewolucji Gorszkowa” wykorzystywali go, nawołując głośno do natychmiastowego przerwania tego, jak mawiali, „procesu upadku”.

Przez radziecką prasę przetoczyła się fala niezwykle zaciętych dyskusji, a niektórzy redaktorzy, jak np. neonazistowskiego ruchu „Pamjat” żądali ni mniej, ni więcej, tylko dymisji prezydenta Gorszkowa.

Z braku personelu — bo wszyscy zajęci byli bieżącymi wypadkami, ale głównie ze względu na dyskrecję, Pljucz poprosił Aleksandra o śledzenie ludzi wchodzących i wychodzących z ambasad Izraela i Francji, licząc na to, że ewentualnie rozpozna on sylwetkę dziewczyny, która przecież w tym rejonie została zaatakowana. Jeszcze raz przyjrzał się portretom pamięciowym i pokazał je sprzedawczyni. Ona z kolei pełniła rolę detektywa przed agencjami prasowymi, zwłaszcza w porze posiłków...

Aleksander spędzał noce przed mieszkaniami dziennikarzy zagranicznych. Pljucz postarał się o ich aktualną listę z adresami i codziennie przekazywał swoim „nowo pozyskanym” współpracownikom jedno nazwisko lub adres do obserwowania. Na „liście obserwowanych” znalazły się także ambasady USA, Wielkiej Brytanii, Włoch i Kanady. Trafił na nią także Uniwersytet im. Lumumby, na którym studiowali cudzoziemcy... Sprawa zaczęła go wciągać. Nie mógł opuścić chociażby najdrobniejszego szczegółu, który naprowadziłby go na trop swojej „zwierzyny”. W innym przypadku byłaby to dziecinna

zabawa... o wiele mniej interesująca, ale teraz jest głośność i... po raz pierwszy ściga cudzoziemkę. Trudności jeszcze go dopingowały. Mógł liczyć tylko na siebie swój umysł i tych dwóch amatorów. Czuł się jak jeden z tych złoczyńców, których całe życie ścigał. Podejrzewał, że nawet mu się podoba ta zabawa w detektywa. Czasami jednak nurtowało inspektora pytanie: dokąd ta gra go doprowadzi?

Nie znał odpowiedzi, ale jego wyobraźnia nie znała granic — przewidywał wszystkie możliwości, nawet te najgorsze.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Aleksander prosił Pljucza o spotkanie o godz. 15⁰⁰ w kawiarni Wysockiego w teatrze „Na Tagance”. „Porządny chłop” — pomyślał. Polubił nawet Aleksandra i myślał już, jak sprowadzić go na dobrą drogę. Sprzedawczyni zjawiała się parę minut później. Była to niewysoka blondynka, ubrana zawsze według najnowszej paryskiej mody. Mogła mieć około trzydziestki i inspektor nie miał żadnych wątpliwości, w jaki sposób spędzała wieczory. Natasza, tak miała na imię, aż paliła się z ciekawości, by wiedzieć o co naprawdę w tej sprawie chodziło. Pljucz powiedział jej tylko, że jest to sprawa wagi państwowej, o której nie wolno z nikim rozmawiać.

Pokazał jej pierwsze zdjęcie brunetki. Kiwnęła przecząco głową. Nie spuszczać z niej wzroku, pokazał oba następne portrety równocześnie.

— To ona! — zawołała natychmiast, wskazując blondynkę z końskim ogonem.

— Po czym pani poznała?

— Prawdę mówiąc, nie wiem. Ale jestem pewna, że to ona.

— A ta z dołeczkiem w brodzie?

— Nie, to tamta.

Pljucz podziękował jej i pozwolił odejść. Zamknął oczy i próbował wyobrazić sobie szpiega z końskim ogonem. Coś mu nie pasowało. Nie wiedzieć czemu, ale podobnie jak Böldin, skłaniał się ku portretowi

z dołączkiem w brodzie. Mógł się mylić. Natasza kategorycznie go odrzuciła, a przecież to ona podpowiedziała ten dołek. Borys nagle poczuł się zupełnie skołowany. Popatrzył na zegarek: była dziewiętnasta. Postanowił wrócić do domu i zapomnieć o swoim szpiegu. Czekala na niego prawdziwa kobieta, z krwi i kości, nie wymagowana, być może nie tak ładna jak tamta, ale z nią przynajmniej będzie mógł pójść wieczorem do kina, na ostatni film z Robertem Redfordem.

Poza tym uwielbiał amerykańskie kryminały.

— Więcej mi tego nie rób!

Głos Piotra Karstowa grzmiał wściekle już od drzwi. Otworzyła drzwi myśląc, że przyniesiono śniadanie. Zobaczywszy go w drzwiach, w cywilu, o mało nie zemdląła. Wszedł gwałtownie i zatrzasnął za sobą drzwi. Z trudem opanowywał gniew. Nie dopuszczając jej do słowa, kazał ubierać się i iść za nim. Dziesięć minut później siedziała już w jego samochodzie. Piotr, mimo widocznego zmęczenia, prowadził wóz bardzo szybko. Ewa chciała zadać ze sto pytań, ale nie odważyła się przerwać milczenia, jakie zaległo w samochodzie. Jak udało mu się ją odnaleźć? Nagle opanował ją strach na myśl, że mógł się czegoś dowiedzieć.

Ma się bronić jako winna, czy zaatakować i pognać Piotra? Po chwili zdecydowała, że podejździe go inaczej i rzekła spokojnie:

— Piotrze, zdecydowałam się wrócić do Francji. Nie mogę dłużej tak żyć, nie mogę tak beznadziejnie wiązać się z tobą.

Karstow nie reagował. Skierował wóz w stronę Wasilijewskiego Ostrowa, z drugiej strony miasta. Przejechali most Dworcowyj i wjechali na nabrzeże Makarowa. Po dwudziestu minutach zatrzymali się przed małym domkiem na skraju lasu. Ewa nie mogła się powstrzymać:

— Odgrywasz ten sam scenariusz, Piotrze!

Bez słowa zgasił silnik samochodu, wysiadł i zniknął w domku, nie zamykając za sobą drzwi. Ewa westchnęła i podążyła za nim. Piotr

siedział w starym fotelu i oczekiwał na nią z miną inkwizytora.

Ewa spozrzała mu prosto w oczy. Patrzyli nawzajem jak dwa koty gotowe skoczyć na siebie z pazurami — on pełen wściekłości, ona pełna niepokoju. Opuściła oczy dokładnie w chwili, gdy wyczuła, że Piotr już się łamie. Nie chciała, by poczuł się pokonany. Zaczął mówić coraz spokojniej, stawiając jej tysiące zarzutów. Bardzo się niepokoił, dlaczego wyjechała, nie uprzedziwszy go? Czyż nie rozumie, że on ją kocha? Poruszył niebo i ziemię, by ją odnaleźć, wysilając całą wyobraźnię, by nie wzbudzić przy tym niczych podejrzeń. Kazał dzwonić nawet do KGB, przecież mógł ją ktoś zamordować, zgwałcić, zmasakrować... Ewa zadrżała. KGB! Ukryła twarz w dłoniach. „Idiota! — teraz KGB już mnie zna na pewno” — pomyślała.

— Ewo, nie pozwolę ci wyjechać. Potrzebuję cię!

Jego głos zmiękł:

— Pojedziesz ze mną do Azerbejdżanu. Wyjedziemy dziś po południu...

Ewa ze zdziwienia podniosła głowę. Karstow dodał:

— Prosiłem Olgę o rozwód. Nie była tym wcale zdziwiona. Myślę, że nawet jej to ulżyło...

Ewa nie wytrzymała.

— Zwariowałaś, Piotrze! Ty niczego nie rozumiesz! Niczego! Postanowiłaś się rozwieść, a nawet nie wiesz, czy cię Kocham! O co ci chodzi? Chcesz, bym upadła u twych stóp i pozwoliła się zdusić? Mam przestać być sobą?

Piotr, zaskoczony, patrzył na nią nie przerywając jej:

— Mam z wszystkiego zrezygnować? A moja praca, kariera! Skąd ci przyszło do głowy, że ja w ogóle chcę wyjść za mąż? Jakie życie mnie czeka z tobą? Takie jak Olgi? Nie, dziękuję! Nie mam zamiaru wychodzić za bohatera Związku Radzieckiego, ani oszukiwać go, że...

— Coś ty powiedziała, Ewo? — przerwał jej zdecydowanie.

Ewa schowała twarz w dłoniach.

— Słucham cię, Ewo. Jeśli chcesz mi jeszcze coś powiedzieć, mów!

— Wiedziałam... wiedziałam, że twoja żona... miała innego mężczynę. Nie miałam odwagi ci tego powiedzieć wcześniej...

Zapadła głęboka cisza. Ciągnęła prawie szeptem:

— Miałam widzenie, zaraz tej nocy, gdy ją poznałam... Ona ma kochanka, wysoko postawionego w hierarchii partyjnej. Nie chciałam ci sprawić bólu...

Piotr wstał i zaczął chodzić po pokoju. Najwyraźniej miał ochotę poznać rywala.

— Widziałam go w cywilu, w eleganckim garniturze. Wyglądał jak minister. Miał siwe włosy, okulary w złotej oprawie, mógł mieć pięćdziesiąt lat. Ten człowiek cię nie lubi... Wiem to. Kiedyś zechce... Będzie próbował cię zabić, jak twój brata... Wiesz już, dlaczego chciałam wyjechać. Od kiedy cię znam, moje życie stało się piekłem. Męczą mnie koszarne sny. Wszystko, co ciebie dotyczy, płacze mi się z moim życiem. Duszę się, Piotrze. I boję się o ciebie, o mnie. Boję się strasznie, bo... bo kocham cię, Piotrze!

Zamilkła i patrzyła na niego wilgotnymi oczyma. Piotr czuł, jak zaczyna rozpierać go szczęście i duma. Słowa Ewy wzruszyły go, podszedł i pogłaskał ją po włosach. Chciał ją wziąć w ramiona, ale odsunęła się.

— Nie, Piotrze, musimy się rozstać, musimy...

— Nie upieraj się, Ewo. Wiesz dobrze, że nie możemy. Ty zostaniesz przy mnie, albo ja pójdę za tobą. Potrzebuję cię. Zrezygnuję ze wszystkich stanowisk. Zresztą i tak nic nie wychodzi w tym kraju, a ja mam już dosyć walki. Przeciwno tym szaleńcom Allaha, nacjonalistom, dawnym bratnim krajom, zjednoczonym Niemcom, pustym sklepom, i tym, którzy chcą ten kraj pograć w ogień i krew. Od kiedy spotkałem ciebie, myślę tylko o tobie, o naszym następnym spotkaniu. Nie możesz odrzucić mojej miłości, jest szczerą i prawdziwą.

— Piotrze, ja również bardzo cię kocham... Ale nie mogę zgodzić się na takie życie. Tutaj jestem cudzoziemką i taką będę zawsze. Jeżeli ty przegrasz, przegram i ja. Jeżeli ty wygrasz, ja przegram...

— Nie rozumiem.

Ewa zawahała się, poprosiła o whisky lub o coś mocniejszego. Przyniósł parę butelek i kieliszki. Nalał jej szkockiej, a sobie wódki. Ewa, z kieliszkiem w ręku, podeszła do Piotra i zaczęła mówić dziwnie monotonnym głosem jakby koncentrowała się na słowach:

— Mówiłam ci już, że czeka cię wspaniała przyszłość, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Ten rok jest rokiem przełomowym dla ZSRR i dla ciebie. Nawet w tej chwili ktoś spiskuje, jak przejąć władzę i zaprowadzić neostalinowski porządek. Poleje się krew, wiele krwi, będzie wojna — straszliwa, długa, powszechna i okrutna. Prezydent Gorskow nie zdaje sobie sprawy, że to on, choć bezwiednie, spowodował ten bałagan w kraju. To niebezpieczny oportunistą, który myśli tylko o tym, jakie miejsce zajmie w historii. Będzie chciał przyłączyć się do spiskowców, ale oni go zabiją. Próbowali już, jak wszystkim wiadomo, dwa razy. Za trzecim razem im się uda, o ile... ty im nie przeszkodzisz.

Wypiła duszkiem swój kieliszek. Czowała, jak alkohol rozgrzewa pustą żołądek. Zamknęła oczy i nie kryjąc grymasu na twarzy ciągnęła dalej:

— Tylko ty jesteś w stanie zapobiec nawrotowi terroru i wojnie. Takie jest twoje przeznaczenie, Piotrze Karstow! Bóg wybrał ciebie, bo jesteś człowiekiem prawym, uczciwym i odważnym. Już nie raz narażałeś swoje życie, by uratować innych. Ciebie, Piotrze Karstow, wybrał Bóg, bo należysz do wybranych.

Zrobiła parę kroków i opadła na kanapę. Piotr słuchał jej jak urzęczony. Długo nie mógł nic powiedzieć. Ewa zabrała się za przygotowanie kawy i czegoś do jedzenia. Piotr przyszedł za nią do kuchni, ale wciąż się nie odzywał. W końcu poważnym głosem poprosił, by z nim pojechała. Rzuciła mu się na szyję, ściskając go ze wszystkich sił.

— Mój najdroższy! — szepnęła mu do ucha.

W wojskowym Iljuszynie 76-M, którym lecieli z Leningradu do Azerbejdżanu, Ewa udawała, że śpi. Siedząc obok generała próbowała podsumować dotychczasowe osiągnięcia. W czasie czterech spotkań, z których pierwsze w ambasadzie Izraela trwało zaledwie pięć minut, udało jej się osiągnąć niespodziewanie dużo. Piotr zmienił się. Opętała go. Coś jednak nie pasowało w nim do portretu, jaki przedstawili jej psychologowie z CIA i Mossadu. Według nich generał Karstow był egocentrycznym megalomanem, dążącym za wszelką cenę do zaszczytów i chwały, i to właśnie był główny powód skłaniający go do uwolnienia jeńców w Afganistanie. Zarejestrowana w czasie operacji kase-ta miała być dowodem świadczącym o przeroście jego ambicji.

Ewa chciałaby bardzo poznać wersję Piotra. Oczywiście nie mogła wprost wspomnieć o kasecie. Kamerzyście udało się ją schować, zanim go aresztowano. Po uwolnieniu sprzedał ją amerykańskiemu dyplomacie. Z kolei Piotr, gdy opuścił więzienie, usiłował bezskutecznie odnaleźć kamerzystę. Zaginął bez śladu. Przesłuchanie rodziny również nie dało żadnego rezultatu. Zgodził się z wersją wskazującą na samobójstwo, ale nie tracił nadziei, że odnajdzie dokument. Z raportu psychologów CIA wynikało także, że Piotr w stosunku do kobiet jest zaborczy, zazdrosny i samolubny. Pod tym względem nie omylili się. Przekonała się, że tak jest na własnej skórze, chociaż uważała, iż Karstow kierował się raczej czymś innym, czego analizujący — nawet w najmniejszych szczegółach — zainteresowania, motywacje, uczucia i pragnienia tego człowieka, nie dostrzegli. W trakcie tych rozmyślań zasnęła.

Okolo osiemnastej samolot wylądował na lotnisku wojskowym oddalonym o 15 km od Baku, stolicy Azerbejdżanu. Ewa przestudowała bardzo dokładnie ten rejon, który po długiej agonii imperium, stawał się wyraźnie przyczyną rozpadu Związku Radzieckiego. Nie wiedziała jednak, co czeka ją w najbliższym czasie. Prześladowała ją myśl, że KGB ma już jej kartotekę i nie śmiała spytać Piotra, w jaki

sposób centrali udało się ją odnaleźć. Jak to zrobił? Wyobrażała sobie, że wydzwaniał po hotelach w największych miastach, towarzystwach lotniczych, komisariatach. Mniejsza o to, będąc w towarzystwie Piotra, uznała, że jest w dobrych rękach...

On tymczasem nie miał określonego planu. Chciał tylko, aby została z nim do 31 stycznia, czyli do powrotu do Moskwy, gdzie 1 lutego miała rozpocząć pracę w agencji. Do tego czasu pozostały więc cztery dni. Trafiła jej się nieoczekiwana okazja przyjrzenia się z bliska swojemu „obiektywi” i rozpoznania wszystkich jego słabych stron, które będzie mogła wykorzystać w odpowiednim momencie...

Wyjechali z lotniska. Opancerzony samochód, który Piotr prowadził osobiście, jechał pośrodku kolumny sześciu wozów obstawy. Wzdłuż drogi prowadzącej do stolicy stało wiele pojazdów wojskowych: czołgi, transportery, karabiny szybkostrzelne.

— Tu naprawdę jest wojna? — spytała Ewa ze strachem.

— Poczekaj, dopiero zobaczysz — odparł Piotr śmiejąc się.

Zrozumiała, że tu, w atmosferze wojennej, jest naprawdę w swoim żywiole.

Po dziesięciu minutach kolumna zatrzymała się przed białą willą w osiedlu na przedmieściach stolicy. Po obu stronach bramy stały gąsienicowe pojazdy opancerzone, których typu nie знаła. Brama otworzyła się. Wjechali do parku i po kilkuset metrach zatrzymali się przed masywnym budynkiem.

— To „pałac” jednego z szefów lokalnej mafii — rzekł Piotr. — Był także szefem tutejszej organizacji partyjnej i nie było łatwo dobrać mu się do skóry... W końcu zarekwirowałem wszystko. To istna twierdza. A pilnować cię będą komandosi z jednostki specjalnej.

Jeden z żołnierzy pospieszył otworzyć drzwi samochodu, a oficer podszedł do Piotra. Ewa dostrzegła zdziwienie na jego twarzy. Coś szepnęła Piotrowi, wyraźnie speszony obecnością kobiety.

Willa była urządzona z przepychem, chociaż mało gustownie. Ewa weszła do salonu i rzuciła się na kanapę we wschodnim stylu. General wszedł do biura w towarzystwie adiutanta. Usłyszała, że wydał przez telefon parę rozkazów i instrukcji. Nalała sobie szklankę wody, a drugą podała Piotrowi. Siedział przy ogromnym stole zawalonym dokumentami, mapami i paroma aparatami telefonicznymi. Mówił krótko i zwięźle. Na ścianie wisiały mapy Baku i okolic, na których czerwonymi strzałkami i cyframi oznaczono miejsca stacjonowania radzieckich wojsk. Pierwszy raz widziała Piotra w akcji. Uśmiechnął się dziwnie, gdy podawała mu szklankę wody.

— Mówiłem, żeby po nogach! — krzyknął nagle. — Niech celują w nogi, a nie w głowę, do licha. Tylko w razie koniecznej obrony...

Niedawno „Herald Tribune” podała, że Związek Radziecki zakupił w Izraelu plastikowe kule. Piotr odłożył słuchawkę, wykręcił jakiś numer i poprosił o rozmowę z Gorszkowem. Chciała wyjść z biura, ale dał jej znak ręką, by została. Czekał dłuższą chwilę, przeglądając stos teleksów leżących na biurku. Oczekiwanie przedłużało się, wziął więc długopis i zaczął podkreślać słowa lub całe zdania. Niekiedy kłął przez zęby i głęboko wzdychał. Zdawało się, że zapomniał o obecności Ewy.

— Pan prezydent? Karstow. Co? Nie, nie, nic nowego... Jeszcze z tydzień, dwa, a może więcej... Nic się nie zdarzy, zanim... Wiem, wiem... Muszę tu pozostać, bo inaczej dojdzie do rzezi...

Odłożył słuchawkę, wezwał adiutanta stojącego za drzwiami i coś mu szepnął na ucho. Zwrócił się do Ewy:

— To tyle! Jedziemy.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Dwa dni nad Morzem Kaspijskim. Ty i ja. Tylko ty i ja. Jest sporo spraw, które musisz mi wyjaśnić.

W tym samym czasie w małym mieszkaniu przy ul. Piatnickiej 13 Pljuczowie siadali do kolacji. Zaprosili na nią przyjaciela, kapitana Osipowa, kierownika działu obsługi cudzoziemców KGB, z małżonką. Pod pretekstem, że tak dawno się nie widzieli, inspektor zaprosił go na to przyjęcie, mając nadzieję, że uda mu się znaleźć odpowiedź na parę pytań, które gnębiły go od początku „swojego” śledztwa.

Pani Pljucz przygotowała *soljankę*, zupę rybną, *zakuski* i wyśmienitą *tabakę* — gruzińską specjalność, która zawsze jej się udawała oraz kurczę z różną w sosie czosnkowym. Podała też gruzińskie wina, jako że były to najlepsze wina krajowe. Białe „Tzinandali” do przystawek i czerwone „Kinzmarauli” do kurczaka. Nie mogło również zabraknąć polskiej wódki. Na deser upiekła jablecznik z cynamonem.

Atmosfera była dość swobodna, gdyż unikano rozmów o muzułmańskim terrorze, jaki zapanował w stolicy, a zajęto się raczej plotkami, których sporo krążyło po Moskwie. Tania Gorszkowa załatwiła koncesję słynnemu francuskiemu jubilerowi w zamian za kolekcję biżuterii, minister obrony ma kochankę — Węgierkę, Olga Karstowa poprosiła o rozwód, bo też ma kogoś...

— Mówią, że to twój szef. To prawda? — spytał Pljucz, który zazwyczaj nie zwracał uwagi na tego rodzaju sensacje.

— Tak mówią, ale ja nie mogę nic pewnego powiedzieć.

— Jak się dowie, to się wścieknie. Piotr Karstow to nie chłopczyk z chóru. Ja tam nie wierzę ani trochę w tę całą historię — rzekła żona Osipowa.

— Karstow jednak też nie jest aniołem — zareplikował jej mąż. — Gadają, że chodzi z jakąś zagraniczną dziennikarką o niewymownej wprost urodzie.

Opowiedział, jak jego wydział musiał odszukać niejaką Ewę Dumoulin, przybyłą do Moskwy pod koniec grudnia, na dyskretny rozkaz wyższego oficera KGB i przyjaciela Karstowa. Udało im się odnaleźć ją w Leningradzie.

— Powiedziano nam, że chodzi o serdeczną przyjaciółkę Olgi Karstowej.

— A gdzie ona pracuje? — spytał inspektor niby od niechcienia.

— W agencji prasowej. W Europejskiej Agencji Prasowej.

— To może być prawda. Co w tym złego? — protestowała pani Pljucz. — Patrzcie, co się dzieje: napady na turystów, gwałty, a nawet zabójstwa! Ja tam lubię Karstowa. Jest najmniej skorumpowany z całej tej bandy!

— Ładna chociaż ta dziennikarka? Niska, wysoka, brunetka, blondynka? — Pljucz wahał się, czy zadać to pytanie...

— Zdaje się, brunetka. Widziałem jej kartotekę w dziale prasowym ministerstwa spraw zagranicznych. Jest rzeczywiście urocza. Co ona tu chce robić? Nadaje się na modelkę w Paryżu lub do filmu z Jamesem Bondem.

— Pamiętasz, kiedy przyjechała do Moskwy? — raz jeszcze niby od niechcienia spytał Pljucz.

— 26 lub 27 grudnia. Tak, 26.

— Cóż w niej takiego szczególnego? — spytała urażona Osipowa.

— Urocza twarz... a co za sylwetka! — prawie jak u ciebie, najdroższa — odparł śmiejąc się Osipow. — A do tego ma prześliczny dołeczek o tu... w brodzie, jak ten amerykański aktor...

— Douglas, Kirk Douglas — uściślił Pljucz grobowym głosem. I dodał:

— Jego rodzice pochodzili z Rosji!

Pomalowany na biało domek, w którym zamieszkali Ewa i Piotr, był cudownie położony pośrodku ogrodu i odgradzony od strony łądu szpalerem pinii. Z drugiej strony miał dostęp do morza. Wnętrze zdobiły meble, tkaniny i przedmioty wykonane w stylu regionalnym. Ewie natychmiast przypadło do gustu to idylliczne otoczenie i postanowiła w pełni wykorzystać „nieprzewidziane” wakacje. Pierwszego dnia zdecydowanie odmówiła odpowiedzi na natarczywe pytania Piotra i wyciągnęła go na pustą plażę. Spacerowali cały dzień, trzymając się w objęciach. Wieczorem Piotr przygotował kolację. Był szczęśliwy i odprężony. Ewa, siedząc w fotelu, obserwowała go z uśmiechem. Wreszcie skończył i podszedł do niej:

— Pani Karstowa, podano do stołu!

Ewa przyciągnęła go do siebie i zaczęła całować. Człowiek, który odżywał w jej obecności, ujął ją naprawdę. Nie miał czasu zaprotestować, gdy pośpiesznie go rozebrała. Pierwszy raz zaangażowała się naprawdę. Zachowywała się dość gwałtownie, jakby spiesząc się, dotykała jego umięśnionego ciała w poszukiwaniu rozkoszy. Zagubiony w tym wszystkim Piotr z podziwem patrzył na rozpromienioną ze szczęścia twarz swojej ukochanej. Nigdy nie widział jej tak rozmiętnionej.

Siedząc przy stole pochłaniali wprost wystygłe już potrawy, które Piotr z takim poświęceniem przygotował. Wybuchali śmiechem po każdym kieliszku wódki i wymieniali pocałunki.

— Mam dosyć — westchnęła Ewa. — Muszę przestać, bo przytyję i nie będziesz mnie chciał!

— Kiedy ja lubię patrzeć, jak jesz gołąbeczko! To świadczy, że masz siły i charakter, jak prawdziwa kobieta.

Uśmiechnęła się strojąc ucieszną minę, więc oboje wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Ewo, czuję się cudownie będąc przy tobie — rzekł nagle Piotr poważniejąc. — Jesteś fantastyczną kobietą. A ja nawet nie wiem, ile masz lat. Tak naprawdę to nie wiem o tobie nic. Jak zostałam dziennikarką? Dlaczego zainteresowałaś się naszym krajem?

— Moment, mój drogi! Stawiasz zbyt dużo pytań na raz. Zaczniemy od wieku.

— Dwadzieścia pięć?

— Dwadzieścia osiem. Ty masz czterdzieści cztery, więc szesnaście więcej ode mnie. Dopuszczalne w małżeństwie? Dziesięć lat to maksimum, nie sądzisz?

Piotr chciał coś powiedzieć, ale przerwała mu i zaczęła opowiadać swój „życiorys”. Rosyjskiego nauczyła się w San Diego, a udoskonaliła go w czasie kilku podróży do ZSRR. Rosję odkryła i pokochała po przeczytaniu wielkich XIX-wiecznych powieści, a Związek Radziecki zainteresował ją po dojściu do władzy Gorskowa, który od 1985 roku usiłuje wyprowadzić ten kraj na nowe tory. Dziennikarką została oczywiście dzięki znajomości języka i kultury rosyjskiej, gdyż w związku z pierestrojką prasa zachodnia zaczęła poszukiwać specjalistów. W 1992 roku opublikowała nawet książkę zatytułowaną *Gorskow i wielkie złudzenie*.

— Ty mu wciąż nie wierzysz?

— Ani przez chwilę. Przykro mi.

Piotr dał jej znak, by mówiła dalej. Popiła ze szklanki i powiedziała:

— Nie można zmieniać ani natury, ani historii ludzkości. Przyglądając się dyktaturom dochodzi się do wniosku, że wszystkie one skończyły w ten sam sposób.

Scenariusz jest taki sam: dyktatorski reżim przejmuje władzę, morduje tysiące swoich przeciwników, narzuca terror. Po pewnym

czasie, pod naciskiem wydarzeń, zwłaszcza niepowodzeń polityki gospodarczej, dyktator zmuszony jest pójść na ustępstwa. To oznacza już początek końca. Gdy proces się rozpocznie, nie można go zatrzymać. Dlaczego? Po prostu ludzie przywykli do strachu i wyrzeczeń traktują ustępstwa jako oznakę słabości. Żądają wszystkiego i natychmiast. Wszystkiego, czego im odmawiano przez długi czas. Tak zaczyna się anarchia i kończy dyktatura. Tak toczy się historia — w sposób klasyczny, banalny i bardzo ludzki. Dlatego nie wierzę w „rewolucję Gorskowa” i taka była teza mojej książki. Rzeczywistość potwierdza ją całkowicie.

Piotr słuchał jej z uwagą. Skończył wprowadzić studia w słynnej moskiewskiej Akademii Wojskowej, znał doskonale problemy strategii i wojskowości, ale brakowało mu tej perspektywy intelektualnej, tej pewności poglądów, jakimi dysponowała Ewa. W więzieniu z przyjemnością rozczytywał się w książkach z dziedziny historii i ekonomii. Zrozumiał, że system radziecki należy między bajki włożyć i znienawidził go ze wszystkich sił. Gdy władzę objął Gorskow, wstąpiła weń nowa nadzieja, że w końcu jego kraj stanie się państwem nowoczesnym, wolnym i ludzkim. Do dzisiaj wierzy Gorskowowi i ma do niego zaufanie, ale musi przyznać, że Ewa ma dużo racji. Zadał jej pytanie, z którym nosił się od dawna:

— Ewo, w Leningradzie powiedziałaś takie zdanie: jeżeli przegram, przegrasz i ty, a jeżeli wygram, ty także przegrasz... Powiedz to jaśniej.

— Chciałam, żebyś zrozumiał, że gdy ja — cudzoziemka, Francuzka — zostanę twoją żoną, ty stracisz wiarygodność i cię to zgubi... prędzej, czy później...

Patrzył na nią zamyślony i spytał, co miała na myśli, mówiąc mu, że uratował wielu ludziom życie.

— Gdy rozmawiałam z tobą, miałam niezbyt wyraźną wizję. Nie potrafię powiedzieć ani kiedy, ani gdzie, ale widać to po tobie. Pamiętasz, mówiłam ci już na początku, że — jakby to rzec — wywołujesz wizje. Jest w tobie coś takiego, co działa na mnie jak magnes... Od

kiedy cię znam, mój szósty zmysł — tak można by to nazwać — znacznie się uaktywnił.

Zrobiła przerwę i powiedziała:

— Ja muszę odejść, Piotrze. Muszę...

Piotr milczał. Twarz miał zafrasowaną. Zadzwoił telefon. Piotr nie ruszał się. Dzwonek odezwał się jeszcze dziesięć razy, po czym znów zapanowała cisza. Ewa popatrzyła na swój pusty kieliszek unikając jego spojrzenia. Piotr wstał od stołu, wyjął z marynarki munduru cygaro. Zapalił go, wziął kieliszek koniaku i usiadł na to samo miejsce.

— Moja mała, niczego nie pojmujesz. Ja rozumiem wszystko, a ty nie.

Wypił łyk koniaku i zaciągnął się cygarem. Ewie nagle przysłała chęć na papierosa. Przestała palić przed wyjazdem do Moskwy, bo nie pasowało to do jej sportowego i zdrowego trybu życia.

— Czego nie zrozumiałam?

Piotr milczał. „O czym on myśli?” — pytała samą siebie. Czasami nie mogła nadażyć za jego słowiańskim sposobem rozumowania. Wiedziała, że Rosjanie są mistrzami w formowaniu aluzji, dwuznacznych zdań i podtekstów. Dziesięciolecia, a nawet wieki dyktatury wyrobiły w nich ten nawyk aż do perfekcji. Wszyscy byli jakby podwójnie złożonymi istotami, jak to opisał Pilniak, pisarz, którego odkryła w czasie treningów.

Zaczęła mieć wątpliwości. Co on naprawdę wie? Czy KGB powiadomiła go, że kobieta podobna do tej, której poszukuje, zgubiła bardzo podejrzany zegarek? Próbowała zapomnieć o KGB, ale nie mogła. Trzeba coś zrobić, bo będzie musiała wycofać się... Piotr odłożył cygaro.

— Jeżeli wygram... ale co? — odezwał się w końcu.

Pytanie, którego oczekiwała i obawiała się, padło wreszcie. To jej ulżyło.

— Ty musisz wygrać. Musisz zapobiec tyranii, nowej dyktaturze...

— Wyrażasz się niejasno...

— Nie pytaj o nic więcej. Mówiłam ci już, że wyraźnie widzę tylko przez chwilę. Przecież to nie ja mówię, nie ja panuję nad wizjami. Być może odczytuję je mylnie, źle się wyrażam, ale jedno wiem na pewno: wielu, a zwłaszcza twoi główni przeciwnicy, liczni zresztą, przygotowują nawrót dyktatury. Ty zaś, jeżeli nic nie zrobisz, będziesz ich pierwszą ofiarą. Jestem pewna, że to Bóg postawił mnie na twojej drodze, bym cię ostrzegła i byś mógł wybrać swój dalszy los. Wierzę w to głęboko. I dlatego też muszę odejść.

— Moja matka zawsze ufała wróżkom. Widzę, że jesteś jedną z nich. Już to dowiodłaś, więc ci wierzę. Nie wiem dlaczego, bo przecież nawet w Boga nie wierzę, a ty tak.

— Ależ nie! Ty wierzysz w Boga! Bardziej niż myślisz. Jesteś człowiekiem wierzącym i jak on postępujesz. Jeżeli ktoś szanuje godność człowieka, uważa go za bliźniego, jest humanistą, jest więc człowiekiem wierzącym. Szanować człowieka i nie poniżać go, to istota wiary. Reszta to tylko oprawa!

— Racja. Ale ty dalej nie rozumiesz wszystkiego. Nie tylko nie wyjedziesz, nie tylko zostaniesz moją żoną, już wkrótce...

Zrobił przerwę i patrzył na nią rozmarzonym wzrokiem. Szepnął:

— Ale będziesz matką moich dzieci... To Bóg tak chce.

Ewa przyszła do Agencji Prasy Europejskiej 1 lutego. Czterech współpracowników, dwóch mężczyzn i dwie kobiety, przyjęło ją uprzejmie, ale z rezerwą. Była najmłodsza w zespole, ale od razu zdobyła ich uznanie.

Fakt, że była jedyną Francuzką nie ułatwiał jej sytuacji i dobrze zdawała sobie z tego sprawę. Włoch Bruno wyglądał dość sympatycznie. Miał czterdzieści lat, czarne włosy, małe czarne oczy i widoczny, zarysowujący się brzuszek. Patrząc na niego, Ewa pomyślała, że sport w jego życiu musiał być jednym z ostatnich zainteresowań. Belgijka Martine, trzydzieści dwa lata, była tego samego wzrostu co Ewa, miała długie czarne włosy, duże, piękne, czarne oczy i zajmowała się głównie ekonomią. Dunka Pia, urocza ciemnooka blondyneczka, mogła mieć dwadzieścia dziewięć lat, zajmowała się kulturą. Chłód i wyniosła obojętność, z jaką przywitał się z Ewą Anglik Dawid, od razu zwrócił jej uwagę. Gdy podała mu rękę na powitanie, udawał, że kończy czytać artykuł i na kilka sekund postawił ją w dość nieprzyjemnej sytuacji. Miał trzydzieści sześć lat, był dość przystojny i ubrany jak bankier z londyńskiego City. Zwróciła uwagę na jego zaniedbane paznokcie, gdyż u mężczyzn to drażniło ją najbardziej. Od razu wiedziała, że ich współpraca nie będzie łatwa.

Później poprosiła wszystkich do swojego biura, by omówić aktualne tematy, poczynając od zamachów. Było ich tym razem trzynaście, wszystkie na milicjantów i do każdego z nich przyznały się organizacje

mużulmańskie. Bomba, podłożona dzień wcześniej na parkingu przed lotniskiem Szeremietiewo, spowodowała straty szacowane na wiele milionów rubli, lecz ofiar w ludziach nie było. Azerbejdżan był drugim ważnym punktem porządku dnia. Od wybuchu konfliktu liczby ofiar nie były podawane wiarygodnie. Mówiono o pięciu tysiącach, gdy oficjalnie „Prawda” twierdziła, że było ich dwieście pięćdziesiąt.

Dziennikarzy zagranicznych obowiązywał zakaz wyjazdu w tamte strony, więc musieli zadowolić się niemożliwymi do sprawdzenia informacjami przekazywanymi przez opozycjonistów lub przez „Prawdę” i agencję TASS... Bruno zaproponował opublikowanie długiego artykułu o przywódcy ruchu „Pamięć”, którego właśnie aresztowano, i o masowych manifestacjach, jakie uwięzienie to wywołało. Ewa zaakceptowała pomysł i poleciła Dawidowi napisanie także o przyczynach, które spowodowały, że ten faszystujący i antysemicki ruch znalazł takie poparcie wśród Rosjan. Zgodził się, burknąwszy coś pod nosem.

Ewa, siedząc twarzą do okna, słuchała, robiła notatki i stawiała pytania. By wzmocnić swój autorytet, zakazała palenia w biurze. Dawid, jedyny palacz w tym gronie, nie był tym zachwycony i przez cały czas zebrania nerwowo bawił się pudełkiem „Playersów”. Ewa udawała, że tego nie widzi.

Mimo ogromnego wysiłku nie udało jej się nie myśleć o swoich sprawach. Wróciwszy wczoraj samolotem, znalazła na podwórzu swój samochód, tak jak obiecał jej Piotr. Kluczyki były w skrzynce na listy. Na pożegnanie Karstow uprzedził ją, że nie będzie mógł zadzwonić przed powrotem do Moskwy, czyli przez dwa, trzy dni. Miała więc czas na przemyślenie paru spraw. Po powrocie do mieszkania miała wrażenie, że ktoś tu przebywał w czasie jej nieobecności. Szybko sprawdziła, czy nie założono podsłuchu. Wynik był negatywny, ale nie była tego pewna. Była natomiast przekonana, że KGB już prowadzi śledztwo w jej sprawie, i że w najbliższym czasie czeka ją parę

niespodzianek, przed którymi nie uchroni jej nawet tak wysoko postawiona osoba jak Piotr Karstow. Wprost przeciwnie. W tych czasach, gdy reżim pękał ze wszystkich stron, nikt nie mógł czuć się pewnym. Musi sama zadbać o swoje bezpieczeństwo i unikać pułapek, zastawionych prędzej czy później przez kontrwywiad radziecki, by ją zdemaskować, lub by wkopać Karstowa. Najwyższy czas zacząć coś robić. Przyjrzała się uważnie Martine. Były podobne do siebie. W nocy nikt nie rozróżniłby ich sylwetek...

Po zebraniu sprawdziła kartotekę dziewczyny i zadzwoniła do niej, zapraszając na obiad. Martine zgodziła się natychmiast.

Spojrzała na zakupiony w Leningradzie zegarek: 11⁴⁵. Wyjęła z torebki widokówkę z Kremlm i wysłała ją do Nicei, do swojej przyjaciółki Ulli. Była to już dziesiąta kartka wysłana po jej przyjeździe do Moskwy, ale pierwszy raz napisała, że jej „narzeczony jest zazdrosny i że chce mieć dziecko”.

Telefon zadzwonił w chwili, gdy naklejała znaczek i wkładała pocztówkę do torebki. Dzwoniła Olga Karstowa.

— Jak się pani miewa, droga przyjaciółko? Dzwoniłam tyle razy. Już się pani urządziła?

— Olga! Co za niespodzianka.

— Proszę dziś wieczór na kolację. Mój mąż-general jest chwilowo nieobecny...

— Przykro mi, Olgo. Właśnie dziś zaczęłam pracę i nie mam ani minutki, nawet dla siebie.

— Proszę nie odmawiać, Ewo, bardzo panią proszę. Musimy porozmawiać w cztery oczy... o Piotrze naturalnie. Sprawiłaby mi pani wielką przyjemność.

Ewa czuła jak zamiera jej serce. Przycisnęła ramieniem słuchawkę do ucha. Od paru chwil obserwowała przez okno młodą blondynkę, która spacerowała tam i z powrotem po chodniku naprzeciwko agencji. Zaintrygowała ją, wstała i zaczęła się jej przyglądać.

Sądząc po sposobie chodzenia mogła to być albo prostytutka albo dziewczyna czekająca na spotkanie z ukochanym. Z okna na trzecim

piętrze nie mogła dostrzec profilu jej twarzy.

— Ewa! Coś pani nie słyszę. Halo?

— Przepraszam bardzo, przyniesiono mi list do podpisu.

— A więc jesteśmy umówione: dziś wieczorem, o ósmej, u mnie.

Pamięta pani, gdzie to jest? Więc — do wieczora.

Odłożyła słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. Ewa westchnęła z ulgą, ale nagle przeszły ją ciarki. Nawet z tej odległości mogła rozpoznać twarz tej blondynki w momencie, gdy tamta popatrzyła w stronę agencji — była to sprzedawczyni z „Hiltona”, u której kupowała futro.

Z drżącymi nogami opadła na fotel. Co innego miała tu do roboty ta dziewczyna, jeżeli nie śledzenie jej — Ewy? Nie miała wątpliwości: KGB trafiła na jej ślad. „Tylko nie szalej!” — pomyślała. Starła się opanować strach, który ją obezwładniał. „Po co im była potrzebna ta sprzedawczyni? Po to by mnie rozpoznała! Nie mieli więc pewnych dowodów, a portret pamięciowy był niekompletny”. Po chwili weszła Martine, przypominając, że już pora iść na obiad.

— To gdzie najlepiej karmią? — spytała Ewa śmiejąc się.

— Proponuję „U Piotra” na Arbacie. Mam nadzieję, że jeszcze tam pani nie była.

— No nie, świetny pomysł... Ma pani piękny płaszcz, Martine. Właśnie coś takiego by mi się przydało.

— Chce pani przymierzyć? — zaproponowała Belgijka. Pani też jest niezły.

— Zamienimy się? Tylko do obiadu!

Zaczęły śmiać się głośno. Szykując się do wyjścia Ewa przystanąła:

— Do licha! Muszę jeszcze zadzwonić w pilnej sprawie. Niech pani idzie, a ja dołączę na ulicy, dosłownie za parę minut. Nie gniewa się pani? Jest pani urocza...

— Ależ ja mogę poczekać...

— Nie, nie. Jest ładnie na dworze. Szkoda tu siedzieć. Zdążę, zanim pani dojdzie do restauracji.

Martine wyszła, a Ewa przysunęła się do okna. Po chwili Belgijka znalazła się przed budynkiem. Dziewczyna z „Hiltona” zauważyła ją, z pewnością rozpoznała futro, gdyż przeszła tuż obok niej, udając, że patrzy na zegarek, poczekała chwilę, aż Martine doszła do skrzyżowania, i ruszyła za nią. Ewa, nie zwlekając, zbiegła po schodach. Zanim wyszła, rozejrzała się szybko dookoła i podążyła w tym samym kierunku. Martine szła powoli, przystając co chwilę przed wystawami. Dziewczyna naśladowała ją niezręcznie. „Nie jest to specjalistka” — oceniła ją szybko Ewa i modliła się w duchu, by dziewczyny z kolei nie obserwował agent KGB. W każdym razie jej obawy potwierdziły się: jest śledzona i to z pewnością w związku ze sprawą milicjanta, którego zamordowała wieczorem 26 grudnia, a nie dlatego, że jest kochanką progorszkowskiego generała. Pozostało jej jeszcze pomodlić się, by poszczególne sekcje KGB nie zaczęły łączyć tej afery z poszukiwaniami Karstowa, po jej bezmyślnej ucieczce do Leningradu.

Zobaczyła Martine wchodzącą do restauracji. Sprzedawczyni zawałała się i podeszła do kabiny telefonicznej, stojąc w kolejce za starszym mężczyzną. Ewa obserwowała ją z odległości stu metrów. Kobieta rozmawiała przez telefon z ożywieniem. Ewa wywnioskowała, że zameldowała swojemu szefowi lub „zleceniodawcy” o swoim odkryciu. Po chwili wyszła i skierowała się wprost do restauracji. Z kolei Ewa weszła do kabiny i wykręciła numer restauracji, który Martine zapisała jej na skrawku papieru tuż przed wyjściem. Chciała rozmawiać z panią Martine Dumoulin i opisać krótko, jak ona wygląda.

Przez przeszklone okno zaobserwowała chwilowe zamieszanie na sali, aż usłyszała głos Martine.

— Halo, Martine? To ja, Ewa. Strasznie mi przykro, ale nie będę mogła przyjść. Mam pilną sprawę. Opowiem później. Proszę się nie gniewać!

— Nic się nie stało. Zdarza się... ale... pani prosiła Martine Dumoulin?

— Nie! Powiedziałam, że Ewa Dumoulin prosi Martine. Dlaczego?

- Kelner krzychał: „Martine Dumoulin” i to mnie zmyliło.
- Do zobaczenia, Martine, smacznego!

Ewa odłożyła słuchawkę, przeszła na drugą stronę ulicy i zniknęła w tłumie. Spacerowicze jedli zapiekanki, czytali gazety, grali w szachy, rozmawiali lub przechadzali się grupkami. Grupa turystów zebrała się przed domem z numerem 9, gdzie kiedyś mieszkał Dostojewski i pod numerem 14 — domem Czajkowskiego i Rubinsteina. Ewa podeszła do grupki turystów włoskich. Przewodniczka — młoda studentka — z przejęciem opowiadała, że przez Arbat przeciągnęły w 1439 roku hordy tatarskie pod wodzą Mehmet Chana, że tu powrócił Iwan Groźny po zwycięstwie pod Nowgorodem i że to stąd zawróciły polskie wojska w 1812 roku. Ewa czuła, że musi coś zjeść. Kupiła więc pizzę od wędrownego sprzedawcy, by nie stracić z oczu wyjścia z restauracji. Usiadła na ławce obok kościoła św. Mikołaja Odnowiciela. Przed wejściem do restauracji „U Piotra” zaczęła tworzyć się kolejka. Mężczyzna w brązowej czapce i w szarym płaszczu ominął kolejkę i, mimo obelg oczekujących, wszedł do środka. Ewa z trudem przelykała kawałki pizzy. Minęło jeszcze z pół godziny zanim Martine wyszła. Wszystkie zmysły Ewy zaczęły pracować na najwyższych obrotach. Po chwili w drzwiach restauracji pojawiła się sprzedawczyni z „Hiltona”, a za nią mężczyzna w płaszczu. Wymienili dyskretne spojrzenia i rozeszli się, każde w swoją stronę. Ewa zawahała się przez chwilę, ale podążyła za mężczyzną, trzymając się w bezpiecznej odległości od niego. Przy końcu Arbatu zszedł on do przejścia podziemnego, prowadzącego do bulwaru Suworowa. Kroczył dosyć szybko. Po wyjściu z podziemia minął Dom Dziennikarza, gdzie kiedyś pracowali Majakowski, Jesienin i Aleksander Błok, zatrzymał się przy domu, w którym mieszkał Gogol. Tu, pod numerem 7, napisał „Rewizora” i w chwili depresji, 12 lutego 1852 roku, spalił przed śmiercią drugi tom „Martwych dusz”. Ewa wiedziała także, choć nigdy tam nie była, że w podwórzu stoi pomnik tego wielkiego pisarza.

Mężczyzna przystanął, jakby miał zamiar zawrócić, ominął grupkę turystów i przeszedł kilka kroków w kierunku zaparkowanej obok budynku z numerem 13 czarnej wołgi. Od razu zwróciła uwagę na „koguta” na dachu i szybko zapisała numer rejestracyjny samochodu na okładce notatnika.

W momencie gdy ruszał z miejsca, przez chwilę widziała twarz mężczyzny. Miała ochotę złapać taksówkę. Ale jak powiedzieć moskiewskiemu taksówkarzowi, żeby jechał za czarną wołgą z „kogutem”? Zaklęła w duchu i ruszyła pieszo na ulicę Razina do agencji, znajdującej się dwa kilometry od Arbatu, po przeciwnej stronie placu Czerwonego.

Idąc, czuła jak wzmaga się w niej strach i od razu poszła do biura. Zawołała Bruna i oznajmiła mu, że musi iść do ministerstwa odebrać swoją akredytację.

— Ale przecież ją przysłali!

— Właśnie! Jest tam pomyłka, którą muszą poprawić...

— A zdążysz przygotować korespondencję na dziewiętnastą?

— Obawiam się, że nie. Zrobisz to za mnie, Bruno? Wyświadczyłbyś mi wielką przysługę.

— Nie ma sprawy. Możesz mi zaufać.

— Dziękuję! W przyszłym tygodniu zaproszę cię za to na kolację. Zgoda?

Mrugnął porozumiewawczo i odszedł, pogwizdując.

Ubrała szybko płaszcz, spojrzała przez okno, wyszła i wskoczyła do pierwszej przejeżdżającej obok taksówki. Kierowca był wyjątkowo rozmowny, ale sympatyczny. Rozmawiali o ciężkiej zimie i o zamachach, po których miasto wyglądało jak obóz warowny. Wszędzie widoczne były krążące po mieście w transporterach opancerzonych patroli GRU.

Wysiadła z taksówki na rogu ulicy Kaliajewskiej. Zapłaciła, weszła do najbliższej bramy, ale po chwili z niej wyszła, upewniwszy się, że nie jest śledzona, a taksówka odjechała. Do domu na ulicy Czechowa doszła pieszo.

Musiała pomyśleć, co robić dalej. Zwłaszcza powinna przygotować się do spotkania z Olgą Karstową. Czy wiedziała o jej związku z Piotrem? Bez wątplenia. Jeżeli szef KGB był jej, kochankiem, co potwierdzono nawet z Waszyngtonu, to musiał on wiedzieć, że „zachodnia dziennikarka” spędziła z generałem Karstowem kilka dni w zakazanej strefie Azerbejdżanu. W tym przypadku chyba nie odmówiłby sobie przyjemności poinformowania o tym swojej kochanki...

Co powiedziec Oldze? Czy Piotr jej coś mówił? Przysięgał, że nie. O co jej właściwie chodzi? Wydarzenia wciągnęły Ewę tak bardzo i już na początku misji zaczęły się rozwijać tak pomyślnie, że wycofanie wydawało się jej niemożliwe. Przez ostatnie dwa tygodnie działała głównie jak kobieta, a nie jak agent. Nie mogła pozbierać myśli. Nie panowała nad sytuacją. Zresztą, nie miała wyjścia. Musiała to kontynuować. Myśl o porażce i tłumaczeniach, jakie musiałaby składać swoim przełożonym, odwodziła ją natychmiast od zamiaru wycofania się. Wspomnienie wszystkiego, co przeszła, a zwłaszcza zmiany swojej osobowości, dodawało jej znów odwagi. Stała przed lustrem, jakby chciała zaczerpnąć sił od Dahlii, którą kiedyś była, a która jeszcze gdzieś głęboko wciąż w niej tkwiła...

O tej godzinie zamykano już nawet sklepy przeznaczone dla cudzoziemców. Sprzedawczyni wyszła z „Hiltona” i skierowała się na stację „Kalininskaja”. Ewa, ubrana w dżinsy, bluzę od dresu, skórzaną kurtkę z futrzanym kołnierzem i w czapce na głowie śledziła ją z pewnej odległości. W okrągłych okularach w złoczonej oprawie wyglądała na studentkę i była nie do poznania. Stała w drugim końcu wagonu i kątem oka obserwowała sprzedawczynię. Wysiadły obie na stacji „Jugozapadnaja”. Była godzina 19²⁰. Szły najpierw szeroką ulicą, a później skręciły w prawo, w słabo oświetloną, boczną uliczkę. Ewa

nie weszła do pięciopiętrowego budynku. Nie była pewna, czy okna mieszkania dziewczyny wychodzą na ulicę, ale wkrótce odetchnęła z ulgą: na piątym piętrze zapaliło się światło.

Rozejrzała się wokół i weszła do budynku. Nie zapalając światła wsiadła do windy i nacisnęła przycisk z cyfrą 5. Była dziwnie spokojna. Na piętrze zawahała się. Z trojga drzwi wybrała te z prawej strony, gdyż logicznie biorąc okna tego mieszkania powinny wychodzić na ulicę. Zadzwoiła i przybrała uprzejmy wyraz twarzy. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich ubrana już w szlafrok sprzedawczyni. Ewa spytała po rosyjsku, czy zastała w domu Georgija Ajmatowa.

— To nie tutaj...

— Ale tak mi powiedział... Musiałam się pomylić. Przepraszam bardzo. Ma pani telefon? Gdybym mogła zadzwonić...

— Oczywiście. Bardzo proszę.

— Stokrotne dzięki. Ach, ci mężczyźni, pani rozumie! — uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Sprzedawczyni wskazała jej telefon i wyszła. Chciała wziąć prysznic i udać się na umówione spotkanie.

— Pani jest Rosjanką? Mówi pani z lekkim akcentem — spytała przed wejściem do łazienki.

— Ojciec jest Rosjaninem, a matka Polką.

Ewa stała przy telefonie nie podnosząc słuchawki. Dziewczyna zamknęła za sobą drzwi. Ewa poczekała chwilę, aż usłyszała plusk wody, podeszła bezszelestnie do drzwi i po cichu je otworzyła. Rosjanka stała odwrócona plecami. Ewa doskoczyła do niej i szarpnęła zasłonę. Przerażona dziewczyna nie zdążyła nawet krzyknąć — silne uderzenie w szyję zatkało jej dech. Osunęła się na podłogę. Ewa zakręciła wodę przez ręcznik, by nie zostawić śladów. Obiema rękami ścisnęła ze wszystkich sił szyję dziewczyny, której twarz zrobiła się najpierw czerwona, a po chwili zsiniała. Ewa upewniła się, że serce sprzedawczyni przestało bić i wyszła z łazienki. Odłożyła słuchawkę nie dotykając jej palcami, łokciem zgasiła światło i bezszelestnie wyszła.

Wróciła do domu, przebrała się, poprawiła nieco makijaż i poszła do Olgi Karstowej, która przyjęła ją z niebywałą serdecznością:

— Ewa, kochanie! Jakże się cieszę! Proszę wybaczyć, że przez telefon mówiłam niezbyt uprzejmie, ale koniecznie chciałam się z panią spotkać.

Wzięła od niej płaszcz i naląła kieliszek szampana. Ewa wolałaby raczej whisky, ale podziękowała z uśmiechem. Próbowwała, jak mogła, maskować niepokój i nie bardzo wiedziała, co ma mówić.

— Podoba mi się u was — powiedziała obojętnym głosem.

— Dziękuję. Urządziłam dom według własnego pomysłu.

Olga również nie bardzo wiedziała, od czego zacząć. Ewa oczekiwała najgorszego. Prawa ręka zaczęła jej drżeć, więc szybko postawiła kieliszek na stole. Olga patrzyła jej prosto w oczy. Ewa już chciała odwrócić wzrok, jednak Olga skapitulowała pierwsza.

— Ewo, dowiedziałam się czegoś i chciałabym o tym porozmawiać.

Ewa nie zareagowała. Wzięła kieliszek, upiła łyk szampana i czekała.

— Mój mąż poprosił o rozwód. Od jakiegoś czasu zachowuje się dziwnie. Nie widziałam go już prawie miesiąc. Dzwoni rzadko i zawsze ma sto przyczyn — wagi państwowej, oczywiście! — by nie wracać do Moskwy... Pani wie, że on jest w Azerbejdżanie?

Ewa skinęła głową.

— A pani też mnie unika — ciągnęła dalej Olga. — Tyle razy dzwoniłam, zostawiałam wiadomość...

— Mam sporo pracy. Proszę mi nie mieć za złe. Muszę się jakoś zaaklimatyzować.

— Dzwoniłam, bo chciałam panią prosić o pomoc. Pani jest Francuzką, więc mnie zrozumie... Tak naprawdę to nie mam żadnej

przyjaciółki. Moje znajome to idiotki, a panią od razu polubiłam, sama nie wiem czemu. Mam do pani zaufanie. Właściwie to nie rozwód mnie martwi. U nas rozwodzi się równie szybko, jak wychodzi za mąż. Złośliwi twierdzą, że bijemy pod tym względem wszystkie rekordy. Pani ma przyjaciela?

Ewa zaprzeczyła ruchem głowy. Oddałaby roczny zarobek, gdyby ktoś mógł jej odpowiedzieć, o co Oldze chodzi. Przeszły do stołu. Olga przygotowała coś na zakąskę. Ewa była głodna, ale nie miała apetytu. Przez cały czas była spięta, a przed oczami miała ciągle widok sinej twarzy padającej na podłogę łazienki sprzedawczyni. Przegryzła co nieco i wypila szklankę wody, by się trochę uspokoić.

Czy nie spytać Olgi wprost o co jej chodzi? Już miała ochotę postawić to pytanie i skończyć z tym wszystkim.

— Prawdę mówiąc — zaczęła Rosjanka — nie kocham mojego męża. Gdy go zobaczyłam pierwszy raz, byłam nim oczarowana i zakochałam się. On chyba nie, tak sądzę. Ożenił się ze mną, bo tak wypadło, a nie z miłości. Czulałam się bardzo rozczarowana, gdy zdałam sobie z tego sprawę. Byłam dla niego bardziej przedmiotem niż kobietą. Więc cóż... znalazłam sobie kochanka.

Ewa uśmiechnęła się.

— Pani mnie chyba rozumie? Mówi się, że każda Francuzka ma swojego kochanka. To prawda?

— Nie, nie każda. To fałszywy stereotyp! — odparła Ewa siląc się na uśmiech.

— Załatwimy rozwód... polubownie. Już postanowiliśmy. To tylko formalność... Chciałabym bardzo, aby on był szczęśliwy... Mnie się nie udało, a jemu tym bardziej nie... Chciał mieć dzieci, a ja panicznie bałam się pieluch, nocnego wstawania, płaczu, chorób. Przecież to niewolnictwo! Nie sądzi pani? Pani nie ma nikogo? Dlaczego?

— Tak jakoś wyszło. Niewątpliwie nie spotkałam jeszcze idealnego mężczyzny.

— Taka piękność jak pani?! Mężczyźni pewnie pani nie odstępują!

— Ale rzadko tacy, którzy by mnie pociągali...
— A mój mąż? Co pani o nim sądzi? Jak się pani podoba?
— Nie wiem, jak to określić... Jest przystojny i dosyć sympatyczny.

Ewa naląła sobie wódki i wypila jednym haustem. Zadrżała jej ręka, a butelka ześliznęła się na stół. Usprawiedliwiła się:

— Padam wprost ze zmęczenia... Czas już do łóżka.

— Rozumiem — rzekła Olga wstając także. Odprowadziła ją do drzwi, trzymając pod ramię jak starą przyjaciółkę.

— Chciałam panią o coś prosić, Ewo. Dla mnie to bardzo ważne, ale nie pogniewam się, jeżeli pani odmówi.

Ewa nie próbowała zrozumieć, o co jej chodzi. Nie miała już sił. Patrzyła tylko Oldze prosto w oczy.

— Kiedy była pani u nas na kolacji miesiąc temu, Piotr po pani wyjściu powiedział, że jest pani... czarująca. Nigdy nie wyraził się w ten sposób o żadnej z naszych znajomych. Wywnioskowałam z tego, że mu się pani podoba. Nie wiem, co mu pani powiedziała przed wyjściem, ale sądzę, że byłby szczęśliwy, gdybyście się znów spotkali...

Ewa wiedziała, że Rosjanie potrafią pokrętnie wyrażać swoje rzeczywiste myśli, czekała więc, co będzie dalej.

— Chciałabym... zależałoby mi, żeby... No, rozumie pani?

Ewa wstrzymała oddech. Ta kobieta była nie do zniesienia.

— Pani chce, żebym przespała się z pani mężem. O to chodzi?

— Nie, Ewo, tylko o to, by pani była jego przyjaciółką...

— Chętnie wyświadczyłabym pani tę przysługę — odrzekła chłodno — ale jestem tu obca. Naprawdę nie wiem, jak mogłabym pokazywać się w towarzystwie radzieckiego generała w mojej sytuacji. Nie mam zamiaru wylecieć z roboty!

— Mój mąż jest ważnym człowiekiem! Nie pozwoli pani skrzywdzić. Porozmawiam z nim o tym. Bardzo proszę. Nic pani nie grozi!

— To szaleństwo, Olgo! W tej sprawie nie mogę pani pomóc. Mam nadzieję, że pani nie ma mi tego za złe. Do widzenia.

Olga zamknęła za nią drzwi.

Na ulicy złapał Ewę nerwowy śmiech i szybko opuściło ją napięcie. Sytuacja wydawała jej się groteskowa. Czego to ludzie nie wymyślą! Złapała pierwszą nadjeżdżającą taksówkę.

Dzwonek telefonu wyrwał ją z głębokiego snu, w jaki zapadła natychmiast po położeniu się do łóżka. Była druga w nocy. Rozpoznała głos Piotra. Powiedział, że wraca do Moskwy już jutro. Spytał, gdzie była na kolacji.

— U ciebie. U twojej żony, wyobraź sobie.

— Wszystko poszło dobrze? Co od ciebie chciała?

— Nic takiego. Tylko drobną przysługę.

— Jakiego rodzaju?

— Bym została twoją kochanką.

Wybuchnął śmiechem.

— Nie widzę w tym nic śmiesznego! To szatański pomysł!

— I co jej odpowiedziałeś?

— Że to nie wchodzi w rachubę, oczywiście.

— Jesteś wspaniała! Kocham cię i już chciałbym mieć cię w ramionach. Zatem, do jutra. Spotkamy się na konferencji prasowej u prezydenta. Ja będę tam także.

— Jakiej konferencji?

— Powiadomią o niej jutro rano. Śpij dobrze, gołąbeczko!

Odłożyła słuchawkę. Po chwili głęboko zasnęła.

Siedząc sam w biurze, inspektor Borys Pljucz starał się zrozumieć, co się stało. Śmierć sprzedawczyni przez uduszenie wytrąciła go całkowicie z równowagi. Czuł się za nią odpowiedzialny i całą noc nie mógł zmrużyć oka. Odnalazł ciało osobiście, na drugi dzień. Umówił się z nią o ósmej wieczorem w kawiarni „Buratino”, na Arbacie, ale walcząc z dziwnym przecuciem, postanowił wcześniej zadzwonić. Z takimi kobietami nigdy nic nie wiadomo. Telefon był przez cały czas zajęty. Próbował jeszcze raz zadzwonić z kawiarni, ale bez skutku. Odczekał jeszcze pół godziny, włączył syrenę i „koguta” i pojechał do jej domu. Wyłamał drzwi.

Lekarz sądowy, który mu towarzyszył podczas autopsji aż do trzeciej w nocy, stwierdził w raporcie, że śmierć nastąpiła przez uduszenie, a morderstwa dokonał niewątpliwie mężczyzna. Dziewczyna zmarła w ciągu minuty, gdyż napastnik nacisnął w najsłabszym miejscu tętnicę szyjną tak, jak zrobiłby to specjalista obeznany ze sztuką zabijania. Prawdopodobnie już nie żyła po otrzymaniu zadanego z niezwykłą siłą ciosu w grdykę. Zabójstwa dokonano między godziną osiemnastą a dwudziestą. Pljucz nie znalazł choćby najmniejszego śladu. „Czysta robota” fachowca — szybka i skuteczna.

Nigdy jeszcze w ciągu swojej długiej kariery inspektor nie czuł się tak zdruzgotany. Kim mógł być morderca? Zazdrosny narzeczony? Zboczeniec seksualny? Lekarz nie stwierdził jednak gwałtu? Dawny

„afgańczyk”? Tylko oni znają karate, formalnie zakazane w ZSRR. „Afgańczyk to automatycznie przemytnik, handlarz dewiz i narkotyków. Czyżby dziewczyna była zamieszana w tego rodzaju sprawy? Raczej nie. Miała przecież kontakty z turystami a transakcje z nimi były i korzystniejsze i bezpieczniejsze.

Pljucz zaplątał się w dociekaniach. Nigdy nie miał do czynienia z morderstwem tego rodzaju, a żadne doświadczenie z przeszłości nie przychodziło mu w sukurs. Próbował odtworzyć przypuszczalny przebieg zdarzenia. Dziewczyna wyszła z pracy, a morderca śledził ją aż do powrotu do domu. Wsiadł z nią do windy, później, gdy ona otwierała drzwi, udawał, że szuka jakiegoś numeru mieszkania. Rzucił się na nią, zatkał jej usta dłonią, groził rewolwerem i w końcu uduślił. Ale dlaczego? I po co to przedstawienie — znaleziono ją nagą w łazience. Coś tu nie pasowało. Sprzedawczyni nie miała raczej wrogów. Była może nieco zbyt frywolna. Za to jednak jeszcze nie mordowano, nawet w tym mieście wariatów. W każdym razie nie zrobiłby tego Rosjanin. Prawie wszystkie zabójstwa w Moskwie, a Pljucz wiedział to lepiej niż ktokolwiek inny, zostały dokonane w afekcie lub pod wpływem alkoholu. Zawsze znajdowano jakieś ślady, odciski, krew, świadków, którzy słyszeli hałas, widzieli postać zabójcy... A tu nie! Przed wejściem do biura wydał dyspozycję swoim najlepszym inspektorom, ale zrobił to bez przekonania i nadziei na sukces. Dla niego jedna rzecz była już oczywista: zabójstwo dziewczyny łączyło się z „jego” sprawą. W jaki sposób? To właśnie musiał wyjaśnić.

Od czasu, gdy przyjaciel z KGB opowiedział mu o Ewie Dumoulin, zainteresował się nią, sam nie bardzo wiedząc dlaczego. Być może intuicyjnie, a być może z powodu dołeczka w brodzie. Jej przyjazd do Moskwy pokrywał się z datą napadu i zabójstwa Sokołowa. Chciał nawet przeszukać mieszkanie Ewy pod jej nieobecność, ale przestraszył go skomplikowany system alarmowy przy drzwiach. Prosił o

założenie podsłuchu telefonicznego, ale okazało się, że już był założony. Sprzedawczyni „pilnowała” trzy dni z rzędu jej mieszkania i biura, a czwartego dnia, gdy rozpoznała futro, została zamordowana...

W restauracyjnej szatni oglądała razem z nim naszywkę futra, i bez wątplenia rozpoznała je. Obserwowali cudzoziemkę, ale nie miała ona dołączka w brodzie. Kelner prosił do telefonu Martine Dumoulin. Sprzedawczyni była pewna, że to jej niedawna klientka, ale Pljucz miał wątpliwości. Przyjaciół z KGB umożliwił mu przeglądnięcie kartoteki Ewy Dumoulin. Martine nie była dziewczyną ze zdjęcia w kartotece. Wyszedł z restauracji „U Piotra” niezbyt zadowolony i dopiero później zadzwonił do Nataszy, umawiając się na spotkanie o dwudziestej.

Całe popołudnie myślał, dlaczego pomyliła ją z Ewą. Dowiedział się, że Dumoulin wróciła dzień wcześniej. Skąd? Tajemnica. Hotel w Leningradzie opuściła 26 stycznia. Później nie było po niej śladu. Kiedy odnalazł jej adres w kartotece, nie myślał zrezygnować z takiej okazji. Czy była z Karstowem w Azerbejdżanie, gdzie żaden dziennikarz zagraniczny nie miał wstępu? Co wieczór chodził na ulicę Czechowa, by sprawdzić, czy już wróciła. 31 zobaczył światła w oknie i od razu kazał Nataszy śledzić w porze obiadowej biuro agencji. Miała natychmiast zadzwonić, gdyby rozpoznała swoją klientkę. Około wpół do pierwszej Natasza zadzwoniła uradowana, że dziewczyna, której sprzedała futro właśnie wchodzi do restauracji „U Piotra” na Arbacie. Idzie więc za nią. Pljucz nie zdążył przekazać żadnych wskazówek, bo już odłożyła słuchawkę. Zbiegł do samochodu i pojechał pod wskazany adres.

Dlaczego Ewa pożyczyła swoje futro tej Martine? Dlaczego to ją wzywano do telefonu pod nazwiskiem Dumoulin? Pljucz zadzwonił z biura jeszcze raz do restauracji, by porozmawiać z kelnerem, który odbierał telefon. Przysięgał on, że dzwonił mężczyzna, o niskim głosie, mówiący źle po rosyjsku, z niemieckim akcentem. Był tego pewien.

Pljucz czuł się bezradny. Ta historia przekraczała jego siły. Już chciał się poddać. W miarę jak posuwał się naprzód, miał wrażenie, że wchodzi w nie znany mu wcześniej świat, świat mu wrogi. Ale ta dziewczyna, ta tajemnicza historia z Karstowem — z samym Piotrem Karstowem! — fascynowała go. Może nie miała ona nic wspólnego z zegarkiem? Nachodziły go wątpliwości, był przecież amatorem, nowicjuszem w szpiegowskim fachu. Po co dalej brnąć w sprawy, na których się nie znał? Po komisariacie krążyła pogłoska, że Borys Pljucz jest na tropie „tajemniczej sprawy”. Na „Pietrowce” również zaczęto plotkować na jego temat. Bynajmniej tym się jednak nie przejmował.

Męczyło go tylko jedno pytanie: czy to naprawdę zbieg okoliczności... Ta piękna istota przybywa do Moskwy 26 grudnia i wtedy ginie Sokołow. Ewa Dumoulin wraca z Leningradu i zamordowano sprzedawczynię Nataszę.

Jeżeli Ewa Dumoulin jest szpiegiem, musiała bez kłopotu zauważyć nieporadne śledzenie jej przez sprzedawczynię. Musiała widzieć ją z okna. Dała swój płaszcz Martine, by zmylić Nataszę. Po to także wysłała Belgijkę do restauracji... Później wystarczyło, że zadzwoniła do kogoś z siatki współpracowników z poleceniem, by zlikwidował sprzedawczynię. Jeżeli była szpiegiem, musiała przejść pełny cykl szkoleniowy, w tym i ćwiczenia walki wręcz. Lekarz stwierdził, że zabójca musiał znać elementy sztuki zabijania! Mężczyzna, ale nie kobieta...

Gdyby to było normalne śledztwo, przesłuchałyby młodą dziennikarkę o imieniu Martine i poprosił o rozkład zajęć Ewy między godziną 19 a 20. Ale nie było to normalne śledztwo. Publikacja wywiadu z przywódcą tajnej organizacji Ahmedem Chanem przez „Newsweek” spowodowała wprowadzenie pewnych ograniczeń, ale i tak dziennikarze zagraniczni mieli jeszcze prawie tyle swobody co dyplomaci. Cenzura wojskowa również została zawieszona po dwóch tygodniach. Inspektor Pljucz musiałby przedstawić jakieś wyjątkowo ważne powody,

by uzyskać zgodę „Pietrowki” na wszczęcie normalnego śledztwa. On tymczasem nie miał żadnych dowodów, prócz rzeczywiście niezwykłych splotów okoliczności, i prokurator Moskwy również nie wyraziłby zgody na przesłuchanie zagranicznej dziennikarki. Poza tym wszystkie sprawy dotyczące cudzoziemców powinny być natychmiast przekazane KGB. Musiałby powiedzieć im wszystko to, co wiedział. Z pewnością oskarżyliby go o zaniedbanie i o pośrednie spowodowanie śmierci Nataszy. On, słynny inspektor Pljucz, musiałby odejść na emeryturę tylnymi drzwiami, po trzydziestu latach wyjątkowej służby! Nigdy! Był więc skazany na samotne poszukiwanie wyjścia z labiryntu, w który sam się wplątał.

Stracił właśnie swojego koronnego świadka. Pozostał mu tylko Aleksander... Zadzwoił do niego i umówił się na spotkanie w zwykłym miejscu, w kawiarni Wysockiego w teatrze „Na Tagance” o piętnastej.

Ewa obudziła się z bólem głowy. Z trudem dotarła do łazienki i długo stała pod prysznicem. Po kąpeli poczuła się wyraźnie lepiej. W nocy już nie męczyły jej koszmarne sny. Czyżby całkowicie przeistoczyła się w Ewę? Stała przed lustrem i zobaczyła w nim kogoś obcego. Poczula jakby ukłucie serca. Przygotowując mocną kawę, próbowała przeanalizować swoją sytuację. Była ona dwuznaczna. Miała w rękę Karstowa, ale pozwoliła się zdemaskować. Prędzej czy później zostanie ujęta. Chyba, że szybko rozprawi się z facetem, który depta jej po piętach. Wkrótce dowie się, kto to jest i wtedy zastanowi się, co robić dalej?

Mężczyzna z wołgi interesował się nią. Będzie próbował przesukać jej mieszkanie. Jedyne ślad, jaki znajdzie, to mogą być sportowe buty, których odciski być może znalazł na podłodze w mieszkaniu Nataszy. Miała ich trzy pary, więc musi wyrzucić te, które miała wczoraj na sobie.

Dopijając kawę, pomyślała o Piotrze, który dziś jeszcze miał wrócić do Moskwy. Obiecała zjeść kolację z Martine i Pią wiec zobaczy go dopiero po północy. Rozmowa z Olgą, mimo niezbyt przyjemnego przebiegu, dowiodła, że Piotr kocha ją naprawdę. Nie może przyjąć tego obojętnie. W głębi duszy odczuwała typowo kobiecą dumę z tego, że udało jej się uwieść mężczyznę, powszechnie uważanego za nieprzystępnego. Wkrótce będzie mogła przejść do następnego, wyższego stadium swojej misji...

W agencji zajęła się artykułem o perspektywach gospodarki radzieckiej, a później udała się na czwarte piętro, by zobaczyć jak przebiega montaż urządzeń do przekazu telewizyjnego. Za miesiąc Europejska Agencja Prasowa będzie mogła przekazywać informacje audiowizualne. Ewa musi zapoznać się z technikami reportażu telewizyjnego. Jako szef biura będzie odpowiedzialna za większość przekazów i komentarzy, będzie dobierać tematy, ekipy, sprawdzać montaż. Ponieważ wszystkie artykuły i wywiady będą pisane lub nagrywane po angielsku i automatycznie tłumaczone na francuski, Ewa będzie musiała przed przesłaniem ich na zachód sprawdzić obie wersje. Będzie z tym tyle pracy, że niewiele czasu pozostanie jej na prowadzenie swojej misji. Nagle zdała sobie sprawę z faktu, że prowadzenie podwójnego życia nie będzie wcale proste. Ogarnął ją strach. W razie nieobecności może ją przecież zastąpić Dawid Rosen. Był kiedyś dziennikarzem BBC...

Uspokoila się i zeszła do swojego biura.

Od czasu do czasu spoglądała przez okno. Spotkanie zespołu zakończyła po siedmiu minutach. Najważniejsze wydarzenie dnia — konferencja prasowa Gorszkowa odbędzie się o piętnastej i Ewa zdecydowała pójść na nią osobiście.

Przeczytała raz jeszcze artykuł przed wysłaniem go telefaksem i zadzwoniła do Olgi.

— Dzień dobry, Olgo! Mówi Ewa. Dziękuję za wczorajszy wieczór. Mogłybyśmy jutro zjeść razem obiad?

— Ewa! Tak się cieszę, że pani zadzwoniła. Co za niespodzianka! Jutro? Już jestem umówiona, ale chętnie odwołam. Gdzie się spotkamy? Chociaż nie... Ja się tym zajmę i zadzwonię do pani, do domu, jutro rano, lub dziś wieczorem. Proszę mi podać numer telefonu domowego, bo nie zapisałam.

Ewa podyktowała swój numer.

— Idę na konferencję prasową Gorszkowa, więc proszę raczej dzwonić jutro do biura. Dobrze? Całuję! Do jutra!

Odłożyła słuchawkę, wstała i podeszła do okna. Wszedł Dawid. Nie odwracając się Ewa powiedziała:

— Co za wstrętna pogoda!

— Postanowiłem też pójść na konferencję — powiedział aroganckim tonem Anglik.

Ewa podeszła do biurka i spojrzała mu prosto w twarz. Dawid zrobił ruch, jakby chciał odejść, lecz ona krzyknęła:

— Panie Rosen!

Podeszła do drzwi, zamknęła je i stanowczym gestem wskazała mu krzesło. Usiadła nie spuszczając z niego wzroku. Dawid udawał, że nie wie, o co chodzi, ale na jego twarzy widać było niepewność.

— Panie Rosen, zanim nie przyjdzie nowe zarządzenie, tym biurem kieruję ja. Jeżeli to ci nie odpowiada, to mogę przyjąć twoją rezygnację już w tej chwili. Gdy zaś dalej będziesz udawał głupiego, w ciągu tygodnia spowoduję twoje odwołanie. Jasne?

Dawid milczał.

— A teraz spływaj — rzekła chłodnym tonem. — I nie wchodź mi tu więcej bez pukania.

Dawid wstał i nic nie mówiąc wyszedł. Ewa nie żałowała, że tak brutalnie przywołała go do porządku. Umocni to jej pozycję w oczach wszystkich pracowników agencji. Specjalnie mówiła głośno, by wszyscy słyszeli. Rosena nikt zresztą nie lubił. Ewa zaś, nie wiedząc dlaczego, starała się go unikać.

Po wyładowaniu całej złości na Anglika, Ewa zaczęła myśleć o człowieku z wołgi. Będzie ją śledził sam, czy też zleci to komuś?

Oczywiście, nie mogła prosić o rozszyfrowanie kim on jest ani Piotra, ani swojego nie znanego pomocnika w Moskwie, do którego miała dzwonić tylko w razie niebezpieczeństwa. Postanowiła przyjrzeć się jego zachowaniu i ustalić, dla jakich służb pracuje — KGB, milicji, wywiadu wojskowego?

Zadecydowała, że zamiast na obiad pójdzie na długi spacer. Zobaczy, czy ktoś ją śledzi. Była 12¹⁰. Przeszła przez pokój Bruna.

— Wrócę po konferencji — powiedziała. — Przygotuję notatkę później.

Ewa poszła w kierunku placu Czerwonego. Pokręciła się z dwadzieścia minut wokół Kremla i stwierdziwszy, że nikt jej nie śledzi skrzyłała w kierunku Arbatu, przyglądając się wszystkim czarnym wołgom. Żadna nie miała „koguta”. Weszła do McDonalda i szybko zjadła hamburgera zamiast obiadu. Nikt jej nie śledził. Spacerowała więc dalej i dopiero około czternastej znalazła się ponownie pod Kremlem.

Miała wejść tam po raz pierwszy, ale знаła dokładnie każdy szczegół tej budowli z materiałów poznanych podczas treningu. Mogłaby być przewodnikiem po tym gmachu i cytować Lermontowa: „Nie można opisać ani Kremla, ani jego koronkowych murów, ani spowitych w ciemności przejść, ani przepysznych pałaców. Trzeba czuć to wszystko, co podpowiadają one sercu i wyobraźni.” Znała także słynne rosyjskie powiedzenie: „Nad Moskwą króluje Kreml, a nad Kremlem już tylko niebo”.

Kreml, zbudowany na skalistym zboczu, rzeczywiście góruje nad Moskwą. Jest sercem tego miasta. Wchodzące w jego skład budynki, wznoszone w różnym czasie, niejednolite w stylu, są naprawdę piękne. Za tymi pełnymi tajemnic murami rozgrywały się okrutne i krwawe wydarzenia, jakich nie brakowało w historii Rosji. W 1918 roku Kreml został wybrany na siedzibę rządu radzieckiego.

Dwa lata temu zezwolono sportowcom trenować biegi wokół Kremla. Ewa często korzystała z tej możliwości. Każde okrążenie liczyło dwa i pół kilometra.

Ewa wmieszała się w tłum dziennikarzy, którzy w liczbie około czterystu wchodzili przez niedostępną dla turystów Bramę Troicką, znajdującą się po drugiej stronie mauzoleum Lenina. Podziwiała wspaniały ogród Aleksandrowski. Przy każdych drzwiach dokładnie sprawdzano wchodzących, zanim wpuszczono ich do Sali Georgijewskiej, największej i najpiękniejszej, gdzie zazwyczaj urządzano tylko przyjęcia dyplomatyczne. Dziennikarze, niespokojni i podekscytowani, w głośnym zgłębku zajmowali swoje miejsca. Powtarzano plotki, że Gorskow ogłosi kolejne zawieszenie pierestrojki, że zawiesi wielopartyjność, gdyż powoduje ona jedynie wzrost anarchii, że wypowie błyskawiczną wojnę Iranowi, który podburza Azerbejdżan, że wyśle do Polski czołgi, gdyż jej nowy rząd postanowił ostatecznie wycofać się z Układu Warszawskiego, w ciągu najbliższych miesięcy. Zanosilo się tam na wojnę domową, gdyż w grudniu 1993 roku komuniści i neostalinowcy usiłowali dokonać zamachu stanu po przegranych kolejnych wyborach.

Plotkowano także o stu dwudziestu tysiącach żołnierzy radzieckich wciąż — pomimo wcześniejszych zobowiązań — stacjonujących w Niemczech i o trudnościach z ich wycofaniem. Czy Gorskow wyrazi zgodę na odłączenie się republik muzułmańskich, jak zgodził się, z ciężkim sercem i w sytuacji bez wyjścia, na odłączenie republik nadbałtyckich w 1991 roku? Ewie udało się zdobyć miejsce w pierwszym rządzie. Nie знаła nikogo z obecnych, paru zapamiętała z widzenia. Sąsiad z prawej strony przedstawił się: Iwan Jegorow, redaktor naczelny „Prawdy”, osobisty przyjaciel Gorskowa. Dał jej wizytówkę a ona mu swoją.

— Ach, to pani jest nową szefową EAP! Witamy w Moskwie!

Uśmiechnął się szarmancko.

— To teraz moda na młode i piękne szefowe? Bardzo mnie to cieszy!

Miał około pięćdziesiątki i wyglądał jak playboy. Na dźwięk dzwonka zaległa cisza. Do sali weszli członkowie rządu, a dwie minuty później sam Gorskow, prowadzony przez Piotra Karstowa.

Wszyscy obecni wstali. Piotr spojrział na Ewę, ale nie zmienił poważnego wyrazu twarzy. Gorskow usiadł i dał znak dziennikarzom, że mogą zrobić to także. Na jego twarzy widać było napięcie i sztucznie wymuszony uśmiech.

Krótko przedstawił sytuację w kraju, kładąc nacisk na osiągnięcia ekonomiczne, które wkrótce dadzą się odczuć na rynku i przeszedł do spraw politycznych, na które wszyscy oczekiwali.

Ewa notowała nie podnosząc głowy. Przenosiła na papier słowa Gorskowa: „Rozprawimy się z terroryzmem. Podjęliśmy niezbędne działania, by skończyć z falą zbrodni, jaka przewala się przez naszą stolicę. Odpowiedzialni za nie, popierani przez zagranicę, zostaną zatrzymani i postawieni przed sądem... Nie będzie niepodległego Azerbejdżanu! Możemy zgodzić się jedynie na autonomię w ramach zakrojonej na szeroką skalę reformy decentralizacyjnej...”

Słowa Gorskowa wyrażały zdecydowanie i groźbę. Zrobił krótką przerwę, wypił łyk wody i gestem ręki poprosił o zadawanie pytań.

Wstał korespondent amerykańskiej sieci CBS i poprosił o wyjaśnienie sytuacji w Polsce.

— Nie powiedział pan ani słowa o Polsce. Było to przeoczenie z pana strony, czy też woli pan, by przemówiły raczej czołgi?

— Pańscy przyjaciele z CIA źle pana poinformowali. Tak przypuszczam — odpowiedział prezydent.

Na sali rozległ się tchórzliwy śmiech, ale Amerykanin nie dał za wygraną:

— Jestem dziennikarzem, a nie agentem CIA. U nas w Ameryce oba te zawody jakoś nie dają się pogodzić. A mówiąc poważnie, panie prezydencie, nie mam ochoty na śmiech, gdy ryzyko rozjeżdżania przez wasze czołgi niewinnych ludzi rośnie z dnia na dzień. Przecież to jawny nawrót doktryny Breżniewa, Budapesztu 1956 i Pragi 1968!

Gorskow, wściekły za takie porównanie, wyzwał go od ignoranców i arogantów.

— Myślę i mam nadzieję, że tego rodzaju pomoc nie będzie potrzebna. Nasza polityka zmierza do nie mieszania się w sprawy obcych państw. Ale nie możemy obojętnie patrzeć na to, co dzieje się obok nas. Polsce grozi wybuch wojny domowej. Jeżeli nowy rząd polski, wybrany demokratycznie i uznany przez nas za legalny, nie zechce wywiązać się z podpisanych układów i nie będzie w stanie opanować anarchii i chaosu, będziemy zmuszeni dotrzymać naszych zobowiązań. Pierestrojka i głośność' w żadnym wypadku nie oznaczają anarchii...

Zapanowała głęboka cisza. Ewa miała ochotę zadać tylko jedno pytanie: dlaczego wasze wojska siedzą we wschodnich Niemczech, kiedy Amerykanie wycofali już prawie trzy czwarte swoich sił z Europy? Ale nie odważyła się. Powstrzymało ją spojrzenie Piotra Karstowa. Poza tym konferencja była transmitowana na żywo, nie chciała zwracać na siebie uwagi kamerzystów.

Dalsza część konferencji toczyła się już głównie wokół Polski. Terroryzm przesunął się na drugi plan. Ewa, jak większość dziennikarzy, rozumiała, że ewentualną akcję przeciwko Polsce poprowadzi Piotr Karstow. Jego obecności nie można było wytłumaczyć inaczej. To, co mogło być dramatem dla Polski, dla niej było darem niebios: mogła rozpocząć „wyższe stadium” swojej misji. Około siedemnastej Gorskow zakończył konferencję. Ewa jeszcze raz popatrzyła na Karstowa i od razu wyszła.

Po powrocie do agencji napisała krótką depezę i długi, czterostronicowy artykuł poświęcony najnowszym wydarzeniom. Przed wysłaniem pokazała go Brunowi.

— To najlepszy tekst, jaki czytałem o tym nikczemnym kraju i jego umiłowanym liderze! — zachwycał się Bruno.

Podziękowała mu z uśmiechem. Zawołała Martine i Pię i umówiła się z nimi u siebie w domu o ósmej wieczorem.

Godzinę później była już w „Hiltonie”, na sali gimnastycznej. Przez moment wydawało jej się, że ktoś ją obserwuje. W olbrzymim lustrze, wśród gapiących się mężczyzn dostrzegła trzydziestolatka, który nieudolnie usiłował ją śledzić. Podszedł do niego inny, dużo starszy, siwowłosy i szepnął mu coś do ucha. Ewa rozpoznała natychmiast „mężczyznę z wołgi”. Serce zabiło jej mocno, ale ćwiczyła dalej, jak gdyby nigdy nic. Była więc śledzona po wyjściu z agencji i nawet o tym nie wiedziała... Kątem oka zauważyła, że „mężczyzna z wołgi” wyszedł i zniknął. Drugi stał ciągle w tym samym miejscu. Młody i przystojny moskwianin prowadzący gimnastykę przechadzał się między ćwiczącymi niemal kobiecym krokiem i ściszym głosem udzielał wskazówek. Zatrzymał się obok Ewy, nachylił i szepnął jej do ucha:

— Patrzeć na panią to prawdziwa przyjemność!

Podziękowała mu wzrokiem i przeszła na basen. Zostawiła swoją torbę w widocznym miejscu i skoczyła do wody. Młody człowiek zniknął...

Przepląnęła 1000 metrów nie wychodząc z wody. Później wzięła prysznic, nie tracąc z oczu torby. Gdy wychodziła, młody człowiek stał przy wejściu. Przeszła obok niego i wsiadła do taksówki stojącej przed hotelem. W domu była o 19³⁰. Nie zauważyła żadnej wołgi, która by za nią jechała. Jeżeli nie została zatrzymana, to mogło to oznaczać tylko jedno: nie miano przeciwko niej żadnych dowodów. Chyba, że śledzący ją czeka, aż zacznie popełniać błędy. Ale właściwie, co go interesuje? Związek z Karstowem, zegarek, zabójstwa, które popełniła, czy też inna sprawa, o której nie wie? Nie mogła się w tym wszystkim połąpać.

W końcu zadzwonił Piotr.

Rozmowa była krótka: przyjdzie dokładnie o północy. Wyjęła adidasy i za pomocą żyłki i pilnika zmieniła kształt rowków ich podszew, potarła nimi o podłogę w łazience, pozbiierała dokładnie wszystkie skrawki gumy i wrzuciła je do muszli. Spuściła wodę, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Weszła Martine.

— Wyglądasz wspaniale! — zawołała Ewa.

— A ty wprost cudownie! Zarezerwowałam stolik w „Hawanie” przy Prospekcie Lenina. Nieźle tam karmią, zobaczysz. Pia przyjdzie trochę później.

Wyszły razem i Ewa natychmiast zobaczyła po drugiej stronie ulicy młodego Rosjanina, tak zresztą jak się tego spodziewała. Udawał, że szuka adresu. „Jeszcze jeden amator” — pomyślała Ewa. BMW Martine stał obok budynku.

Z ulicy Czechowa Martine wjechała w Twerskiej Bulwar. Ewa miała ochotę poprosić ją, pod pretekstem, że czegoś zapomniała, by zawrócić, ale dała sobie spokój. W końcu postanowiła spędzić wieczór normalnie. Nagle przyszło jej na myśl, by spytać:

— Jesteś tu już dwa lata. Nie widziałaś czasami czarnej wołgi z „kogutem” na dachu?

— To zdaje się samochód tego rosyjskiego Maigreta... Pisywali o nim w gazetach. Wiem, że on miał taki samochód. Dlaczego pytasz?

— Ot, tak! Z ciekawości. Mignął, mi gdzieś wczoraj, więc pomyślałam, że nomenklatura wywalczyła sobie nowy przywilej, by łatwiej poruszać się po Moskwie.

Obie wybuchnęły śmiechem.

— A jak ten „Maigret” się nazywa? — ciągnęła Ewa. — Może warto by o nim napisać jakiś artykułik...

— Borys. Mówią o nim inspektor Borys. Wszyscy go tu znają. Jest szefem komisariatu przy ulicy 1 Maja. Chętnie napiszę o nim artykuł. To byłoby ciekawe spotkać prawdziwego ruskiego gliniarza!

— Pomówimy jeszcze o tym.

Martine spytała o zajście z Dawidem.

— Posunął się za daleko. Musiałam go przywołać do porządku. To tyle.

— Myślę, że był zaskoczony. Nie odezwał się ani słowem przez cały dzień. Bruno pokazał mu twój artykuł. Nie chciał czytać, ale myślę, że gdy został sam, przeczytał go mimo wszystko.

Roześmiała się.

- Mnie się podobał. Bardzo!
- Miła jesteś.

Atmosfera w restauracji była wesoła i miła. Kilku muzyków jazzowych grało rytmiczną muzykę afrokubańską. Wejście dwóch kobiet nie mogło ująć uwadze gości. Wszystkie spojrzenia skierowały się na nie. Ewa poprosiła o stół w głębi sali. Wybrała miejsce, z którego mogła obserwować wejście, nie będąc widzianą. Martine wybrała specjalność kuchni: smażone krewetki i kurczaka w sosie kubańskim. Ewa zamówiła pastę z krewetek i homara. W czasie kolacji rozmawiały o konferencji prasowej i o sytuacji w Polsce. Czyżby naprawdę zanosiło się na powrót breżniewizmu w jego najsurowszej postaci, jak napisała Ewa?

- Nie można mieć żadnych wątpliwości — zapewniała Ewa.
- A jak zareagują rządy zachodnie?

Ewa popatrzyła na nią:

— Zachód? Ależ Zachód nie istnieje! To słowo nie ma żadnego znaczenia. Są Amerykanie i, albo Anglicy, albo Francuzi. Będzie parę formalnych protestów i tyle. Europy to nie obchodzi, Amerykanie wycofali swoich chłopców z Europy, NATO dogorywa, zjednoczone Niemcy we „wspólnym domu” zaczynają budować nową oś Berlin—Moskwa, tradycyjne ideologie zamierają, ustępując miejsca prawicowym ekstremistom. Patrz, jak szybko neonaziści i stalinowcy zdobywają poparcie, zwłaszcza tu, we Francji i w Niemczech...

- Nie jesteś zbyt pesymistycznie nastawiona?
- Być może. Zobaczmy za kilka tygodni, czy się myliłam.

W tym momencie do restauracji wszedł młody Rosjanin w towarzystwie dziewczyny, prawdopodobnie cudzoziemki. Usiedli niedaleko nich, po czym on wstał i podszedł do telefonu. Szybko jednak wrócił i usiadł przy stoliku.

Ewa zrozumiała, że powiadomił swojego szefa. Był nim rosyjski Maigret? Miała więc do czynienia z milicją, a nie z KGB. Była niemalże szczęśliwa z tego powodu. Wszystko stało się jasne: nieudolne próby śledzenia jej, korzystanie z usług amatorów. Ale jak udało się im dojść tak daleko? Obecność nieznanego niepokoiła Ewę, ale starała się tego nie zdradzać. Prowadziła rozmowę o życiu codziennym, o Moskwie, ale myślami była gdzie indziej. Inspektor Borys prawdopodobnie przeszukuje teraz jej mieszkanie. Czy odważy się ruszyć jej system alarmowy, bardzo nowoczesny i skuteczny? Przekona się po powrocie.

Przykleiła włos u dołu drzwi a także na szufladach biurka. Przyglądała się młodemu Rosjaninowi i zastanawiała się, czy nie jest to jeden z tych, którzy ją napadli zaraz po przyjeździe do Moskwy. To przez nich zaczęło się jej nieszczęście... Współpracował z milicją, bo go szantażowali. Pomagał im przy sporządzaniu portretu pamięciowego, ale jego informacje nie mogły być szczegółowe. Zaczynała coraz bardziej rozumieć całą sytuację. Nie miała ochoty wracać do domu. Martine spytała, czy źle się poczuła.

— Trochę boli mnie żołądek. Chyba homar nie był świeży. Lepiej będzie, jak już pójdę.

— Pia powinna tu być lada moment. Co zrobimy...?

— Zostań proszę. Wezmę taksówkę, naprawdę źle się czuję.

— Nie ma mowy! Zadzwoń do Pii.

Wstała i podeszła do telefonu. Ewa zawiadła kelnera i poprosiła o rachunek. Zapłaciła w dolarach, zostawiając mu sowity napiwek. Proponował jeszcze kieliszek koniaku.

— Następnym razem. Dziękuję bardzo.

Wyszły razem. Zbliżała się północ i Martine zaproponowała, że ją odwiezie. Pożegnały się przed domem. Ewa ucałowała Martine i poczekała, aż samochód zniknie za rogiem ulicy. Rozejrzała się ostrożnie na wszystkie strony. Rosjanina nie było. Wchodząc do mieszkania, stwierdziła, że włos, który przykleiła do drzwi, był przesunięty o pół centymetra. Natomiast na szufladach pozostał nietknięty.

„Nie udało mu się wejść” — pomyślała. Wyjęła z kieszeni spodni cukierek” i obejrzała całe mieszkanie. Nic. Mikrofonów nie było. Rozebrała się i włożyła koszulę nocną. Dokładnie o północy usłyszała trzy krótkie pukania do drzwi. Otworzyła. Piotr Karstow wszedł bez słowa. Wyglądał na zmęczonego. Rzucił się w ubraniu na kanapę i wciąż nic nie mówił. Ewa odczekała chwilę. Zdecydowała się przerwać milczenie:

— Jedziesz do Polski? — szepnęła.

Skinął twierdząco głową.

— Jadłeś coś? — spytała cicho. Podeszła do Piotra i wzięła go za rękę. Spojrzał na nią i wziął ją w ramiona. Przez długą chwilę trwali w uścisku. Ewa łagodnie uwolniła się z niego.

— Napijesz się czegoś?

Nagle poruszył się i niespodziewanie ożywił.

— Przypominasz sobie, jak mówiłaś mi wtedy o kochanku Olgi?

Ewa spojrzała na niego zdziwiona.

— Nie — odparła. — Mówiłam ci już, że widzenie trwa krótko. Wtedy mówię, co widzę i natychmiast zapominam. Na szczęście dla mnie.

— No tak. Ale wyobraź sobie, Ewuniu, że facet, o którym mówiłaś, pasuje jak ulał do mojego największego wroga, szefa KGB — Truszenki.

Ewa wstała nagle i zaczęła chodzić po pokoju z poważną miną.

— Wyjedźmy gdzieś na weekend, chcę być z tobą sama.

— W ten weekend będę już w Polsce! Masz informację z pierwszej ręki!

Ewa milczała.

— Kiedy wyjeżdżasz?

— W środę wieczorem. Nie pisz o tym przed czwartkiem rano.

— Ja nie kocham się z tobą, Piotrze, ze względów zawodowych. Miałabym co pisać o Azerbejdżanie, a przecież nie napisałam ani słowa. To, co powiedziałeś, nie było dla mnie nowiną. Po południu

napisałam dokładnie to samo w artykule na temat konferencji. Stwierdziłam nawet, że najbliższy weekend będzie „czarnym weekendem” dla Polski!

Piotr podszedł i wziął ją w ramiona.

— Nie gniewaj się najdroższa. Wybacz mi. Padam ze zmęczenia. W politbiurze przeszedłem straszliwe godziny. Nie zgadzam się z tą interwencją i starałem się przekonać ich wszystkimi sposobami. Ale muszę słuchać rozkazów.

Ewa wyswobodziła się z jego rąk i zaczęła chodzić po pokoju.

— Zostanę tu na noc — powiedział Piotr.

— Będę mogła odwiedzić cię w Polsce?

— Czytasz w moich myślach. Chciałem ci to później zaproponować...

Podszedł do niej i gwałtownie przytulił. Całując ją w szyję szeptał:

— Ewo, nie mogę żyć bez ciebie. Kocham cię i...

Pocałowała go w usta, a on wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Rozbierała go, patrząc mu w oczy. Był jak zahipnotyzowany. Chciał ją wziąć od razu, ale delikatnie go odepchnęła.

— Piotr... sądzę, że jestem w ciąży...

Gdy nazajutrz około dziewiątej przyszła do agencji, wszyscy od razu zauważyli, że jest bardzo zadowolona. Noc z Piotrem była wyjątkowo udana. Wyszedł tuż po szóstej. Rano przed domem nie zauważyła niczego podejrzanego. Ustalili, że on jeszcze dziś wieczór lub jutro rano odleci do Warszawy i zatrzyma się w hotelu „Merkury”, a stamtąd skontaktuje się z nią jak najszybciej.

Zamówiła przez telefon miejsce w samolocie „Air France” z Moskwy do Paryża na godzinę 12³⁰. Zadzwoniła do Olgi, żeby zmienić termin obiadu na inny dzień, już po powrocie z Paryża, i wezwała

Dawida. Po jego minie zorientowała się, że musiał spędzić huczną i mocno podlaną alkoholem noc.

Wyjaśniła mu, że została wezwana do Brukseli w pilnej i „poufnej” sprawie. W czasie jej nieobecności on powinien zająć się agencją i przyjąć ekipę telewizyjną, która ma przyjechać jutro. Wyszła o 9⁵⁰ tuż po posiedzeniu zespołu redakcyjnego. Złapała taksówkę.

— Ulica Dobryninskaja 7, proszę.

Nikt jej nie śledził. Jednak gdy wychodziła z taksówki, dwadzieścia metrów od biura „Air France”, zauważyła wołgę inspektora okrążającą plac i kierującą się w stronę ulicy Piatnickiej. Jak udało mu się wpaść na jej ślad? Nie było innego wytłumaczenia: telefon agencji był na podsłuchu.

Ewa weszła do biura „Air France” i zapłaciła za bilet kartą kredytową „American Express-Gold”. Była 10³⁰. Musiała wrócić do domu, wsiąść do samochodu i pędzić na lotnisko. Dobrze, że już włożyła walizkę i torbę podróżną do bagażnika. Nie miała zbyt dużo czasu. Poszła w kierunku placu Oktjabrskaja. Rozglądając się dyskretnie dookoła, uspokoiła się. Złapała za rogiem taksówkę i już po dziesięciu minutach była pod domem. Wchodząc na podwórze omal nie krzyknęła. Znajomy Rosjanin grzebał pod maską samochodu udając, że coś naprawia. Zdążyła się wycofać, ale serce waliło jej z całych sił. Na ulicy zaczęła biec w kierunku placu Puszkina. Musiała natychmiast podjąć jakąś decyzję. Nie mogła teraz popełnić najmniejszego błędu. Wziąć taksówkę i wyjechać? Bez bagaży, nie da rady. Nagle zobaczyła, że Rosjanin wyszedł na ulicę i idzie w jej kierunku. Wmieszała się w grupkę niemieckich turystów. Nadjechała wołga Borysa i zatrzymała się obok Rosjanina. Zamienili parę słów. Rosjanin wrócił pod drzwi jej budynku. Czowała, jak wzbiera w niej wściekłość. Miała ochotę zabić go przy wszystkich. Traciła zmysły. Podeszła do kabiny telefonicznej po drugiej stronie placu. Wybrała numer i po trzecim sygnale wywołania odłożyła słuchawkę. Zadzwoiła raz jeszcze. Po czwartym dzwonku usłyszała w słuchawce męski głos. Poprosiła Igora.

— To nie ten numer — usłyszała.

Odłożyła słuchawkę i wyszła spokojnym krokiem. Pozostało jej teraz tylko czekać.

Po dziesięciu minutach przed jej domem zatrzymał się samochód. Mężczyzna w ciemnych okularach i w mundurze KGB, wyjął z kieszeni kartkę i wszedł do budynku. Ewa wzięła taksówkę i podjechała pod dom. Poprosiła taksówkarza, by zaczekał na nią chwileczkę i weszła na podwórze. Rosjanin ruszył za nią. W tej samej chwili wyszedł z budynku mężczyzna w okularach i, nie zwracając uwagi na Rosjanina, spytał Ewę, czy mogłaby mu pomóc. Szukał niejakiego Złotowa, który gdzieś tu mieszkał. Podał jej kartkę. Widząc to Rosjanin udał, że pomylił adres i odszedł. Ewa zamieniła kartki. Mężczyzna przeczytał: „metoda Müllera, natychmiast”. Nie zwlekając, Ewa wzięła bagaże i wsiadła do taksówki. Jeszcze zdąży na samolot.

Pierwszy raz miała fizyczny „kontakt” ze swoim pomocnikiem. „Nie wzywaj go, dopóki nie będziesz w poważnym niebezpieczeństwie. Wtedy hasłem jest »Igor«”. Czy rzeczywiście była w niebezpieczeństwie? Instykt podpowiadał jej, że tak.

O 11⁴⁵ była już na lotnisku Szeremietiewo. Zauważyła stojący z zapalonym silnikiem tuż obok wejścia samochód Borysa. Ze strachu ścisnęła ją w gardle. Poprosiła kierowcę, by się zatrzymał. Wzięła bagaże i weszła bocznym wejściem. Na co czekał Borys? Na pewno ktoś obiecał do niego zadzwonić. W samochodzie miał przecież telefon. Oddała bagaże, przeszła kontrolę paszportową i pięć minut później siedziała już w samolocie.

Zamknęła oczy i oddychała głęboko, siedząc mocno w fotelu. W kabinie rozległ się głos kapitana.

— Szanowni państwo. Odlot samolotu opóźni się o parę minut ze względu na konieczność przeprowadzenia ostatniej kontroli. To nic poważnego. Dziękuję.

Ewa otworzyła oczy i zobaczyła wchodzącego do samolotu inspektora Borysa. Zamknęła je natychmiast i siedziała jak sparaliżowana. Bicie serca zapierało jej dech.

Co on może zrobić? Poprosić, by wysiadła? Zażąda rozmowy z Piotrem Karstowem. Nie ma innego wyjścia. Musi siedzieć spokojnie... Czują, jak podchodzi, słyszała jego przyspieszony oddech. Chyba biegł, ten rosyjski „Maigret”. Otworzyć oczy? Udawać? Ale co? Był tu i patrzył na nią. Minuty trwały wieczność. Usłyszała, jak klnie przez zęby. Wyszedł, ale Ewa nie otwierała oczu aż do momentu startu. Wtedy dopiero spostrzegła, że cała, od stóp do głów, drży.

Inspektor Borys Pljucz nie doczekał się telefonu w swoim samochodzie. O 12¹⁵ podszedł do stanowiska odlotów i po pięciominutowej dyskusji odmówiono mu pokazania listy pasażerów. Nie miał żadnego nakazu, a „zarządzenie jest zarządzeniem” — odprawiła go młoda przedstawicielka „Air France”. W ostatniej chwili udało mu się dostać do samolotu przedstawiając legitymację milicyjną i zażądać ostatecznej kontroli. Personel „Air France” nie mógł tego zabronić. Do ostatniej chwili miał nadzieję, że nie znajdzie tam Ewy Dumoulin. Gdy ją zobaczył, o mało co nie krzyknął: „Gdzie jest Aleksander? Jego pani też zabiła? Kim pani jest?”.

Na to pytanie Borys Pljucz nigdy nie uzyskał odpowiedzi. Zaskoczony, z nerwami napiętymi jak struny, stał, sam już nie wiedząc po co, na wprost tej cudzoziemki. Myślał, że oszaleje. Nie mógł niczego zrobić. Musiał się wycofać. To nie była sprawa dla niego. Miał już na sumieniu i morderstwo, i zaginięcie. A może Aleksander też nie żyje. Był przekonany, że nie i, jak w przypadku sprzedawczyni, usiłował wyobrazić sobie, jak to się stało. Nie potrafił jednak. Jak dziewczyna w wieku jego córki, mogłaby zabić niedawnego komandosa z Afganistanu?

Rozpatrywał wiele możliwych scenariuszy, ale nie wpadł na ten, jaki rozegrał się naprawdę. Gdy taksówka z Ewą ruszyła z miejsca, Aleksander chciał pobiec na plac Puszkina, by zawiadomić o tym szefa.

Oficer w mundurze zawołał go jednak i poprosił o pomoc w odnalezieniu mieszkania, którego szukał. Odmówił mu, tłumacząc, że się śpieszy. Ten jednak wyjął kartkę z pieczęcią KGB i podpisem pułkownika Dimowa. Przyłożył mu pistolet z tłumikiem między łopatki i kazał mu iść przed siebie. Aleksander, blady jak śmierć, zorientował się, że wpadł w pułapkę i wchodząc do budynku, nagle odwrócił się i chciał kopnąć nieznajomego w twarz. Ten jednak schylił się, złapał za uniesioną nogę Aleksandra i rzucił nim z całej siły o ścianę. Potem ogłuszył go, uderzając oburącz w kark, i wjechał swoim samochodem na podwórkę. Posadził Aleksandra na przednim siedzeniu i ruszył do podziemnego parkingu obok hotelu „Meridian”. Tam przeniósł go do bagażnika i strzelił mu w głowę z pistoletu z tłumikiem. Wieczorem, po ciemku, „afgan” zostanie wywieziony za miasto, ciało poćwiartowane, a każdy kawałek, po zasypaniu sodą, oddzielnie zakopany. Po zmiżdżeniu głowę i ręce spali się, a popiół rozsypie na wysypisku śmieci, na północ od stolicy.

W Paryżu, wprost z lotniska, Ewa zadzwoniła do Roberta Nelsona, dyrektora służb specjalnych CIA. Z hotelu zaś, jak zwykle przy ulicy Wiktora Hugo, rozmawiała z szefem agencji w Brukseli. W kilku słowach przedstawiła mu powody, dla których postanowiła udać się do Polski. Pogratił jej relacji z konferencji prasowej Gorszkowa, którą zakupiło już parę innych agencji i zgodził się na jej propozycję. Oczywiście, natychmiast przyśle z Polski materiały o „historycznym” znaczeniu. Więcej przez telefon nie może powiedzieć.

Całkowicie odprężona spędziła popołudnie spacerując w ogrodach Tuileries i po Polach Elizejskich. Kolację zjadła u Joe Goldenberga przy ulicy des Rosiers. W tej miłej atmosferze przygotowywała się *tfS*, czekające ją burzliwe spotkanie z Nelsonem...

Okolo północy zadzwonił telefon. Robert Nelson zawiadamiał, że odlatuje z lotniska Kennedy'ego za pół godziny i będzie w Paryżu okolo siódmej czasu lokalnego. Ma go oczekiwać pod znanym jej adresem, w willi na zachodnim przedmieściu o dziesiątej rano. Ewa stanęła przed lustrem. Od chwili, gdy wróciła do hotelu okolo dziesiątej wieczorem, przez cały czas myślała o sobie. Doszła do wniosku, że już nigdy więcej nie zobaczy Dahlii w głębi swojej duszy. Patrzące na nią z lustra oczy należały do obcej, twardej, wyćwiczonej w zabijaniu bez skrępowania kobiety. Próbowała sporządzić bilans tych czterdziestu pięciu dni spędzonych w Moskwie. Najważniejsze było to, że miała w

ręku Piotra Karstowa i mogła przystąpić do drugiej fazy operacji. Nie wiedziała jeszcze, na ile generał gotów jest spełniać jej sugestie. Wkrótce jego pozycja znacznie się umocni. W czwartek rano zostanie ogłoszona jego nominacja na marszałka. Powiedział jej o tym w przeddzień wyjazdu. W ten sposób Gorskow chciał pokazać wszystkim, że Karstow cieszy się jego pełnym zaufaniem i że akcja, jaką ma do przeprowadzenia w Polsce, ma szczególne znaczenie...

Zanim zasnęła, stanął jej przed oczyma inspektor Borys. Teraz już nic nie mógł jej zrobić. Był sam, bez świadków, bez dowodów. Zajmie się nim zaraz po powrocie... Z tym poczuciem pewności siebie natychmiast zasnęła.

Nazajutrz o 8⁵⁰ Ewa wysiadła z wynajętego peugeota na podwórzu pięknej willi w pobliżu L'Etang-la-Ville. Bez trudu odnalazła to miejsce, oddalone zaledwie dwadzieścia kilometrów od Paryża, między Saint-Nom-la-Bretèche a Marly-le-Roi. Pewna, że nikt jej nie śledził, wbiegła po schodkach i weszła do salonu na parterze.

Dwóch atletycznie zbudowanych mężczyzn podprowadziło ją do zamaskowanych metalowych drzwi prowadzących do ukrytego pomieszczenia. Tam, przy biurku, czekał już Robert Nelson. W świetle dwóch lamp jarzeniowych, na tle białych i zupełnie gołych ścian, jego twarz wydawała się bardziej zapadnięta niż zwykle. Patrzył na Ewę bez cienia uśmiechu. Wskazał jej krzesło obok biurka. Ledwie usiadła, wybuchnął gniewem. Patrząc jej prosto w oczy, wyliczał po kolei wszystkie błędy, jakie popełniła, poczynając od kradzieży zegarka. Jak mogła być tak głupio nieostrożna? Z jej powodu musiał podjąć ogromne ryzyko, wysyłając swoich najlepszych ludzi do akcji terrorystycznych... A Leningrad? — błąd! Zabójstwo sprzedawczyni? — błąd! Trzeba było spowodować jej zaginięcie! Jak Aleksandra! Nie zostawić śladów! Ewa słuchała bez ruchu. Musiała przeczekać burzę.

Przerwał i zmieniając ton z bardzo ostrego na przyjazny, zaczął mówić o jej sukcesach. Nie przerywała mu. Gdy skończył, kazał szczegółowo opowiedzieć o jej stosunkach z Karstowem. Zaczęła, a on słuchał nie przerywając. Co pewien czas popijał wodę mineralną i coś notował. Była dwunasta w południe, gdy Ewa skończyła.

Bardzo dobrze. Porozmawiajmy o tym sukinsynu gliniarzu. Zajmiemy się nim. Jeszcze dziś wydam odpowiednie polecenia.

— Nie, absolutnie odradzam! To bardzo sławny człowiek, i gdy zniknie, KGB zacznie natychmiast śledztwo. Znajdą mój portret pamięciowy, moje zdjęcia i inne rzeczy, o których nie wiemy. Zaczną mnie osaczać. Karstow w końcu dowie się o tym, a gdy zacznie mieć choćby najmniejsze wątpliwości, wszystko skończone. ..

— No więc? Co proponujesz?

— Nic. W tej chwili nic. On nie ma żadnych dowodów. Nie może ich mieć. Teoretycznie mogą być spokojna. Zobaczą na miejscu, w jaki sposób najlepiej go unieszkodliwić, gdy będzie upierał się dalej. Oczywiście, będę cię informować.

— Obojętne, czy będzie się upierał, czy nie, trzeba się go pozbyć jak najszybciej. Musi zniknąć. Masz mi szybko dać znać. Jeżeli nie, zajmę się nim sam. Jasne?

Role się odwróciły. Podczas ich ostatniego spotkania to Ewa narzucała ton rozmowy. Skinęła głową.

— Wracajmy jednak do naszego podżegacza. Jak widzisz dzisiaj możliwość przejścia do drugiego etapu?

— Jeszcze nie bardzo.

— Trzeba go pomału wprowadzać w szczegóły, zgodnie z planem...

— To niemożliwe. Karstow jest prawdziwym patriotą z przekonania. Nigdy nie zgodzi się na pomoc ze strony CIA. Jest dokładnym przeciwieństwem portretu przedstawionego przez twoje służby...

— Nie, nie! Jest megalomanem i oportunistą...

— Mylisz się — przerwała Ewa. — Powtarzam jeszcze raz: Piotr jest zupełnie inny, niż myślą nasi psychologowie.

Nelson nie chciał słuchać. Był tak pewien swojej oceny, że Ewę poniosło:

— Spałeś z nim, czy co? Więc licz się z tym, co mówię! Bo nie mówię, ot tak sobie! Znam mężczyzn lepiej niż twoi psychologowie i komputery z Langley. On nie zgodzi się nigdy na współpracę z CIA! Dla niego oznaczałoby to zdradę. Ja jestem przy nim i widzę, jak stopniowo, z dnia na dzień, dojrzewa. Wierzy, że mam dar jasnowidzenia. Zaczyna wierzyć w swoje posłannictwo względem narodu. Widzę to i jestem tego pewna. Jeszcze nic nie mówi, ale już rozumie.

— Kochasz go? — przerwał jej obojętnym tonem.

Zamilkła. Nie spodziewała się tego pytania. Nie zastanawiała się nad uczuciami, ani względem niego, ani nikogo innego. Nie była sobą. To jakby ktoś inny mówił w jej imieniu — nie kobiety, ale agenta tajnych służb.

— Oczywiście, że nie! Skąd takie głupie pytanie?

— Wygląda tak, jakbyś go osłaniała. Słuchając ciebie, można odnieść wrażenie, że Karstow to anioł. Przypominam ci, że człowiek ten ma ręce zbrukane krwią aż po łokcie. Nic ma żadnych skrupułów. To prymitywny, brutalny Rosjanin. Prawdziwy, z krwi i kości. On zgodzi się na współpracę, jestem tego pewien!

— W takim razie nie licz na mnie. Wycofuję się.

Ewa prawie krzyczała. Stojąc, patrzyła Nelsonowi prosto w twarz i zaczynała już żałować, że powiedziała te słowa. Myślała, że ją spoliczkuje i instynktownie przyjęła pozycję obronną.

— O.K., O.K. Uspokój się. Musisz mnie przekonać do końca kwietnia. Później, jeżeli ci się nie uda, będziesz wykonywać moje plany i moje decyzje.

Zaskoczyła go jej determinacja i próbował załagodzić konflikt:

— Dahlio, przepraszam cię. Wykonałaś znakomicie swoją robotę i to w rekordowo krótkim czasie. Mam do ciebie pełne zaufanie Ale.

zrozum mnie, musimy mieć pewność, że skończymy naszą misję w październiku 1994! Ewa zadrżała słysząc swoje prawdziwe imię. Pierwszy raz od ponad roku, od momentu gdy została Ewą Dumoulin, ktoś wymówił je znowu. Zauważyła zmieszanie w jego oczach.

— Przepraszam, chciałem powiedzieć Ewo!

Uśmiechnęła się i nic nie powiedziała.

Przekazał jej nowe informacje o Karstowie. Ona przedstawiła swój plan ostatecznego przekonania Karstowa z wykorzystaniem swego daru jasnowidzenia.

— Genialne! Mam nadzieję, że się uda — rzekł marszcząc brwi.

Potwierdziła, że ZSRR będzie interweniował w Polsce najpóźniej pod koniec tego tygodnia, a operacją będzie dowodził Karstow.

— Prawdę mówiąc, Ewo, ta fala terroryzmu w sumie pomogła w realizacji naszych planów, nie sądzisz?

Ewa przytaknęła, szykując się do wyjścia.

— Mam samolot o wpół do czwartej — wyjaśniła — i muszę się spieszyć.

Spytała:

— Zostajesz?

— Tak. Ewo...?

Zatrzymała się i sięgając ręką do klamki popatrzyła na niego.

— Powodzenia! I... uważaj na siebie, O.K.?

Wyszła bez słowa.

Nelson, gdy został sam, zapalił cygaro i zapatrzył się w biały sufit pokoju. Celowo powiedział jej „Dahlia”. Teraz już wiedział, że Ewa istnieje naprawdę.

W recepcji hotelu „Merkury” w Warszawie czekało na Ewę co najmniej dziesięć depeesz. Gdy znalazła się na miejscu, była godzina 20²⁰, a ostatnią depeeszę dostarczono o 20¹⁰. Weszła do pokoju, ale ledwie zamknęła drzwi, zadzwonił telefon:

- Pani Dumoulin, telefon z Moskwy.
- Ewa? To ja. Przyjeżdżam dziś w nocy. Zadzwoń przed pierwszą. Przygotuj się!

Piotr odłożył słuchawkę. Ewa zawahała się przez chwilę. Przyjeżdża sam. A czołgi? Na co ma się przygotować? Odłożyła słuchawkę. Wzięła prysznic i postanowiła wyjść do miasta, by zobaczyć, jaka panuje atmosfera.

Z tylnego siedzenia taksówki widziała sznury ciężarówek wojskowych i karabinów maszynowych jednostek specjalnych armii polskiej, rozlokowane wzdłuż autostrady i na skrzyżowaniach przedmieść. Najnowszych czołgów typu T-80 było niewiele. Widok żołnierzy oczekujących na wojnę w chłodną, zimową polską noc, przypominał jej to, co widziała w Azerbejdżanie parę tygodni temu. Miała to samo wrażenie dramatu, który lada moment się tu rozegra.

Dziennikarzy zagranicznych poproszono o opuszczenie polskiej stolicy najpóźniej do piątku rano. Ewa wywnioskowała, że interwencja może nastąpić w nocy z piątku na sobotę. Spacerowała po prawie opustoszałych ulicach, odprowadzana niespokojnymi spojrzeniami żołnierzy strzegących gmachów publicznych i ważniejszych skrzyżowań. Wyglądało to strasznie. Uskoczyła instynktownie pod ścianę, gdy nagle gdzieś z daleka usłyszała huk wybuchu, po którym natychmiast dał się słyszeć szczęk broni automatycznej. Postanowiła wrócić do hotelu. Było zbyt niebezpiecznie.

Po chwili leżała już w łóżku z zaciśniętymi pięściami.

Starsza kobieta uporczywie nalegała i czterech milicjantów w dyżurce nie widziało innego wyjścia, jak jej ustąpić. Chciała spotkać się osobiście z inspektorem Borysem i z nikim innym. Będzie tu czekać nawet cały dzień, gdy trzeba. Jest na zwolnieniu chorobowym? To przyjdzie jutro. Jeden z nich zdecydował się w końcu zadzwonić do domu Pljucza:

— Pan wybaczy, szefie... Jakaś stara wariatka upiera się, że musi z panem pogadać. Twierdzi, że ma dla pana ważne informacje. Jakieś porwanie, czy coś takiego. Chce mówić tylko z panem.

— Zatrzymajcie ją. Już wychodzę.

Stara nie była wcale wariatką. Wręcz przeciwnie. Była bardzo rozgarnięta i bystra, jak na swój wiek. Wszystko widziała z okna. Dzień wcześniej przyjechała na trzy dni do swojej córki, która mieszka na piątym piętrze w budynku od podwórza przy ulicy Czechowa 15. Borys nastawił ucha. Jak większość radzieckich babć, przyjechała pomóc córce posprzątać i popilnować wnuków. Opowiadała barwnie i szczegółowo. Na podwórko weszła dziewczyna i zaczepił ją oficer KGB. Coś wymienili między sobą, chyba jakieś papiery, a inny mężczyzna wszedł do budynku i zaraz wyszedł. Dziewczyna otworzyła bagażnik zagranicznego samochodu, wyjęła dwie walizki, nie — walizkę

i dużą torbę podrózną — i odeszła. Po minucie obaj mężczyźni wrócili na podwórze i weszli do budynku. Zachowywali się dość dziwnie, tym bardziej, że po chwili oficer KGB, ten w ciemnych okularach, wyszedł sam i wjechał na podwórze beżowym samochodem. Wszedł do budynku i wyprowadził tego młodego, trzymając go pod rękę, jakby tamten zemdlął lub został ranny. Zrobiła pauzę i rozejrzała się dookoła.

— Przydałaby się dobra miotła tu w komisariacie — powiedziała z wyrzutem w głosie. Po chwili dokończyła opowieść.

— No tak, było dwadzieścia po jedenastej. Patrzyłam jak na film. Bez wahania rozpoznała na zdjęciu „afgana”.

— To on! Bez wątpienia. Wie pan, ja bardzo dobrze widzę. Niech pan spyta mojej córki, to panu powie.

— A człowiek, który z nim był?

— Ma pan jego zdjęcie? Rozpoznam go nawet wśród stu twarzy, mimo że nosił ciemne okulary. Miał też piękne wąsisko...

— Nie zapamiętała pani przypadkiem numeru samochodu? — spytał bez przekonania.

— Nie. Dlaczego? A powinnam? — na jej twarzy pojawił się grymas.

Borys westchnął, ale nie był na nią zły. Jej zeznanie było niezwykle ważne, wprost cudowne. Pokazał kobiecie zdjęcie Ewy, które sam zrobił przed tygodniem.

— Kobieta miała na głowie czapkę i nosiła ciemne okulary. Ale gdybym widziała ją z bliska, rozpoznałabym ją na pewno.

— Dlaczego nie przyszła pani od razu?

— Musiałam pójść z wnukiem do parku. Wczoraj po południu nie miałam z nim co zrobić. Czekałam więc do rana. Źle zrobiłam?

Borys uspokoił starą i serdecznie jej dziękował. Odwiezie ją do domu. Był to oczywiście dom Ewy. Na podwórzu kobieta odtworzyła przebieg wydarzeń, które widziała, tak jak nie zrobiłby tego najlepszy nawet specjalista.

Po południu posłał jej kosz owoców, cały zestaw kawioru i wódek oraz kopertę z dwustoma rublami, (tyle, co średnia pensja w ZSRR) wraz z prośbą, aby nikomu nie mówiła o tym, co widziała.

Po powrocie do komisariatu Borys mógł wreszcie spokojnie pomyśleć. Chciał opublikować zdjęcie Aleksandra w prasie wraz z ofertą nagrody pieniężnej za odnalezienie go, ale szybko z tego zamiaru zrezygnował, bo musiałby otrzymać na to oficjalną zgodę „Pietrowki” i musiałby ujawnić powód, dla którego to robi.

Jedna myśl nie dawała mu spokoju: kim naprawdę była Ewa? Szpiegiem? Jakie miała zatem zadanie i dlaczego kręciła się obok jednego z najwyższych postawionych ludzi w kraju? Jednego był pewien: człowiek z jej siatki — KGB lub innej — porwał Aleksandra, który prędzej czy później zostanie odnaleziony martwy. Albo nie odnajdzie się nigdy.

Borys czuł, jak wzbiera w nim gniew. Pierwszy raz w życiu, on, który zawsze zachowywał zimną krew w obliczu najstraszniejszych nawet zbrodni, który zawsze przedkładał dialog nad gwałt i, w słynnym do dziś wystąpieniu telewizyjnym, nawoływał do zniesienia kary śmierci, poczuł teraz nieodpartą chęć zabijania.

— Boże mój! To nie może się tak skończyć! — krzyczał waląc pięścią w stół.

Trzy razy w ciągu swojej długiej kariery musiał zrezygnować ze śledztwa na polecenie KGB... Tym razem nie ustąpi. Będzie walczył do skutku!

Odszukał w notesie numer redaktora prowadzącego w „Prawdzie” rubrykę kryminalną i zadzwonił do niego przez linię bezpośrednią.

— Inspektor Pljucz przy aparacie. Co by pan powiedział na wspólną kolację z tak starym lisem jak ja?

— Cała przyjemność po mojej stronie, inspektorze!

— Zjedź na dół. Podwiezie cię czarna czajka.

Piotr odłożył słuchawkę. Ewa spała jeszcze, gdy zadzwonił telefon. Trwało to kilkadziesiąt sekund, zanim uprzytomniła sobie, że jest w Warszawie, w pokoju hotelowym, i że czeka na telefon od narzeczonego. Odłożyła słuchawkę i umyła twarz zimną wodą.

Czajka czekała z włączonym silnikiem. Po piętnastu minutach zatrzymała się obok willi gdzieś na południowym przedmieściu Warszawy. Minęła północ. Piotr, w mundurze, oczekiwał w otwartych drzwiach na progu. Rzuciła mu się w ramiona. Przytulił ją do siebie i całując po twarzy chłonał zapach jej perfum. Stali tak w ciemnościach przez dłuższy czas.

— Udusisz mnie — powiedziała śmiejąc się.

Wprowadził ją do salonu i usiadł obok na eleganckiej kanapie pokrytej skórą. Całowali się jeszcze przez chwilę, gdy nagle Piotr poprosił o wyjaśnienie, dlaczego przyjechała w czwartek wieczorem, a nie w środę. Spodziewała się takiego pytania.

— Musiałam porozmawiać z moim ginekologiem w Brukseli.

— I co?

Patrzyła przez chwilę na niego, nim odpowiedziała.

— Pozytywnie, najdroższy.

Piotr objął ją w nagłym przypiływie czułości:

— Pobierzemy się Ewuniu. Tu w Polsce! Mam już rozwód i jestem wolny. I kocham cię! Gdybyś wiedziała, jak cię kocham...

Ewa milczała udając obojętność.

Ewa, Ewuniu, nie usuniesz tej ciąży, prawda?

Odpowiedz mi!

Nie wiem. To będzie zależało od...

Piotr przytulił ją mocniej:

Ewa, ja chcę mieć to dziecko!

Wyrwała mu się gwałtownie i krzyknęła:

To boli, Piotrze!

Przeprosił ją i zmienił ton głosu.

— Wiem, że to nie będzie łatwe, ale jestem tak szczęśliwy!

Bez słowa wstała i pociągnęła go do sypialni. Kochali się z niezwykłą żarliwością, aż zasnęli około czwartej nad ranem.

Piotr zbudził się pierwszy o szóstej. Zaczął całować jej gołe ciało. Wkrótce wstała z łóżka i poszła do kuchni nastawić kawę. Słyszała, jak biorąc kąpiel śpiewał na całe gardło. Gdy w mundurze wszedł do kuchni, wyglądał jak na obrazku.

— Jakie masz plany, Piotrze? Wszyscy dziennikarze zagraniczni opuścili już stolicę lub szykują się do wyjazdu. Co ze mną? Powiedzia-
łam w moim brukselskim biurze, że...

Przerwał jej w pół zdania:

— Zmieniłem plany. Jeszcze dziś ogłoszę w telewizji, że nie mamy zamiaru interweniować w Polsce, że to jest ich problem wewnętrzny itd.

— A twoje czołgi oczekujące nad granicą? Kiedy dasz rozkaz, by ruszyły?

Zaczął się śmiać.

— Mój jedyny problem to papież. Jak wiesz, zagroził, że przyje-
dzie do Warszawy, gdy tylko Armia Czerwona przekroczy granice. Nie
wiem, jak go odwieść od tego zamiaru. On jeden stanowi większą siłę
i zagrożenie, niż wszystkie armie świata.

— Musisz go powstrzymać. To dla ciebie ważne.

— Łatwo ci mówić...

Ewa nagle zmieniła się na twarzy. Nieobecny wzrokiem patrzyła
na wiszący naprzeciw portret Majakowskiego, poety urodzonego na

Kaukazie, podobnie jak Piotr, który pewnie z tego względu wszędzie woził ten obraz ze sobą.

Ewa zaczęła mówić. Trwało to trzy minuty, a Piotr słuchał jej z nabożeństwem.

— To genialne! Sądzę, że musi się udać.

— Niewątpliwie. Więc kiedy?

— W nocy z niedzieli na poniedziałek. Będziesz mogła wysłać artykuł w poniedziałek rano. Potwierdzisz więc swoją obecność...

— Piotrze, naiwny Piotrusiu. Ja będę miała fory, zgoda. A ty? Ty zaś tylko kłopot. Nie, nie mogę tu zostać, nie chcę zostawać. Muszę wyjechać. Załatw to tak, aby mnie wydalonono w niedzielę wieczorem...

— Posłuchaj mnie. Jadłem wczoraj, bezpośrednio po uroczystościach gdy mianowano mnie marszałkiem, kolację z Gorskowem.

— I co z tego?

— Powiedziałem mu o tobie. Nie mogłem nie mówić. Ten szczur Truszenko powiedziałby mu i tak. Wołałem go uprzedzić.

Ewa słuchała, osłupiała i najwyraźniej poirytowana.

— Zwariowałeś? KGB, Gorskow, a za chwilę cały świat się dowie. A ja? Po prostu wylecę na bruk!

— Ależ, nie denerwuj się. Spytał mnie, czy to poważne, czy to tylko przygoda — ciągnął Karstow, nie dając się zbić z tropu. — Powiedziałem, że drobna przygoda... Widzisz, w ten sposób to już nie jest tabu...

Ewa była zdesperowana.

— Stawiasz mnie w sytuacji bez wyjścia. Nawet nie próbowałeś spytać, co o tym sądzą. Pan marszałek decyduje sam! O moim życiu i mojej karierze!

Wstała, podeszła do niego stając twarzą w twarz. Była rozwścieczona:

— Marszałku Karstow — powiedziała z groźbą w głosie. — Ja tu też mam coś do powiedzenia i nie będzie to samo, co mówisz ty. Musisz pamiętać, że nie zgadzam się z twoim sposobem patrzenia na świat.

— Dlaczego? — spytał nieśmiało.

— Bo ja me chcę wychodzić za mąż! Zwłaszcza za człowieka, który może w każdej chwili zginąć. Zostać wdową z dzieckiem, nawet po marszałku, i zamknąć się w dwupokojowym mieszkanku gdzieś na Kaukazie, jak twoja matka, to nie dla mnie!

Piotr wybuchnął śmiechem, ale nie spieszyło to Ewy:

— Wyjeżdżam. Tak, i tym razem nie próbuj mnie zatrzymywać, panie marszałku!

Piotr wstał i nagle spowaźniał:

— Ewo, dużo myślałem o tym, co mówiłaś o mojej przyszłości. Wiem, że masz rację. Chciałem o tym rozmawiać z tobą dziś w nocy. Twoje obawy nie są bez podstaw. Będę czuł się mocniejszy, jeżeli będziemy razem, gdy będziesz obok mnie, najdroższa. Nie zostaniesz wdową, Ewuniu. Będziesz najszczęśliwszą kobietą na świecie. Potrzebuję ciebie, twojej miłości, twoich rad, twojej opieki.

Przytulał ją mocniej niż zwykle, mówiąc te słowa łamiącym się głosem. Ewa poddała się i łkając cicho przytuliła się do niego.

Po wyjściu Piotra Ewa została w willi sama. Kierowca przywiózł z hotelu wszystkie jej rzeczy oraz zachodnie dzienniki, które z trudem udało mu się zdobyć. Nie potrafiła się skoncentrować. Wciąż myślała o inspektorze Borysie. Dlaczego zaryzykował i pojawił się w samolocie? Co robi teraz? Robert Nelson potwierdził, że młody Rosjanin nie żyje, a agent natychmiast wyjechał za granicę. Nie miała już nikogo, kto mógłby jej pomóc. Trzej pozostali „pomocnicy” zakończyli już swoje misje. „W razie niebezpieczeństwa, co mam zrobić?” — pytała. Padła chłodna odpowiedź: „Będziesz sama”.

Jakiś czas chodziła po domu, w którym pozamykano wszystkie okiennice, a później przez godzinę ćwiczyła gimnastykę. W południe zadzwonił Piotr. Powiedział jej by włączyła telewizor o dwudziestej i

posłuchała jego wystąpienia. Wróci raczej bardzo późno... Lodówka była dobrze zaopatrzona. Ewa co nieco zjadła i zajęła się depeszą, którą miała wysłać do Brukseli. Napisała, że wszystko idzie normalnie i wkrótce przyśle im sensacyjny artykuł. Prosiła, aby nie próbowano jej szukać. Podłączyła do telefonu swój przenośny minifaks i nadała depeszę. Piotr wyraził na to zgodę.

Ten wieczór będzie decydujący, najważniejszy. Wszystko musi rozstrzygnąć się w ciągu kilku najbliższych godzin. Spojrzała na zegarek. Należało nadać umówiony sygnał. Wybrała numer hotelu „Plaza” i poprosiła o przekazanie do pokoju nr 15 wiadomości: „Proszę przysłać kwiaty pod następujący adres” i podała adres domu, w którym właśnie przebywała...

O dwudziestej włączyła telewizor. W trakcie dziennika nadawano wywiad z marszałkiem Piotrem Karstowem, który spokojnie wyjaśniał, że ZSRR ma aktualnie inne problemy, ważniejsze niż sytuacja w Polsce, że rewolucji Gorskowa nic nie jest w stanie zatrzymać, a jej pozytywne osiągnięcia powinny być przykładem dla Polski, że do demokracji można dojść nie popadając w anarchię...

Piotr mówił przekonująco, to uśmiechając się, to podnosząc głos. Mówił, że „demokracja” nie może oznaczać chaosu, że „liberalizacja” to nie brak odpowiedzialności, że grupka kilku pseudointelektualistów to jeszcze nie cały naród. Związek Radziecki nie ma zamiaru interweniować w Polsce, chyba, że wybrany przez naród rząd zwróci się o to oficjalnie.

— Komediant! — szepnęła Ewa robiąc notatki.

Gdy wrócił o trzeciej nad ranem, spała już. Pocałował ją w policzek, więc zbudziła się natychmiast.

— Nie miałem skąd zadzwonić — szepnął. — Przepraszam cię...

— Byłeś wspaniały w telewizji. Wiesz kogo mi przypominasz? Stalina, Chruszczowa, Breżniewa i Gorskowa razem wziętych!

Wybuchnęli oboje śmiechem.

— Chodź spać — powiedziała i przyciągnęła go ku sobie.

— Niewiele mam czasu. Za dwie godziny wychodzę.

— Rzeczywiście. Chodź!

Rozebrał się i położył obok. Od razu roznamiętnił się, pieszcząc delikatnie jej gładkie i gorące ciało. Odepchnęła go:

— Nie, nie, mój marszałku. Musisz oszczędzać siły. Śpij, obudzę cię o piątej.

Pocałował ją raz jeszcze w brzuch i zasnął nagle, jak dziecko. Ewa poczekała jeszcze pół godziny, potem wstała i w ciemności podeszła do okna. Podniosła do połowy roletę. Samochód Piotra stał w głębi parku, z prawej strony. Po chwili jakaś postać zbliżyła się do niego. Ewa na palcach wróciła do łóżka. Piotr spał zgrzytając zębami. Leżała godzinę z otwartymi, wpatrzonymi w ciemność oczami. Musiała obudzić Piotra.

— Piotrze... już czas. Zrobię ci kawy.

Coś mamrotał i szukał jej po omacku rękoma, ale ona była już w kuchni. Wszedł tam za nią po dziesięciu minutach z mokrą jeszcze głową. Zauważyła na jego brodzie kropelkę krwi.

— Za szybko się goliłeś, mój drogi — rzekła całując go.

Podąła mu dużą filiżankę kawy i grzanki z razowego chleba z makiem i miodem.

— Ewo... Nie będę miał dziś czasu dla ciebie. Czeka mnie ciężki dzień.

Przelknął łyk kawy.

— Nie wrócę dziś na noc...

Przerwała mu:

— Nie musisz się tłumaczyć. Zostanę jeszcze parę dni.

— To mam szczęście! A maleństwo? — spytał głaszcząc jej brzuch.

Rusza się?

— Coś ty, nie ma jeszcze trzech tygodni! — zaśmiała się i położyła swoją rękę na jego dłoni. — Trochę cierpliwości!

Nagle zamknęła oczy i mocno ścisnęła go za ramię. Skrzywił się, a ona zaczęła drżeć na całym ciele. Piotr przestraszył się. Sądząc, że źle się poczuła, chciał ją zanieść do łóżka, ale ona krzyknęła:

— Piotrze, nie wychodź! Coś się stanie. Proszę cię, zostań!

Z zamkniętymi oczami cofnęła się o krok i krzychała:

— Błagam cię, nie wychodź! Coś ci grozi...

Piotr próbował ją uspokoić:

— Ewo, najdroższa! Jesteśmy tu bezpieczni. Nie ma żadnego zagrożenia. Nic mi się nie stanie.

— Widzę go! Widzę go! — krzychała. — Nie myślę się. Na litość boską! Nie wychodź. Zostań. Posłuchaj mnie...

Piotr był wzburzony, zawahał się przez moment, potem odsunął ją i podszedł do drzwi. Nie chciał jej urazić. Ewa szła za nim, łapiąc go za ramię i próbując zatrzymać. Gdy otwierał drzwi, pchnęła go z całej siły. Upadł na ziemię. Rzuciła się na niego, a padając zaczęła wyć z bólu. Kula, wystrzelona z pistoletu z tłumikiem, trafiła ją w udo. Piotr pochylił się nad nią i głośno wołał jej imię. Krew płynęła obficie z prawego przestrelonego na wylot uda. Piotr zacisnął ręcznik powyżej rany. Trzęsły mu się ręce, a na czoło wystąpiły kropelki potu.

— Ewo, kochanie. Będziesz żyła. Nie denerwuj się, zaraz wezwę karetkę.

Podbiegł do telefonu i krzyżąc wydawał polecenia. Ewa, leżąc na kanapie, skręcała się z bólu.

— Piotrze, nie wychodź! — wydusiła resztkami sił.

Patrzył na nią zdziwiony i wszedł do łazienki. Przyniósł podręczną apteczkę i zabrał się za oczyszczenie rany wacikiem umoczonym w alkoholu. Ewa, zgięta wpół, gryzła z bólu wargi, tłumiąc krzyk. Patrzył na nią z podziwem. Założył nową opaskę uciskową i zabandażował nogę.

— Nie chcę iść do szpitala. Będziesz miał kłopoty. Wszyscy się dowiedzą, zaczną ci stawiać zarzuty. Powiedz im, żeby mnie opatrzyli tutaj.

Piotr, ciągle w szoku, chyba nie rozumiał, co do niego mówiła. Usłyszał hałas silnika i podszedł do drzwi.

— Nie podchodź do samochodu! — krzyczała Ewa.

Piotr wrócił po chwili w towarzystwie lekarza i dwóch rosyjskich sanitariuszy. Za nimi wszedł także zadyszany oficer. Mówił coś do Karstowa, gdy tymczasem lekarz przystąpił do badania Ewy.

Był w stopniu kapitana i nie miał więcej niż trzydzieści lat. Uśmiechając się, tłumaczył jej, że powinna natychmiast udać się do szpitala, że nie może tu zostać. Chciała zaprotestować, gdy ogłuszający huk wybuchu wstrząsnął murami domu. Szyby wyleciały, rozsypując się na kawałki. Piotr rzucił się, by osłonić Ewę. Po chwili spojrzał przez okno i zobaczył swój samochód w płomieniach. Jeden z żołnierzy próbował rozbroić bombę, którą oficer znalazł przymocowaną do silnika samochodu Karstowa. Po żołnierzu nie było nawet śladu...

Ewa zgodziła się w końcu na przewiezienie do szpitala wojskowego w Warszawie. Udało się jej przekonać Piotra, by z nią nie jechał. Był całkowicie skołowany, przykazała mu tylko, by zachował jak największą ostrożność.

— A więc poroniłam?

— Ależ pani nie była wcale w ciąży! — odparła młoda lekarka opiekująca się Ewą.

Ewa zrobiła żalostną minę. Opowiedziała, że tak była pewna ciąży, iż powiedziała już o niej mężowi. Popłynęły jej łzy.

— Nie mogłaby pani napisać, że szok spowodował poronienie? Był tak szczęśliwy!

— Gdyby pani była w ciąży, to niewątpliwie tak by się stało.

Piotr przyleciał jak wiatr około trzeciej. Ewa leżała na oddziale zarezerwowanym dla wyższych oficerów. Piotr zakrył oczy ręką, gdy Ewa przekazała mu smutną wiadomość. Wiedział już o tym, bo oficer poinformował go o jej stanie. Piotr wyjaśnił jej później, że oba patrole

strzegące ich domu znaleziono w krzakach. Wszyscy zostali zastrzele-
ni. Mordercy musieli pokonać aż trzy patrole, by podejść do willi. Nie
potrafił zrozumieć, jak tego dokonali!

— Ależ to jasne, Piotrze — odpowiedziała Ewa. — Twoi wrogowie!
Tylko twoi wrogowie są w stanie wykonać coś takiego.

— Przyjrę się temu później. Uratowałaś mi dziś życie, Ewuniu.
Gdybyś wyjechała, już bym nie żył. Mogli cię zabić zamiast mnie.
Strzelali do ciebie. To prawdziwy cud, że żyjesz.

— To prawda, ale zabili twoje dziecko! — krzyknęła tłumiąc łkanie
i wtuliła się w poduszkę.

Ewa chciała wyjść ze szpitala, czuła się już lepiej i musiała zre-
dargować jeszcze artykuł. Piotr obiecał, że zabierze ją wieczorem, gdy
otrzyma klucze do innej willi, po czym w pośpiechu odszedł.

Było już późno, gdy zawiadomiono ją, iż ma się przygotować do
wyjścia. Dwóch sanitariuszy pomogło jej zejść o kulach. Kierowca
wołgi w kolorze khaki uśmiechnął się trochę nieszczerze i ruszył z
pełną szybkością na północ. Zatrzymał się przed pałacykiem z ubie-
głego stulecia, wyjątkowo dobrze utrzymanym. Zajmowali go spado-
chroniarze, a ich patrole pilnowały wejścia i otaczającego budowlę
parku. Z obu stron zapalono reflektory, dzięki czemu wokół pałacyku
było jasno jak w dzień. Ewa miała wrażenie, że znalazła się w obozie
warownym. W pokoju stał olbrzymi bukiet czerwonych róż. Podziwia-
ła w duchu Karstowa, że znalazł czas na takie drobiazgi.

Piotr zadzwonił pół godziny później. Potwierdził zgodę na wysła-
nie artykułu:

— Przekaż go o trzeciej w nocy, nie wcześniej. Nie wrócę na noc.
Kocham cię!

W dzienniku o dwudziestej drugiej potwierdzono wiadomość o
zamachu na marszałka Karstowa, ale o Ewie nie wspomniano ani
słowem. Zgasiała telewizor, nastawiła budzik na wpół do trzeciej i
wślizgnęła się pod kołdrę. Połknęła dwie tabletki przeciwbólowe i

pomyślała o człowieku z pokoju nr 15. Jak ten „wielki profesjonalista” — tak nazwał go Nelson — przeszedł aż trzy patrole kontrolne? Ubrał mundur generała? Jak udało mu się zbiec? W chwili, gdy otwierała drzwi, stanęła nieruchomo zaledwie na pięć sekund — tyle potrzebowwał, by wycelować w jej udo. A gdyby nie trafił... Zasnęła natychmiast...

Od dwóch tygodni w Warszawie toczyły się walki uliczne. Ani jedna ani druga strona nie liczyła już zabitych i rannych. Armia Czerwona wkroczyła do Polski o trzeciej nad ranem, w niedzielę 27 lutego 1994 roku powołując się na „oficjalne wezwanie legalnych władz tego kraju, pragnących położyć kres przygotowaniom do wojny domowej”. Ewa wysłała swoją depeszę o 2⁵⁹, co wywołało sensację na skalę światową. Korzystając z ochrony Piotra była jedyną dziennikarką zagraniczną w Warszawie. Od czasu interwencji codziennie wysyłała jeden, a czasami i dwa artykuły, podpisując je jedynie „EAP”. Specjaliści zachwycali się fachowością i ilością przekazywanych informacji, które naturalnie powielały wszystkie agencje światowe. Europejska Agencja Prasowa nie chciała podać nazwiska swojego korespondenta „ze względu na jego bezpieczeństwo”. W ciągu dwóch tygodni Ewa widziała Piotra trzy lub cztery razy. Przychodził zawsze w nocy, wyczerpany i zdenerwowany do granic wytrzymałości.

Opór Polaków był znacznie większy niż się spodziewano. Setki dezertersów z Armii Czerwonej — przeważnie z republik muzułmańskich — przyłączały się do walczących Polaków, przechodząc na ich stronę wraz z bronią i sprzętem. Stany Zjednoczone wystosowały parę formalnych protestów, wzywając Armię Czerwoną do respektowania legalnie wybranych władz i przeciwdziałania wojskowemu zamachowi stanu... Ministrowie spraw zagranicznych Wspólnoty Europejskiej na spotkaniu nadzwyczajnym w Pałacu Elizejskim w Paryżu, zwołanym

dopiero 13 dni po interwencji radzieckiej, wydali komunikat końcowy, potępiający „polskich neostalinowców” za przeciwstawianie się demokracji we własnym kraju i w ZSRR... W sposób nieomal otwarty wyrażano podziękowanie Gorskowowi „za pomoc udzieloną Polsce szukającej wyjścia z chaosu”...

Na dyrektora EAP wywierano ze wszystkich stron naciski, aby odwołał swojego korespondenta z Warszawy. Zdążył jednak wysłać krótką informację dla Ewy. Gdy ją odebrała, wybuchnęła śmiechem, ale zaraz zaczęła żałować, że nie będzie mogła już pisać, gdyż uwielbiała to zajęcie. Co teraz pocznie z czasem?

Rana zaczęła się zablizniać. Tego wieczoru zadzwonił Piotr. Spędzą razem wieczór i całą noc. Przyjdzie koło 21⁰⁰. Od czasu zamachu zmienił się nie do poznania. Traktował Ewę inaczej, niemal jak wyższą istotę. Cenił jej urodę, wrażliwość, inteligencję, a teraz dała mu jeszcze dowód niezwykłej odwagi i godności. Dla niego były to cechy, które cenił najwyżej.

Ewa kazała Piotrowi wziąć gorącą kąpiel i nałala mu kieliszek whisky. Rozluźnił się nieco i przyznał, że interwencja w Polsce przerodziła się w dramat. Zginęło już tysiąc pięćdziesięciu radzieckich żołnierzy i oficerów. Nie licząc setek rannych, kilkudziesięciu dezertersów i ponad pięćdziesięciu zniszczonych czołgów.

Po stronie polskiej straty należałoby pomnożyć przez cztery. Na ostatnim posiedzeniu Politbiura, w którym uczestniczył wczoraj w Moskwie, jak zawsze doszło do kłótni, która mogła się dla niego źle skończyć. Żądano szybkich rezultatów, „za każdą cenę”, zanim ewentualnie do Polski przybędzie papież.

Piotr wyszedł z łazienki jeszcze bardziej odprężony. Usiedli oboje do stołu, korzystając z chwili intymności, ukradzonej Historii.

Rozmawiali z ożywieniem, szczęśliwi, że w końcu mogą posiedzieć twarzą w twarz, z daleka od wojny.

— Gdy siedziałem w więzieniu, przeczytałem niezwykłą książkę o żydowskim historyku Józefie Flawiuszu. Żył w latach 37-100 n.e.

Jako generał i arystokrata żydowski walczył z Rzymianami. W czasie jednej z zaciętych bitew zmuszony był poddać się, gdyż stracił wszystkich swoich żołnierzy. Przepowiedział, że Wespazjan zostanie cesarzem. Kilka miesięcy później jego proroctwo spełniło się...

— On też napisał fantastyczne dzieło o wojnie Żydów przeciwko Rzymianom. Jest to najwspanialsze świadectwo tragedii jego narodu w tamtych rozstrzygających czasach — i dla historii Żydów, i chrześcijan. Ale czemu mi o nim mówisz?

— Bo ty też jesteś prorokiem, jak on! Ponadto uratowałaś mi życie. Nie wiem, czy on zrobiłby to, by ratować Wespazjana.

— Dzięki za porównanie! Mogę więc także uważać się za twojego jeńca? — zawołała śmiejąc się. — A kiedyż to siedziałeś w więzieniu i za co?

Piotr opowiedział jej o swoim życiu i problemach w Afganistanie, przed dziesięciu laty. Ewa raz jeszcze zobaczyła przed oczyma sceny z kasety magnetowidowej.

Nagle przestał opowiadać i popatrzył na nią poważnym wzrokiem.

— Ewo, powtórz mi jeszcze raz wszystko, co mi powiedziałaś od czasu naszego pierwszego spotkania. Na czym opierają się twoje myśli, twoje widzenia.

Ewa wydawała się być zaskoczona. Wypiła łyk czerwonego wina, by zyskać chwilkę czasu na zastanowienie się. Musiała być ostrożna i nie mogła popełnić najmniejszej pomyłki. Miała nieodpartą chęć zapalić.

— Daj mi najpierw papierosa.

Zaciągnęła się mocno. Czowała, jak kręci jej się w głowie i zamknęła oczy. Ze skupioną twarzą zaczęła mówić jednym ciągiem. Powtarzała wszystkie swoje przepowiednie: wielkie przeznaczenie, wojnę domową, wojnę religijną, rozlewy krwi, nawrót neostalinizmu, jego śmierć, jeżeli nie zareaguje w porę... Tylko on może uchronić swój kraj przed apokalipsą. Piotr słuchał urzeczony, patrząc na Ewę, jakby nieobecna. Przerwała. Zapaliła kolejnego papierosa.

— Wiesz, że to partia, czyli inaczej mówiąc ideologia, jest przyczyną wszystkich nieszczęść twojego kraju. Wszystkich, a zwłaszcza korupcji, niskiego poziomu gospodarki, śmierci milionów, niesprawiedliwości, całego tego bałaganu. Jesteście jej ofiarami od siedemdziesięciu siedmiu lat. Bez niej piękna Rosja mogłaby być przewodniczką wszystkich narodów. Rosyjska ziemia kryje więcej bogactw niż cała Ameryka. Ma o wiele starszą historię i piękne duchowe tradycje. Ale rządzą nią ludzie chorzy, żądni władzy i ślepi intelektualiści, wariaci i paranoicy, rodem z innej epoki. Twój naród zaznał głodu, strachu, niewolnictwa i upokorzenia, a dziś to wszystko może wrócić znowu, gdyż odżywają błędne koncepcje ideologiczne, przedwcześnie uznane już za pogrzebane.

Patrzyła mu prosto w oczy.

— Narody, podobnie jak jednostki, podlegają prawom przeznaczenia. Przeznaczenie nie oznacza fatalizmu. Można na nie wywierać wpływ. Naród ma zawsze taką możliwość. Ale trzeba kogoś, kto mu ją wskaże i pomoże wejść na drogę godności i sprawiedliwości. Powtarzam raz jeszcze: Bóg postawił mnie na twojej drodze, bym pomogła ci dokonać wyboru, uświadomić rolę, jaką masz do spełnienia. Możesz i powinieneś wybrać! Gdy wybierzesz źle, to znaczy nie zrobisz nic, sprzedasz im po prostu swoją skórę! Gdy wybierzesz dobrze, uratujesz życie sobie i twojemu narodowi!

Piotr zrozumiał. Po chwili, która Ewie wydawała się wiecznością, odezwał się zdławionym głosem:

— Będzie jeszcze wielu zabitych, rzezie niewinnych ludzi...

— Nie. Zaledwie kilku... Bez porównania mniej niż w Polsce, Azerbejdżanie, Gruzji, Afganistanie, niż podczas słynnej Rewolucji Październikowej, czy za Stalina. Wśród zabitych będą przede wszystkim winni rozlewowi krwi od 1917 roku, winni śmierci twego brata i ojca, tak, twego ojca też. Nie mówiłam ci, bo nie było czasu, ale miałam takie widzenie...

Wstał gwałtownie. Twarz mu pobraźla.

— Mów jaśniej Ewo. To bardzo ważne.

— Twój ojciec nie zginął. Zesłano go do obozu, gdzie zginął z głodu i zimna. Każ przeprowadzić dochodzenie, a przekonasz się, że mówię prawdę.

Zapalając papierosa, zobaczyła jak drżą jej ręce.

— To ci sami ludzie, Piotrze, którzy chcieli zabić także ciebie, a tymczasem zabili twoje dziecko!

Wybuchnęła płaczem, a Piotr siedział nieporuszony patrząc przed siebie. Wierzył w to, co mówiła, i nagle pojął, że padł ofiarą otaczającego go zewsząd zakłamania.

— Kiedy śnił ci się mój ojciec? Opowiedz, co widziałaś.

Zrozumiała, że dotknęła jego czułego punktu.

— Nie pamiętam dokładnie. Tydzień temu, może wcześniej. Wraciał z pracy, gdy zabrało go dwóch ludzi w mundurach. Później był w obozie pośród śniegów, przypuszczam, że na Syberii. Nie wiem, mógł obrazić partię lub Stalina, ktoś na niego doniósł, coś w tym stylu. Był dobrym i odważnie myślącym człowiekiem.

— Musisz to opowiedzieć mojej matce. Zrób to. Ona zawsze mówiła, że musiało się stać coś dziwnego...

Ewa zgodziła się. Piotr wydawał się nieobecny, jakby pochłonięty przez to odkrycie, które zresztą przeczuwał od dawna. Ewa nie przeszkadzała mu. W końcu przerwał milczenie:

— Teraz jeszcze możesz mi tylko powiedzieć, jak widzisz dalszy bieg zdarzeń. Mów konkretnie. Ja mam oczywiście swoją wizję.

Ewa wyczuła strach w jego głosie. Zaczęła mówić. Jej trwający dziesięć minut wywód był jasny i genialnie prosty. Piotr, oszołomiony jego logicznością, nie mógł powstrzymać się od komentarza:

— Ty nie tylko jesteś wyjątkowa, ale masz niewiarygodny zmysł taktyczny! Skończy się tym, że uwierzę, iż przybywasz z innej planety! Codziennie stawiam sobie pytanie, czy to wszystko to nie sen?...

Zaczął uroczystym tonem:

— Czy Pan Bóg też chce, byś została moją żoną?

- Ja chcę na pewno!
 - Przed czy po?
 - Po.
 - A jeśli mi się nie uda?
 - Nie przegrasz. Nic ci się nie stanie, ja będę z tobą.
 - Ale ja muszę czuć twoją obecność zawsze, w każdej sekundzie!
 - Ja także, Piotrze, ale to nie sprzyjałoby naszemu planowi. Za-
ufaj mi.
 - Jakżeż ci nie ufać? Uratowałam mi życie.
 - Chodź!
- Wstała i wzięła go za rękę.
- Pora spać. Czas zacząć wyrównywać rachunki!

Część druga

New Jersey, 24 marca.

— Nie wiem, czy mam gratulować. Sądzę, że tak.

Robert Nelson nalał sobie whisky.

— Jaki ma plan? — spytał nie odwracając się.

— Nie podał mi szczegółów. Zresztą, nie mogłabym go o nie prosić — kłamała. — W każdym razie jego plan pokrywa się z przewidzianym terminem.

— A co z naszą pomocą?

— Zapomnij o niej. Powtarzam ci, to szczerzy patriota. Poza tym, on nas nie potrzebuje. Ja, wręcz przeciwnie, będę potrzebowała wsparcia. Ze względu na Pljucza, który — podejrzewam — ciągle coś knuje. On nie rezygnuje tak łatwo.

— Zlikwidujemy go!

— Za duże ryzyko. To zbyt ważna osobistość i KGB na pewno podejmie śledztwo. Spróbuj zgadnąć, co dalej... Zresztą, już o tym mówiliśmy.

— Co więc proponujesz?

Ewa przedstawiła mu swój plan. Głównym jego celem było zyskanie na czasie. Nelson zgodził się, ale bez przekonania.

Wymienili jeszcze parę czysto taktycznych uwag, szczegółowo, punkt po punkcie, przeanalizowali zadania związane z jej misją i rozstali się godzinę później.

Ewa wyszła pierwsza. Była zadowolona. Nelson w końcu zgodził się dać jej „pomocnika” na wypadek zagrożenia. Taksówka już czekała,

by z tego osiedla mieszkaniowego ukrytego wśród drzew odwieźć ją do centrum New Jersey.

Wysiadła na rogu 57, ulicy, między V a VI Avenue. Samolot odlatywał za trzy godziny. Nad Nowym Jorkiem świeciło słońce, a w powietrzu czuć już było zapach wiosny. Spacerowała właściwie bez celu. Od dawna już nie czuła się tak szczęśliwa i wolna.

Do Nowego Jorku przybyła wcześniej rano. W Moskwie ma być dopiero pojutrze, więc zatrzyma się na jeden dzień w Brukseli. Szef agencji przyjął ją z radością i z gratulacjami. Wyjaśniła mu, że udało się jej w największej tajemnicy zamieszkać u pewnego polskiego dziennikarza, i że zrobiła całą kolekcję zdjęć z tych dramatycznych wydarzeń, w tym jedno niezwykle — oficera radzieckiego strzelającego z odległości na wyciągnięcie ręki do dziesięcioletniego dziecka. Robiła je z balkonu i właśnie wtedy została postrzelona w nogę...

Dyrektor zaproponował jej opublikowanie zdjęć w jakimś czasopiśmie amerykańskim, ale jednocześnie ostrzegł, że może zostać zde-maskowana i natychmiast wydalona... Było to ryzykowne. Lepiej chyba zachować takie dokumenty na później. Chętnie się z nim zgodziła. Jej wiarygodność w oczach dyrektora Europejskiej Agencji Prasowej gwałtownie wzrosła. Właśnie o to jej chodziło...

Prasa międzynarodowa długo spekulowała na temat anonimowego korespondenta przekazującego relacje z najdramatyczniejszych momentów radzieckiej interwencji w Polsce. Przypuszczano, że był to któryś z dziennikarzy polskich, a wybrał agencję EAP, ze względu na dobre z nią układy. Jakaś gazeta podała nawet jego nazwisko. Po tygodniu ciało Zbigniewa Michnika, dziennikarza polskiej prasy niezależnej, znaleziono w jednym z warszawskich parków. Był torturowany i zamęczono go na śmierć...

25 marca o 14¹⁰ czasu miejscowego Ewa zeszła po schodkach Airbusa A320, który wylądował na lotnisku Szeremietiewa. Kontrola paszportów odbyła się bez niespodzianek. Martine zgodnie z umową czekała przed wyjściem. Uściskały się serdecznie. W samochodzie mówiły o sytuacji w agencji i w Moskwie. Dawid jest coraz bardziej arogancki, ale ekipa telewizyjna już pracuje.

— Ale o tym to już wiesz. A jak twoja podróż?

— Gorzej niż źle. Przez ten wypadek przeleżałam trzy tygodnie w łóżku. Przynajmniej odrobiłam zaległości w czytaniu.

— Tak, wiedzieliśmy o wszystkim. Miałaś dużo szczęścia!

— On za to mniej. Był kompletnie pijany!

— Nie zorientowałaś się wsiadając do taksówki?

— Po prostu przysnęłam!

Martine opowiedziała jej, że poznała przystojnego mężczyznę, moskwianina, profesora historii na uniwersytecie. Chciałaby jej go przedstawić.

— Czemu nie! A w jaki to sposób trafia się na profesorów historii?

— spytała śmiejąc się.

— Wystarczy wpaść do nocnego lokalu.

Po godzinie znalazły się przed domem Ewy.

— Wpadnę do agencji około piątej. Dzięki za podwiezienie! — powiedziała wychodząc z samochodu.

Wyjęła korespondencję ze skrzynki na listy. Mieszkanie było nie naruszone, wszystkie zastawione „pułapki” pozostały nie tknięte. Uspokojona usiadła na tapczanie. Odrzuciła ulotki reklamowe i natrafiła na kopertę. W środku znalazła trzy karty pocztowe z widokami Warszawy, Leningradu i Baku, w Azerbejdżanie. Na ich odwrocie był ten sam tekst: „Pozdrowienia z ...” i data. Każda z nich dokładnie pokrywała się z czasem jej pobytu w tych miastach. W środku były jeszcze dwa zdjęcia: Aleksandra i sprzedawczyni. Ewie serce skoczyło do gardła. Szybko wstała i sprawdziła, czy nie założono jej podsłuchu. Mikrofonów nie było.

Otrzymała wiadomość była jasna — Borys Pljucz wie wszystko! Czyżby wypowiedział jej wojnę nerwów i chce zmusić ją do działania, do popełnienia błędu i zdemaskowania się? Nie miał żadnego, konkretnego dowodu, to było jasne, ale musiał być pewien swoich racji, skoro zadziałał w taki sposób. W tej anonimowej wojnie ona miała jeden jedyny atut: nie wiedział, że ona o nim wie, że widziała jego twarz. Miała zatem niewielką przewagę.

Popatrzyła do lustra. Na twarzy nie dostrzegła ani śladu niepokoju, jaki naprawdę opanował jej wnętrze.

Padął zimny i dokuczliwy deszcz. Ewa wyskoczyła z taksówki i pobiegła do agencji. Na biurku leżała cała korespondencja, w tym także list od Iwana Jegorowa, redaktora naczelnego „Prawdy”. Prosił o telefon zaraz po powrocie. Ewa wiedziała, że wszyscy redaktorzy naczelnicy gazet, a już na pewno szef oficjalnego organu partii, albo współpracowali z KGB, albo wręcz byli jej agentami. Zawołała Martine i zawiadomiła ją, że postanowiła nakręcić z ekipą telewizyjną reportaż o inspektorze Borysie Pljuczu. Bruksela wyraziła zgodę.

— Przygotujesz wszystko co trzeba? Zrób coś w stylu „tydzień z rosyjskim Maigretem i jego ekipą”. Pełny reportaż, więc także ujęcia w domu, z rodziną, w biurze itd. Zgoda?

Martine o mało nie oszalała z radości. Po jej wyjściu Ewa zadzwoniła do Jegorowa. Dał jej bezpośredni numer do redakcji, więc od razu się przedstawiła.

— Rad jestem, że panią słyszę! Wie pani, tyle się o pani mówi, że nie mógłbym odmówić sobie przyjemności zaproszenia pani na kolację. Jako kolega po fachu, oczywiście.

Ewa skupiła całą swoją uwagę. O o mu chodzi?

— Od czasu, gdy widzieliśmy się na Kremlu, często o pani myślałem, ale tak nagle pani zniknęła, że — jakby to powiedzieć — zaniepokoiłem się...

— Z przyjemnością przyjmę pańskie zaproszenie, apróbuję też pański termin. Jednakże — o ile to panu nie sprawi kłopotu — wolałabym obiad. Wieczory staram się rezerwować dla mężczyzn mojego życia...

Jegorow przeprosił za nietakt i pośpiesznie zgodził się. Umówili się na przyszły tydzień. Odłożywszy słuchawkę Ewa pomyślała o Borysie. Co on knuje? Jaki zrobi następny krok? Zacznie deptać jej po piętach? Spróbuje zamordować? Przekupić kogoś z agencji? Właściwie dlaczego nie zainstalował jeszcze u niej podsłuchu? W tym celu musiałby niewątpliwie zwrócić się oficjalnie do specjalistów z MWD. Tymczasem on, co było jasne, wolał zatrzymać tę sprawę dla siebie. Jego teczka była pusta. Gdyby chciał działać oficjalnie, nie potrafiłby jej niczego udowodnić, ale jak długo jeszcze? Przez kogo i z której strony chce ją osiągnąć? Przez Olę? Przez Jegorowa? Czy próbował także podejść do Piotra Karstowa? Mogła sobie wyobrazić taką oto scenę: „Marszałku Karstow, proszę wysłuchać mnie do końca. Moim obowiązkiem jest podzielić się z panem moimi obawami i podejrzeniem odnośnie pewnej cudzoziemki. Nie mam żadnych konkretnych dowodów, żadnej pewności, ale rozumie pan, są okoliczności, w których trudno zmylić tak starego gliniarza jak ja...”

Dziwaczne pomysły tego starego gotowe wszystko zepsuć! Trzeba zacząć działać.

Plan, który przedstawiła Nelsonowi, nie był już aktualny, trzeba było zmienić całą strategię. Nie doceniła Borysa Pljucza i chyba lepiej będzie ten reportaż o nim odwołać. Niewielkie korzyści, jakie by z niego uzyskała, były niewspółmierne do podejmowanego ryzyka. Zadzwoiła do Martine i wyjaśniła jej, że reportaż trzeba odłożyć na później.

— Rozmawiałam właśnie z Brukselą. Są pilniejsze sprawy. Rezygnujemy, a później się zobaczy.

A gdyby porozmawiać o Pljuczu z Piotrem? Wystarczyłoby mu wspomnieć, że ktoś chodzi za nią od chwili przyjazdu. Pozbyłby się go

w ciągu paru najbliższych dni, nawet będąc jeszcze w Polsce. Postanowili razem, że w przyszłości będą starali zachowywać się jak najdyskretniej, a obawy, o jakich mu mówiła, przyczyniły się do podjęcia takiej decyzji... Miała więc czas zająć się Pljuczem. Postanowiła znaleźć jakieś rozwiązanie w ciągu dwóch dni i próbowała zająć się pracą. Przeglądała artykuły, które wyszły z agencji, a zwłaszcza artykuły Dawida Rosena. Były wyśmienite. Dawid należał do najlepiej zorientowanych w sprawach radzieckich dziennikarzy spośród tych, którzy aktualnie przebywali w Moskwie. Jego artykuły zawierały prawidłową ocenę wydarzeń, były precyzyjne i zawierały dużo informacji. Każde słowo było starannie wyważone. Nagle Ewie zrobiło się głupio na myśl o jej stosunku do Dawida. Przecież to on jest profesjonalistą i powinien zajmować stanowisko, które otrzymała ze względu na swoją misję. Niepotrzebnie go upokarzała. Powinna więc pierwsza wyciągnąć rękę do zgody. Może to być przydatne później.

Nazajutrz rano przysłała do agencji pierwsza. Bruno wziął urlop, więc musiała się zabrać za przygotowanie spotkania z nową ekipą telewizyjną. Siedząc przy biurku, rzuciła okiem na nocne doniesienia agencyjne. Nagle jej wzrok padł na jeden z tytułów w „Prawdzie”: *Żegnaj, Ewo!*

Nerwowo złapała gazetę i rozłożyła ją. Obok zdjęcia Aleksandra umieszczono *List otwarty do nieznanajomej*. Czytała z bijącym sercem.

Nie wiem kim pani jest, ani skąd pochodzi. Być może jest pani mężatką, Rosjanką, Amerykanką lub Francuzką. Turystką, dziennikarką, aktorką lub szpiegiem. Niczego o pani nie wiem, ale widziałem panią przez chwilę pewnego wieczoru. Była pani piękna, bosko piękna! Szedłem za panią... i to ja panią napadłem. Obok parku Gorkiego... Miałem jednak wyrzuty sumienia, wstydziłem się samego siebie. To nie brak odwagi. W Afganistanie tego dowiodłem,

mam wszystkie odznaczenia. Zaczęłem panią szukać i odnalazłem. Chodziłem za panią wiele dni, by prosić o wybaczenie, pocałować w rękę, wynagrodzić wyrządzoną krzywdę. Chciałem być pani aniołem stróżem w tym oszalałym mieście! Ale nie miałem odwagi... Dziś postanowiłem naprawić swój błąd i sam siebie skazać na karę śmierci. Gdy list ten zostanie opublikowany — o ile go wydrukują — ja już nie będę żył, zniknę bez śladu, na zawsze. Nazwałem panią „Ewa”, gdyż tak na imię miała pierwsza kobieta i tak bardzo ono do pani pasuje. Mam nadzieję, że spotkamy się kiedyś na tamtym świecie, a póki co — będę patrzeć na panią stamtąd, gdzie będę. Dzień i noc będę nad panią czuwał, gdziekolwiek pani będzie, i tak aż do końca...

Ewa była wstrząśnięta. Zaledwie przebiegła wzrokiem notkę od redakcji, wyjaśniającą, dlaczego zdecydowano się opublikować to dziwne przesłanie. Odłożyła gazetę. Błyskawicznie podjęła decyzję. Wszedł Dawid z notesem w rękę. Ewa podeszła do niego z wyciągniętą ręką i z uśmiechem na ustach, ale on udawał, że patrzy przez okno. Była tak zdenerwowana, że o mało nie rzuciła się na niego i nie uderzyła go w twarz. Opanowała się jednak i powiedziała.

— Dziękuję ci, że tak sprawnie zająłeś się wszystkim w czasie mojej nieobecności. Przeczytałam wczoraj wieczorem twoje materiały. Brawo, trudno o lepszego fachowca.

Dawid odwrócił się i spojrzał na nią. Komplement Ewy przyjął z wyraźnym chłodem. Wykonał jedynie ruch głową, który można by uznać za podziękowanie albo też za wyraz niechęci.

Podala mu jeszcze raz rękę. Uścisnął ją bez przekonania. Gdy zaproponowała mu wspólne wyjście na obiad, zawahał się przez chwilę, po czym wyraził zgodę i wyszedł bez słowa.

Na spotkanie stawiała się cała ekipa telewizyjna. Kamerzysta John, młody Amerykanin z holenderskim paszportem, popisывał się niezwykłym talentem imitatorskim. Bełkotem, mającym przypominać język rosyjski, zaczął naśladować Gorskowa. Robił to tak komicznie,

że pierwszy raz od dość dawna Ewa wybuchnęła śmiechem.

Po spotkaniu wróciła do swego pokoju i od razu podeszła do okna. Na pierwszy rzut oka dostrzegła sylwetkę mężczyzny, który przechadzał się po chodniku naprzeciwko. Borys Pljucz... Nawet nie starał się chować! Przeszedł ją dreszcz. Gdy koło południa wychodziła z Dawidem, już go nie zauważyła, ale na rogu ulicy dostrzegła jego samochód. Więc jednak był. Schował się gdzieś? Co on szykuje? Nie próbowała nawet rozglądać się za nim, by nie narazić się na pytania Dawida... Poszli w stronę Arbatu. Miała ochotę wstąpić jeszcze raz do restauracji „U Piotra”. Na ulicy szalał mroźny wschodni wiatr, szli więc bez słowa i spieszyli się, by zniknąć gdzieś w ciepłym wnętrzu. Ledwie usiedli przy stoliku, Dawid nachylił się ku niej i szepnął:

— Wiem, że byłaś w Polsce. Ta słynna korespondentka to ty! Brawo!

Udawiała, że nie rozumie, o czym on mówi. Skąd mógłby wiedzieć? Dawid uśmiechnął się po raz pierwszy, wyraźnie z siebie zadowolony. Nachyliwszy się ponownie, dodał:

— Jestem tego pewien! Ten wypadek, to dla zmyłki. Rozpoznałem cię po stylu...

Ewa chciała coś powiedzieć, gdy nagle w drzwiach pojawiła się sylwetka Borysa. Zabrakło jej tchu. Siłiła się na uśmiech do Dawida. Kelner zaprowadził inspektora do stołu tuż za jej plecami. Słyszała, jak ciężko siadał. Ich krzesła stały w odległości kilkunastu centymetrów. Słyszała jego oddech, ale udało się jej zachować zimną krew. Tutaj nic nie może jej zrobić. Dawid zamówił dwa kieliszki szampana.

— Za twoje dokonania w Polsce! — powiedział śmiejąc się głośno.

Ewa uśmiechnęła się, teraz ona nachyliła się ku niemu i szepnęła:

— Lata świetlne dzielą cię od prawdy, ale szampana wypić możemy.

Nie dając mu czasu na odpowiedź poinformowała go, że postanowiła pisać mniej, najwyżej jeden artykuł na tydzień, by więcej czasu poświęcić kontaktom politycznym, zarządzaniu agencją i ekipie telewizyjnej. Zaproponowała mu objęcie wkrótce funkcji redaktora naczelnego. Dawid słuchał jej z mieszanymi uczuciami — to radości, to sceptycyzmu. Starał się zachować spokój, gdy Ewa dodała:

— Dwa tysiące sto trzydzieści osiem dolarów więcej miesięcznie! Plus samochód służbowy! Plus odpowiedzialność za redakcję! Z jedną jednak niedogodnością, jedyną...

Przerwała i patrzyła badawczo w jego twarz. Tak bliska obecność Borysa Pljucza wprawiała ją w dziwnie dobry nastrój. Zachowywał się jak amator, zdeorientowany i samotny. Później policzy się z nim za takie prowokacje...

— Ty pozostajesz szefową całości, o to chodzi? — rzekł Dawid podnosząc kieliszek.

— Za twój awans, powodzenie i obopólną zgodę!

Ewa patrzyła mu wprost w oczy i wypila łyk szampana. Dawid, wyraźnie podniecony wiadomością i tajemniczą urodą tej kobiety, wypił także, kiepsko udając opanowanie. Trzymając w ręku kieliszek nagle spytał, dlaczego podjęła właśnie taką decyzję.

— Bo jesteś najlepszy. Już ci to mówiłam.

— A poza tym?

Ewa uśmiechnęła się i rozejrzała wokół siebie. W restauracji był komplet gości. Od roku co najmniej uchodziła ona za miejsce spotkań elity politycznej lub finansowej oraz inteligencji moskiewskiej. Na ścianach wisiały dziesiątki obrazów malarzy rosyjskich, którzy w ten sposób płacili za posiłki. Szef, Pierre — pięćdziesięciolatek z południa Francji — ożenił się z młodszą o dwadzieścia lat moskwianką, a zanim zdecydował się robić tutaj interesy, był kelnerem w kilku słynnych restauracjach w Paryżu. Postawny, z tatarskim wąsikiem, przechodził od stołu do stołu pozdrawiając gości, proponując poczęstunki i całując panie po rękach. Zbliżał się właśnie do stolika Ewy, która dyskretnie

dała mu znak ręką, by nie przeszkadzał im w intymnej rozmowie. Pierre posłał im jednak szeroki uśmiech i zatrzymał się przy stoliku Borysa. Łamaną ruszczyzną spytał, czy jest zadowolony z obsługi.

Ewa nie usłyszała odpowiedzi. Prawdopodobnie Borys skinął tylko głową. Przeprosiła Dawida, wstała, by pójść do toalety. Ale nie poszła. Dyskretnie schowała się za filar wspierający ścianę. Miała wrażenie, że Dawid i Borys się znają i, że będą próbowali się ze sobą porozumieć. Po chwili inspektor odwrócił się i poprosił Dawida o ogień. Ewa poczuła ukłucie serca. Pomyśl o awansie Dawida przyszedł jej w ostatniej chwili. Chciała w ten sposób uniknąć rozmowy o Polsce i zmienić temat. Dawid podsunął Pljuczowi zapaloną zapalniczkę. Nie zamienili ani słowa. Jedynie uśmiech. Mogła przez chwilę zobaczyć twarz Rosjanina raz jeszcze. Wyglądał na swój wiek, a na twarzy widać było zmęczenie. Miał jasnoniebieskie oczy, osadzone głęboko pod grubymi, czarnymi brwiami, prosty nos i siwe dość jeszcze gęste włosy. Jego twarz jej kogoś przypominała, ale kogo? Odwrócił się. Był barczysty. Wróciwszy na salę, stwierdziła, że jej krzesło dotyka krzesła Borysa. Będzie musiała przeprosić go, by się posunął, popatrzeć na niego, uśmiechnąć się. Zawahała się przez moment, po czym pchnęła energicznie swoje krzesło, unikając spojrzenia Borysa. Chciała utrzymać jeszcze tę jedyną przewagę nad nim, jaka jej pozostała: to, iż on wciąż nie wiedział, że ona go zna. Dlaczego jednak kręcił się aż tak blisko niej? O co mu chodzi? Była pewna, że w czasie jej pobytu w Polsce kontaktował się z Dawidem. Co teraz zrobi z obiecany Anglikowi awansem? Przekonanie dyrektora w Brukseli nie będzie wcale tak łatwe, jak to zasugerowała. Dawid zamawiał coś na deser. Poprosiła jednak już o kawę. Chciała czym prędzej wyjść i uwolnić się od krępującej ją obecności tego głupkowatego, choć skutecznego gli-niarza.

Lada dzień Piotr powinien wrócić z Polski. Czekala na jego powrót, na chwilę, kiedy w końcu będzie mogła zacząć misję, dla której tu przyjechała. Gdy Dawid poprosił o rachunek, poczuła ulgę.

Odbierając płaszcz, zauważyła, że Borys wstał także i szedł w stronę szatni. Na ulicy cały czas czuła jego obecność za plecami. Dawid chciał zatrzymać się obok młodych muzyków, ale Ewa przyspieszyła kroku. W pobliżu agencji nareszcie zgubiła Pljucza.

Zamknęła się w swoim pokoju i poprosiła, by jej nie przeszkadzano. Zadzwońiła do Brukseli. Dyrektor był nieobecny. Wróci za kilka dni. Po drodze uprzedziła Dawida, że jego oficjalna nominacja nadejdzie za parę tygodni, ale już teraz powinien pomyśleć o czekających go nowych obowiązkach. Przede wszystkim jednak prosiła o zachowanie ich rozmowy w tajemnicy.

Jak pozbyć się Pljucza? Miała gotowy plan, ale Borys nieprzewidywanym zachowaniem zmusił ją do odrzucenia go.

Widokówki i zdjęcia znalezione po powrocie do Moskwy, zaproszenie Jegorowa na obiad, opublikowanie *Listu otwartego do nieznanym* właśnie w gazecie Jegorowa, uwagi Dawida o Polsce, Borys chodzący za nią: to wszystko miało tylko jeden cel — wytrącić ją z równowagi.

Po wyjściu z restauracji Dawid raz jeszcze próbował rozmawiać o Polsce. Ewa, zdenerwowana, prawie krzyknęła:

— Kto ci naopowiadał podobnych głupstw?

— Ależ ja naprawdę rozpoznałem twój styl i nie uwierzyłem w historię o wypadku.

Ewa otworzyła torebkę i wyjęła paszport.

— Masz, przyjacielu! Otwórz i szukaj wizy wjazdowej do Polski!

Dawid był zdziwiony, ale otworzył paszport i przeglądał go idąc. Niczego nie znalazł i oddał dokument ze zmieszana miną.

— Przykro mi, że cię rozczarowałam, ale nie jestem tą bohaterką, o której myślałeś! — powiedziała sarkastycznie.

— Mogłaś mieć dwa paszporty. Czemuż by nie?

— A dlaczego nie mogłabym być od razu szpiegiem, podobnym do ciebie? — odparowała i uśmiechnęła się.

Dawid przyznał w końcu, że dostał anonimowy list, w którym ktoś...

— Chory psychicznie — przerwała mu. — Jakoś ich wielu w naszym zawodzie!

Gdy około dziewiętnastej Ewa wychodziła z agencji, Borys wciąż był w pobliżu. Szła powoli, zatrzymując się od czasu do czasu przed witrynami. Pljucz kroczył za nią w pewnej odległości, imitując jej zachowanie. Czy nie podejrzewał, że go już zauważyła? Na ulicy Puszkina wstąpiła do włoskiego sklepu z artykułami spożywczymi i zrobiła drobne zakupy, płacąc dolarami. Borys czekał za rogiem, aż Ewa weszła do domu przy ulicy Czechowa, lecz kiedy wyjrzała przez okno z mieszkania, już go nie było. Podbiegła do okna wychodzącego na podwórze i w ostatniej chwili dostrzegła jego sylwetkę, gdy wchodził do budynku naprzeciwko. Nie zrezygnował zatem — pomyślała. Patrzyła uważnie, co będzie dalej. Po pięciu minutach z budynku wyszła starsza kobieta i weszła do budynku Ewy. Serce zabiło jej mocniej. Gdy usłyszała dzwonek do drzwi, zrozumiała, o co chodzi: ta stara mogła być czegoś świadkiem. Sceny z „afganem”? Pukała do drzwi:

— Jestem sąsiadką.

— Proszę chwileczkę zaczekać.

Pobiegła do łazienki, ubrała płaszcz kąpielowy i okręciła głowę ręcznikiem. Otworzyła drzwi.

— Dzień dobry pani! O, jaka pani urocza! Mieszkam w budynku naprzeciw i słyszałam, że mieszka tu cudzoziemka. Chciałam spytać, czy od czasu do czasu nie mogłabym u pani posprzątać.

— Jest pani bardzo miła, ale mam tak małe mieszkanie. ..

— To nie szkodzi. Wy młodzi macie tyle różnych spraw, więc pomysłalam... że...

Ewa podziękowała jej i zamknęła drzwi.

Obraz starej, którą dusi własnymi rękoma, stanął Ewie przed oczyma. Zrzuciła szlafrok i zbiegła po schodach. Brała po cztery stopnie naraz, wciągając w biegu płaszcz. Po chwili była już na ulicy. Nie mogła złapać żadnej taksówki. Pobiegnęła w kierunku oddalonej o jakieś trzy kilometry agencji. Przystanęła zdyszana pięćdziesiąt metrów od wejścia do budynku przy ulicy Razina. Schowała się w cieniu. Odetchnęła trochę i zaczęła, aż stojący przy bramie strażnik zdecyduje się pójść na piwo do otwartego jeszcze tuż obok baru. Należąca do agencji niwa 4x4 stała przy budynku. Włożyła kluczyk i włączyła silnik nie zapalając światła.

Kilka minut później zaparkowała dziesięć metrów od samochodu Borysa. On zaś przyszedł dopiero po dwudziestu minutach. Wsiadł i pojechał. Ewa ruszyła za nim. Ulice były prawie puste. Ludzie woleli nie ruszać się z domu, bojąc się bądź zamachów, bądź bandyckich napadów. Była 20³⁰. Borys prowadził ostrożnie, ale nie wyglądało na to, że czegoś się obawia. Ewa starała się zachować odpowiednią odległość. Borys zatrzymał się przed budynkiem przy ulicy Piatnickiej, więc Ewa dojechała do jej końca i zaparkowała tuż obok placu Dobryninskaja. Wysiadła z samochodu i ruszyła w przeciwnym kierunku. Zdążyła zobaczyć, jak inspektor wchodził do dużego budynku, którego nie remontowano chyba od czasów rewolucji. Podeszła bliżej i odczytała numer: Piatnicka 13. Wróciła do samochodu. Na placu Dobryninskaja skręciła w prawo i pojechała do placu Oktjabrskaja i dalej Prospektem Lenina. Musiała się spieszyć, ale dodać gazu mogła dopiero po wyjeździe z miasta. Pięć kilometrów przed lotniskiem Demodiedowo skręciła w boczną leśną dróżkę pokrytą śniegiem. Zatrzymała samochód za drzewami, zgasiła silnik i wysiadła. Syberyjskie zimno przeszło ją na wylot. Trzęsąc się szła w kierunku jeziora ze składaną saperką w rękę. Uklękała przy samotnie rosnącym kilkadziesiąt metrów od zamarzniętego jeziora świerku i zaczęła rozbijać stwardniały śnieg, aż dokopała się do ziemi.

Męczyła się ponad godzinę zanim natrafiła łopatą na czarny skórzany worek, owinięty plastikową folią. Była spocona i nie czuła zmarzniętych rąk. Zakopała dół jak mogła najdokładniej i wróciła do samochodu. Pięćdziesiąt minut później ponownie zaparkowała przy ulicy Piatnickiej. Czarnej wołgi Borysa nie było. Ewa miała ochotę podjechać pod swój dom, ale została. Pół godziny później samochód inspektora nadjechał z naprzeciwka. Borys zatrzymał się pod domem. Otworzył tylne drzwi i z samochodu wysiadła kobieta z dzieckiem na ręku. Razem weszli do budynku.

Ewie nasunęło się tysiące pytań! Własnoręcznie dokonała już dwóch morderstw, a dziesiątki osób zginęło z jej polecenia. Wewnętrzny głos mówił, że już dosyć, że trzeba przestać. Czyżby to był głos Dahlii? „Za późno” — szepnęła, przekonując jakby samą siebie.

Gdy światła na pierwszym piętrze zgasły, Ewa wyjęła worek. Materiał wybuchowy był pokryty grubą warstwą polistyrenu, chroniącą go przed mrozem. Wzięła do ręki „semtex” i wcisnęła zapalnik elektroniczny. Robiła to precyzyjnie i z pełną obojętnością. „Semtex” był niezawodnym materiałem wybuchowym, używanym przez długi czas w latach 80-tych przez terrorystów. Czeski „semtex”, który trzymała w ręku, był bardzo skuteczny. Kawałek wielkości pudełka od zapalek, wystarczył do wysadzenia samolotu. Zdjęła płaszcz i wysiadła z samochodu. Nie było tak zimno, jak za miastem, ale wystarczająco, by skąpo odziana kobieta zwróciła na siebie uwagę przechodniów. Ulica była słabo oświetlona. Rozglądnęła się spieszenie dookoła i wślizgnęła pod samochód. Popatrzyła na zegarek: pierwsza w nocy. Jej palce pewnie trafiały w klawisze zapalnika. Na ekranie zmieniały się wyświetlane cyferki. Nastawiła godzinę wybuchu. Przy 13⁰⁰ zawałała się. Miała poczekać, aż pojawi się cyfra 8. O ósmej rano Borys zazwyczaj wychodził do pracy — taką informację jej przekazano. Coś jednak nie pozwalało Ewie przesunąć cyfr zapalnika dalej. Przykleiła „semtex” do silnika.

Nagle usłyszała głos zbliżających się osób. Złękła się, że ktoś idąc po śliskim chodniku mógł patrzeć pod nogi. Dwoje ludzi szło w jej kierunku. Zatrzymali się obok numeru 11. Mężczyzna długo całował młodą dziewczynę. Ona chciała już odejść, ale on ją zatrzymywał. Zaczęła się sprzeczać. Mężczyzna był cudzoziemcem. Ewa rozpoznała jego włoski akcent. Zarzucał dziewczynie, że zawraca mu głowę, a teraz się wycofuje. Kobieta zaprzeczała. Ewa, uwięziona pod samochodem, zaczynała się już niepokoić. „Semtex” mógł wybuchnąć lada moment. Dokładność tego urządzenia wielokrotnie już zawodziła i Ewa o tym wiedziała. Mężczyzna zaczął podnosić głos. Byleby tylko nie pobudził sąsiadów! Ewa próbowała wysłizgnąć się z drugiej, strony, ale z naprzeciwka bardzo powoli nadjeżdżał samochód, oświetlając jasno całą jezdnię. Nagle zatrzymał się tuż obok. Buty milicjanta zadudniły o asfalt dwa kroki od głowy Ewy. Słyszała jego głos, gdy pytał kłócących się, czy nie potrzebują pomocy. Odpowiedzi nie usłyszała. Na nosie poczuła kroplę oleju. Kostniały jej ręce. Na ekranie zapalnika szybko zmieniały się cyferki odliczające sekundy. Ile minut jeszcze zostało? Buty milicjanta oddaliły się, ale jego samochód nie ruszał z miejsca.

Po jakimś czasie, który Ewie wydał się wiecznością, usłyszała, jak odjeżdżał. Poczekała jeszcze chwilę i wysunęła się spod samochodu od strony jezdni. Jej niwa stała na rogu ulicy Piatnickiej i placu Dobryninskaja. Tych dwoje wciąż jeszcze tam stało. Jak im powiedzieć, by zmykali? Samochód milicyjny — niewątpliwie ten sam — przejechał powoli obok niej. Znow zatrzymał się obok dwojga przechodniów. Była 1²². W tym momencie ogromny wybuch wstrząsnął dzielnicą. Ewa ruszyła z kopyta.

Dwie minuty później dotarła pod agencję. Budka strażnika była pusta. Ewa wjechała na podwórze ze zgaszonymi światłami. Zaparkowała samochód i po cichu wyszła.

Taksówką dojechała na plac Puszkina. Od domu dzielił ją jeszcze kilometr; postanowiła tę odległość przejść pieszo. Nachodziły ją sprzeczne myśli. O mało nie krzyknęła, gdy zobaczyła przed swoim domem milicjanta. Schowała się szybko za jakiś samochód. Dokąd pójdzie? Do Martine? Na szczęście, milicjant odszedł. Musiał się ruszać, by nie zamarznąć na kość. Ewa postanowiła zaryzykować. Jej najlepszym alibi był jednak własny dom. Nikt nie widział, jak wychodziła, i nikt nie powinien jej zauważyć, gdy wracała. Chowając się za zaparkowane samochody, Ewa ostrożnie podeszła na wysokość swego domu. Milicjant akurat odwrócił się i zaczął iść w jej stronę. Był młody, niemal gołowąs. Nagle u góry ulicy pojawił się wóz patrolowy. Podjechał i zatrzymał się obok. Wyskoczył z niego inny milicjant i przywitał się ze spacerującym. Zaczęli iść, rozmawiając. Znaleźli się jakieś pięćdziesiąt metrów od niej i minęli jej budynek. Teraz, albo nigdy! Jednym skokiem Ewa przebiegła ulicę i weszła do budynku. Po cichu zamknęła drzwi i nie oglądając się za siebie, wbiegła po schodach, pokonując po cztery stopnie naraz.

Rzuciła się na tapczan i próbowała pozbierać myśli. Nachodziło ją tysiące pytań. Dlaczego Borys postawił milicjanta przed jej domem? Chce ją nastraszyć, czy kazał pilnować starszą kobietę? Rozebrała się i poszła do łazienki. W strumieniu gorącej wody myślało się jej najlepiej.

Dlaczego nie zabiła Borysa? Dlaczego jej palce zatrzymały się na wpół do drugiej a nie na ósmej? Chodziło tylko o danie mu poważnego ostrzeżenia? Znowu spowodowała śmierć niewinnych ludzi. Czując niechęć do samej siebie, wyszła z łazienki, omijając lustro. Widok dwojga młodych stawał jej wciąż przed oczyma. Po wybuchu wprost wylecieli w powietrze. Wymyła buty ciepłą wodą i wrzuciła ubranie do pralki. Wyczerpana do granic wytrzymałości rzuciła się na łóżko,

szlochając boleśnie. Jej życie stało się koszmarem.

Zadzwoił telefon „specjalny”. Sięgnęła ręką i wyciągnęła sznur z gniazdka. Nie chciała rozmawiać z Piotrem. Pragnęła mieć spokój. Na zawsze i od wszystkich... Zasnęła, nie wiedząc nawet kiedy.

Inspektora Borysa Pljucza przesłuchiowano pierwszy raz w ciągu jego długiej kariery. Jego bezpośredni zwierzchnik z „Pietrowki”, pułkownik Anatolij Zetkin, przyjechał do jego prywatnego mieszkania zaraz po tym, jak tylko dowiedział się o masakrze: czterech zabitych, w tym dwóch milicjantów, siedem zniszczonych samochodów i trzy poważnie uszkodzone budynki. Kilkadziesiąt samochodów milicyjnych z włączonymi światłami, karetek i wozów strażackich zupełnie zablokowało ulicę Piatnicką. Pułkownik w pośpiesznie naciągniętym na siebie mundurze przeskakiwał gruz i nosze, na których leżeli przykryci kocami zabici. Kątem oka spojrzał na rozrzucone po całej ulicy szczątki słynnej wołgi inspektora. Borys Pljucz stał w drzwiach. Był błądy, ze smutkiem patrzył dookoła, najwyraźniej wstrząśnięty tym, co się stało.

Bez słowa podali sobie ręce. Gestem ręki Borys Pljucz poprosił go do mieszkania. Zaledwie zasiedli w saloniku, z pytań stawianych mu przez Zetkina, inspektor zorientował się, że „anonimowi informatory” — prawdopodobnie z jego własnego komisariatu — donieśli pułkownikowi o jego „dziwnym zachowaniu”, „tajnych aktach dotyczących mafii afgańskiej”. Zetkin mówiąc o tym, wyglądał na speszonego.

— To nie jest bynajmniej... jak by to rzec.

— Zarzut? Niech pan posłucha pułkownika. Ktoś chciał mnie zabić. Dlaczego? Nie wiem. Jeżeli zaś chodzi o mój sposób prowadzenia dochodzeń — pan go zna. Nigdy nie mówię niczego komukolwiek i pan dotychczas aprobował ten sposób działania. Wie pan także, że

moje sukcesy nieraz budziły czyjąś zazdrość. Sądzę, że za parę godzin jakieś ugrupowanie terrorystyczne przyzna się do zamachu.

— Zapewne. Chciałbym jednak, żeby dał mi pan słowo honoru, że niczego przede mną nie ukrywa.

— Daję słowo, pułkowniku! Wie pan przecież, że nie daję się wciągać w byle co...

— Bardzo dobrze. Wierzę panu. Proszę jednak sporządzić dokładny raport o tym... zamachu. A, i jeszcze krótki raport o sprawach, którymi się pan teraz zajmuje.

Gdy już wychodził, Borys poprosił go o podwiezienie do komisarjatu.

— O wpół do czwartej nad ranem? Nie sądzi pan, że to lekka przesada?

— A mój raport, pułkowniku?

Uścisnął żonę, szepnął jej coś na ucho i wyszedł.

Borys Pljucz zamknął się w swoim biurze. Obudził i przesłuchał milicjanta, który jako pierwszy pilnował domu Ewy. Stwierdził on zdecydowanie, że nikt nie wychodził z budynku oprócz pewnego małżeństwa — około jedenastej w nocy. Strażnik w budynku agencji potwierdził także, że nikt nie wchodził. Borys próbując dojść prawdy, zakładał dwie wersje.

Pierwsza to ta, którą jutro podadzą wszystkie gazety: jeszcze jeden zamach, taki sam jak wiele innych, które falami wstrząsały Moskwą. Dlaczego tym razem padło na niego?

Druga wersja była dla niego oczywista: Ewa Dumoulin. Widokówki, artykuł w „Prawdzie”, starsza kobieta itd. — cała ta szczeniacka zabawa zmusiła ją do działania. Był tego pewien.

Inspektor nie należał do ludzi wierzących w przypadkowy spłot okoliczności. „W naszym zawodzie nie ma przypadków: dwie kule nigdy nie trafiają w ten sam otwór” — powtarzał zawsze nowo przyjętym funkcjonariuszom. Tymczasem miał cztery następne trupy na sumieniu. Posunął się zbyt daleko. Nie mógł zrozumieć, dlaczego nie wysadziła samochodu, gdy on byłby za kierownicą. Może bomba była

niesprawna? Może też chciała go przestrzec? Ale to nie byłoby w jej stylu, ona zabijała — szybko i skutecznie. Czemu więc jego oszczędziła? Bo jest sławny? Borys otrząsnął się na myśl, że ona już dawno musiała go zauważyć. Dał się jej poznać jako nieostrożny i naiwny amator! Był jednak pewien, że ani przez chwilę Ewa nie podejrzewała czegoś nienormalnego. Może nie działała sama, a jego rozszyfrował osłaniający ją agent? Przyjął tę właśnie hipotezę. Dlaczego jednak go oszczędziła?

„Kim jest ta kobieta?” — powtarzał po raz kolejny, chodząc po pokoju tam i z powrotem. Kto ją osłania i dlaczego? Marszałek Karstow? Dlatego, że z nią sypia? Niemożliwe! Obleciał go strach. A jeżeli ona pracuje dla KGB? Sto razy już stawiał sobie to pytanie. Przecież stara zeznała, że widziała Aleksandra w towarzystwie oficera KGB! Nalał sobie czwarty kubek kawy. Chyba wdepnął w jakąś ściśle tajną sprawę. Spisek, przemyt dewiz, dzieł sztuki... Różne hipotezy kłębiły mu się w głowie i nie mógł wybrać żadnej z nich. Nagle ktoś zapukał trzy razy do drzwi.

— Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzano!

— Wiem, szefie — odparł dyżurny, wchodząc — ale prosił pan także, żeby obudzić go o ósmej, gdyby pan zasnął.

Borys spojrzął na zegarek i podziękował mu kiwnięciem głowy. Zadzwoił do administracji i poprosił o rozmowę z szefem działu „C”. Na szczęście mimo wczesnej pory był on już w biurze. Ewa nie wychodziła z domu, ale mogła parę razy telefonować. Pljucz chciał wiedzieć, ile razy i z jakimi numerami się łączyła. Do takich informacji miała dostęp jedynie KGB, ale sława Borysa miała tu jakieś znaczenie.

Szef działu „C” obiecał zrobić, co będzie mógł. Zadzwoił za godzinę:

— Nic nie ma! Nie dzwoniła ani razu, inspektorze. Mogła jednak dzwonić z drugiego aparatu.

— Jakiego aparatu?

— Osoba ta ma drugi numer, ściśle tajny, wyłączony z naszego działu. Nie mogę panu pomóc, inspektorze.

— A kto może?

— GRU.

— GRU?

— Tak, wywiad wojskowy. Te numery należą do nich.

— Dziękuję, przyjacielu, dziękuję. W każdym razie, to nie aż takie ważne... Niech pan wpadnie kiedyś do mnie. Wypijemy po kieliszku.

Trzęsącą się ręką odłożył słuchawkę. Kropelka potu spadła na kartkę papieru, po której mazał podczas rozmowy. Nagle przyszło mu na myśl, że być może starą też już zabito uderzeniem w tchawicę. Zerwał się i wybiegł z biura.

Moskwa, 15 kwietnia.

„Oprawca z Warszawy”. Tak jednoznacznie określiła prasa międzynarodowa nowego marszałka Związku Radzieckiego, Piotra Karstowa. Oskarżano go o wprowadzenie w błąd rządu polskiego, straszenie, że armia polska popierając komunistów, przygotowuje zamach stanu i nie zamierza zapobiec panującej w kraju anarchii. Miał on także ją właśnie wykorzystać jako pretekst do interwencji.

— Jest mi niezmiernie przykro, że na Zachodzie przedstawiają pana w tak niekorzystnym świetle — powiedział szczerze Gorszkow.

— Mnie również — odparł marszałek. Najważniejsze jednak, że nie ucierpiała pańska opinia...

Gorszkow podziękował mu wzrokiem. Od czasu, gdy wrócił wczoraj z Polski, miesiąc później niż przewidywano, prezydent wzywał Karstowa już trzy razy. Kontrolę nad Polską wciąż sprawowała Armia Czerwona, a zapoczątkowany przez nią proces normalizacji nie przynosił spodziewanych rezultatów. Z punktu widzenia wojskowego operacja „Pierestrojka” była sukcesem. Karstowowi udało się zatrzymać większość polskich jednostek w koszarach, nie licząc kilku przypadków oporu, które szybko stłumiono. Żołnierze polscy, siłą trzymani w koszarach i pozbawieni broni, musieli biernie patrzeć, jak Rosjanie, wspierani przez wyborowe jednostki służb bezpieczeństwa, rozprawiali się z „antydemokratyczną zarazą”.

Specjaliści z KGB sygnalizowali zresztą, że polskie wojsko jest nie-
pewne i należy przypuszczać, że stanie raczej po stronie ludności
walczącej przeciwko „wielkiemu bratu”. Wojna tych dwóch armii
mogłaby przynieść klęskę Armii Czerwonej i w Moskwie nikt nie
chciał dopuścić do takiego ryzyka. Plan przedstawiony przez Karsto-
wa został najpierw odrzucony przez sztab generalny, ale przyjęto go w
końcu na polecenie Komitetu Obrony, któremu przewodniczył Gorsz-
kow. Marszałkowi Karstowowi powiódł się także plan uprowadzenia
samolotu papieża. Zmuszono go do lądowania na lotnisku wojsko-
wym, gdzieś przy granicy węgierskiej. Po bardzo dramatycznej, trwa-
jącej ponad godzinę rozmowie, Karstow zdołał przekonać papieża, by
zrezygnował ze swoich zamiarów. Tak właśnie poradziła mu Ewa.

— Los dziesiątków tysięcy ludzi jest w rękach Waszej Świątobli-
wości — ciągnął Piotr. Może nastąpić największa rzeź, jaką można
sobie wyobrazić, ale może też zapanować spokój. Wystarczy, że Wa-
sza Świątobliwość wróci do Rzymu. Ja będę tam, w waszej ojczyźnie, i
w imieniu jej władz, położę kres anarchii.

— A ci niewinni, którzy zginą, którzy już giną?

— Oni ocalą nas wszystkich od najgorszego. Nie umierają na
darmo.

Przypomniawszy sobie słowa Ewy i dodał:

— To Bóg postawił mnie na tej drodze, bym uchronił świat przed
apokalipsą. Proszę mi na niej nie stawać. Proszę tę drogę raczej po-
błogosławić.

Papież, wstrząśnięty, poprosił o parę minut na zastanowienie.
Piotr ponad godzinę czekał przy stopniach samolotu. Od czasu przy-
wrócenia stosunków dyplomatycznych między Watykanem a Moskwą
i po historycznej wizycie papieża w Moskwie, latem 1991 roku, uwa-
żano, że jest on bardziej niebezpieczny niż przedtem.

Gdy Piotr wszedł do salonu papieża w samolocie, zastał go dziwnie
spokojnego. Obok stało złote naczynie z wodą. Papież powiedział
poważnym głosem:

— Zbliź się, synu, chcę cię pobłogosławić.

Piotr zawahał się.

— Ja już zostałem ochrzczony — skłamał.

— Podejdz — rzekł spokojnie papież.

Karstow chciał zachować dla siebie ciąg dalszy tej uroczystej chwili.

Gorszkow spytał zmęczonym głosem:

— Najważniejsze, że uniknęliśmy masakry, a daliśmy poważne ostrzeżenie pozostałym kandydatom do opuszczenia Układu Warszawskiego.

— Tak, panie prezydencie, i jeszcze to, że Polska zamilknie co najmniej na pięć lat. Ale...

— Co, ale?

— Przyszedłem złożyć moją dymisję...

— Nie przyjmuję! — przerwał mu Gorszkow. — Jest pan jedynym człowiekiem, na którym mogę polegać. O dymisji proszę zapomnieć. To rozkaz!

— Proszę posłuchać, panie prezydencie. Od dwóch lat wszystkie moje inicjatywy są blokowane, ze wszystkich stron mnie się bojkotuje, a nawet próbuje zamordować. A pan o tym wie. By zmusić samolot papieża do lądowania, musiałem prosić o pomoc wywiad wojskowy. KGB nie była nawet w stanie nam pomóc... a rzekłbym raczej — nie chciała!

— Wiem, Piotrze, wiem. Trzeba więcej cierpliwości...

— Ale cierpliwość ma swoje granice!

Karstow obszedł szybko pokój, jakby chciał sprawdzić, czy są sami.

Zawahał się przez chwilę i powiedział:

— Zostanę, ale pod jednym warunkiem...

Gorszkow przytaknął głową na znak, że może mówić dalej.

— Proszę mianować mnie ministrem obrony i członkiem Politbiura.

Gorszkow zrobił minę prawdziwie zaskoczonego.

— Ależ już ze trzy razy to panu proponowałem. O ile dobrze pamiętam, zawsze pan odmawiał.

— Odmawiałem, panie prezydencie. Czulem się tylko żołnierzem. Teraz jednak zrozumiałem, że do zgaszenia obecnych i przyszłych

pożarów, pańskie poparcie mi nie wystarczy. Muszę mieć większą swobodę działania, większy posłuch w armii i w KGB.

— To nie takie proste. Dorzuciwszy to do opinii, jaką wyrobiła panu prasa, powiedzą, że to powrót Stalina...

Na moment zapadła cisza.

— Ja już podjąłem decyzję.

— Ja zaś potrzebowałbym paru dni. Chcę się zastanowić.

— Za tydzień wyjeżdżam daleko stąd. Chcę zapomnieć o wszystkim. Gdyby pan podjął jakąś decyzję, znajdzie mnie pan u mojej matki.

Pierwszy raz od początku spotkania Gorszkow uśmiechnął się, był najwyraźniej odprężony. Wstał i pożegnał się z marszałkiem.

— Chyba pan nie wierzy, że pozwolę panu odejść? — rzekł, odprowadzając go do drzwi. — A jak Olga?

— Z nią koniec...

— Coś podobnego! A ta...

— Z nią też koniec.

— Bardzo się cieszę, marszałku. Taki człowiek jak pan nie powinien wiązać się z cudzoziemką. Naród by tego nie zaakceptował. Myślałem nawet, żeby panu zabronić!

Zrobił krótką przerwę i dodał z uszczypliwym uśmieszkiem:

— Ale, przyjacielu, niech pan nie będzie zbyt długo sam. To niekorzystnie wpływa na samopoczucie.

Piotr uśmiechnął się także i wyszedł.

Piotr jadł kolację u matki. Poleciał wojskowym samolotem do Kutaisi, drugiego co do wielkości miasta w Gruzji, na Kaukazie. Stamtąd, incognito pojechał samochodem do leżącego 17 kilometrów na północny wschód miasteczka Tkibuli.

Spotkali się pierwszy raz od ponad roku. Wiele razy próbował przekonać matkę, by przeniosła się do Moskwy, ale bezskutecznie. Nie chciała opuszczać drewnianego domku, pięknie położonego na zboczu, w którym żyła od urodzenia. Piotrowi udało się przynajmniej namówić ją, by pozwoliła założyć telefon, podłączyć ciepłą wodę i elektryczność — uznawane w tych stronach za luksus. Eugenia Karstowa miała siedemdziesiąt siedem lat, a jej cała postać i pełna świeżości twarz mogły służyć jako dowód na prawdziwość twierdzeń o długowieczności mieszkańców Kaukazu. Dziś już nie prowadziła gospodarstwa, ale jeszcze kilka lat temu sama rąbała drewno i codziennie chodziła pieszo siedem kilometrów do słynnego uzdrowiska Tzchaltubo, by sprzedać tam świeże jaja i kurczaki oraz warzywa zebrane z małej prywatnej działki ziemi. „Jak będziesz miał dzieci, przyjadę i zajmę się nimi, jak należy” — mówiła mu wiele razy.

— To kiedy, synu? — spytała także tego wieczoru.

— Rozwiodłem się, mamę — rzekł lekko zawstydzony. — Olga nie chce mieć dzieci.

Patrzyła mu długo w oczy, w końcu odezwała się, z trudem powstrzymując łzy.

— Zawsze ci radziłam, żebyś wziął dziewczynę stąd, z Kaukazu. Wszystko mają! Są ładne, zdrowe i wierne. A ja umrę i nie zobaczę wnuków.

— Nie, mam! Będziesz je miała. Spotkałem wspaniałą kobietę. Chcę ci ją przedstawić. Z nią na pewno będę miał dzieci.

Z tonu jego głosu Eugenia wywnioskowała, że jej syn, choć wielki marszałek, był naprawdę zakochany. Długo opowiadał jej o Ewie, o jej urodzie, sile charakteru, zawodzie. Nagle mu przerwała.

— Mam nadzieję, że nie jest Rosjanką z Moskwy! Urodziła się w naszych stronach?

— Jest cudzoziemką, Francuzką.

— Szpiegiem? Wszyscy cudzoziemcy to szpiegzy. Uważaj mój chłopcze...

— No nie, mam — zaśmiał się. — Nie wszyscy cudzoziemcy są szpiegami.

Nie była co do tego zbyt przekonana. Piotr zaś spytał nagle, czy nie zna jakiejś wróżki gdzieś w pobliżu.

— Wróżki? Sądziłam, że ty...

— Ja z ciekawości — odparł śmiejąc się.

— Synu, ty coś przede mną ukrywasz. Czuję to. Ta cudzoziemka cię zauroczyła.

— Mam, proszę cię. Gdy ją zobaczysz, zrozumiesz i pokochasz. Jestem tego pewien. To ona da ci upragnione wnuczeta.

— Kiedy.

— Wkrótce.

— Wkrótce, to znaczy kiedy?

— W październiku, jeśli wszystko pójdzie dobrze...

— To już jest w ciąży... znaczy w drugim miesiącu?

— Hm... tak, właśnie tak — odparł zażenowany.

— Czyli już się pobraliście?

— Nie, jeszcze nie... wcześniej musimy załatwić sporo spraw.

Milczała, patrząc przed siebie. Piotr spojrzął na telefon i przyszła mu ochota zadzwonić do Ewy i kazać jej natychmiast rzucić wszystko i tu przyjechać. Zrezygnował...

— Nie należy chodzić po wrózkach, mój synu. To nie przyniesie nic dobrego.

— Ja sądziłem, że ty chodziłaś.

— Może kiedyś, ale teraz nie. Rabin Aronski z Kutaisi, który był przyjacielem twojego ojca — świeć Panie nad jego duszą — powiedział mi kiedyś, że w ich religii chodzenie do wróżki jest surowo zakazane.

— Dlaczegoż to?

— Bóg jeden raczy wiedzieć! Ty zaś na pewno nie musisz się martwić, ciebie czeka wielkie przeznaczenie. Zawsze to wiedziałam... Matce możesz wierzyć. To więcej warte niż wszystkie wróżki naraz.

Karstow zadowolony z tego, co usłyszał, wstał i pocałował ją w czoło.

— Masz jej zdjęcie przy sobie?

— Zdjęcie? Oczywiście! Jakżeż mogłem o tym nie pomyśleć!

Wyciągnął portfel z leżącej na żelaznym łóżku kurtki i wyjął zdjęcie, które zrobił Ewie trzy miesiące temu nad Morzem Kaspijskim. Uśmiechnięta, w kostiumie kąpielowym, wychodziła właśnie z wody.

— To było nad morzem — powiedział jakby się usprawiedliwiając.

Matka patrzyła bez słowa, po czym oddała mu zdjęcie, mówiąc krótko:

— Jest ładna. Zbyt ładna, mój synu. A nie masz nowszego?

— Nie, nie przy sobie... Mamo ty wierzysz w Boga? — dodał, chcąc zmienić temat.

— Oczywiście! Czerwoni przegrali już w dniu, gdy go odrzucili. Z tego wzięło się całe nieszczęście, które trapi ten piękny kraj. Twój ojciec także — Panie świeć nad jego duszą — wierzył. Za to go właśnie zabili.

— Dlaczego mi nigdy tego nie powiedziałaś?

— Bałam się, bo nie chciałam, żebyś skończył tak jak twój biedny brat.

— Kogo się bałaś?

Widział, jak walczyła z rozpaczą, która przebijała w jej głosie. Patrzyła nieruchomo w skrzyżowane na kolanach dłonie, jakby chciała uniknąć spojrzenia syna.

— Ciebie! — szepnęła, odwracając ku niemu twarz pełną bólu. Bałam się, że złożysz na mnie donos. Nawet takie pomysły przychodziły do głowy bandytom, którzy tu wtedy rządzą.

— Jak mogłaś tak myśleć, mamó?

— Jesteś zbyt młody, synu. Nie wiesz, do czego oni byli zdolni... Stalin wymordował połowę mojej rodziny i połowę rodziny twojego ojca...

W izdebce zapanowało ciężkie, grobowe milczenie.

— Mamó, chcę, byś wiedziała, że rozmawiałem z papieżem.

— Z papieżem?

Patrzyła na niego oszołomiona.

— Udzielił mi chrztu. Potajemnie — powiedział w końcu.

Wstała, objęła go mocno i zapłakała. Piotr czuł, jak jej łzy spadają mu na szyję. Szepnęła mu do ucha:

— Synu, ty już byłeś ochrzczony. Twój ojciec i ja zrobiliśmy to w wielkiej tajemnicy w naszym obrządku. Niech cię Bóg błogosławi.

Ewa była akurat w sali teleksów, gdy Martine na głos zaczęła komentować treść depechy agencji TASS, w miarę jak pokazywała się ona na drukarce.

— Na Kremlu tasują ministrów. „Oprawca z Warszawy” został mianowany ministrem obrony i...

Ewa wyrwała jej teleks z rąk.

— „...i członkiem Politbiura” — dokończyła sama i oddała go, nie czytając dalszej treści:

— Zwołaj spotkanie redakcyjne za dziesięć minut — wydała polecenie wchodząc do swojego pokoju.

Usiadła głęboko w fotelu. Od „zamachu” na inspektora Pljucza Ewa wiodła stosunkowo spokojne życie. Borys nie pokazywał się więcej i postanowiła złapać trochę oddechu. Ostrzeżenie więc zadziało. Starsza kobieta z bloku naprzeciw też zniknęła. Nazajutrz po zamachu, około dziesiątej rano, widziała przez okno, jak Borys osobiście nadzorował jej „przeprowadzkę”. Dalej już nic się nie działo. Żadnych anonimów, nacisków, amatorskiego śledzenia. Ewa wykorzystwała ten moment na zajęcie się sprawami agencji, ale nie wiedziała, że Pljucz czekał na pierwszą okazję, by znów wypłynąć.

W prasie radzieckiej odnotowano zamach, podając jedynie, że zginęły cztery osoby, nie wymieniając w ogóle nazwiska Borysa. Polecenie takie wydał niewątpliwie sam Pljucz. Wkrótce po wybuchu na ulicy Piatnickiej Ewa poszła na umówiony obiad z redaktorem naczelnym „Prawdy”, Iwanem Jegorowem. Spotkali się w luksusowej

restauracji Domu Dziennikarza, całkowicie odnowionego dwa lata temu z okazji międzynarodowego kolokwium na temat „roli środków masowego przekazu w czasach pierestrojki”.

W ten sposób radziecki prezydent chciał się zrewanżować tym, którzy tak skutecznie poparli go, w ciężkich czasach, gdy walczył o uznanie radzieckiej „opinii publicznej”...

Przy suto zastawionym stole Jegorow zdradził w wielkiej tajemnicy, że był zamach na pewną ważną osobistość. Nie wymienił nazwiska. Ewa zaczęła nalegać, więc w końcu powiedział, że chodzi o słynnego inspektora Pljucza, ale od samego ministra spraw wewnętrznych otrzymał polecenie, by nazwiska tego nie podać w gazecie. Moskwanie bowiem nie zrozumieliby, dlaczego nie ma żadnej reakcji po zamachu na ich ulubionego inspektora. Zaczęłyby krążyć plotki, że inspektor wpadł na trop afery przemytu dewiz na dużą skalę. Ludzie mogliby nawet wyciągnąć wniosek, że władze kazały inspektora sprzątnąć.

— I pewnie by się nie mylili — dodał Jegorow od siebie. Był pewien, że Pljucz prowadzi jakieś tajemnicze sypdztwo.

— Dobrze go pan zna? — przerwała Ewa, uśmiechając się.

— Mniej niż szef rubryki kryminalnej, ale wystarczająco, by o nim mówić. Często o nim pisaliśmy w naszej gazecie.

— Jaki to typ człowieka?

— Jak by go określić? Wzór dokładności i sprytu. Prawdziwy myśliwy — potrafi czekać. Jego zwierzyna prędzej czy później, bez poganiania, wpadnie w zastawione sidła. W maniackalny sposób strzeże swoich tajemnic. Działa samotnie. Dzięki temu udało mu się dopaść aż tylu przestępców i rozbić wiele gangów. Widzi pani, w tym zawodzie potrzeba silnych osobowości, ogromnej odporności, by stawić czoła aparatczykom i biurokratom partyjnym lub ministerialnym. Pljucz jedyny nie uległ im i nie ustąpił przed naciskami... „przyjacielskimi”.

Opowiedział następnie o najważniejszych dokonaniach Pljucza. Ewa uzyskała więc wiele pożytecznych wskazówek.

— To jak pan sądzi, Iwanie — spytała zaciekawiona — jakiego typu sprawę ten superglina prowadzi obecnie... ?

— To oczywiście moje przypuszczenie, ale sądzę, że chodzi o przemyt dewiz lub narkotyków, w który zamieszani są wysocy dygnitarze państwowi. Ale ja nic nie powiedziałem, zgoda? Pozostanie to między nami.

Ewa uśmiechnęła się.

— Ma pan moje słowo, mój drogi. To rozumie się samo przez się. I to byłby powód do zabicia go bez skrupułów?

— Pewnie! Pljucz stał się niewygodny i członkowie mafii siedzący w rządzie kazali go zlikwidować.

— Co za kraj! — zawołała Ewa, śmiejąc się.

— Widać, że doganiamy Zachód!

Wracając do agencji, Ewa myślała o tym, co Jegorow mówił o charakterze Pljucza. Zrozumiała powody, dla których nigdy nie zrezygnował ze ścigania ofiary do końca. Z jednej strony podziwiała inspektora, a z drugiej było jej go żal. W innych czasach, w innych okolicznościach mogliby być przyjaciółmi... Uspokoila się, gdyż była teraz pewna, że Pljucz od początku, od momentu kradzieży zegarka, działał w pojedynkę. Taki już miał styl. Wpadł jednak we własne sidła i to ją niepokoiło. Obawiała się, że człowiek ten przed przejściem na emeryturę, będzie chciał raz jeszcze się popisać.

Spotkanie redakcyjne właśnie się zaczynało, gdy Ewa weszła do biura. Martine natychmiast pokazała jej teleks.

— Patrz, ten słynny inspektor, o którym miałyśmy kręcić reportaży, podał się do dymisji.

— To raczej wiadomość dla Rosjan — powiedziała Ewa, oddając teleks. — Nas to nie obchodzi.

Dawid wciąż jeszcze nie otrzymał oficjalnego potwierdzenia swojej nominacji. Przygotowywał właśnie artykuł o ostatnich przegrupowaniach w ministerstwach. Rozgorzała kłótnia co do rzeczywistego znaczenia tych zmian.

— Usunięcie trzech ministrów przysłała nam obraz tego, co najważniejsze, czyli mianowania tego jastrzębia Karstowa ministrem obrony — twierdził Dawid z niezwykłą u niego rezolucyjnością. — To krok wstecz. Należy spodziewać się najgorszego w ciągu najbliższych dni.

Bruno był przeciwnego zdania. Uważał, że myłono się co do Karstowa. Niewątpliwie należał do „twardych”, ale nie dopuścił do masakry w Polsce i przywrócił tam porządek...

— A cztery czy pięć tysięcy zabitych w Polsce, to co? Wypadek samochodowy? — wrzeszczał Dawid.

— Po co się kłóćcie, we wszystkich gazetach ukażą się komentarze mniej lub bardziej podobne do komentarza Dawida — przerwała im Martine.

— Prasa też może się mylić, i często się myli, gdy reaguje na gorąco, emocjonalnie. Naszym obowiązkiem jest unikać emocji, stawania po czyjejkolwiek stronie i bawienia się w Kasandrę. Powinniśmy informować szybko, ale jak najbardziej obiektywnie. Nasze artykuły piszemy w imieniu agencji, muszą więc być niezaangażowane. Nie jesteśmy przecież ani magazynem tygodniowym, ani gazetą polityczną. Będziemy neutralni.

— Artykuł jest podpisany i ja odpowiadam za jego treść — upierał się Dawid, a jego głos zabrzmiał arogancko.

Dunka Pia ostentacyjnie kreśliła coś w notesie. Ciągłe spory między Brunem a Dawidem wyraźnie ją denerwowały. Wszyscy popatrzeli na Ewę.

Przyznała rację Dawidowi:

— Marszałek Karstow być może nie jest oprawcą, jak go się tu i ówdzie określa. Ale wyobrażenie, jakie się ma o faktach, często przewyższa same fakty. Bądźmy i próbujmy być obiektywni.

— Obiektywizm jest pojęciem subiektywnym — rzekł Bruno. — Wszyscy dobrze o tym wiecie. Zmieniono ministrów gospodarki,

pierestrojki, budownictwa mieszkaniowego i decentralizacji. Tu nikt niczego nie ukrywa. Twierdzić coś przeciwnego, to zwykła paranoja!

Dawid aż poczerwieniał ze złości. Ewa wstała, dając znak, że zebranie się skończyło.

— Dawid napisze artykuł tak, jak będzie chciał, a wy wszyscy zajmiecie się zebraniem jak największej ilości informacji i wysyłajcie depesze.

Gdy wyszli, Dawid stanął w drzwiach.

— Dziękuję; jesteś prawdziwym redaktorem naczelnym...

— Potwierdzenie twojej funkcji nastąpi od 1 czerwca, jeżeli wszystko pójdzie dobrze i tu, i tam. Są jeszcze jakieś sprzeciwy, przypuszczam, że czysto biurokratyczne, ale dam popalić tym technokratom, którzy nami stamtąd rządzą, już w czasie najbliższego wyjazdu.

— Kiedy jedziesz?

— Pod koniec maja.

— Jest bardzo inteligentna. Dzieciństwo miała niespokojne. Matka porzuciła ją, gdy była jeszcze bardzo mała. Dorastała w majątej rodzinie. Jej ojciec jest bardzo bogaty. O tak! Bardzo bogaty... ale... nic dalej nie rozumiem. Obraz jest zbyt rozmyty.

Wróżka z Kutaisi kręciła z zakłopotaniem głową to w lewo, to w prawo. Z zamkniętymi oczyma wodziła palcami po fotografii, którą przyniosła jej pani Karstowa.

— Widzę ją, jakby była w więzieniu... Siedzi sama jakby w baraku... Widzę, jak biegnie przez pustynię i goni ją uzbrojony mężczyzna... Jest jej bardzo gorąco... On chyba jej grozi... Nie, ona go zna... ona także ma broń. W niej są jakby dwie kobiety, jakby coś ukrywała... Jest rozdarta wewnętrznie. Czuję to bardzo wyraźnie. Okrutnie cierpi z tego powodu. Jest równie dobra, co zła. Ale, kim jest ta kobieta? — spytała nagle podnosząc oczy na swoją klientkę.

Nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej.

— Widzę ją, jak dusi inną kobietę... Tak, dusi ją. Tamta upada. Widzę wodę, dużo wody. Ktoś chce ją zabić, upada. Naprawdę, w niej są dwie kobiety, ona coś ukrywa.

Matka Piotra słuchała słów wróżki z nabożeństwem i nie ośmieliła się jej przerywać. Ostatni raz była u niej przed ślubem syna. Pamiętała dokładnie, co wróżka jej wtedy powiedziała: „Nie będzie miał z nią dzieci, a ona odejdzie z innym mężczyzną. On rozwiedzie się, ale

spotka się z bardzo ważnym człowiekiem, wysłannikiem Boga. Spotka także bardzo piękną kobietę i oboje bardzo się w sobie zakochają...”

— Czy ona jest w ciąży? — spytała Eugenia Karstowa dziwnie spokojnym głosem.

— Nie! Nie jest ciężarna. Ale będzie, z bardzo ważnym człowiekiem. Ona go kocha i nie kocha równocześnie. Są w niej jakby dwie kobiety — jedna, która kocha i druga, która jej przeszkadza kochać... Ta kobieta mnie martwi, ma tak pogmatwane życie. Jest w niej dużo dobroci, bardzo dużo, ale nie potrafię...

Popatrzyła na swoją klientkę:

— Nigdy czegoś podobnego nie widziałam, dwie osoby w jednej i to dwie tak bardzo różne osoby... Wygląda, jakby ją ktoś zaczarował, jakby była posłuszna jakiejś wyższej istocie, jakby igrała swoim życiem...

Matka Piotra Karstowa położyła na stole trzy dziesięciorublowe banknoty, wzięła zdjęcie i wyszła bez słowa.

Pierwsze posunięcia nowego rządu szeroko komentowano w prasie radzieckiej, zaś prasa zagraniczna wciąż bawiła się w przepowiednie. Po konferencji prasowej, którą nowy minister obrony, marszałek Karstow, zwołał dwa tygodnie po otrzymaniu nominacji, obawy obserwatorów się potwierdziły.

— Zaprowadzimy porządek w naszym domu i zajmę się tym osobiście! — oświadczył zgromadzonym, unikając spojrzeń Ewy siedzącej w pierwszym rzędzie obok Iwana Jegorowa.

Ostatni raz widzieli się w Polsce, kilka razy rozmawiali telefonicznie, a po każdej rozmowie Ewa wpadała w stan zniechęcenia i wyczekiwania. W przeddzień konferencji prasowej nie wytrzymała i zadzwoniła.

— Jedną noc, przynajmniej jedną.

— Wiesz, że w tej chwili nie mogę — odpowiedział oschle.

— Pojutrze wyjeżdżam do Brukseli. Będę tam dziesięć dni. Muszę zobaczyć się z tobą, rozumiesz?

— Dobrze wypocznij. Zadzwoń, gdy wrócisz, obiecuję. Czuję się dobrze. Dobranoc!

Zdania, które wymieniali przez telefon stawały się banalne. Rozmawiali jak stare rozpadające się małżeństwo: „Jak się masz? Jaka dziś pogoda? Niczego nie potrzebujesz? Jak masz czas, to zadzwoń...”.

Ewa miała odczucie, że osoba, którą w pewnym sensie wykreowała, zaczyna jej się wymykać. Ta nagła zmiana zaskoczyła ją. Przypomniała sobie pewien wykład z psychologii, który ją bardzo zainteresował:

„W dniu, gdy nie będziesz miała wpływu na daną osobę, twoja misja będzie skończona”. Przypomniała sobie także dyskusję sprzed dwóch dni, jaką prowadziła ze słynnym autorem rosyjskich powieści:

„Na początku składam mojego bohatera z czego się da. Daję mu trochę z siebie, z tego, czym chciałbym być, trochę moich pomysłów, przypisuję mu cechy podpatrzone u innych — przyjaciół albo wrogów. W ten sposób on zaczyna istnieć. Powolutku, jak dziecko uczące się chodzić. Jest niepewny, ale wkrótce zaczyna chodzić bez niczyjej pomocy. Później zaczyna biec, a ja nadaremnie staram się — choć nigdy nie zdołam — go dogonić. Potykam się, proszę, żeby wrócił. Ze złości zastawiam na niego pułapki, ale on zawsze wymyka się w ostatnim momencie z uśmiechem na ustach. Drwi sobie ze mnie. Oczywiście mógłbym go zabić, ale wtedy obaj przestaniemy istnieć — i on i ja. On o tym wie. To jego siła, a moja słabość. Walka ta trwa dotąd, dopóki nie uznam jego niezależności i odrębnej osobowości. Wtedy wraca i wciąga mnie w historię, którą chce opowiedzieć. On zna ją lepiej ode mnie. Próba sił przechodzi we współpracę. Znowu go lubię, podziwiam jeszcze bardziej, zwłaszcza jeżeli z logiki mojego opowiadania wynika, że na końcu i tak go zabiję!”

Ewa słuchała Simonowa z zaciekawieniem, nie przestając myśleć o Piotrze i o Borysie, mimo że tego drugiego przecież nie „stworzyła”. Między nią a nimi zawiązała się nić spiskowania, teraz jednak obaj mężczyźni wymykają się jej. Gdy ani jeden, ani drugi nie dawali znaków życia, Ewa zmuszona była śledzić ich losy jedynie z gazet. „Piotr Karstow rozpoczął proces reform w armii... Borys Pljucz pisze już pamiętniki”. O mającej powstać książce mówiono już jako o „bestsellerze dziesięciolecia”.

— A ja, czy aby też nie wymknęłam się już tym, którzy mnie stworzyli? — pytała samą siebie.

W przeddzień wyjazdu do Brukseli Ewa wyszła z agencji nieco wcześniej niż zwykle, gdyż postanowiła zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Był początek maja i spokój moskiewskich parków nie pasował do ciężkiej atmosfery panującej w ZSRR od czasu interwencji w Polsce. Wsiadła do metra i pojechała do stacji „Uniwersytet”. Spacerowała alejkami parku na Wzgórzach Lenina, jednego z najładniejszych miejsc w stolicy. Przychodziły tu babcie z wnukami, młodzi ludzie chodzili przytuleni, zapominając o szaleństwie otaczającego ich świata, siedzący na ławkach starszycy rozgrywali swoje partie szachów. Ewa wystawiła twarz do słońca, przeświecającego przez świeże listki brzoź i dębów. Wciągała tlen pełnymi płucami. Cieszyła się na myśl, że na Zachodzie wreszcie poczuje się pewna i bezpieczna. Nie zauważyła idącego jakieś sto metrów za nią brodatego staruszka w czapce z daszkiem. Jadł lody i od czasu do czasu przystawał pod jakimś drzewem, jakby chciał lepiej poznać i zapamiętać ich smak.

Już nie pierwszy raz inspektor Borys Pljucz obserwował ją z oddali. Postanowił złożyć dymisję w tydzień po tym, jak jego samochód wyleciał w powietrze. Zaczynał podwójne życie. Każde jego przebranie było starannie przygotowane i wielokrotnie sprawdzane, zanim zdecydował się na jego użycie. Czasami Borys w przebraniu przechodził obok żony idącej ulicą, czekającej na przystanku lub wychodzącej z pracy. Nie rozpoznała go ani razu, nawet gdy pytał ją o godzinę.

Upewniwszy się, że nie zostanie rozpoznany zaczął stopniowo śledzić Ewę dzień po dniu. Któregoś ranka był zaskoczony, gdy przebrany za kobietę wychodził z domu i zobaczył ją stojącą w pobliżu bramy jego domu. Studentką o długich blond włosach, w okrągłych okularach na nosie i w dżinsowych spodniach, nie mógł być nikt inny, jak Ewa. Sytuacja była tak komiczna, że o mało co nie wybuchnął śmiechem. Powstrzymał się jednak — przecież miał oczywisty dowód na

to, że Ewa prowadziła podwójne życie. W tym dniu rozpieła go dumą. Wiedział, że Ewa prędzej czy później wpadnie w jego sidła.

Po ogłoszeniu dymisji Pljucza Ewa wiele razy próbowała go śledzić, przebierając się za studentkę i zmieniając jedynie peruki, on zaś grał przed nią rolę staruszka, listonosza, doręczyciela, montera i księdza. Upewnił się, że Ewa była bezpośrednio wmieszana w jakieś tajemnicze sprawy, które jeszcze mu się wymykały, ale wiedział, że je rozwiąże. Nie mógł jednak zrozumieć, dlaczego właściwie darowała mu życie.

Możliwości działania miał ograniczone i zdawał sobie z tego sprawę. Nie posiadał żadnego długofalowego planu, ograniczył się tylko do śledzenia Ewy. To nowe życie spodobało mu się. Pozwoliło wyzwolić się z rutyny, do jakiej już przywykł. Ewa Dumoulin, nawet o tym nie wiedząc, nadała jego życiu nowy sens. Dzięki niej przeżywał prawdziwą przygodę. Podjął największe i najbardziej podniecające wyzwanie w całej swojej karierze gliniarza.

W parku wśród drzew cieszył się właśnie z okazji zafundowania sobie tej „nowej wolności”, która miała zaprowadzić go na drogę, jaką jeszcze nigdy nie szedł.

Stara kobieta wyglądająca na kaukaską wieśniaczkę stanęła pośrodku podwórza budynku, w którym mieszkała Ewa, w chwili gdy ta właśnie wracała do domu. Kobiety popatrzyły na siebie. Stara podeszła, oglądając Ewę od stóp do głów, i zdecydowanie spytała:

— Ty jesteś Ewa? Jestem matką Piotra. Muszę z tobą porozmawiać.

Ewa była zaskoczona i pomyślała, że chyba Borys Pljucz nie mógłby zastawić na nią tak głupiej pułapki... Uśmiechnęła się i zaprosiła ją do siebie. Gdy chciała pomóc kobiecie przy wchodzeniu po schodach, ta ją odtrąciła.

W mieszkaniu Ewa kazała jej usiąść i zaproponowała herbatę. Zamiast odpowiedzi kobieta w milczeniu przyglądała się jej. Ewa czuła się nieswojo. Zauważyła, że patrzyła identycznym wzrokiem jak Piotr. W końcu zaczęła mówić:

— Przyjechałam aż z Kaukazu, by z tobą porozmawiać. Syn nie wie, że jestem tu, u ciebie, w Moskwie.

Nagle zmieniła myśl:

— Okłamałaś mojego syna, wcale nie jesteś w ciąży!

— On to pani powiedział? — zdziwiła się Ewa śmiejąc się. — Bardzo proszę, pani Karstowa, proszę usiąść. Tak się cieszę, że panią widzę! Syn tyle o pani opowiadał. Zrobię pani coś ciepłego.

Poszła do kuchni nastawić wodę. Stara bez słowa ruszyła za nią.

— Lubi pani...?

— Niczego nie lubię — przerwała jej. — Ciebie też nie lubię. Chcę tylko byś zostawiła mojego syna w spokoju. Przestań go widywać. Jesteś czarownicą. Rzuciłaś na niego urok!

Przez chwilę Ewę obleciał strach. Butelka mleka, którą wyjęła z lodówki, wypadła jej z ręki i rozbiła się o podłogę. Zakryła twarz dłońmi i próbowała zapłakać. Szlochanie jakby zmiękczyło serce starszej kobiety.

— Nie jestem na ciebie zła — powiedziała nieco spokojniej — ale zostaw mego syna w spokoju. Wracaj, skąd przyszedłaś. Wiem, kim jesteś!

Ewa wzięła ścierkę i zaczęła wycierać podłogę. Zrobiła herbatę, postawiła na stole dwie filiżanki i talerz ciastek czekoladowych. Stara uparcie stała. Ewa w końcu odważyła się:

— Pani Karstowa, ja kocham pani syna. Bardziej niż pani myśli i dlatego wyjadę. On jeszcze o tym nie wie...

— Kiedy? Ja wiem, kim jesteś! Wróżka cię zdemaskowała. Ty jesteś zagranicznym szpiegiem!

Ewa wstała błyskawicznie, już chciała rzucić się jej do gardła, ale wybuchnęła tylko śmiechem.

— Możesz się śmiać! Zabierz to sobie! — zawołała wściekle Karstowa i rzuciła jakieś zdjęcie.

Ewa podniosła je i patrząc z bliska, starała się rozpoznać miejsce, w którym zostało zrobione. Nie pamiętała, czy Piotr miał kiedyś w ręku aparat fotograficzny. Musiał je zrobić z ukrycia miniaturowym aparatem, ale dlaczego? Położyła zdjęcie na stole, miotając się z rozpaczy i złości. Udało jej się zachować zimną krew, popiła herbaty i zrobiła poważną minę.

— To kiedy wyjeżdżasz?

— Jutro.

— Mam nadzieję, że na zawsze.

Ewa potwierdziła i ostatni raz spróbowała ją udobruchać. Odwróciła się i zaczęła szlochać. Po chwili czuła, że stara gładzi ją po włosach.

— Jest mi smutno, ale mam tylko Piotra. Jest wszystkim, co mam. Nie życzę ci wcale źle.

— Pani Karstowa, mam tyle pani do powiedzenia, ale musi pani usiąść. Jest pani zmęczona. Bardzo proszę usiąść. Obok mnie. Proszę mi zaufać.

Mówiła cichym głosem. Stara zawahała się, ale usiadła. Ewa podsunęła jej filiżankę herbaty i talerz z ciastkami.

— Opowiem pani straszne rzeczy — zaczęła Ewa po chwili. — Jestem szczęśliwa, że pani przyjechała. Będzie pani mogła powiedzieć Piotrowi, żeby bardzo na siebie uważał. Ma tylu wrogów! Ja raz uratowałam mu życie, ale drugi raz już mnie przy nim nie będzie.

Ewa wstała, podniosła sukienkę i pokazała jej bliznę na nodze:

— Ta kula miała dosięgnąć Piotra. Gdyby nie ja, już by go pani nie miała.

Opowiedziała jej szczegółowo całe zdarzenie. Stara słuchała i łzy podeszły jej do oczu.

— Kiedy już wyjadę, Piotr pani potwierdzi, że tak właśnie było.

— Wróżka powiedziała mi, że nigdy nie byłaś w ciąży. Ona się nie myli.

— Każda wróżka się pomyli, gdy usiłuje zobaczyć duszę innej wróżki. Ja przecież też miałam widzenia i Piotr o tym wie. To ja powiedziałam mu, że jego żona jest bezpłodna, a zmyśla, że nie chce mieć dzieci. Ja także powiedziałam mu, że ona ma kochanka. To ja wyczułam niebezpieczeństwo i stanęłam między napastnikiem a nim. Jak wszystkie wróżki jestem wewnętrznie rozdarta. Są we mnie jakby dwie kobiety — jedna, która teraz z panią rozmawia, pracuje i żyje jak inni ludzie, i druga, która, czasami tylko, ma kontakty z duchami.

Zrobiła niewielką przerwę i powiedziała ciszej:

— To tak, jakbym miała dwie dusze. Kto usiłuje je zobaczyć z zewnątrz, nie może się zorientować.

Znowu zrobiła przerwę:

— Nie wiem, co wróżka pani powiedziała, ale nie mogła powiedzieć prawdy z powodów, o których właśnie mówiłam.

Eugenia Karstowa była wyraźnie poruszona. Przeciągnęła ręką po twarzy.

— Nie — odpowiedziała. — Tak zupełnie to się nie myliła. Mówiła także dobre rzeczy o tobie...

— Pani Karstowa, Pan Bóg postawił mnie na drodze pani syna, abym mu pomagała. Zrobiłam to, ale teraz muszę wyjechać i to daleko. Kocham pani syna bardziej niż kogokolwiek. Nie chcę jednak być żoną radzieckiego przywódcy. Jestem cudzoziemką...

— A tak dobrze znasz nasz język — od jakiegoś czasu kobieta trzymała ją za rękę. — Nie wyjeżdżaj, córeczko — powiedziała patrząc błagalnym wzrokiem. — Byłam niesprawiedliwa wobec ciebie. Wybacz mi starej.

Ewa nachyliła się i pocałowała ją w policzek.

— Niech pani nie przeprasza. To ta wróżka tak panią nastawiła. Nie należy nigdy chodzić do wróżki. Zabrania tego także religia.

— Jesteś Żydówką?

— Nie. Dlaczego pani pyta?

— Bo właśnie Żydom nie wolno chodzić do wróżki. Powiedział mi to jeden rabin, a ja powtórzyłam Piotrowi, kiedy chciał do niej iść.

Ewa wiedziała, że kiedyś przyjdzie mu taki pomysł. W Moskwie było sporo wróżek i wszyscy, bez wyjątku, przywódcy radzieccy bardzo często korzystali z ich usług.

— Zabraniają tego wszystkie religie — powiedziała Ewa. — Pan Bóg nie lubi, gdy ktoś próbuje odgadnąć jego zamiary. Opowiem pani pewną historię. W czasach, gdy żył Jezus, pewien bardzo bogaty i chciwy człowiek kazał sprowadzić najlepsze wróżki do siebie. Nie uczynił żadnego kroku, nie podjął żadnej decyzji, zanim nie spytał ich o radę. Pewnego dnia, gdy siedł do synagogi, zatrzymała go wróżka, którą niedawno wypędził. Żądała pieniędzy, które był jej winien, lecz on gwałtownie ją odepchnął. Upadła na ziemię, wstała i zawołała: „Biedny głupcze, jutro nadejdzie twoja ostatnia godzina. Oddaj mi pieniądze, zanim oddasz duszę!” Człowiek ten przeraził się, wsiadł na osła i próbował uciekać. Jechał cały dzień, aż dotarł do Nazaretu,

gdzie zatrzymał się na noc. Nazajutrz, wcześniej rano, wyruszył do Tyberiady. Tam spotkał go Anioł Śmierci. Przerażony człowiek znów zaczął uciekać. Gdy zmęczony wieczorem dojechał do miasta Sfad, Anioł Śmierci czekał na niego przy wjeździe do miasta i powiedział: „Gdy dziś rano zobaczyłem cię w Tyberiadzie, byłem zaskoczony, bo po ciebie miałem pójść do Sfadu i to wieczorem!”.

Kobieta słuchała jej z zachwytem.

— I tak go Pan Bóg pokarał! — rzekła w końcu.

— Nie. To wróżki go okłamywały. Dopóki im płacił, mówiły mu to, czego chętnie słuchał.

— Więc ty nie wierzysz we wróżby? A mówisz, że sama jesteś wróżką!

— Nie wierzę tym, które biorą pieniądze.

— A więc ten zły człowiek z twojego opowiadania miał tego dnia umrzeć?

— Tak mu było pisane.

— Ale Pan Bóg mógł za karę przyspieszyć jego śmierć — dodała kobieta, wyraźnie zainteresowana tematem.

Ewa przytaknęła.

— Można próbować oszukiwać, ale przed swym przeznaczeniem się nie ucieknie. Wie pani, że wielu wysoko postawionych ludzi miało wokół siebie najsłynniejsze wróżki. Prezydent Sadat, Indira Ghandi, szach Iranu... Żadnemu z nich nie przepowiedziały, że zginą.

— Nie wyjeżdżaj, córeczko!

Ewa poczuła się dumna. Udało się jej wypędzić z myśli Karstowej podejrzenie, że jest szpiegiem. Oczarowała ją tak, jak jej syna. Eugenia została u niej na noc. Nazajutrz na dworcu popłakała się z radości, gdy Ewa obiecała, że odwiedzi ją na Kaukazie.

Waszyngton, 15 maja.

Robert Nelson otworzył drzwi.

— Gratuluję! — rzekła Ewa, wchodząc do małego domku w Georgetown, w centrum Waszyngtonu. — Dowiedziałam się o twoim awansie z radzieckich gazet. No więc, panie dyrektorze CIA?

Spotkanie trwało dwie godziny. Jak zwykle, ich poglądy często się różniły. Gdy Ewa skończyła, Nelson oświadczył:

— Z tego, co mi opowiedziałaś, wynika, że już nie masz wpływu na Karstowa.

— W chwili obecnej, to prawda. Ale nie ma obaw. Zaprzyjaźniłam się już z jego matką, mam się z nią spotkać po powrocie.

— Jego matka... jego matka. Podoba mi się ten pomysł, ale muszę poinformować prezydenta Stanów Zjednoczonych...

— Powiesz mu w październiku, tak jak ustalono na początku, ani o dzień wcześniej — przerwała mu Ewa.

— Moja droga Dahlio...

Ewa zerwała się z krzesła i złapała go za gardło. Usiłował się wyrwać, ale była silniejsza. Twarz Amerykanina zaczynała blednąć, gdy Ewa w końcu puściła. Leżał przez dłuższą chwilę i łapał oddech.

— Przepraszam cię — powiedziała, podając mu szklankę wody. — Nie wiem, co mi się stało...

Nelson, z grymasem na twarzy, uśmiechnął się.

— O.K., O.K., w porządku. To ja cię przepraszam. A wszystko przez te przekłete imiona. Mów dalej — rzekł, nalewając sobie jeszcze jedną wodę mineralną.

— Wiem, że spieszno ci donieść o błyskotliwych sukcesach twojemu prezydentowi, ale naprawdę nie wszystko jest jeszcze pewne. Nie dzielmy skóry na niedźwiedziu, póki on żyw. To byłoby lekko-myślne.

Nelson przytaknął wzrokiem. Ewa mówiła dalej:

— Porozmawiajmy raczej o numerze dwa w KGB. Jak daleko jesteś?

— Operacja rozpoczęta. Zacznie się w lipcu lub sierpniu.

— Za późno. Mówiliśmy o początku czerwca. Dlaczego zmieniasz terminy?

— Nasze służby napotkały na małe trudności, ale przyśpieszę ich ruchy.

Ewa wzięła górę nad Nelsonem. Nowy szef CIA był wyraźnie zaskoczony. Widział, jak bardzo się zmieniła. Była bardziej stanowcza i straszliwie pewna siebie. Dla wyrównania sił dodał:

— Popeliłaś duży błąd, darując życie inspektorowi Pljuczowi.

— Wiem — odparła krótko. — On nie jest już groźny. Bawi się w szpiega. Sam wiesz najlepiej, do czego to prowadzi.

— Nie doceniałaś go. Dostałaś nauczkę, że nigdy nie należy...

— Nie doceniać przeciwnika. Wiem. Jego możliwości są ograniczone. Działa sam, bez pomocy, bez dowodów. Zajmę się nim po powrocie.

— Jaki masz plan?

— Jeszcze nie wiem.

— Wolalbym wysłać kogoś z naszych.

— Absolutnie. Ani mi się waź! To mój człowiek. Znam go tak, jakbym go sama stworzyła. Jest mój!

Moskwa, 17 maja.

Piotr Karstow podniósł kieliszek.

— Za twój sukces!

— Dziękuję — odpowiedział marszałek Igor Nikołajewicz Wasiliew.

Mianowany dziś rano przez prezydenta Gorszkowa szefem sztabu generalnego Armii Czerwonej, wieczorem przyszedł do willi Karstowa. Za godzinę powinni znaleźć się tu wszyscy pozostali jeńcy uwolnieni niegdyś przez Karstowa, by uczcić najnowsze wydarzenia.

— Bardzo liczę na ciebie, Igorze. Musisz narzucić dyscyplinę w armii, odmłodzić kadrę. Otocz się ludźmi młodymi, kompetentnymi i zaangażowanymi. Daję ci wolną rękę.

— Postaram się stanąć na wysokości zadania. Możesz mi zaufać.

— Wiem. Ale działaj ostrożnie. Prasa zaraz zacznie rozpisywać się o brutalnych czystkach, radykalnych reformach itd. Unikaj zwłaszcza tych wszystkich komisarzy partyjnych, których oficjalnie niby nie ma, ale cały czas będą wokół ciebie węszyć. Są najniebezpieczniejsi. Spróbuj ich sobie zjednać, a później ich wykończysz. Znasz przysłowie o rybie, że psuje się od głowy. Zaczynij więc od głowy. Szukaj wśród naszych przyjaciół z Afganistanu, a znajdziesz takich ludzi, jakich nam potrzeba.

Wkrótce dwaj najważniejsi dostojnicy wojskowi ZSRR spotkali swoich dawnych towarzyszy, a radosne przyjęcie trwało do białego rana.

Gdy Ewa wylądowała w Moskwie, zauważyła tuż przy wyjściu z lotniska Iwana Jegorowa, naczelnego redaktora „Prawdy”, z bukietem róż w ręku.

— A pan co tu robi?

— Już sam nie wiem, co robić, by panią poderwać, koleżanko!

Ewa usiłowała uśmiechnąć się. Zbyt obawiała się Jegorowa, by dać się nabrać na jego komplementy.

— Ale skąd pan... ?

— Pani współpracownicy są zbyt gadatliwi — odparł niosąc bagaże Ewy.

Jego wołga stała tuż przy wyjściu.

— Ładnie to tak wykorzystywać stanowisko i parkować w niedozwolonym miejscu? — spytała z nie ukrywaną złośliwością w głosie.

— To jeden z niewielu przywilejów, jaki mi pozostał, więc z niego korzystam. Poza tym niecodziennie przyjeżdżam na lotnisko po kobietę moich marzeń...

Jadąc autostradą do Moskwy opowiadał jej wszystkie nowinki z życia politycznego miasta.

— Obawiam się o wyniki tego zwrotu wywołanego ostatnimi wydarzeniami. To może być zwrot wstecz. Ci, którzy zawsze przepowiadali klęskę pierestrojki, chyba będą mieli rację.

Ewa dobrze знаła ten typ intelektualistów gorliwie pracujących dla KGB, których zadaniem było puszczanie fałszywych informacji wśród dziennikarzy pracujących w Moskwie.

— Ja, na szczęście, podpisałem umowę na wyłączność z naszym „Maigretem”.

— Płjuczem?

— Osobiście! Ma wygłosić cykl wykładów i przedstawić najbardziej skomplikowane i najbardziej tajne przypadki, jakie rozwiązał w czasie swojej kariery. Moja gazeta uzyskała prawo do wyłączności zamieszczania sprawozdań. Podwoję nakład. Powinniście się tym zainteresować, a nie biegać za naszymi ministrami i propagandzistami i słuchać ich głupot!

— W jaki sposób wypowiedzi milicjanta mogą spowodować podwojenie nakładu jakiejś gazety. To dziwne. Na Zachodzie...

— Ależ, moja droga, inspektor Borys to nie byle milicjant! To największy inspektor policji w ostatnich dziesięcioleciach, prawdziwy Maigret! Ma o czym opowiadać!

Jegorow był wyraźnie podniecony, mówił to, co myślał, a jednak Ewa była bardzo niespokojna. O czym z kolei on mógł wiedzieć? Nie wierzyła w zbieg okoliczności. Jakie zagrożenie mógł stworzyć Jegorow, w jaką pułapkę ją wciągnie? Musiał znać Pljucza, skoro zamieścił w „Prawdzie” ten „List do nieznanym”. Przed domem Jegorow zaoferował wniesienie bagaży do mieszkania.

— Na razie interesuje mnie tylko jeden mężczyzna — tłumaczyła się. — Proszę mi dać czas, Iwanie!

Pocałowała go w policzek i wysiadła z samochodu.

— To kiedy zaczyna ten wasz Maigret? — spytała zamykając drzwi.

— 4 czerwca. Interesuje to panią? Wykłady zarezerwowano wyłącznie dla studentów czwartego roku, ale mógłbym postarać się o przepustkę, gdyby pani chciała.

— Przy tym wszystkim, co teraz dzieje się w Moskwie, poważnie wątpię, czy mogłabym pozwolić sobie na taki luksus. Ale zastanowię się — odparła wchodząc do bramy budynku.

Podczas nieobecności Ewy jej mieszkania nikt nie „odwiedził”. Wszystkie pułapki pozostały nietknięte. Jednak i tym razem miała wrażenie, że ktoś w mieszkaniu był.

Czyżby zaczynała mieć urojenia? Być może. Wśród listów znalazła także jeden wysłany przez matkę Karstowa. Otworzyła go natychmiast. Pismo było bardzo staranne, niemal jak z uczniowskiego zeszytu kaligrafii. Pewnie poszła do „pisarza” w Kutaisi, by go podyktować.

Ponawiała zaproszenie dla niej i nawet wspominała o synu. Na końcu dopisała: „Ale niech pani mu nie mówi, że byłam w Moskwie”.

Ewa słuchała najnowszej piosenki Tracy Chapman, gdy zadzwonił telefon „specjalny”.

— Dopiero wróciłaś? — spytał Piotr chłodnym tonem.

— Dosłownie przed minutką.

— Przyjdę koło północy — rzekł krótko i odłożył słuchawkę.

Chodziła w kółko po pokoju i nie mogła opanować zniecierpliwienia. Tłumaczyła sobie, że wynika ono z przesunięcia czasowego i braku snu, bo rzeczywiście, nie spała od dwudziestu siedmiu godzin. Dwa dni temu opuściła Waszyngton i z Bostonu poleciała samolotem „Alitalii” do Rzymu, dalej „Sabena” do Brukseli i ostatnim samolotem „Air France” do Moskwy. Taki sposób podróżowania, niezbędny dla jej bezpieczeństwa, był jednak bardzo męczący. O szóstej wieczorem zdecydowała, że najlepiej zrobi, jak położy się spać. Wzięła prysznic, odłączyła oba telefony i położyła się do łóżka.

Obudził ją dopiero Piotr. Nie słyszała, kiedy wszedł.

— Jak tu wszedłeś? — zawołała.

— Najprościej w świecie! Przez drzwi. Zostawiłaś klucze na zewnątrz. Lepiej tego więcej nie rób!

Objął ją i pocałował w usta. Ona uściśniła go z całej siły.

— W końcu! — westchnęła. — Tak długo cię nie było!

Karstow bez słowa położył się obok niej. Natychmiast zaczął ją pieścić z takim pośpiechem, że oddała mu się, nie myśląc, co jest tu ważniejsze: jej przyjemność, czy dowód jego miłości.

Gdy oboje już wypoczywali, Ewa przymilała się jak kotka. Karstow widział to, ale był jakby zajęty czym innym. Miała nieodpartą ochotę spytać, jak przebiega realizacja planu, który podsunęła mu w Polsce. Zrezygnowała jednak, widząc, że myślami był gdzie indziej. Później zaczął mówić o swojej matce.

— Chciałaby cię zobaczyć i obiecałem jej, że przyjedziesz. Nie wiem, jak to się stało, ale oczarowałaś ją, zanim cię poznała. Kiedy mogłabyś tam pojechać?

— Sama?

— Tak.

— Ale...

— Nie mam nawet sekundy dla siebie. Nawet sekundy.

— Ale jak mam jechać sama?

— Bardzo cię proszę — powiedział niemal błagalnym głosem, chowając twarz w dłoniach. Przed wyjazdem dam ci jej numer telefonu. Zadzwoń i powiedz, że przyjedziesz. Wyjdzie po ciebie na lotnisko. Zrób to dla mnie!

Ubrał się bez słowa i pocałował ją w szyję.

— Zrób to dla nas. A propos, powiedziałem jej, że jesteś w drugim miesiącu ciąży. Liczę na ciebie, że mnie nie wspanieszysz. Wiem, że nie lubisz kłamać, ale...

Przerwała mu gestem ręki i wtuliła głowę w poduszkę, by nie widzieć jak odchodzi.

Nazajutrz w agencji znalazła na biurku pismo potwierdzające nominację Dawida Rosena na stanowisko redaktora naczelnego. Natychmiast zwołała zebranie zespołu i powiadomiła o tym wszystkich współpracowników. Wyjaśniła im powody tej nominacji, ale zauważyła wyraźnie niezadowolone spojrzenia Bruna, Martine i Pii. Nie przekonała ich nawet po wygłoszeniu pochwał na temat dotychczasowych osiągnięć agencji, przekazaniu gratulacji dyrektora generalnego i zapewnieniu, że teraz będzie mogła poświęcić więcej czasu na nawiązanie kontaktów na wyższym szczeblu. Po zebraniu zatrzymała Dawida i poprosiła o wysiłek z jego strony w celu zyskania sobie przychylności kolegów. Nie życzyła sobie waśni między dziennikarzami. Był

to także jeden z warunków, jakie postawił dyrektor EAP w Brukseli, gdy udało się jej przekonać go o celowości utworzenia stanowiska redaktora naczelnego.

Teraz Ewa będzie miała więcej czasu i więcej swobody w realizacji ostatniej fazy swojego planu — fazy najdelikatniejszej.

Moskwa, 27 maja.

Piotr Karstow odprowadził swojego gościa do drzwi.

— Przyjacielu, liczę na ciebie i chyba się nie zawiodę?

— Jak mógłbym zawieść kogoś, kto uratował mi życie, narażając swoje!

Piotr długo ścisnął mu rękę. Wrócił do biura i nacisnął przycisk interfonu. Po chwili wszedł dyrektor gabinetu jego biura.

— Proszę — rzekł, podając mu akta. — To jest nominacja generała Wiktora Iwanowicza Marczenki na stanowisko komendanta oddziałów specjalnych — „Specnazu”. Od tej chwili jest on członkiem sztabu generalnego.

— Mam podać tę wiadomość dla prasy?

— Nie. Jeszcze nie. Dam panu znać.

Gdy Piotr został sam, otworzył następną teczkę. Życiorys generała Aleksandra Terwendowicza Szelenkowa był bez zastrzeżeń. Trzy lata, jako pułkownik wojsk pancernych, służył w Afganistanie, gdzie wykazał się szczególnie i został przyjęty do kontrwywiadu jako wyższy oficer.

Wielokrotnie udało mu się wprowadzić swoich agentów między partyzantów afgańskich a przekazywane przez nich informacje okazały się bardzo przydatne dla Armii Czerwonej. Równolegle studiował na Uniwersytecie Moskiewskim i otrzymał dyplom prawnika.

Piotr Karstow uzyskał dla niego nominację generalską zaraz po uwolnieniu. Szelenkow mógł wrócić do swojej macierzystej jednostki. Obecnie on właśnie dowodził wojskami interwencyjnymi w Polsce. Zamykając teczkę, Piotr zapisał swój szyfr: 15.⁰⁶. Spojrzał na zegarek i odszukał w notesie numer telefonu.

- Pani Slesarewa?
 - Przy telefonie.
 - Przyjaciółka poleciła mi panią. Chciałbym się spotkać, jak najszybciej.
 - A mogę wiedzieć, kto mówi?
 - Proszę nie pytać. Proszę przyjść dziś o dziesiątej wieczorem do mnie. Ulica Daniłowska 26. Ostatnie piętro.
 - Rozumiem.
 - Liczę na pani dyskrecję.
- Odłożył słuchawkę i zadzwonił do Ewy.
- Dopiero co weszłam — powiedziała.
 - Przyjdę koło północy.

O 22 u Karstowa zadzwonił dzwonek. Weszła pani Slesarewa, jedna z najślynniejszych moskiewskich wrózek. Niskiego wzrostu, ubrana dosyć oryginalnie, mogła mieć około sześćdziesiątki. Piotra zafrowała głęboka zieleń jej oczu i przenikliwość spojrzenia. Poczł się nieswojo. Odebrał jej płaszcz i poprosił do salonu.

- Pani wie, kim jestem? — spytał.
- Spojrzła na niego i powiedziała:
- Nie. Nie mam telewizora. Ale jest pan kimś znanym, bardzo znanym.

Piotr poprosił, by usiadła i zaproponował jej szklanę soku owocowego. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął fotografię.

- Proszę. To w tej sprawie prosiłem, żeby pani przyszła.
- Twarz Ewy uśmiechała się na tle morza. Było to niemal identyczne zdjęcie jak to, które zostawił matce.

Moskiewska wróżka zamknęła oczy i wodziła palcami po błyszczącym papierze.

— Ta kobieta jest bardzo inteligentna, wyjątkowo inteligentna. Pracuje przy pisaniu, tak, ona pisze. W pracy bardzo ją lubią. Była raz w ciąży... ale dziecko — chłopczyk — nie żyje... Znowu będzie w ciąży... Urodzi czworo dzieci... Ale, co to widzę? To straszne... Widzę, jak pada na ziemię, ktoś jej grozi. Strzela do niej, widzę go, jest wysoki, w mundurze, chyba wojskowy. Strzela, ale nie ją chce zabić, chce trafić kogoś innego. Ona pada. Cierpi, jest w szpitalu, płacze... Kocha pewnego mężczyznę, zakochana bez pamięci. Osłania go cały czas... Wyjdzie za niego za mąż. To bardzo ważny człowiek... Ma jednak wielu wrogów... Będzie miał wielką władzę... On także ją kocha, ma teraz wiele trudności, ale uda mu się to, co zamierza... Będzie z nią bardzo szczęśliwy... Ona zna wiele języków, ale w tej chwili ma sporo kłopotów. Czuje się silna, ale jest bardzo delikatna... Często płacze... Ukrywa swoje uczucia... Wielu mężczyzn za nią chodzi, ale ona jest wierna. Zamierza wyjechać do innego kraju, do nowej, bardzo ważnej pracy... Wkrótce otrzyma taką propozycję...

Piotr patrzył na nią zachwycony. Chciał zadać jej tysiące pytań, ale nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Nie wierzył we wróżby, sądził, że są one dobre dla kobiet. Tak naprawdę to nigdy nie brał poważnie nieco szalonych przepowiedni Ewy. Do momentu, gdy dzięki swoim wizjom ocaliła mu życie... Teraz ta słynna kobieta-jasnowidz mówi prawdę, przepowiada przyszłość z taką pewnością siebie, mając w ręku tylko to jedno zdjęcie.

Wzburzony i jednocześnie szczęśliwy wstał, wyjął portfel i chciał jej zapłacić. Zatrzymała go gestem ręki:

— Nie! Ta kobieta to dar boży. Jest w niej coś świętego... Nie mogę przyjąć pieniędzy, nie mam prawa...

Oddała mu zdjęcie i wyszła pośpiesznie, zostawiając go w jeszcze większym zakłopotaniu.

Kilka minut później Piotr zadzwonił do drzwi Ewy.

— Powiedziałeś o północy, a jest dopiero jedenasta.

Stał przez chwilę i przyglądał się jej w milczeniu. Przez jedwabny szlafrok przeświecało nagie ciało.

— Czemu nic nie mówisz? — spytała zdziwiona. — Wyglądasz dziwnie, Piotrze... Coś nie gra?

Podszedł do niej, zrzucając swój płaszcz przeciwdeszczowy na podłogę i przytulił ją mocno.

— Mój Boże, jak ja cię kocham! — szeptał, całując jej włosy.

— A ja ciebie...

— Nie mów nic. Pozwól mi patrzeć na ciebie.

Rozwiązał węzeł na pasku szlafroka i zsunął jej go z ramion. Stała nago w słabym świetle bocznej lampy. Czowała jak twardnieją jej piersi i przechodzą ją dreszcze.

— Chodź...

Wziął ją na ręce, zaniósł do łóżka i położył się na niej, jakby chciał wchłonąć całe jej ciało. Pieścił ją dość brutalnie, ale Ewa pozwalała mu na wszystko.

— Najdroższa! Urodzisz mi czworo dzieci! Wiem o tym, czuję to!

Drżała z rozkoszy i zwinęła się w pól, by lepiej odczuć jego orgazm. Coś jednak podsuwało jej wyobraźni obraz zaskakującego spotkania pani Slesarewej z marszałkiem Karstowem... Zgasiła światło i uśmiechnęła się w ciemności..

Piotr wyszedł dopiero o trzeciej nad ranem. Ewa zapewniła go, że odwiedzi jego matkę, jak tylko pozwoli jej na to praca i, pierwszy raz poprosiła go o przysługę.

— Chciałabym zmienić mieszkanie na większe od tego.

— Załatwię ci je w przyszłym tygodniu!

— Chcę przy ulicy Nowokuznieckiej. To taka ładna ulica...

— Niech będzie!

Za tydzień Borys Pljucz ma zacząć swoje wykłady dla studentów kryminologii. Zwyczajem amerykańskim „Prawda” codziennie przypominała

o doniosłości faktów, które inspektor wyjawiał podczas wykładów. Dla podkreślenia ich wyjątkowości gazeta opublikowała jego zdjęcie w towarzystwie dwóch „goryli”, zaznaczając, że będą go ochraniać nawet w czasie wykładu. Chodzi o jego bezpieczeństwo. Przy okazji podano, że wygłosi około dwudziestu wykładów pięćdziesięciominutowych, po jednym w tygodniu, więc cały cykl zakończy się w połowie października...

Ewa zgasła światło i patrząc w sufit obserwowała biegające po nim cienie i światła. Nagle coś przyszło jej na myśl. Zapaliła światło i usiadła na skraju łóżka. Myśl stawała się coraz wyraźniejsza. Była ryzykowna, nawet bardzo. Ale czy miała inne wyjście?

Dwa dni później oglądała mieszkanie o powierzchni stu sześćdziesięciu metrów kwadratowych, należące do wysoko postawionego dygnitarza, który dokonywał żywota w szpitalu zarezerwowanym dla członków nomenklatury. Znajdowało się ono przy ulicy Nowokuznieckiej, równoległej do ulicy Piatnickiej, gdzie mieszkał Borys Pljucz.

Do pracy miała stąd około 15 minut piechotą, a do domu Borysa zaledwie trzy minuty. Tu będzie teraz przychodził Piotr. Dawny lokal będzie służył za oficjalne miejsce zamieszkania.

Gdy wróciła do domu, zadzwonił do niej Iwan Jegorow proponując zakup prawa do wyłączności publikowania rewelacji Pljucza.

— Wiem, że nasza akcja interesuje prasę zagraniczną, więc pomyślałem najpierw o pani. Interesuje to panią?

— Za ile?

— Jak na przetargu. „New York Times” oferuje pięćset tysięcy dolarów...

— To niech się pan nie zastanawia, mój drogi! Taka okazja!

Około dziewiętnastej, z torbą sportową na ramieniu, Ewa poszła w kierunku placu Czerwonego. Borys Pljucz nie pokazywał się i nie śledził jej od chwili powrotu z Brukseli. Postanowiła o nim zapomnieć. Prawdopodobnie był zajęty przygotowaniem wykładów. Podświadomie udała się pod agencję, sprawdzić, czy przypadkiem go tam nie ma. Na rogu ulicy Razina przystanąła na chwilę i zawróciła w kierunku placu Czerwonego. Poszła ulicą Kujbyszewa, równoległe do ulicy, przy której mieściła się agencja, aż do placu Rewolucji i weszła do budynku stojącego pośrodku tego placu. Po chwili wyszła zmieniona nie do poznania: ubrana w stare dżinsy i skórzaną kurtkę oraz w peruce na głowie. Szła ulicą Soljanka. Na rogu ulicy Razina, niedaleko agencji, zwolniła kroku. Jedynie na trzecim piętrze, w pokoju Dawida, paliło się jeszcze światło. Zgasło po paru minutach. Dawid wyszedł pośpiesznym krokiem, rozglądając się ciągle wokół siebie. Zdziwiło to Ewę i odruchowo ruszyła za nim.

Przy końcu ulicy nie skręcił w prawo, by pójść w kierunku ulicy Puszkina, gdzie mieszkał, lecz w lewo. Przeszedł przez most na rzece Moskwie i podążał w kierunku nabrzeża Maurice'a Thoreza.

Ewa pozwoliła mu oddalić się na pewną odległość, by jej przypadkiem nie zauważył. Dokąd mógł iść? Do ulicy Piatnickiej, gdzie mieszkał Borys, było stąd zaledwie trzysta metrów... Przypomniała sobie Dawida podającego Pljuczowi ogień w restauracji „U Piotra”. Doszedłszy do rogu ulicy, Dawid zatrzymał się. Powoli nadjechała łada i zatrzymała się obok. Wsiadł. Ewa podbiegła jak mogła najszybciej, chowając się za drzewami. Gdy auto ruszyło już z miejsca, przez chwilę zobaczyła za kierownicą sylwetkę Borysa. Zapisała numer rejestracyjny, patrząc za odjeżdżającym w kierunku placu Dobryninskaja samochodem.

Nie odczuwała strachu, ale opanowała ją taka wściekłość, że gotowa była wszystkich pozabijać. Oddałaby wszystko, żeby móc ich śledzić. Zatrzymała pierwszą przejeżdżającą taksówkę i kazała się zawieźć do agencji. Wsiadła po pięciu minutach jakieś dwieście metrów

wcześniej. Serce zabiło jej mocniej, gdy zobaczyła światło w oknie jej własnego biura. Rozglądnęła się i dostrzegła zaparkowaną kremową ładę. Strażnika nie było. Weszła na podwórze i podeszła wprost do niwy. Gdy otwierała drzwi, usłyszała czyjeś głosy. Rozpoznała Dawida. Wśliznęła się do samochodu i położyła na podłodze za siedzeniami. Kroki zbliżały się. Nagle Dawid otworzył drzwi i usiadł za kierownicą. Przez odsuniętą szybkę podał rękę Borysowi.

— Pomyliłem się. Ma tylko osiemnaście tysięcy kilometrów. Do zobaczenia inspektorze!

— Niech pan będzie ostrożny, przyjacielu!

Dawid otworzył schowek, wyjął kluczyki i włączył silnik. Po jakimś czasie samochód zatrzymał się. Dawid wysiadł, zamknął drzwi i wszedł do swego domu.

Ewa długo jeszcze leżała w samochodzie, rozmyślając o tym, co przed chwilą przeżyła. Zdrada Dawida nie mieściła jej się w głowie.

Wyszła przez tylne drzwi i skierowała się ku placowi Puszkina. Nagle tuż obok zatrzymał się samochód. Była to taksówka. Młody kierowca odsunął szybę i zagadnął:

— Dokąd to laleczko? Podrzucić do narzeczonego?

— Na Łomonosowa — odparła Ewa po chwili wahania.

— Tak też myślałem. Jest pani studentką. Proszę siadać, podwiozę. Też jestem studentem. Czwarty rok prawa, a pani?

— Literatura porównawcza. Trzeci rok.

— Pani jest cudzoziemką? Mówi pani z lekkim akcentem — zauważył i odwrócił się.

— Ojciec jest Rosjaninem, a matka Polką. Pójdzie pan na wykłady tego słynnego inspektora?

— Płjucza? Nie, niestety. Muszę pracować. Stypendium wystarcza z ledwością na chleb. Zapiisałem się jednak, na wszelki wypadek. Prasa

pisze o tym tak często, że cały uniwersytet nie mówi już o niczym innym. Trudno uwierzyć, że władza pozwoli mu zdradzać jej tajemnice, o ile można je jeszcze takimi nazwać. Ojciec mówi, że to wspaniały facet.

Słuchając młodego człowieka Ewa myślała intensywnie. Borys, Dawid, prawdopodobnie Jegorow — pętla wokół niej zaczynała się zaciskać. Nagle poczuła się jak zwierzę pochwycone w pułapkę, miała ochotę wyskoczyć z samochodu.

— Chce pan zarobić sporo pieniędzy... mnóstwo pieniędzy?

— Narkotyki i przemyt dewiz mnie nie obchodzą.

— Proszę stanąć. Muszę z panem porozmawiać.

Zatrzymał się obok chodnika, kilkaset metrów od uniwersytetu.

Ewa sięgnęła do worka i wyjęła dwa tysiące w banknotach studenckich.

— Proszę je wziąć i proszę czytać — podsunęła mu pod nos swoją kartę dziennikarza.

— Nic nie rozumiem — powiedział, wkładając banknoty do kieszeni.

Ewa wyjaśniła mu, że jej agencja zaoferowała dwieście tysięcy dolarów „Prawdzie” za prawo wyłączności relacjonowania wykładów Pljucza, ale na przetargu „New York Times” przebił ją oferując pięćset tysięcy dolarów.

— Gdzieś czytałem o sumie dwustu tysięcy dolarów — rzekł wyraźnie zmieszany.

— Będzie pan chodził na wykłady i nagrywał je dla mnie, zgoda? Zapłacę dwadzieścia tysięcy dolarów.

— Mówi pani poważnie? Dwadzieścia tysięcy?

Ewa przytaknęła.

— Aż tyle za...

— Pan tego nie zrozumie. Taki jest właśnie Zachód! Konkurencja! Najsprytniejszy wygrywa. Pljucz wyjawia wiele afer, między innymi o przemyśle dewiz, które zdenerwują wielu wysoko postawionych dygnitarzy. Wiem o tym z pewnego źródła.

— A jak zakażą nagrywania? Jak mnie nakryją?

— Nikt pana nie nakryje. Dam panu miniaturowy magnetofon.
Nie ma żadnego ryzyka. Żadnego, proszę mi zaufać!

— Opublikuje pani wykłady w całości?

— To moja sprawa. Ma pan moją pełną gwarancję.

— Jakże tu odmówić? Boże mój, dwadzieścia tysięcy dolarów!

Ewa omówiła z nim sposób postępowania.

— Mam wrażenie, jakbym przeżywał film szpiegowski!

— Bo rzeczywiście chodzi o szpiegostwo! Dziennikarskie!

— Ale dlaczego nie zrobi pani tego sama?

— Tylko korespondent „New York Timesa” będzie miał wstęp na wykłady.

— Dlaczego KGB na to pozwala? Chciałem rzec...

— Wyrównywanie rachunków, mój drogi. Gorszkow wykorzysta to, by utracić kilka dalszych głów. Rozumie pan teraz?

— Tak, ale czy to warte aż dwustu tysięcy dolarów?

— Nie. To warte dwudziestu tysięcy dolarów!

Zaśmieli się oboje.

— Wszystko jasne?

— Jak niebo nad Moskwą.

— To proszę mnie odwiedzić do domu — podała mu swój adres.

— Już pani nie idzie na uniwersytet?

— Nie mam potrzeby. Szukałam rzadkiego ptaszka i już go znalazłam.

— Jezu Chryste! Wiedziałem, że mi pomożesz!

— Jak pan się nazywa?

— Mojsej. A pani?

— Ewa.

— To już mamy kawałek Biblii! Mojżesz i Ewa!

Zaczęli śmiać się znowu. Ewa poczuła sympatię do tego młodego studenta.

Wysiadła kilkadziesiąt metrów przed domem. Rozmawiali jeszcze z dziesięć minut. Pocałowała go w policzek. Poczzerwieniał.

— Proszę nie zapomnieć, że to ja do pana zadzwonię! Ruszył z miejsca. Ewa zdjęła okulary. Na ulicy nie było nikogo.

Biorąc prysznic Ewa próbowała pozbierać myśli. Bez wątpienia Pljucz szykował jakąś nową pułapkę. Leżąc w niwie, już miała ochotę coś zrobić. Myślała, jak zmusić Dawida do wyjazdu gdzieś w ustronne miejsce, spowodować przyznanie się do współpracy z inspektorem i zlikwidować go bez śladu. Było to jednak zbyt ryzykowne. Zniknięcie cudzoziemca w Moskwie znalazłoby się na pierwszych stronach gazet na całym świecie i postawiłoby radzieckie kierownictwo w kłopotliwej sytuacji. KGB musiałyby rozpocząć śledztwo, przesłuchiwać personel EAP. Pljucz miałby pełną satysfakcję. Zrezygnowała. Musi postępować metodycznie i zręcznie, by dowiedzieć się, co ci dwaj knują. Spotkanie z Mojsejem uznała za zrządzenie opatrności. Dzięki niemu będzie miała dostęp do wykładów Pljucza!

Po raz pierwszy zwątpiła w swoje umiejętności oceniania sytuacji „Panikujesz, Ewuniu — rzekła do siebie stojąc przed lustrem. — Panikujesz i gotowa jesteś wszystko spieprzyć!”

Gdy zadzwonił telefon, skoczyła na równe nogi. To był Jegorow.

— Nie miałaby pani ochoty spędzić miłego wieczoru wśród przyjaciół?

— Jestem zmęczona...

— Kiepska wymówka jak na dziewczynkę w tym wieku! Mam na myśli wieczór jazzowy, zobaczy pani, będzie wesoło. Przyjadę po panią za kwadrans.

— Z panem nie można wytrzymać, Iwanie — odpowiedziała miłym głosem.

Jegorow nie kłamał. Wieczór był wspaniały. Od dawna już nie bawiła się tak dobrze. Niewielki zespół muzyków jazzowych świętował swój powrót z udanych występów w USA. W modnym ostatnio lokalu znalazła się cała Moskwa. Był szampan, kawior, wódka. Ludzie tańczyli, śmiali się i opowiadali najnowsze dowcipy o pierestrojce. Jegorow nie odstępował Ewy na krok i wszystkim po kolei ją przedstawiał, dumny z towarzystwa najpiękniejszej cudzoziemki w Moskwie. Ewa szczerze się tym bawiła. Czuła się znakomicie, odprężona, niemal szczęśliwa. Czasami kątem oka obserwowała Jegorowa. Był raczej przystojnym mężczyzną. Miał około pięćdziesiątki, krótkie siwe włosy, zielone oczy i długie czarne rzęsy. Do Ewy podszedł z butelką wódki w ręku jakiś mężczyzna.

— Uwaga, piękna damo, Iwan zrujnował już pięć kobiet!

Jegorow nazwał go zazdrośnikiem i rosyjskim zwyczajem pocałował go w usta. Wypili już sporo alkoholu i zachowywali się bardzo hałaśliwie.

Koło drugiej w nocy Ewa poprosiła Iwana, by odwiózł ją do domu.

— Jak to? Wieczór zaledwie się zaczął!

Nalegała, więc ustąpił. Usiadła za kierownicą.

— Ja jednak mniej wypiałam od pana...

Po chwili, pod pretekstem złego samopoczucia Jegorow poprosił, by się zatrzymać. Wysiadł i zrobił kilka kroków. Ewa podeszła do niego. Odwrócił się gwałtownie i próbował ją pocałować.

— Wiedziałam, że pan kłamie — mówiła, wyrывая mu się z rąk.

— Już mam kogoś, kto się dla mnie liczy. Kocham go z całego serca i nie zamierzam go zdradzać. Nigdy go nie zdradzę!

Wsiadła do samochodu.

— Proszę siadać, jedziemy. Niech pan nie udaje obrażonego dziecka. Zostaniemy przyjaciółmi!

Jegorow wsiadł i nie odezwał się już ani słowem.

Borys Pljucz wszedł do łazienki. Za pięć dni zacznie wykłady na uniwersytecie. „Pietrowka” często dawała mu znać, że nie cieszy się z tego, że prasa — szczególnie „Prawda” — robi wokół tego zbyt wiele szumu. Wielu dawnych kolegów, niewątpliwie z zazdrości, krytykowało go otwarcie dziwiąc się i potępiając takie — jak mawiali — „metody kapitalistyczne”. Jeden z dawnych zwierzchników inspektora powiedział „Izwestiom”: „My nie musimy odsłaniać żadnych tajemnic, a już na pewno nie dla pieniędzy. Myślałem, że Pljucz nie interesowały pieniądze. A one i sława przewróciły mu w głowie. Szkoda! Był najlepszy, ale już nim nie jest!”

Borys włożył podomkę i zjadł śniadanie. Żona już wyszła. W biurze, gdzie pracowała jako kreślarka, koledzy, a zwłaszcza koleżanki, nie ukrywali swej do niej dezaprobaty i niechęci. Mąż będzie zarabiał miliony, po co jej więc praca? Czemu nie zwolni miejsca dla kogoś młodszego? Próbowała rozmawiać na ten temat z Borysem. On jednak zmienił się nie do poznania.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Borys spojrzął na zegar: ósma rano. Pewnie listonosz. Jak codziennie przyniósł dziesiątki listów od wielbicieli i anonimów z donosami.

— Proszę podpisać. Telegram z zagranicy.

Telegram, bardzo długi, wysłano z Francji, ale był pisany po rosyjsku. Było to oficjalne zaproszenie od policji francuskiej z Paryża.

Drogi Kolego i Przyjacielu, Mam zaszczyt i przyjemność zaprosić Pana na nasze doroczne spotkanie, które odbędzie się 22 czerwca w Paryżu. Po raz pierwszy zdecydowaliśmy zaprosić przedstawiciela policji z zagranicy, by przemówił do trzech tysięcy naszych członków. Nasz wybór — z oczywistych względów — padł na Pana.

W dalszej części przedstawiono program jego oficjalnego pobytu. Oprócz spotkań „obowiązkowych” z fachowcami przewidziano śniadanie z prezydentem Francji, wręczenie kluczy do bram miasta Paryża i spotkanie z ministrem spraw wewnętrznych. W postscriptum dyrektor dopisał:

Odmowa byłaby dla nas wielkim rozczarowaniem. Wszystko już przygotowaliśmy na Pana przyjazd. Nasz ambasador skontaktuje się z Panem i przekaze oficjalne zaproszenie.

Borys uśmiechnął się. On miałby odmówić? Nigdy! Taki telegram był mu na rękę. Zawsze unikał oficjalnych uroczystości, nienawidził zaszczytów i medali, tym razem jednak ucieszył się. Wyobrażał sobie spotkanie z francuskim prezydentem, spacer po Paryżu, wieżę Eiffła i siebie w kapeluszu, w płaszczu podobnym do Maigreta... Znał prawie wszystkie książki Simenona. Borys Pljucz nigdy nie był za granicą, chociaż propozycji wyjazdu miał niemało. Były to jednak wycieczki organizowane do tzw. bratnich państw. Nigdy nie miał okazji pojechać do miast, o których marzył: Paryża, Rzymu, Nowego Jorku, Londynu...

Czytając telegram nachodziły go różne myśli. Czy zaproszenie to ma jakiś związek z Ewą? Była przecież Francuzką. Czy ktoś chciał w ten sposób uniemożliwić mu wykłady? Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Nalał sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. Mógłby wyjechać na dwa, trzy, najwyżej sześć dni i kontynuować wykłady. Wstał, by spojrzeć w kalendarz: wystarczy przełożyć tylko jeden wykład. Mógłby przy okazji zrealizować obietnicę, jaką dał żonie, że wyjadą w podróż po stolicach europejskich, gdy tylko zakończy sprawę Ewy

Dumoulin. Wstał i zaczął chodzić po niewielkim pokoiku. Czy sprawa ta właściwie już się zaczęła? Była prawie całkowicie okryta tajemnicą. Nie wiedział najważniejszego — jakie zadanie ma Ewa. Dowodów na to, że jest szpiegiem miał jednak dziesiątki. Stara sąsiadka formalnie ją rozpoznała. Strażnik z agencji popijał w kawiarni na rogu. Ewa mogła więc wyjść nie zauważona przed jego powrotem. Miała ponad trzydzieści minut czasu, by udać się do agencji, wziąć niwę, pojechać po materiał wybuchowy itd. Borys nie odrzucał hipotezy, że ktoś jej pomagał, ale wiele elementów wskazywało na to, że najczęściej działała w pojedynkę. Sąsiadka z drugiego piętra zeznała, że Ewa włączyła pralkę o wpół do trzeciej w nocy, a więc godzinę po wybuchu. Następnego dnia około dziesiątej Pljucz wysłał specjalistę, który potwierdził, że niwa, kilka godzin wcześniej, była używana. Tymczasem obaj strażnicy, zarówno ten z nocnej zmiany, jak i drugi, twierdzili, że z samochodu nikt nie korzystał od trzech dni. W końcu, był przecież Dawid... Pljuczowi udało zbliżyć się do niego obietnicami ujawnienia plotek o „specjalnych wieczorkach” organizowanych przez wysokich dygnitarzy państwowych. Anglik bez wahania potwierdził wiele obserwacji inspektora dotyczących zachowania i charakteru Ewy. „Dziwna, tajemnicza, przebiegła, skryta, znalazła się w Moskwie dzięki poparciu kogoś mocnego”.

Odkrycie prywatnej linii telefonicznej należącej do GRU nie pasowało do wizji Borysa. Wiedział, że chodziła z Piotrem Karstowem, a on został ministrem obrony i członkiem Politbiura. W tym miejscu urywała się jego wiedza a zaczynała tajemnica. Nie widziała się z Karstowem od dawna, dokładnie od czasu, gdy on wrócił z Polski. Pljucz wiedział o tym na pewno. A może kontaktowali się? Przez tajny telefon? Po co przychodziła pod dom Borysa? Czyż nie jest to dowód na to, że jest winna? Dlaczego go jednak nie zabiła? Pytanie to przesła-dowało inspektora i wzmagало tajemniczość całej sprawy. Wykłady zaproponował z myślą o niej.

Zadzwoił do swojej żony do biura.

— Kochanie, co byś powiedziała na wyjazd do Paryża?

Szli w milczeniu pod całkowicie bezchmurnym niebem. Wiał lekki, chłodny wschodni wietrzyk. Piotr był w dzinsach i sportowej koszulce, a Ewa pierwszy raz włożyła letnią sukienkę. Przyjechał za nią do swojej matki wczoraj wieczorem i dziś jeszcze będzie musiał wyjechać. Zatrzymali się nad otoczonym lasem jeziorkiem.

— Tu chodziłem się kąpać, gdy byłem chłopcem.

— Kochajmy się więc tutaj — szepnęła Ewa, przytuliwszy się do niego.

Położyli się pod starym, liczącym sobie z trzysta lat dębem.

— Zaczekaj na mnie, gdy zrobimy to razem, na pewno będzie chłopiec — szepnęła Ewa, czując że jej ukochany jest na granicy orgazmu.

Karstow, szczęśliwy jak nigdy, poczekał.

— To prawda, co powiedziałaś przed chwilą?

— Co?

— Żeby mieć chłopca?

— Tak zdaje się pisać w Biblii!

Piotr był odprężony. Przysunął się do niej.

— Opornie to idzie, wiesz — zwierzył się nagle. — Czasami mam ochotę rzucić to wszystko...

— Nie masz wyboru, Piotrze. Ty musisz iść do przodu. Najmniejszy krok do tyłu i stracisz życie.

Piotr milczał, gdy Ewa głaskała go po twarzy.

— Piotr, powiedz, że wszystko idzie dobrze. Chcę być spokojna.

— Wszystko będzie dobrze — rzekł całując ją w szyję.

— Parę razy śnił mi się ten sam sen. Nawet dziś w nocy. Widziałam twarz twojego wroga. Podobny bardzo do Truszenki. Nie mam wątpliwości. Rzadko kiedy widuję we śnie twarz tak wyraźnie. Nie czekaj dłużej, Piotrze, aż wciągnie cię w swoje sidła. To on w Polsce

przygotował i przeprowadził zamach na ciebie. Widziałam go we śnie. Myślę nawet, że gra on podwójną rolę. Spotyka się potajemnie z wieloma ludźmi, w tym i z cudzoziemcami i od dawna załatwia jakieś interesy, ale nigdy nie mogę zobaczyć, o co chodzi. Widzę tylko to, co dotyczy ciebie...

— Wiem, że szef KGB mnie nie lubi. On jeden sprzeciwia mi się w Politbiurze.

— Nie chcę cię niepokoić, ale...

— Co? Mów!

Zawahała się przez chwilę, sięgnęła po torbę i wyjęła zdjęcie.

— Dlaczego?

Piotr był zakłopotany, ale naraz wybuchnął śmiechem.

— To ja je zrobiłem — przyznał się w końcu. — W Azerbejdżanie. Miałem miniaturowy aparat.

— Dlaczego robiłeś z ukrycia?

— Nie wiem. Myślałem, że nie będziesz chciała. A chyba jednak prosiłem cię o pozowanie.

— Nie przypominam sobie. Twoje wyjaśnienia mnie nie zadowalają. Uważam taki sposób postępowania za niewłaściwy.

— Zaraz ci wyjaśnię. Twoje opowiadania o wróżbach nie dawały mi spokoju. Zwłaszcza dawniej, bo teraz już nie. Nic z tego nie rozumiałem i nie brałem ich poważnie. Pomyślałem, żeby zrobić zdjęcie i wysłać je mojej matce z prośbą, by pokazała je wróżce. Miałem później wyrzuty, ale zaczęła się sprawa Polski. Byłem zdezorientowany. Chciałem nawet rozmawiać z kimś w Moskwie, ale matka mi to odradziła. Musiałem zapomnieć zdjęcie u niej, a ty je znalazłaś. Oto cała prawda!

— Wierzę ci, Piotrze.

Pocałowała go w usta.

— Dostałam awans na ważne stanowisko — powiedziała po chwili. — Mam być redaktorem naczelnym w Brukseli. Zazwyczaj na to stanowisko mianuje się ludzi przed emeryturą...

— Przyjęłaś je?

Udawała, że się zastanawia. Piotr niecierpliwił się.

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że się zgadzasz?

— Nie. Zgadzam się na dziecko, które mi przed chwilą dałeś!

Moskwa, 4 czerwca.

Mojsej Henkin minął posąg Michaiła Łomonosowa, założyciela moskiewskiego uniwersytetu. Z bijącym sercem wszedł do hallu uczelni, a potem do amfiteatralnej sali wykładowej dwa piętra niżej, do podziemi. Strażnikom przy wejściu pokazał legitymację studencką i zaproszenie imienne, które wczoraj odebrał w dziekanacie. Strażnik przejrzał jego torbę i znalazł duży magnetofon.

— Sądzę, że nie może pan tego wnieść — zauważył strażnik, marszcząc brwi.

— Powiedziano mi, że można nagrywać.

— Mam wyraźne polecenie. Przykro mi. Musi go pan zostawić tutaj.

Mojsej zrezygnowany westchnął. Zostawił magnetofon i wszedł na salę. Usiadł w pierwszym rzędzie. Przyszedł trzy godziny wcześniej.

Dyskretnie otworzył torbę, podniósł podwójne dno i sprawdził, czy mikrofon jest na miejscu i czy dobrze przewinął taśmę. Serce biło mu jak oszalałe. Miał nacisnąć przycisk w momencie, gdy Borys Płjucz rozpocznie wykład. Wczoraj trenował całą godzinę pod okiem Ewy, gdy przyszła do niego w nocy i przyniosła mu dwa tysiące dolarów.

Pół godziny przed przybyciem Borysa sala była zapelniona, a ekipa telewizyjna zaczynała już pracę.

„Prawda” nie przesadziła. Ponad stu studentów tłoczyło się u wejścia. Odprawiono kilkudziesięciu dziennikarzy radzieckich i zagranicznych. Tylko „Prawda” miała prawo relacjonować wykłady. Niektóre gazety zadowolily się paroma zdjęciami. Iwan Jegorow przeżywał najważniejsze chwile w swojej karierze. Gdy Borys Pljucz w towarzystwie dwóch „goryli” wszedł na salę, Jegorow pośpiesznie podszedł do niego i ustawił się do zdjęć fotoreporterom.

Borys nagle poczuł się nieswojo. Dlaczego zgodził się na ten cyrk? Zaczął wątpić w całą tę historię z Ewą. Niepewnym krokiem szedł w dół amfiteatru. Oddech miał krótki, a serce waliło mu jak młot. Studenci bili brawa, gdy wchodził na trybunę. Nagle ogarnęło go dziwne, nieznane mu uczucie. Ręce miał spocone, twarz ściągniętą, uśmiechał się niezręcznie. Słowa, które miał wypowiedzieć, kłębiły mu się w głowie i nie chciały przejść przez usta. Sparaliżowany treścią, że nic z tego nie będzie.

Nagle audytorium przestało bić brawa i na sali zapadła ciężka cisza. Borys bał się strasznie. Zawsze unikał wygłaszania przemówień i podziwiał tych, którzy to potrafili: aktorów, polityków, dziennikarzy itp. Patrzył przez chwilę po twarzach setek zgromadzonych tu ludzi, modląc się, by nie było wśród nich Ewy przebranej za studentkę. Był przekonany, że przyszła i ogląda go w takim stanie. W końcu otworzył usta. Nie poznał swojego głosu. Zaczął mówić szybciej niż zwykle, polykając słowa, jakby się bał, że o czymś zapomni, że ma zbyt mało czasu. Wprowadzenie, jakie wygłosił, było zupełnie inne od tego, które sobie skrupulatnie przygotował, siedząc przed lustrem. Był wtedy tak pewien siebie, żona też prawila mu komplementy. To wspomnienie dodało mu odwagi, ale nie mógł sobie przypomnieć anegdoty, którą przygotował na początek.

— Myślałem... że dla studentów byłoby właściwsze... chciałem powiedzieć... dla waszego poziomu...

Przerwał i popił wody. Usiłował opanować drżenie swojego głosu, wyszukując wśród zebranych twarzy kobiet.

— Za jakiś czas będziecie mieć do czynienia z przestępcami, gangsterami, oszustami, mordercami... Wiem, że oczekujecie ode mnie omówienia konkretnych przypadków. Znam ich setki...

Jego głos brzmiał już bardziej naturalnie, a oddech stawał się rytmiczny.

— Tak, całe setki. W czasie całej mojej kariery widziałem wiele zabójstw, których motywy były różne, takie, jakie tylko istota ludzka jest w stanie wymyślić. Począwszy od najstarszego — zazdrości. Kain zabił Abła, gdyż był zazdrosny o sukcesy brata. Ja również spotkałem bratobójcę, spotkałem ojców zabijających dzieci, synów zabijających ojców. Człowiek zabija też dla pieniędzy, w afekcie, z nienawiści. Są także tzw. zabójstwa przypadkowe, dokonywane np. przez osoby chore umysłowo. Są w końcu zabójstwa — jak by to rzec — polityczne, godzące w państwo i bezpieczeństwo kraju. Są i zabójstwa na zamówienie.

Są one wyjątkowo odrażające, gdyż morderca popełnia je z zimną krwią, bez emocji i wyrzutów sumienia. Takich zabójców się wybiera, tresuje i uczy zabijać!

Pljucz przerwał. Ręce przestały mu się trząść. Czuł się już dobrze. „Maszyna Pljucz” ruszyła i nikt nie był w stanie jej zatrzymać.

— Drodzy przyjaciele! Dzisiaj nie będę omawiał przypadków tradycyjnych, ale chcę mówić o jednym, bardzo nietypowym. Przypuszczam, że oczekiwaliście czegoś wręcz przeciwnego. Mój przypadek należy do tej ostatniej kategorii, tzn. do zabójstw z zimną krwią, dokonywanych ponadto przez kobietę, której powierzono pewną misję, a ona tę misję chce wypełnić do końca.

Wybrałem ten przypadek z wielu powodów, ale najważniejszym z nich jest fakt, że wymaga on wielkiej wyobraźni, i że o nim dotychczas jeszcze nie słyszeliście. Proponuję wam wspólne prowadzenie śledztwa. Przekażę wam wszystkie dane, jakie posiadam w tej sprawie i wspólnie spróbujemy ułożyć te puzzle. Muszę jednak na początku wyznać, że nie wszystkie dane posiadam. Musicie mi pomóc je skompletować!

Po tych słowach na sali rozległy się oklaski. Zrobił przerwę. Czuł, że udało mu się „wciągnąć” publiczność.

— W przypadku, który będziemy wspólnie analizować, są wszystkie możliwe składniki. Jest przypadek intrygi, zbieg okoliczności, podwójna osobowość, podwójna rola, uroda, seks, przebijanie się za kogoś innego, morderstwa i tajemnice. Wiele tajemnic!

Borys przerwał na chwilę. Sala słuchała go jak zaczarowana.

— Nie wiemy, jaki jest cel i rodzaj misji tej kobiety. Nie tracimy jednak czasu i zaczniemy od początku. Nasza bohaterka jest osobą raczej młodą. Dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat. Jest bardzo ładna, ładniejsza od aktorek grających w filmach szpiegowskich. Dla wygody nazwijmy ją Dalila. Właśnie tak, Samson i Dalila. Musimy zacząć od jakiejś daty. Założmy, że sprawa Dalili zaczyna się 26 grudnia. Jako miejsce działania wybierzmy... powiedzmy Leningrad.

— A dlaczego nie Moskwę? — spytała jakaś studentka.

— Niech będzie Moskwa! — rzekł Borys uśmiechając się. — Więc mamy: Dalila, 26 grudnia, Moskwa. O ósmej wieczorem tego dnia Dalila spaceruje sama obok parku Gorkiego. Nagle napadają na nią bandyci i kradną jej naszyjnik ze złota i zegarek. Po dziesięciu minutach do napadniętej podjeżdża milicjant i wzywa przez radio karetkę. Jednakże, z powodów, których jeszcze nie znamy, Dalila odjeżdża z milicjantem, zanim przyjedzie karetka. Godzinę później samochód wraz z trupem milicjanta za kierownicą zostaje podpalony na drugim końcu miasta. Świadkowie nie potrafią opisać naszej bohaterki, bo była noc, ale jeden z nich twierdzi, że Dalila zasłaniała twarz. Po dwóch dniach pewne ugrupowanie muzułmańskie przyznaje się do zamachu. Od tego dnia, przypominacie sobie, fala zamachów wstrząsnęła krajem. W tej sytuacji zamach zaliczono na konto terrorystów i zamknięto sprawę, nie dokonawszy nawet autopsji zwłok milicjanta.

Borys ciągnął swoje opowiadanie do momentu, gdy przemysłnik przyniósł zegarek do jego biura. Kilku studentów, porwanych

historią, próbowało podsuwać swoje rozwiązania.

— Nie, nie. Żadnych wniosków. Sprawa Dalili nawet się jeszcze nie zaczęła. Dziękuję za uwagę i do przyszłego czwartku.

Opuszczał salę wśród burzy oklasków, które było słychać aż przy wejściu na uniwersytet.

Ewa zatrzymała magnetofon i wstała. Przesłuchiwała po raz drugi kasetę, którą przyniósł jej Mojsej w godzinę po zakończeniu wykładu. Chodziła w kółko po salonie swojego nowego mieszkania. Zauważyła strach, jaki odczuwał Pljucz na początku. Miała uczucie zwycięstwa, na przemian z uczuciem litości. Gdy wymówił imię Dalila, oprzytomniała. Borys był inteligentniejszy niż przypuszczała i mógł uniemożliwić jej przeprowadzenie całej operacji, jeżeli nie zmieni swojej taktyki.

Jak się go pozbyć? Plan dyrektora CIA był już nieaktualny. Wezwać go do Paryża i wykorzystać jego pobyt do spowodowania zawału serca? Za późno i za duże ryzyko. Jakie inne wyjście? Uparła się, żeby zostawić go jej. „Jest mój” — tak powiedziała. Teraz ona była jego. Trzymał ją. Makiawelizm Borysa denerwował ją i fascynował. Ta rozgrywka musi się skończyć czymś zwycięstwem. Jedno z nich musi umrzeć. Wzajemne śledzenie się, szukanie siebie oraz nienawiść wytworzyły między nimi więź telepatyczną, silniejszą nawet od więzi łączącej ją z Piotrem, którego kontrolowała od początku i który poddawał się jej szybciej niż przypuszczała. Borys zaś był nieprzewidywalny.

Dotknął Ewę do głębi serca, przypominając jej o przeszłości, którą tak zawzięcie starała się wymazać. Dlaczego nazwał ją Dalila? Podobieństwo jest tu zbyt uderzające, by mogło być przypadkowe. Czyżby ten prosty gliniarz zdołał ustalić jej prawdziwą osobowość? Miał kontakty z KGB? Zimny pot spłynął jej po plecach.

Owszem, była bezduszną istotą, wyuczoną do zabijania, ale by wypełnić swoją misję wszystkie środki były dobre. Przed oczyma przesunęły się twarze wszystkich jej ofiar. Oprzytomniała, wspominając intymną sytuację, do której nie dopuściła, odprawiając Jegorowa. Miała wtedy wielką ochotę go zabić.

Podeszła do lustra, którego unikała już od dawna i próbowała zobaczyć w nim Dahlię. Chciała sprawdzić, czy zdolna jest jeszcze do płaczu, do zazdrości, smutku, zadowolenia i szczęścia, jak każda inna kobieta. Czy potrafi pożądać mężczyznę, którego sama sobie wybierze. Wołałaby przekonać Borysa, że nie jest Ewą, że Ewa to był tylko zły sen.

Lustra nie znają litości. Zobaczyła w nim obcą osobę, krzyczącą, pod ciałem Piotra. Przybliżyła twarz i dotknęła zimnej powierzchni lustra. Nagle zrobiło jej się niedobrze. To Dahlia chciała zwymiotować Ewę. Powlokła się do łazienki, wstrząsana spazmami.

Nazajutrz zdjęcie Borysa Pljucza widniało na pierwszych stronach wszystkich radzieckich gazet. „Prawda” podała parę szczegółów, nie wspominając jednak wcale o sprawie Dalili. Dziennik nie szczędził pochwał inspektorowi, który w ciągu paru minut zdołał porwać całe audytorium. „Ten człowiek to urodzony literat, pisarz wręcz, Dostojewski naszych czasów” — donosił entuzjastycznie redaktor.

Ewa położyła gazetę na biurku. Była 8³⁰. „Depresja” trwała całą noc. Rano udało jej się ją opanować, dzięki ćwiczeniom wyuczonym podczas treningu. Wszedł Dawid z uśmiechem na twarzy i z „Prawdą” w rękę.

— Widziałaś? Namieszal nasz inspektor!

Wiele razy w czasie zebrania redakcyjnych nalegał, aby zrobić reportaż o Borysie Pljuczu. Bruno, jak zawsze, sprzeciwiał się, twierdząc, że lepiej byłoby zrobić reportaż o bezrobociu, które dotknęło już

23 procent ludności w wieku produkcyjnym lub o brakach w zaopatrzeniu w podstawowe artykuły spożywcze.

— Możesz robić ten reportaż o Płjuczu, jeżeli wciąż ci na tym zależy — powiedziała Ewa obojętnym głosem.

— Za późno. Wyjeżdżam na parę dni. Matka ma urodziny i obiecałem jej, że przyjadę. Kończy sześćdziesiąt lat.

— Kiedy jedziesz?

— Jutro. Powierzam ci cały kram!

Ewa jadła obiad z Martine niedaleko agencji, w małej spółdzielczej restauracji otwartej dwa tygodnie temu. Tu także płaciło się w dolarach, inaczej nie było mowy, by dostać stolik. Ceny były bardzo wysokie, ale można było zjeść niemal wszystko, co się chciało. Między restauracjami, zagranicznymi hotelami i przedsiębiorstwami spółdzielczymi funkcjonował czarny rynek.

— Jak twój profesor historii? — spytała Ewa.

— Jest wspaniały. Chyba się zakochałam. On chce się żenić, mieć dzieci, jest niecierpliwy, wrażliwy, inteligentny. Kocham go. Chciałabym mu ciebie przedstawić.

— Z przyjemnością go poznam. Ustal datę, najchętniej w piątek. Wtedy wieczorami nie piszę.

— Pisziesz książkę?

— Tak, ale nikomu prócz ciebie o tym nie mówiłam. Gdy dowie się ktoś inny, to tylko od ciebie.

— O czym będzie? Chyba nie o...

— Właśnie tak. Jestem uparta. Więc jak? W najbliższy piątek?

Zamówiły danie dnia (szaszłyk z przyprawami) i rozmawiały o polityce, gimnastyce, teatrze, ale głównie o Dawidzie, którego Martine nie cierpiała coraz bardziej.

Około piątej po południu Ewa weszła do biura Dawida w momencie, gdy on udał się do toalety. Przejrzała leżący na stole bilet na samolot, odłożyła go i szybko wyszła.

Michaił Gorszkow rzucił okiem na zdjęcia i zdjął okulary. Twarz miał ściągniętą, a jego oczy patrzyły gdzieś w dal. Jak to mogło się stać? Bogarskij? Wziął ponownie zdjęcie i nałożył okulary. Już miał zadzwonić do Truszenki, szefa KGB, by ten mu wyjaśnił całą sprawę, ale instynktownie wykręcił numer Piotra Karstowa. Jego adiutant wyjaśnił, że Piotr jest w drodze na lotnisko, że odlatuje do Polski za mniej więcej godzinę.

Wykręcił więc numer telefonu w samochodzie Karstowa.

— Karstow, proszę przyjść natychmiast!

Wezwał swojego dyrektora gabinetu:

— Proszę dać mi wykaz podróży zagranicznych towarzysza Bogarskiego. Ale dyskretnie.

Dwadzieścia minut później wykaz ten trafił w ręce Karstowa.

— Skąd pan go...?

— Leżały na moim biurku dziś rano. Ktoś je dostarczył i chce, jak przypuszczam, pozostać nieznany. Ale kto? Dlaczego? Sam nie wiem.

— Te zdjęcia zrobiono w Waszyngtonie — stwierdził Piotr.

— Tak. Nasz numer dwa w KGB był tam trzy tygodnie temu. Proszę!

Pokazał mu ultratajny biuletyn wydawany dla członków Politbiura. Bogarskij polecił ze specjalną misją zamiast Truszenki. Otrzymał bardzo ważne informacje z Waszyngtonu i Bonn i miał zgodzić się na zaangażowanie nowych, wysoko postawionych agentów.

Piotr słuchał prezydenta w milczeniu. Nigdy nie lubił szpiegowskich działań. Wolał działać wprost. Jednakże zdjęcia były jednoznaczne. Bogarskij przekazywał dyskretnie brązową kopertę Jamesowi Millerowi, zastępcy dyrektora CIA, w barze eleganckiego hotelu „Four Seasons” w Waszyngtonie. Wszystkie zdjęcia były prawie

identyczne. Na czterech Bogarskij przyjmował kopertę, a na dwóch pozostałych komuś ją wręczał.

— Niemożliwe, żeby to była pułapka — powiedział Gorszkow. — Bogarskij po osiemnastu latach służby nie dałby się zrobić jak nowicjusz.

— Najwyższy czas zreformować nasze tajne służby wtrącił Piotr chłodnym tonem.

— Myśli pan...

— Tak. Te zdjęcia to sygnał. Byłoby głupotą zaniedbać go. Później na pewno dowiemy się, kto go nadał. Nie wolno niczego pominąć. Gdy dostaną się do prasy, będziemy zdyskredytowani.

— Trzeba będzie przesłuchać Truszenkę.

— Absolutnie odradzam. Niech pan zapomni o tych zdjęciach, jakby ich nie było. Jest zbyt wiele niewiadomych. Jedno jest jednak pewne: gdy numer dwa jest podejrzany, szef jest nieudolny. A nasz szef stał się ostatnio światowcem, za dużo gada, jak jego amerykański kolega. Zaczyna obrastać w piórka.

Przez chwilę obaj milczeli, zamyśleni. Marszałek ciągnął dalej:

— Chciałbym się zastanowić. Znajdę panu człowieka młodego, dynamicznego i zaufanego. Właśnie reformuję armię. Trzeba to samo zrobić z KGB. To sprawa pierwszorzędna, życiowa wprost.

— A Bogarskij?

— Przyjdzie na niego kolej. Teraz jednak nie powinien niczego podejrzewać.

— Cieszę się z tej rozmowy. Już miałem zadzwonić do Truszenki. Posłucham pańskiej rady, Karstow. Kolejny raz posłucham...

Wstali obaj. Gorszkow długo ścisnął dłoń swojego wiernego przyjaciela. W drzwiach spytał go o sytuację w Polsce.

— Na razie jest spokój.

— Opinia międzynarodowa protestuje. Sądzi pan, że...?

— Opinia międzynarodowa dziś już się nie liczy. Zapomina o Polsce.

Sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy amerykańskich wyjedzie z Europy za tydzień. W Niemczech zostanie ich około 30 tysięcy i, zgodnie z umową, wyjadą już 20 grudnia. Europa będzie zdana na naszą łaskę. Kapitałiści znów tłoczą pieniądze do Polski. Niepokoi mnie jedynie libanizacja Azerbejdżanu, no i ta historia teraz!

— Karstow?

Gorszkow patrzył mu prosto w oczy.

— Tak, panie prezydencie?

— Jest pan jedynym człowiekiem, do którego mam pełne zaufanie.

— Dziękuję. Pan zaś jest jedynym człowiekiem w tym kraju, któremu pragnę służyć!

— Karstow...

Gorszkow zastanawiał się, a potem bez słowa poprowadził Piotra do biura, dał mu znak, by usiadł na skórzanej kanapie obok kominka. Karstow posłusznie wykonywał polecenia. Był zaskoczony. Prezydent zaczął chodzić po pokoju z rękoma skrzyżowanymi za plecami. Przechodząc obok biblioteki wziął z półki grubą, oprawioną w skórę koloru rdzy, księgę. Odwrócił się i położył ją przed Karstowem.

— Nie rozumiem...

— Ależ tak, panie marszałku! — zawołał Gorszkow. Jest pan znakomitym strategiem, a to nie jest bez znaczenia. Resztę znajdzie pan w tej księdze.

— A co z armią? Zaledwie zacząłem...

— Ważne reformy, wiem, wiem. Zrobi pan to samo w KGB, co zresztą przed chwilą mi pan proponował. W armii cieszy się pan ogromną popularnością, a armia nienawidzi KGB, nieprawdaż? Pana zadaniem będzie pogodzenie ich obu! Jedynie pan może doprowadzić do zgody. Myślałem o tym cały czas od pamiętnych wydarzeń w Rumunii. Tak, już najwyższy czas pogodzić obie te siły. To nasza najlepsza gwarancja, że nie dojdzie do ewentualnego zamachu stanu!

— Panie prezydencie, nie sędzę...

— Marszałku Karstow, jest pan nowym szefem KGB!

Przerwał i dorzucił patrząc przed siebie:

— Ja byłem protegowanym Andropowa, pan będzie moim.

Karstow przeglądał ściśle tajną księgę, wydrukowaną w dwudziestu ponumerowanych egzemplarzach, opisujących historię, strukturę wewnętrzną, sukcesy i porażki KGB od chwili jego powstania.

Nagle poczuł dumę na myśl, że od tej chwili jest najpotężniejszym człowiekiem w kraju. Czyżby przepowiednie Ewy zaczynały się spełniać?

— Kto zajmie moje miejsce w armii? — spytał bardzo spokojnym tonem.

— Również pan.

— Ale...

— Mówię poważnie. Chcę, by pan doprowadził do zgody między tymi odwiecznymi wrogami.

— Ale...

— Wiem. Będzie pan miał zbyt wiele władzy w ręku. Ale czy ja mam się obawiać pana, wiernego i lojalnego przyjaciela?

Ewa wyszła z basenu i stanęła pod prysznicem. Ubrała się szybko i poszła do baru, gdzie zamówiła sałatkę, pieczoną rybę i butelkę wody mineralnej. Jadła powoli, obserwując pływających przez przeszkloną ścianę. Była ósma wieczorem. Piotr zostawił jej wiadomość przez automatyczną sekretarkę podłączoną do nowej linii specjalnej, którą kazał założyć już nazajutrz po przeprowadzce Ewy. „Wyjeżdżam na trzy, cztery dni. Poza tym wszystko w porządku”. Rozmowę zarejestrowano o 19⁰⁷, pięć minut przed jej wejściem. W pewnym sensie to ją urządziło, bo Piotr oczekiwał, że mu w końcu powie, iż jest w ciąży, a ona nie miała odwagi skłamać raz jeszcze.

Do baru wszedł mężczyzna średniego wzrostu o szpakowatych włosach, zamówił piwo i wypił je wprost z butelki. Ubrany był w letnie

spodnie koloru beżowego i zieloną koszulkę. Ewa przyglądała mu się dyskretnie. Poczekała jeszcze pięć minut i podeszła do szatni. Czowała, że mężczyzna stanął tuż za nią. Więc do Waszyngtonu dotarła wiadomość, którą wysłała dziś wcześniej rano. Idąc do agencji Ewa zadzwoniła z kabiny publicznej pod numer, który знаła na pamięć. „Halo? Zepsuł mi się samochód. Mógłby pan przysłać mechanika, jestem obok hotelu »Hilton«”. Jej rozmówca zaprzeczył: „To pomyłka, proszę pani, powtarzam — pomyłka” i odłożył słuchawkę... Ewa wręczyła numerek szatniarce i ta podała jej torbę. Mężczyzna podszedł i zabrał pióro, które Ewa specjalnie zostawiła na ladzie. Teraz on podał swój numerek. Ewa wyszła.

Na ulicy zawahała się przez moment, ale postanowiła wrócić do siebie. Decyzja ta oznaczała w tym przypadku pójście na całego. Musiała więc wypocząć, posłuchać trochę muzyki, coś przeczytać. Wróciła pieszo aż do domu.

Pia pierwsza odebrała wiadomość. Właśnie zaczęło się spotkanie redakcyjne, gdy zadzwonił telefon. Siedziała najbliżej, więc podniosła słuchawkę. Nagle pobladła i wypuściła ją z rąk:

— To Bruksela... Dawid... nie żyje!

Ewa poderwała się, złapała słuchawkę i krzyczała:

— Ewa Dumoulin. Co? Zawał? W jego wieku? Kiedy?

Odłożyła słuchawkę i wstała. Współpracownicy byli zaszokowani.

— Odwołuję zebranie. Wracajcie do domu. Agencja nieczynna do jutra.

Ewa wyszła ostatnia.

Nocny strażnik wszedł do budynku wydziału literatury Uniwersytetu im. Łomonosowa i skierował się wprost do podziemia. Z biblioteki wyszło dwoje młodych ludzi. Pozdrowili go gestem ręki. Odpowiedział im tak samo i idąc wzdłuż rurociągów grzewczych dotarł do centralnej kotłowni. Przy drzwiach rozejrzał się szybko dookoła, otworzył je stalowym wytrychem i bez hałasu wszedł do pomieszczenia, zamykając za sobą metalowe drzwi.

Wszedł po minucie i długim korytarzem wyższego poziomu podziemia udał się do pomieszczenia, w którym mieściła się centralna rozdzielnia instalacji elektrycznych całego budynku. Drzwi nie były zamknięte.

Dwoje młodych ludzi wykorzystało czyjeś niedopatrzenie i kochało się zawzięcie. Uśmiechnęli się zmieszani. Strażnik odpowiedział im na uśmiech, sięgnął ręką do kieszeni i wyjął pistolet z tłumikiem. Młodzi nie przeczuwali nawet, że ich życie się kończy. Osunęli się na podłogę bez hałasu. Trzy minuty później mężczyzna wydostał się przez okienko do ogrodu obok budynku. Stał za dużym krzakiem i pochylił się. Rosjanin leżał tu jeszcze, prawie nagi, nieżywy. Mężczyzna zdjął szybko mundur strażnika i ubrał się w swoje cywilne ubranie, leżące obok zabitego.

Po siedmiu minutach był już na wydziale historii. Wszystko wyglądało tu normalnie. Odczekał jeszcze chwilę, stojąc w ukryciu za drzewem. Spojrzał na zegarek: 1¹⁰ w nocy. Stał jeszcze pięć minut patrząc to na zegarek, to w kierunku wejścia do budynku wydziału.

Już miał odejść, gdy z ciemności wysunęła się postać człowieka w mundurze strażnika. Usłyszał cichy gwizd. Popatrzył w tamtą stronę. Już razem poszli w kierunku lady zaparkowanej kilkadziesiąt metrów stąd. Samochód ruszył szybko z miejsca. Zatrzymał się kilometr dalej, obok kościoła Św. Trójcy.

Jeden z mężczyzn wysiadł, a drugi odjechał. Ten pierwszy przeszedł parę kroków i odnalazł zaparkowaną między drzewami inną ladę, która po chwili ruszyła i zniknęła w ciemnościach nocy.

Dokładnie o trzeciej nad ranem prezydent Gorszkow, zmęczony i błądy, przybył na miejsce wybuchu. Półtorej godziny wcześniej Moskwę obudził huk potężnej eksplozji i kilku pomniejszych, następujących po niej. Strażacy usiłowali ugasić ogień, który opanował całe podziemia budynku wydziału literatury. Na miejsce przybyły też liczne ekipy telewizyjne, radzieckie i zagraniczne. Oficer milicji podszedł do prezydenta i podał mu kartkę: siedmiu studentów zabito. Ich przestrelone ciała znaleziono w toaletach budynku historii. Obok leżała kartka z napisem: „Niech żyje partia komunistyczna! Precz z demokracją i zgniłymi intelektualistami”.

Przed kamerami telewizyjnymi prezydent, wyraźnie przejęty, oświadczył, że zrobi wszystko, by odnaleźć i ukarać bandytów. Wrócił na Kreml.

Miasto obudziło się tego ranka wcześniej niż zwykle. Od szóstej ulice prowadzące do uniwersytetu były zablokowane. Ryk klaksonów dodatkowo potęgował panikę. Telewizja i radio bez przerwy podawały informacje, niekiedy zupełnie sprzeczne, o tym niewiarygodnym wydarzeniu. W stolicy zapanowała atmosfera zwiastująca wybuch wojny domowej. Moskwianie rzucili się do sklepów, wykupując artykuły żywnościowe. Milicja, wspierana przez wojsko, próbowała zaprowadzić porządek. Często dochodziło najpierw do obrzucania się przekleństwami, a później i do rękoczynów.

Ewa udała się na miejsce wybuchu wraz ze swoją ekipą telewizyjną. Miał to być jej pierwszy reportaż zrobiony na żywo. Dla jej kolegów zresztą także. Stojąc przed kamerą na tle dymiących ruin, komentowała okoliczności rozgrywającego się dramatu.

„Moskwa jest pod wrażeniem tego, co się stało. Nawet zamach dokonany 15 stycznia na stację metra »Prospekt Marksa«, gdy zginęło 5 ludzi, nie wywołał takiej paniki jak dzisiejsze wydarzenie. Ten brutalny atak nastąpił w najgorszym dla prezydenta Gorszkowa momencie. Konserwatyści nie mogli liczyć na lepszy pretekst, by rozpocząć walkę ze zwolennikami reform i demokratyzacji kraju. Jak dowiadujemy się z pewnego źródła zamachu dokonali członkowie antydemokratycznego ruchu stalinowskiego. Niektórzy twierdzą, że chodzi o ruch skrajnie prawicowy i antysemitki »Pamięć«. Przypomnę państwu liczbę ofiar — siedem osób zastrzelonych. Fakt, że wybuchy — w sumie aż pięć — miały miejsce na wydziale literatury, potwierdzałyby przypuszczenie, że zamachu dokonały siły skrajnie prawicowe, zdecydowanie nieprzychylnie intelektualistom. Wszystkie jednostki straży ogniowej z Moskwy biorą udział w gaszeniu pożaru. Dotychczas nie wiadomo o ofiarach zasypanych pod gruzami”.

Ewa już miała się odwrócić, ale tego nie zrobiła. Widziała bowiem jak przyszedł. Sam, bez ochrony. Zbliżał się do niej, ale ona nie odrywała oczu od kamery. Borys Pljucz szedł wprost na nią. Wielu dziennikarzy wpadłoby w popłoch, ale nie ona. Zachowała kamienną twarz. Przeszedł obok i stanął za nią, poza polem widzenia kamery, tak jakby chciał usłyszeć jej komentarz.

By nie okazać niepokoju, Ewa wydała polecenia kamerzyście, który z kamerą na ramieniu skierował się w kierunku ruin. Sama zaś minęła Pljucza i, nie patrząc na niego, poszła do samochodu. Wyjęła z worka przenośny telefon, wybrała numer i chwilę czekała. Przerzuciła torbę przez ramię i zaczęła nagrywać improwizowany reportaż radiowy. Borys nie spuszczał z niej wzroku. Obserwował ją z daleka,

ale starał się podejść jak najbliżej, czasami był tak blisko, że ich spojrzenia się spotykały. Chciał popatrzeć jej w oczy. Każdy musiał zwrócić uwagę na jego twarz, wykrzywioną z wściekłości i nienawiści.

Ale Ewa nie dała się zbić z tropu. Koncentrowała się na każdym szczególe tragedii, którą relacjonowała. Kilkakrotnie myślała, że Pljucz ją zagadnie albo, co gorsza, rzuci się na nią. Co najdziwniejsze, wcale nie czuła strachu. Miała raczej poczucie bezpieczeństwa i wygranej. Nabrała pewności siebie. Reportaż trwał siedemnaście minut i przez ten cały czas nie dała się sprowokować. Wróciła spokojnie do samochodu, a kładąc telefon na siedzeniu zauważyła czubki butów inspektora tuż za sobą. Były to brązowe mokasyny produkcji radzieckiej. Teraz już nie miała innego wyjścia. Zamknęła na chwilę oczy, by się skoncentrować i raptownie się odwróciła. Znaleźli się twarzą w twarz. Chciała uśmiechnąć się, udać zdziwioną, spytać, czy czegoś potrzebuje, udać naiwną, niewinną. Nie zrobiła niczego. On zbliżył się jeszcze bardziej, jakby chciał ją pochwycić. Patrzyli na siebie, nie mrugając oczami. Ani jedno, ani drugie nie chciało pierwsze ustąpić. W tym cichym pojedynku mogli niemal dotknąć łączącą ich nienawiść i chęć wzajemnego pozabijania się.

— Ewa! Ewa! — wołał kamerzysta, biegnąc w ich kierunku.

Pomógł im, sam o tym nie wiedząc, uniknąć kapitulacji. Borys odwrócił się i szybko zniknął w tłumie.

O godzinie piętnastej, dziś 11 czerwca, Borys Pljucz miał wygłosić swój drugi wykład. Już się on jednak nie odbędzie.

Dziennik telewizyjny o ósmej wieczorem w całości poświęcony był „najbardziej krwawemu zamachowi tego roku”. Ostateczny jego bilans to jedenastu zabitych, wszyscy zastrzeleni lub uduszeni — dwóch strażników i dziewięciu studentów, w tym osiem dziewcząt. Straty

materialne szacowano na dziesiątki milionów rubli. Dwie trzecie budynku zostało zniszczone przez wybuch i pożary.

Przez cały dzień trwały spontaniczne demonstracje tysięcy studentów na placu Czerwonym. Wznoszono okrzyki: „Precz z ideologią! Niech żyje demokracja!”.

Borys Pljucz siedział nieruchomo w swoim saloniku i patrzył w ekran. Gdy wrócił do domu, zadzwonił do Europejskiej Agencji Prasowej i poprosił o rozmowę z Dawidem. W odpowiedzi usłyszał, że Dawid już nie wróci. Był zdziwiony, więc nalegał:

- Jestem jego przyjacielem...
- Dawid nie żyje, proszę pana — odpowiedziała mu Pia.
- Nie żyje? Kiedy? Dlaczego? — prawie krzyczał.
- Dostał zawału serca. W Londynie, w swoim samochodzie. ..

Borys odłożył słuchawkę. Drżał cały i nie mógł złapać oddechu. Wybuch na uniwersytecie, a teraz Dawid... Przypomnił sobie spojrzenie Ewy. Krew odpłynęła mu do stóp. Nalał sobie trzeci kieliszek wódki i zapalił ostatniego papierosa z paczki. Żona patrzyła na niego z niepokojem, ale milczała. Nie powiedział tego głośno, ale decyzję już podjął. Do Paryża nie pojedzie. Nie ma ochoty umrzeć na zawał serca na tylnym siedzeniu samochodu, choćby miał to być samochód oficjalny.

W komentarzach przypisywano dokonanie zamachu bądź neostalinowcom, bądź „Pamjati” — ultrapravicowej, antysemitkiej partii — i obie hipotezy były bardzo wiarygodne. Ale nie dla Borysa. On wiedział swoje. Spojrzenie Ewy było dla niego jednoznaczne. Prezenter dziennika nagle zaczął się jękać: „Z ostatniej chwili. Jak się dowiadujemy na placu Czerwonym doszło do wymiany strzałów między milicją a studentami. Są zabici i ranni... Za chwilę powinniśmy otrzymać zdjęcia z zajść. Powtarzam informację...”

Zadzwonił stojący przed nim telefon.

Po paru sekundach na ekranie pojawił się zdenerwowany korespondent z placu Czerwonego.

„Tu, na placu, trwa istna rzeź... Nikt nie wie dokładnie, jak to się wszystko zaczęło. Spokojna manifestacja nagle przekształciła się w zamieszki, doszło do brutalnych starć między milicją a studentami. Kapitan Waljew twierdzi, że z pistoletów zaopatrzonych w tłumiki zastrzelono kilkunastu milicjantów. Milicja próbowała się bronić. Przeciwno miała terrorystów przebranych za studentów i zawodowych prowokatorów, którzy przybyli tu celowo, by przeciwstawić studentów siłom porządkowym. Niezależnie od przyczyn, prowizoryczny bilans zajęć to wielu zabitych po obu stronach. Niektórzy określają ich liczbę w setkach.”

Zdjęcia zdawały się potwierdzać słowa dziennikarza. Borys wstał by zgasić telewizor, ale prezenter zapowiedział zmiany w ministerstwach:

„Minister obrony i członek Biura Politycznego, marszałek Karstow, został mianowany szefem KGB. Będzie od tej chwili zajmował oba te stanowiska. Z depeszy wynika, że Georgij Truszenko zrezygnował ze względu na stan zdrowia”.

Borys wyłączył telewizor. Nie mógł uwierzyć w to, co jego mózg gliniarza przed chwilą zarejestrował.

— Ja idę spać — rzekła żona zrezygnowanym głosem.

Podszedł i pocałował ją w czoło.

— Co o tym wszystkim myślisz? — spytała zaniepokojona.

— Nic. Ale nasza podróż do Paryża jest już nieaktualna.

Plac Czerwony, 22 lipca, 800 rano.

Ultimatum miało wygasnąć o godzinie 15. Armia otoczyła Uniwersytet im. Łomonosowa i plac Czerwony. Wydano rozkaz strzelania do studentów, jeżeli nie opuszczą zajmowanych miejsc. Ściągnięto posiłki z innych rejonów Związku Radzieckiego. Wczoraj w telewizji pokazywano wywołujące duże wrażenie zdjęcia czołgów, helikopterów, spadochroniarzy i grup uderzeniowych zajmujących pozycje wokół uniwersytetu i na placu Czerwonym. Od 1 lipca praktycznie obowiązywał stan wojenny.

Po masakrze z 11 czerwca studenci rozpierzchli się w nieopisanej panice, ale już nazajutrz rozpoczęli strajk i zabarykadowali się na uniwersytecie, odmawiając udziału w zajęciach, dopóki winni nie zostaną ukarani.

Przez kilka dni w ich szeregach panował bałagan. Żądania, sprecyzowane na początku, stawały się coraz bardziej radykalne. Różne ugrupowania żądały reformy systemu uniwersyteckiego, zniesienia przywilejów, walki z korupcją. Trwało to do końca czerwca, gdy świat usłyszał o Nadii Szarońskiej. Spośród wielu liderów różnych grup studenckich, w końcu jej udało się zdobyć posłuch większości. Nadia Szarońska była niskiego wzrostu, drobniutka, miała jasnoniebieskie oczy, dwadzieścia trzy lata i już dwa dyplomy w kieszeni — jeden z socjologii i drugi z literatury porównawczej.

Miała charyzmę, która uczyniła ją wkrótce rzecznikiem całego zbuntowanego uniwersytetu.

„Nie przestaniemy manifestować, dopóki całkowicie i na zawsze nie usunie się wpływu ideologii komunistycznej i nie przywróci pełnej demokracji, dopóki nie skończy się z niedolą naszego narodu, w większości pogrążonego w nędzy, dopóki republiki nie odzyskają niepodległości i nie skończy się u nas panowanie dolara i marki”.

Ona pierwsza rzuciła te hasła, które natychmiast zbulwersowały dygnitarzy u władzy. Z jej inicjatywy powołano komitet strategiczny, złożony z przedstawicieli czternastu wydziałów uniwersytetu. Wybrano ją przewodniczącą tego komitetu przeważającą większością głosów. Natychmiast wystosowała apel do wszystkich państw świata, a zwłaszcza do robotników, by poparli jej walkę.

Tego samego wieczoru na rozkaz ministra obrony i szefa KGB zarządzono wprowadzenie stanu wojennego. Groźby Kremla nie przstraszyły studentów, a ich postawa radykalizowała się z dnia na dzień.

Nigdy, nawet w najgorszych dla pierestrojki czasach, Kreml nie stał wobec takiego wyzwania.

Prezydent Gorszkow przeżywał najcięższy kryzys w ciągu całej swojej kariery. Nadia Szarońska nie przepuściła żadnej okazji, gdy udzielała licznych wywiadów dla prasy zagranicznej, by przypomnieć mu, że w 1989 roku nie udzielił poparcia „studentkiej wiosnie” w Chinach.

— Niech pan rozmawia najpierw ze swoim narodem, nawet jeżeli to nie on pana wybrał, a potem niech pan czaruje zagranicę! — nawoływała z przejęciem.

Decyzję o zakończeniu tego, co prasa zagraniczna nazywała już „moskiewskim latem”, podjęto 18 lipca w czasie dramatycznego posiedzenia Politbiura. „Prawdopodobnie było to najstraszliwsze posiedzenie od pięćdziesięciu lat...” — wyznał Ewie tego wieczoru Karstow.

Nowy szef KGB stanowczo zażądał wydalenia dziennikarzy zagranicznych.

— Jeżeli tak długo byliśmy w Afganistanie, to właśnie dlatego, że nie było tam dziennikarzy. Muszą się wynieść! 90 procent kłopotów mamy przez nich.

— Wtedy pańskie oddziały będą mogły strzelać do naszych dzieci i nikt im nie będzie przeszkadzał. O to panu chodzi? — krzyczał zdenerwowany nowy minister gospodarki i pierestrojki.

— I tak za długo czekaliśmy — replikował Karstow. — Mieliśmy przykład Chin. Trzeba było działać już następnego dnia, a wy sprzeciwialiście się! Od sześciu tygodni Moskwa jest sparaliżowana, zagraniczni inwestorzy pakują walizki, a cały kraj jest podminowany! Musimy z tym skończyć!

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

— Będą zabici, tego nie unikniemy — przyznał Karstow. Oni albo my!

— Ja wolę być wśród zabitych po ich stronie! — krzyczał minister wstając z miejsca.

Karstow zerwał się, złapał go za rękaw i przyciągnął do siebie.

— Nigdzie pan nie pójdzie! Jest pan członkiem Politbiura i pańskim obowiązkiem jest pozostać tu, gdy wszystko się wali. Odejść to zbyt łatwe. Jedyną osobą, która musi zachować czyste ręce, jest prezydent. Nie pan. My wszyscy musimy go bronić.

Pchnął go na krzesło z taką siłą, że pozostali uczestnicy nie śmieli się nawet ruszyć. Minister usiadł z przerażoną miną i nie odezwał się już ani słowem do końca posiedzenia.

Jeszcze tej nocy wydano rozkaz, by dziennikarze zagraniczni wyjechali z ZSRR najpóźniej do 21 lipca w południe.

Trzy dni przed wygaśnięciem ultimatum, tuż przed północą, Piotr przyszedł do Ewy. Po chwili wyszli razem z domu przy ulicy Nowokuznieckiej. Jakiś pijak zaczepił ich, prosząc o jałmużnę w chwili, gdy wsiadali do volvo, którego Piotr używał czasami, by wyjechać niezauważenie. Ewa już chciała otworzyć torebkę, ale Piotr pociągnął ją za ramię.

— Wsiadaj, nie mamy czasu!

Ruszyli z miejsca, a pijak szedł dalej, zataczając się. Gdy dotarł do końca ulicy, wyprostował się, skręcił w prawo, przeszedł spacerkiem plac Dobryninskaja i jeszcze raz skręcił w prawo. Gdy znalazł się na ulicy Piatnickiej rozejrzał się dookoła i wszedł do domu pod numerem 13.

Po ciemku zdjął beret i okulary i wszedł do mieszkania.

— To ty? — spytał kobiecy głos z sypialni.

— To ja — odpowiedział Borys Pljucz.

Piotr Karstow nie odezwał się ani razu w czasie jazdy. Zdenerwowany i zmęczony, oddychał ciężko. Jechał bardzo szybko. Ewa widziała, jak z trudem opanował gniew, gdy zaledwie dwa kilometry za Moskwą zatrzymał ich patrol wojskowy. Karstow wydał zarządzenie nakazujące ściśle kontrole wszystkich samochodów, bez wyjątku. Opuścił szybę, by żołnierz mógł zobaczyć jego twarz. Ten omal nie zemdlał. Powtarzało się to jeszcze kilka razy, średnio co pięć kilometrów. W końcu dojechali do Podolska.

Samochód wjechał w wąską dróżkę prowadzącą do dachy Karstowa. Piotr wyłączył silnik i położył Ewie rękę na brzuchu.

— Ciągle nic? — spytał spokojnym tonem.

Ewa wyjęła z torebki kartkę i podała mu.

— Trzymaj! Oficjalnie jestem w ciąży od trzech dni.

Wyrwał jej kartkę z rąk i zapalił górne światło w samochodzie.

Długą chwilę siedział z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi na kierownicy rękoma. Odwrócił się i przytulił ją z całej siły.

— Nie byłoby wygodniej w daczce? — szepnęła.

Zaczęli się kochać nie tracąc ani chwili, długo i namiętnie. Siedzieli potem na łóżku i rozmawiali. Ewa głaskała jego blond czuprynę, gdy przytulił się do jej ramienia. Mówił o najnowszych wydarzeniach.

— Studenci muszą skapitulować. Jeżeli nie, dojdzie do masakry. Nie mam innego wyboru. Ta sytuacja nie może trwać dłużej...

— Ależ masz wyjście. Wystarczy przekonać tą małą Nadię Szarońską. Jeżeli udało ci się przekonać papieża, by nie lądował w Warszawie, możesz wytłumaczyć i tej smarkuli, by skończyła z tym cyrkiem. Chyba masz dostateczne ku temu możliwości.

— Próbowałem już wszystkiego — odparł wstając.

— Trzeba się zastanowić.

Po chwili milczenia dodała:

— Chcesz, bym się tym zajęła?

— Mów jaśniej.

— Plan, który opracowaliśmy w Polsce, nie powinien być zmieniony. Jest dobry i wyjątkowo na czasie. Tak właśnie czuję. Musi się udać. „Studenckie lato” to niemal dar niebios, ale pod warunkiem, że uda się opanować ten ruch i nie dopuści się do rozlewu krwi.

Jej słowa zabrzmiały bardzo przekonująco.

— Cieszysz się ogromnym poważaniem w tym kraju. Nawet, jeżeli nazywają cię „oprawcą z Warszawy”, wszyscy przyznają, że to dzięki tobie nie doszło do rzezi w Polsce i południowych republikach Związku Radzieckiego. Twoje nowe stanowisko daje ci możliwości dalszych sukcesów. Ta smarkula jest taką okazją...

— Co masz na myśli?

— Powtarzaj za mną: — powiedziała patrząc mu prosto w oczy. — „Szema Israel adonai elohenu adonai ehad”.

Karstow patrzył na nią, niczego nie rozumiejąc.

— Możesz mi to wyjaśnić?

— To najbardziej tajemne zdanie Żydów. Znaczy: „Słuchaj Izraelu naszego jednego i jedyne Boga”.

— Wciąż nie rozumiem.

— Nadia jest Żydówką. Papieżowi powiedziałaś, że jesteś ochrzczony, a Nadii powiesz, że jesteś Żydem! Porozmawiam z nią jutro.

Piotr nie mógł powstrzymać się od śmiechu. Ewa myślała, że nigdy nie przestanie. W końcu uspokoił się i mając oczy pełne łez wyjaśnił jej przyczynę, która go tak rozbawiła.

— Papieżowi powiedziałem, że jestem ochrzczony a on i tak ochrzcił mnie po raz drugi. Matka zrobiła to rzeczywiście, gdy miałem zaledwie dwa miesiące.

Zamilkł i po chwili znów wybuchnął śmiechem.

— Dalej nie rozumiesz, o co mi chodzi?

Ewa potrząsnęła głową.

— A jak ona każe mi pokazać mojego... to co zrobić?

Teraz z kolei Ewa wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

Nagle Karstow spoważniał:

— Ewa, ty jesteś Żydówką?

— Nie! Dlaczego?

— To skąd znasz tę modlitwę?

— To nie jest modlitwa. To zdanie zawiera całą istotę judaizmu. Każdy Żyd, nawet niewierzący, zna to zdanie. Po co? Wystarczy, że wypowie je w chwili śmierci i wszystkie grzechy zostaną mu odpuszczone. Powiedziała mi o tym kiedyś przyjaciółka z uniwersytetu. Była Żydówką. Pytałam też pewnego rabina i potwierdził to.

Karstow zastanawiał się.

— Dziennikarze zagraniczni mimo wszystko będą musieli opuścić kraj do 21 lipca w południe. Tu nie mogą ustąpić. Oczywiście, nie dotyczy to ciebie! Tak, jak w Polsce.

— Nie, to za duże ryzyko. Wolę wyjechać, tak jak wszyscy.

- Nie ma mowy. Ty i moje dziecko zostajecie!
- Piotrze, nikt nie powinien wiedzieć o naszym związku. Umawialiśmy się! Twój upór może wszystko zepsuć.
- Jestem szefem najlepszych tajnych służb na świecie. Kto odważy się szpiegować za moimi plecami? Zostaniesz, aż wszystko się uspokoi.

Ewa nie nalegała.

- O.K, panie generale. Będę się starać o spotkanie z Nadią już jutro. Na pewno zgodzi się na spotkanie również z tobą. Daj jej trochę czasu i umów się na 22 lipca o dziesiątej.

Ewa objaśniła, jak sobie wyobraża ich spotkanie.

Karstow raz jeszcze nie mógł się nadziwić jej wyczuciu politycznemu, którym potrafiła posługiwać się w najtrudniejszych momentach. Musiał jednak raz jeszcze wrócić do delikatnej kwestii.

- A jeżeli poprosi o dowód na to, że jestem Żydem?
- Nie zrobi tego.
- Dlaczego jesteś taka pewna?
- Bo jest kobietą.
- A jeżeli jest niewierzącą?
- Mimo wszystko zna to zdanie.
- A jeżeli go nie zna?
- Trzeba będzie ją przestraszyć.
- Nie boi się naszych gróźb. Jest jak Pasionaria.
- Złęknie się, gdy nie zobaczy swoich rodziców i rodziny...
- Mówisz poważnie?
- Gdy chodzi o twoje życie i twój los, nie waham się ani przez sekundę.

Karstowa przeszły ciarki.

Borys Pljucz nie zmrużył oka tej nocy. 21 lipca do piątej rano Ewa Dumoulin nie wróciła do domu. Dziennikarze zagraniczni wyjechali. Według wczorajszych wiadomości w Moskwie już ich nie było, a przecież Borys widział Ewę jeszcze o jedenastej w nocy. Wsiadła do samochodu z dużą torbą podrózną w rękę. Widział ją także 19 lipca w towarzystwie Nadii Szarońskiej, gdy około dziesiątej wieczór przyjechały niwą agencji. Ewa odwiozła ją o drugiej nad ranem. Borys bez trudu mógł obserwować jej ruchy, gdyż „zainstalował się w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy u pewnej wdowy, którą przekonał, że śledzi przemytnika dewiz. Raz tylko, 18 lipca, zaryzykował, by podejść do niej w przebraniu pijaka, gdyż chciał się przekonać, czy to rzeczywiście sam marszałek Karstow przychodził do Ewy cztery razy od dnia zamachu, czyli od 11 czerwca. Było to wielkie ryzyko, ale zdecydował się na nie. Nie wychodził z domu przez kilkanaście dni. Wpadł w depresję już 11 czerwca, gdy dowiedział się, że szef KGB odchodzi na wcześniejszą emeryturę, a jego miejsce zajmie marszałek Karstow. Dopiero, gdy prasa ogłosiła nominację generała Dimitrija Bazowa na jego zastępcę, pozbierał się. To nazwisko było mu dobrze znane. Od razu zdecydował się, by w przebraniu dalej śledzić Ewę. W ten sam wieczór udało mu się ustalić nowe miejsce jej zamieszkania, oddalone zaledwie o pięć minut od jego domu.

Większość czasu spędzał ukryty za firanką w oknie mieszkania położonego po drugiej stronie ulicy, mając pod ręką lornetkę na podczerwień i aparat fotograficzny. W ten sposób „odkrył” Mojseja Henkina.

Pewnego wieczoru około północy Henkin zatrzymał swoją taksówkę 10 metrów od domu Ewy. Wyglądało na to, że oboje znają się bardzo dobrze. Taksówka stała parę minut z zapalonym silnikiem i Borys zrobił kilka zdjęć. Odjechała po dziesięciu minutach.

Następnego dnia znał już nazwisko kierowcy. Zrozumiał, o co chodzi i sprawdził listę uczestniczących w jego wykładzie. Mojsej Henkin na niej był. Intuicja i tym razem go nie zawiodła — Ewa maczała palce w wybuchu na uniwersytecie. Jej spotkanie z Henkinem nie mogło być zwykłym przypadkiem...

Mimo nalegań Jegorowa odwołał dalsze wykłady. „Prawda” zaproponowała wygłaszanie ich w jej własnych lokalach, odmówił jednak, tłumacząc, że sytuacja jest zbyt napięta. Lepiej zaczekać do nowego roku akademickiego. Takiego samego argumentu użył w ambasadzie francuskiej w Moskwie, odwołując swój wyjazd do Francji.

Popatrzył znów na zegarek. Była szósta. Ewa wciąż nie wracała. Pewnie schowała się w dacy Karstowa. Borys postanowił wracać do domu. Ubrał sutannę popa i po cichu zamknął za sobą drzwi. Po chwili jadł z żoną śniadanie. Już zasypiał, gdy przez radio usłyszał komunikat, że o dziesiątej przewidziane jest spotkanie Piotra Karstowa i Nadii Szarońskiej. Borys uśmiechnął się, a żona spojrzała na niego z zaciekawieniem.

— Mam nadzieję, że kiedyś mi to wszystko wyjaśnisz — powiedziała słodząc kawę.

Nadia Szarońska weszła do sali, gdzie czekał już Piotr Karstow. Wołał przyjąć ją na Kremlu niż w swoim gabinecie na ulicy Dzierżyńskiego, w siedzibie KGB, by uniknąć jakichkolwiek obaw z jej strony.

Wstał i na powitanie z uśmiechem mocno uściskał jej rękę.

— Bardzo proszę, niech pani usiądzie.

Nadia usiadła i patrzyła mu prosto w oczy. Piotr zaczął:

— Jest pani wyjątkową kobietą. Proszę mi wierzyć, to nie jest komplement. Udowodniła to już pani nie raz. Powinniśmy się doskonale rozumieć. Proszę mnie słuchać. Los rzucił panią na stronę reformatorów tego kraju. Potrzebujemy takich właśnie jak pani ludzi. Nie próbuję przekonywać, naprawdę, zbyt mało panią cenię. Los jednak za szybko zapukał do pani drzwi. Nie należy go wpuszczać natychmiast!

— Widzę, że lubi pan mówić przenośniami — odparła kobieta ironicznie. — Nie nadążam za pańskimi myślami.

— Czy pani tego chce, czy nie, od pani zależy życie lub śmierć tysięcy niewinnych ludzi. Los postawił przed panią ten dramatyczny dylemat. Może pani jeszcze odrzucić śmierć i wybrać życie.

— Pan również — zareplikowała.

— Mój wybór jest niestety jeszcze trudniejszy: albo przyśpieszenie trwającego procesu demokratyzacji, albo nawrót do stalinizmu. Jeżeli dla uniknięcia powrotu do przemocy, strachu, gułagów i antysemityzmu będę musiał poświęcić tysiąc lub dwa tysiące niewinnych ludzi, nie zawaham się ani na moment. Stawka jest zbyt wysoka.

— Mam niemniej dramatyczny wybór. Studenci wierzą mi, a ja im przysięgałam. Jesteśmy gotowi umrzeć. Nie boimy się. Walczymy o słuszną sprawę.

Piotr Karstow po tych słowach zwątpił. Ewa poinformowała go, że rzeczniczka studentów gotowa była zawrzeć porozumienie. Czyżby Nadia zmieniła zdanie?

— Nie załamujmy rąk. Gdzieś w *Starym Testamencie* jest napisane, że spośród dwóch trudnych wyjść należy wybrać to trzecie!

— Znowu jakaś metafora! A jakie jest to trzecie wyjście?

— Kompromis.
— To znaczy?
— Pani ma jasną sytuację. Nie chce pani stracić twarzy. To bardzo ludzkie i ja to rozumiem.

Dziewczyna próbowała protestować.

— Pani pozwoli, że dokończę. Nie chcę uciekać się do zastraszenia. Mogę dać pani jeszcze godzinę na zastanowienie się.

Wyjął z szuflady hebrajską Biblię, otworzył ją i położył przed nią. Z lewą ręką na księdze, a z prawą na czole, zaczął mówić:

— Przysięgam na tę świętą księgę, że do końca tego roku wasze zasadnicze żądania zostaną spełnione.

Nadia była zaskoczona tak nieoczekiwanym gestem. Nie mogła wydusić z siebie słowa. W końcu rzekła:

— Niczego z tego, co pan mówi, nie rozumiem. Sądzę, że próbuje mnie pan wymanewrować. Chce pan załatwiać sprawy nad otwartą Biblią?

— Wiem, że to dziwny sposób prowadzenia rozmów. Ja jednak jestem wierzący i bez względu na to, co się stanie, co zadecydujemy, bardzo proszę nikomu o tym nie mówić. Tradycje antysemitki w naszym kraju są jeszcze zbyt silne, bym mógł przyznać, że jestem wierzący.

— Pan jest Żydem?

— Tak. Mój dziadek był rabinem. Dowiedziałem się o tym od matki dopiero pół roku temu. Miała zawał i przeczuwając śmierć, zdecydowała się mi wszystko powiedzieć. Bardzo proszę, niech pani dochowa tajemnicy. Ogłoszę to oficjalnie, gdy nadejdzie właściwy moment.

— Dlaczego pan mi to mówi? Bo jestem Żydówką?

Potwierdził spojrzeniem.

— Jaki ma pan dowód na to, że to wszystko prawda? — spytała podejrzliwie.

— W tej chwili musi wystarczyć parę modlitw.

Nie czekając na odpowiedź, zamknął oczy, położył prawą rękę na księdze, a lewą na głowie i wyrecytował:

— *Szema Israel, adonai elohenu adonai ehad!*

Zamknął Biblię, ucałował ją z szacunkiem i schował do szuflady. Między wszechwładnym szefem KGB a studentką zapanowała długa cisza. Piotr patnił jej w oczy. W końcu ona pierwsza spuściła wzrok.

— Wierzę panu. Wierzę, że mówi pan szczerze. Nie wiem, czy studenci mnie posłuchają. Obiecałam im wiele rzeczy. Boję się, że nie będzie można się wycofać.

— Ja także pani wierzę. Niech się pani stara. Wejdzie pani do historii jako kobieta, która zapobiegła masakrze zamiast ją sprowokować. I proszę pamiętać: jeżeli poleje się krew, to i tak pewnego dnia ktoś zwali winę na Żydów! Myślała pani o tym? Wie pani, że już dziś nomenklatura obwinia Żydów za spowodowanie całego bałaganu w tym kraju? Teraz jeszcze mogę pani pomóc, później już nie. Przed wszystkim zapłaci za to pani rodzina. Pani doskonale o tym wie.

Wstała zakłopotana.

— Co mam powiedzieć kolegom?

— Zwołajcie komitet i musi pani ich przekonać, że należy opuścić uniwersytet i plac Czerwony. Zakończmy ten dramat, który i tak już trwa za długo.

Dziewczyna wychodziła niepewnym krokiem, raz jeszcze popatrzyła na tego dziwnego człowieka, który przekonał ją wykorzystując to, co ceniła najbardziej — własną osobowość i swoją rodzinę.

Część trzecia

Odessa, 2 września.

Borys Pljucz znał Odessę, gdyż bywał tu wielokrotnie z żoną w ciągu trzydziestu lat swego małżeństwa. Pogoda była ładna, więc postanowił pospacerować po mieście, zanim uda się na umówione spotkanie. Powoli zbliżał się do schodów Potiomkina, znanych z filmu Eisensteina i zaczął wchodzić po stu dziewięćdziesięciu dwóch stopniach, podzielonych na dziesięć tarasów – spoczników. Schody te o długości 142 i wysokości 30 metrów prowadziły z portu do Górnego Miasta.

Gdy, zdyszany pokonał wszystkie stopnie, zaczął myśleć o Ewie. Ona wbiegłaby po schodach z taką samą werwą, jak pływała... Patrzył z góry na port i statki przy nabrzeżach oraz na oddalające się od lądu transportowce wychodzące w morze.

Przyleciał wczoraj o dziesiątej wieczorem i zatrzymał się w niewielkim hoteliku położonym kilkaset metrów od Primorskiego Bulwaru – głównej ulicy Odessy. Wcześniej rano wyszedł już do miasta, by nacieszyć się słońcem i świeżym morskim powietrzem. Była dopiero dziesiąta. Spotkanie miał o piętnastej. Męczyło go tylko jedno pytanie – jak rozmawiać z tym człowiekiem? Wyznać mu wszystko od A do Z, czy próbować przedstawić problem dyplomatycznie. Doświadczenie podpowiadało mu ostrożność. Prowadził tę sprawę od początku i czuł podświadomie, że sam musi ją doprowadzić do końca. Do

jakiego właściwie końca? Nie wiedział. W jego układance brakowało tylko jednego elementu: Karstowa. Co on knuje z Ewą Dumoiáf? Nominacja generała Bazowa na stanowisko zastępcy szefa KGB naprowadziła go na pewien trop. Gdzieś to nazwisko już słyszał. Szukał w archiwach „Prawdy” i w numerze z 17 maja 1985 roku znalazł zdjęcie przedstawiające Piotra Karstowa tuż po uwolnieniu z więzienia w towarzystwie siedmiu generałów, których niegdyś odbił z niewoli afgańskiej w czasie słynnej akcji.

Dlaczego nikt tego nie skojarzył? Pięciu spośród siedmiu generałów uwolnionych przez Karstowa otrzymało już nominacje na kluczowe stanowiska w armii, a teraz w KGB! Marszałek Igor Nikołajewicz Wasiliew był dziś szefem sztabu generalnego. Generał Aleksander Jerwendowicz Szelenkow dowodził wojskami lądowymi; generał Wadim Fiodorowicz Koniajew — wojskami pancernymi, a generał Wiktor Iwanowicz Marczenko — jednostkami specjalnymi, słynnymi „specnazami”. Zgodnie z obowiązującymi zwyczajami Gorszkow akceptował nominacje protegowanych Karstowa.

Poprzedniego szefa KGB zdjęto bez żadnych wyjaśnień, mimo że miał zaledwie 57 lat i przez długi czas uważano go za bliskiego i zaufanego człowieka Gorszkowa. Karstow wyraźnie starał się obsadzać najważniejsze stanowiska swoimi ludźmi. Jak widać, udawało mu się to. Tak jak Borys przewidział, studenci poddali się 22 lipca o godzinie 14³⁰. Jeszcze tego samego wieczoru Gorszkow podziękował im, wygłaszając jedno z najplomienniejszych przemówień w swojej karierze!

Borys był pewien, że stanowisko Karstowa i osiągnięcia przez niego rezultaty mają coś wspólnego z Ewą Dumoulin. Czemu jednak pomagała mu stosując tak odrażające metody? Pęd do władzy? Czy Karstow był świadom tego, co się dzieje za jego plecami? Czy człowiek, którego tak podziwiał, wiedział kim naprawdę jest jego kochanka? Do jakich okropności jest zdolna? Ewa — nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości — była zamieszana w aferę o zasięgu międzynarodowym.

Student Mojsej Henkin wyznał wszystko, gdy tylko Borys go nacisnął. Poszło z nim szybciej niż myślał. Zagadnął go 25 lipca, trzy dni po zakoszeniu rewolty studenckiej, w jego taksówce. Przyznał, że za ryzyko, jakie podjął, Ewa dała mu czternaście tysięcy dolarów! Pljucz poradził mu, by przestał jeździć taksówką i nie rozpowiadał o ich spotkaniu, jeżeli chce odebrać od Ewy resztę pieniędzy i jeszcze trochę pożycz. Henkin obiecał, że wyjedzie na cały sierpień do rodziny, do Odessy. Dwa dni później znaleziono jego ciało oparte na kierownicy taksówki. Z autopsji wynikało, że zmarł na zawał serca. Miał dopiero dwadzieścia trzy lata!

Ewy nie było w Moskwie. Był tego pewien, gdyż sam widział jak wsiadała do samolotu „Air France” lecącego do Paryża kilka godzin przed tym, jak rozmawiał z Henkinem. Nie mogła więc wiedzieć, że będzie go przesłuchiwał. Jedyne wyjaśnienie to druga osoba. Ktoś musiał go śledzić!

Nagle zaniepokoił się i popatrzył po twarzach spacerujących obok turystów. Wstał i zaczął schodzić po stopniach w dół. Kwadrans później siedział już na tarasie kawiarenki przez cały czas nerwowo spoglądając na zegarek. Zdawało mu się, że na chodniku po przeciwnej stronie ulicy stoi znajoma mu postać. Gdzie mógł spotkać tego mężczyznę? W samolocie? Na Primorskim Bulwarze... wczoraj, dziś rano? Na górze? Zauważył coś dziwnego w zachowaniu nieznanego, który niby przypadkiem przeszedł ulicę i usiadł przy stoliku kilka metrów od niego. Nie wyglądał ani na płatnego mordercę, ani też na turystę, mimo że na szyi miał zawieszony aparat fotograficzny, a na ramieniu torbę na pasku.

Borys poszedł do toalety i wymknął się tylnymi drzwiami na tę samą ulicę, ale trzydzieści metrów dalej.

Schował się za samochodem i obserwował nieznanego. Kelner podał mu obiad. Jadł bez pośpiechu, odprowadzając wzrokiem co zgrabniejsze spacerowiczki. Dwadzieścia minut później, wciąż jeszcze siedział przy stoliku i jadł ogromne lody. Borys zaniepokoił się, czy

czasami nie cierpi na paranoję, odwrócił się na pięcie i wrócił do hotelu.

Mężczyzna szybko zapłacił i wyszedł. Wsiadł do volvo zaparkowanego obok wejścia służbowego, przez które Pljucz opuścił kawiarnię kilkadziesiąt minut wcześniej. Kobieta siedząca za kierownicą ruszyła z miejsca i powoli jechała za Borysem.

Hajfa, 2 września.

Z willi na górze Karmel roztaczał się wspaniały widok na całe miasto. Ewa Dumoulin siedząc na tarasie, popijała sok owocowy. Po raz pierwszy miała spotkać się z obydwojoma szefami służb wywiadowczych naraz — izraelskim i amerykańskim. Izraelczyk przyszedł pierwszy. Ewa wyciągnęła rękę na powitanie, ale on warknął tylko:

— Zabiłaś dwóch Żydów!

— Nie zlikwidowałam Mojseja Henkina, masz moje słowo. Byłam przerażona, gdy dowiedziałam się o jego śmierci po przylocie do Waszyngtonu.

Ewa spodziewała się takich zarzutów, ale nie myślała, że atak nastąpi tak szybko.

— Wrócimy do tej sprawy — rzekł chłodno. — A Dawid Rosen?

— To bydlak! Współpracował z inspektorem Pljuczem.

— Ale był Żydem!

— Być może, ale szykował coś z Pljuczem. Nie miałam wyboru.

— Słyszałaś wyraźnie, że życie Żyda — kanalii czy nie — jest rzeczą świętą. Nie tak? Można było go odzyskać. Wystarczyło dać nam znać. Wezwalibyśmy go do Londynu, porozmawiali z nim i przekonali. A ty zamiast tego wydałaś polecenie CIA, żeby go zlikwidować.

Ewa nie odpowiadała. Wołała przeczekać burzę. Izraelczyk zaatakował w tym samym tonie:

— A Mojsej Henkin?

— Powtarzam ci, że to nie ja. Nie miałam najmniejszego powodu, by go zabijać.

Kłamała. W rzeczywistości postanowiła go zlikwidować po wykładach. Zbyt dużo wiedział.

— Chyba nie chcesz mi wmówić, że wierzysz w ten zawal?

— Nie rozumiem. Młodym też zdarza się niekiedy umrzeć nagle. Chyba, że Nelson...

— Nie jestem przekonany, że mówisz prawdę.

— Przysięgam!

— W porządku. Poprosimy o wyjaśnienie naszego przyjaciela. Powinien tu zaraz być.

W tym momencie zadzwonił dzwonek. Robert Nelson wszedł, zdjął ciemne okulary, kapelusz i sztuczne wąsy. Po pięciu minutach burzliwej dyskusji w końcu przyznał, że wysłał do ZSRR trzech swoich najlepszych agentów, dwóch mężczyzn i kobietę, by zajęli się Borysem Pljuczem. Amerykanin nie podzielał poglądu, że religia powinna kogokolwiek osłaniać. Aktualnie Pljucz był w Odessie i miał się spotkać z dawnym szefem KGB, Truszenką.

— Zostanie zlikwidowany, o ile już nie został.

Ewa chciała zaprotestować, ale Nelson, bardzo zdenerwowany kontynuował:

— To głupia historia i trwa już za długo. Ten gliniarz zaprzęta ci niepotrzebnie głowę. Mówiłaś: „Nie ruszajcie tego człowieka, on jest mój”! I patrz, do czego doprowadził ten „twój człowiek”! Myślisz, że pozwolę, by spotkał się z Truszenką?

Ewa zrobiła parę kroków w stronę balkonu.

— Przykro mi, że cię zdublowałem, Ewo, ale nie mogę ryzykować zaledwie kilka tygodni przed zakończeniem naszej operacji.

Ewa odwróciła się poirytowana, Nelson rzeczywiście ją zdublował.

— Kiedy to zaczęłaś? — spytała wreszcie chłodnym tonem.

— To mało ważne — wtrącił się Izraelczyk. — Odstawmy dumę na bok i zajmijmy się faktami.

Ewa usiadła i przedstawiła szczegółowo aktualną sytuację. Obaj mężczyźni słuchali w milczeniu, nie przerywając jej. Mówiła przez czterdzieści pięć minut. Gdy skończyła, Izraelczyk pogratulował jej, a Nelson patrzył na nią z aprobatą.

— Pozostanie mi jeszcze usunięcie ciąży, gdy wszystko będzie skończone — dodała.

Obaj mężczyźni patrzyli na nią jednakowo zdziwieni.

— Tak. Nie mogłam już dłużej oszukiwać Karstowa. Może myliłam się lub nie, ale miałam wrażenie, że zaczynał mi się wymykać, gorzej — zamierzał się wycofać. Zdecydowałam, że związę go mocno, zachodząc rzeczywiście w ciążę i rozegram tę ostatnią kartę.

W salonie zapadło głębokie milczenie. Słychać było jedynie jednostajny szum klimatyzatorów. Cięża Ewy nie była przewidywana w planach i obaj nie wiedzieli, co w takiej sytuacji mają powiedzieć:

— Od kiedy...?

Ewa nie dała Izraelcykowi dokończyć pytania.

— Dokładnie czterdzieści osiem dni.

Znowu zapadła cisza. Prawdopodobnie obaj myśleli o tym samym. Ewa myślała o Pljuczu. Od chwili gdy Nelson powiedział, że już być może nie żyje ze strachu odczuwała skurcze żołądka. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że zginie zabity z zimną krwią przez zbirów Nelsona.

— W jaki sposób postanowiliście zgładzić Borysa?

— Zawał serca — odparł Nelson.

Ewę zmroziło. Pljucz zasługiwał na bardziej szlachetną śmierć, godną bohatera, jakim przecież był. „Umrzeć, nie wiedząc dlaczego — to największa obraza dla tego człowieka” — pomyślała.

Izraelczyk podszedł do Ewy zażenowany:

— Aborcja, powyżej trzeciego miesiąca...

— Nie mam zamiaru prowadzić debaty umoralniającej! Jestem agentem i do wypełnienia swojej misji mogę stosować wszystkie dostępne mi środki. Gdy zakończę misję, przerwę ciężę jeszcze tego samego dnia.

Dziesięć minut później Ewa była wreszcie sama. Spojrzała na zegarek i szybko zaczęła liczyć. W Odessie była 13⁴⁰. Wyszła i po cichu zamknęła za sobą drzwi. Wsiadła do forda, którego jej podstawiono zaraz po przylocie i ruszyła w kierunku portu w Hajfie, by autostradą pojechać do Teł Awiwu. Upewniwszy się, że nikt jej nie śledzi, zatrzymała się obok centralnego dworca autobusowego i pobiegła do budki telefonicznej.

Telefon był zajęty. Syknęła ze złości i wybrała numer jeszcze raz. W słuchawce odezwał się kobiecy głos.

— Pani Pljucz?

— Nie, córka. Kto dzwoni?

— Proszę posłuchać. Dzwonię z Gruzji i muszę rozmawiać z inspektorem Pljuczem. Bardzo pilnie. Wiem, że jest w Odessie, bardzo proszę o jego numer.

— Ojciec już nie pracuje w milicji. Skąd pani wie, że jest w Odessie.

— Wiem od mojej matki. Bardzo panią proszę, nie mam już więcej monet.

— Ma pani czym zapisać?

Ewa zapisała numer na kartce wydartej z książki telefonicznej.

— Przed chwilą z nim rozmawiałam. Powinien jeszcze być w hotelu.

Ewa odłożyła słuchawkę i natychmiast wykręciła numer w Odessie.

Odessa, 2 września, godz. 14⁰⁰.

Po obiedzie Pljucz pił kawę w restauracji hotelowej, gdy podszedł do niego właściciel:

— Panie inspektorze, telefon do pana.

Borys, zdziwiony, wstał i podszedł do kabiny. Nie dawał nikomu hotelowego numeru prócz żony, która miała dzwonić tylko w wyjątkowej sytuacji.

— Pan Pljucz?

Głos był słabo słyszalny, dodatkowo zakłócany trzaskami.

— Przy aparacie. Kto mówi?

— Niech pan odwoła dzisiejsze spotkanie. Grozi panu niebezpieczeństwo. Dwóch mężczyzn lub kobieta śledzą pana. Mają rozkaz pana zabić. Niech pan uważa. Halo? Nikomu proszę nie podawać ręki!

Odłożono słuchawkę. Borysowi trzęsły się ręce. Czuł, jak osuwa się z nóg. Przyjaciel z KGB opowiadał mu kiedyś o niewidzialnym proszku, którym posypuje się ręce przed spotkaniem ze swoją ofiarą. Zabójca ma potem pięć minut na zastosowanie antidotum. Ofiara po kilku, najwyżej sześciu dniach, umiera na zawał serca.

Wyszedł z kabiny blady jak ściana i jak przez mgłę usłyszał pytanie właściciela, czy czuje się niedobrze. Pokręcił przecząco głową i wrócił do stolika. Rozmawiał z mężczyzną czy kobietą? Nie był pewien. Rozmówca dzwonił z daleka. Pułapka? Kto chciałby ocalić mu życie?

Podszedł ponownie do kabiny i wykręcił numer Truszenki. Po chwili w słuchawce usłyszał głos byłego szefa KGB.

— Muszę pilnie wyjechać do Moskwy. Przykro mi. Spotkamy się następnym razem, o ile pan się zgodzi.

— Szkoda. Z przyjemnością pomogę panu w pracy nad książką. Niech pan szybko wraca, jestem do pana usług.

Borys odwiesił słuchawkę. Ręce wciąż mu się trzęsły. Nie miał zamiaru tak głupio umierać. Chciał żyć, żyć i zwyciężyć! Schował się dyskretnie za podwójne drzwi jadalni i obserwował klientów. Nie zauważył niczego szczególnego. Klientów było niewielu. Nagle dostrzegł kobietę podchodzącą do szarego, metalizowanego volvo zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Usiadła za kierownicą i odjechała. Po chwili do baru wszedł mężczyzna, którego widział dziś rano w kawiarni. Serce zaczęło Borysowi bić jak szalone. Mężczyzna był ubrany inaczej, ale inspektor zapamiętał jego twarz. Zobaczył, że tamten podszedł do baru i zamówił pokój na trzy dni.

— Z pojedynczym łóżkiem czy podwójnym? — spytał właściciel.

— Podwójnym. Żona będzie tu za chwilę.

Borys usiadł przy stoliku. Nie mógł złapać tchu. Czuł się osaczony. Chciał wstać, ale bał się, że ugną się pod nim nogi. Z udawanym spokojem zawołał właściciela:

— Szefie, zostaję jeszcze pięć dni. Może pan zmienić mi pokój...

— Na większy? Już się robi, inspektorze.

Pljucz silił się na uśmiech. Mężczyzna nie zareagował i spokojnie wypisywał kartę meldunkową.

Borys zauważył wypukłość z lewej strony jego marynarki. „Niech pan im nie podaje ręki” — ostrzegwał anonimowy rozmówca. Tak, to był mężczyzna mówiący po rosyjsku.

— Za chwilę dam panu inny pokój — odezwał się właściciel.

— To może poczekać do jutra. Pójdę się zdrzemnąć na chwilkę. Zmogło mnie słońeczko.

Głos Borysa brzmiał już normalnie. Udało mu się zebrać myśli. Walczył przecież o własne życie. Kobieta, którą widział przez okno, wchodziła do baru. Podeszła prosto do mężczyzny i pocałowała go w policzek. Udali się do swojego pokoju, a Borys chyłkiem wymknął się z hotelu. Tak jak przypuszczał, wypożyczone volvo stało obok wyjścia służbowego. Drzwi samochodu nie były zamknięte, a zapasowe kluczyki leżały w schowku.

Ruszył błyskawicznie. Po godzinie jazdy zatrzymał się na stacji benzynowej i zadzwonił do hotelu, przeprasząc, że wyjechał bez uprzedzenia, ale pieniądze wysłał pocztą. Właściciel hotelu chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Borys odłożył słuchawkę. Mknął w kierunku oddalonego o około 500 kilometrów Kijowa, gdzie zamierzał złapać najbliższy samolot do Moskwy.

Dojechał o dziesiątej w nocy. Samolotu już nie było.

Zostawił volvo w podziemnym parkingu przy lotnisku i pojechał do miasta autobusem. Po godzinie leżał już w łóżku, w hotelu „Dni-pro”. Całą noc nie mógł zmrzyć oka. O siódmej rano, nie ogolony, zapłacił za hotel i taksówką pojechał na lotnisko, by o ósmej odlecieć do Moskwy.

— Jesteś pewna?

— Tak. To była kobieta — powiedziała córka.

Borys Pljucz podał jej kasetę i poprosił, by włożyła ją do magnetofonu. W salonie rozległ się głos Ewy.

— Nie wiem, ale ten akcent mi coś przypomina... Być może, tak, to ten sam akcent...

Borys stracił cały dzień w zarządzie telefonów i po kilku godzinach żmudnych poszukiwań dowiedział się, że dzwoniło do niego z kabiny publicznej w Izraelu, a nie z Gruzji. Potwierdzono również, że z tej samej kabiny dzwoniło do jego hotelu w Odessie o godz. 14⁰³.

Borys niczego nie rozumiał. Nie zważając na obecność córki zadzwonił do Europejskiej Agencji Prasowej.

— Poproszę z panią Ewą Dumoulin — powiedział gotów do odłożenia słuchawki, gdyby powiedziano, żeby zaczekać.

Pia powiedziała jednak, że Ewa jest za granicą i wróci dopiero 6 września.

— A kiedy wyjechała?

— 1 września. Do Brukseli. Chce pan zostawić wiadomość?

— Nie. Zadzwonię później.

— Poznałam pana po głosie. Pan Iwan Jegorow, prawda?

— Tak, dlaczego?

— Bo pan już dzwonił dziś rano!

Borys odłożył słuchawkę. Więc Jegorow też ją zna... Postanowił jednak, że niczego w tej chwili nie zrobi. Najpierw musi przemyśleć to, co się stało, gdyż od rozmowy w Odessie miał wrażenie, że lada moment oszaleje. Ewa Dumoulin. To mogła być tylko ona. Miała co najmniej kilkadziesiąt okazji, by go zabić, ale tego nie zrobiła. Dlaczego? Nie miał pojęcia. Przypuszczenie, że działał drugi, a może nawet trzeci agent, potwierdzało się.

„Niech pan odwoła spotkanie!” Skąd wiedziała, że ma się spotkać z Truszenką? Adres i numer telefonu byłego szefa KGB otrzymał od Jegorowa. Nie miało to znaczenia. Telefon Truszenki na pewno był na podsłuchu. Jego zresztą także. Wstał i w pośpiechu zaczął szukać ukrytych w mieszkaniu mikrofonów.

Podszedł do starej komody stojącej w salonie, otworzył tajną skrytkę z szufladą otwieraną do góry. Na szczęście, zegarek Ewy wciąż tam był. Już tyle razy chciał go przekazać do szafy pancерnej...

Zamknął szufladę i położył się na tapczanie. Nie zauważył, kiedy córka wyszła z domu. Po głowie kołatały mu się różne myśli. Po co Ewa pojechała do Izraela? Przypomniał sobie, że z Truszenką rozmawiał około piątej po południu, 1 września, a więc dwie godziny po odlocie Ewy. O jego zlikwidowaniu musiała się dowiedzieć w Izraelu.

Dlaczego tam? Odpowiedź nasunęła mu się błyskawicznie. Poczł się dumny. Myślał już kiedyś, na początku swojego śledztwa, o ambasadzie Izraela. Pierwsze co zrobił, to policzył odległość od miejsca wypadku do najbliższych ambasad. W grę wchodziły dwie — izraelska i palestyńska. Jego „afgan” śledził wtedy ambasadę Izraela.

Nie miał już wątpliwości. Ewa ma coś wspólnego z Izraelem. Nie wiedział jeszcze, do czego mu się przyda to nowe odkrycie. Może Ewa jest izraelskim szpiegiem i manipuluje Karstowem? Ale po co? Żydzi mogli opuszczać ZSRR bez większych trudności, nawet jeżeli woleli bardziej Amerykę niż Ziemię Obiecaną. By zdobyć broń atomową? Nie widział w tym powodu, dla którego miałaby uratować mu życie.

— Kim jest ta kobieta, na Boga? — krzyknął głośno. — Na diabła, raczej!

Co od niego chciała? Słowo „diabeł” przypomniało mu o wróżkach.

W czasie swojej długiej kariery nieraz korzystał z ich usług, zwłaszcza gdy chodziło o zaginione dzieci. Czemu nie pomyślał o tym wcześniej?

Nocą męczyły go koszmary na granicy delirium. A jeżeli to on blokuje koła tej całej maszyny? Co może on, nędzny moskiewski gli niarz? Drobne ziarenko piasku... Zasnął w końcu, nie znalazłszy odpowiedzi na pytanie, komu służyła Ewa i jak się ta sprawa zakończy.

Paryż, 4 września.

W hoteliku „Wiktor Hugo” Ewa Dumoulin wchodziła do łazienki, gdy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

— Pies zdążył uciec. Nie próbuj go szukać. Zajmiemy się nim. Nie obawiaj się niczego.

Odłożono słuchawkę. Uśmiechnęła się do siebie i odkręciła krany. Ma wracać do Moskwy? Udało się więc. Ciągle jednak nie wiedziała, dlaczego uratowała życie Borysowi Pljuczowi. Może chciała się zrewanżować Nelsonowi?

Gorąca woda spływała po całym ciele. Popatrzyła na swój brzuch. Przybrała prawie kilo. Nie dotknęła jednak brzucha. Bała się, że sprawi jej to radość? Ubrała szlafrok i zadzwoniła do „Air France”. Trzy godziny później wsiadała do samolotu A 320 lecącego do Moskwy.

Moskwa, 5 września.

Pani Strasowa zdziwiła się zobaczywszy w drzwiach Borysa Plju-cza. Chciał się z nią spotkać natychmiast. Była dopiero dziesiąta rano. Zgodziła się niezbyt chętnie.

— Znowu zaginęło dziecko? Ma pan zdjęcie?

Przytaknął. Wcześniej rano zadzwonił do Nikitina, swego dawnego zastępcy, który teraz zajmował jego miejsce w komisariacie. Pierwszy raz od czasu, gdy złożył dymisję, dzwonił do komisariatu.

— Nie pytaj o szczegóły. Przyślij mi samochód i dwóch milicjan-tów. Później powiem ci, o co chodzi.

Samochód czekał już po pięciu minutach. Borys kazał się zawieść na ul. Suszczewskiego 47, w północnej części Moskwy. Milicjanci, każdy z osobna, żalowali, że już odszedł z milicji, twierdzili, że bardzo im go brakuje.

— A co mówią inni?

Milczeli zakłopotani.

— Że zwariowałem? Czy tak?

— Tak, szefie.

— No i nie mylą się! Interesuję się wróżbami. To ciekawsze i za-bawniejsze niż śledztwa, ale można zwariować. No, troszeczkę...

Wybuchnął śmiechem. Co jakiś czas rozglądał się dyskretnie, by nie zwrócić uwagi milicjantów. Żaden samochód nie jechał za nimi. Któż byłby tak nierozważny, by śledzić milicjantów? Kazał im czekać w samochodzie.

— Popatrzmy na zdjęcie. Mam nadzieję, że to jakaś niegroźna sprawa.

Borys podał fotografię, unikając odpowiedzi na podchwytliwe pytania.

— Ależ to kobieta! — zawołała zawiedziona. — Mówił pan, że chodzi o dziecko. Co pan właściwie chce wiedzieć?

Borys nie odpowiedział. Chciał ją zmusić do skoncentrowania się i do mówienia. Wzruszyła ramionami i zaczęła głaskać fotografię.

— Ta kobieta jest w ciąży.

Pljucz poderwał się.

— Jest pani pewna? — spytał ze złością, żalując, że jej niechący przerwał.

— Tak jak tego, że pana tu widzę. Jest w ciąży od dwóch miesięcy, może trochę dłużej. Widzę ją wyraźnie, jest bardzo inteligentna. Prawdziwy mózgowiec. O, ona była w armii...

— W armii? Skąd pani wie?

— Widzę, że niesie broń, strzela, jest bardzo silna, bardzo zręczna, umie wszystko. Są w niej dwie osoby. Jedna chce dziecka, a druga nie chce... Jest wewnętrznie rozdarta... Bardzo cierpi. To tak, jakby ktoś ją cały czas dusił... Ktoś wkrótce będzie chciał ją zabić... Widzę, jak pada, tak, leży na ziemi...

— Co to za człowiek?

— Bardzo wysoki, blondyn, chudy i mówi w obcym języku... Ciągnie ją do góry, po schodach przy pomniku, strzela do niej... ale widzę, że on też pada...

Borys kręcił się niespokojnie.

— Gdzie ona jest teraz? — spytał w końcu.

— Tutaj. W każdym razie niedaleko stąd.

— Jak pani widzi — będzie żyć?

— To nie jest pewne... Widzę krew... Dużo krwi.

Mógł postawić jeszcze wiele pytań, wolał jednak odejść. Wróżka wyglądała na zmęczoną. Położył na stole pięćdziesiąt rubli i wyszedł bez słowa.

Godzinę później Borys zadzwonił do agencji i poprosił o rozmowę z Ewą Dumoulin. Przedstawił się jako funkcjonariusz ministerstwa spraw wewnętrznych.

— Czy coś ważnego? — spytała Pia.

— Owszem.

— Dopiero co wróciła z zagranicy. Przypuszczam, że jest u siebie.

Chce pan, żebym przekazała wiadomość?

Odłożył słuchawkę i zadzwonił do „Prawdy”. Jegorow był gdzieś na zebraniu. Pljucz zostawił mu wiadomość, by skontaktował się z nim jak najprędzej.

Jegorow zadzwonił po godzinie.

— Zmienił więc pan zdanie?

— Muszę się z panem spotkać. To pilne. Mógłby pan przyjść do mnie?

— To w naszej wspólnej sprawie?

— Tak.

Jegorow przyszedł po dwudziestu minutach. Borys otworzył mu drzwi z uśmiechem na twarzy.

— Proszę wejść, mój drogi. Może kawy? Jest jeszcze gorąca.

Powiedział mu, że wykłady rozpocznie w styczniu.

— Po co czekać aż tak długo? Rok akademicki zaczyna się za tydzień. Studenci zasypują mnie listami...

— I mnie też — powiedział dumnie Borys. Nie jestem jednak przygotowany. A tak, przy okazji. Wie pan, że przez telefon mamy podobny głos?

Opowiedział mu o pomyłce pracownicy agencji, gdzie pracowała Ewa Dumoulin.

— Chciałem od niej paru informacji o Paryżu — wyjaśnił.

— Tak, znam ją. Jest tak piękna, że można zwariować. Jeszcze dziesięć lat i będzie z niej szpieg jak się patrzy! Nie, to nie to, co pan myśli...

Uśmiechnął się i dodał rozmarzony:

— Nie mam szans... na razie.

Borys mrugnął porozumiewawczo.

— Chciałby pan się z nią spotkać? — spytał Jegorow. — Nic łatwiejszego. Poddał mi pan świetną myśl. Unika mnie od dwóch miesięcy. Byłby pan idealnym pretekstem! Nie będzie mogła odmówić.

Zaczął szukać telefonu, ale Borys go powstrzymał.

— Wyjeżdżam za parę godzin, a wrócę dopiero za trzy miesiące. To zbyt długie. Przykro mi.

— Dokąd pan jedzie?

— Do Odessy. Do pisania potrzebuję trochę spokoju.

— Mogę to ogłosić w gazecie wraz z informacją o rozpoczęciu wykładów w styczniu?

Borys przytaknął głową.

— A propos, spotkał się pan z Truszenką?

— Nie. Udało mi się znaleźć to, czego szukałem w powieściach kryminalnych!

— I dobrze, że tak się stało.

— Dlaczego? — spytał zdziwiony.

— Na pewno jest podsłuchiwany i pilnowany. Nie byłoby najlepiej, gdyby człowiek o takiej sławie jak pan, był widywany w jego towarzystwie. Miałby pan z tego powodu tylko przykrości. Nie pomyślałem o tym, gdy dawałem panu jego numer telefonu.

— Widzi pan, ja a polityka! Ale co się takiego stało? Przeczytałem w pańskiej gazecie, że złożył dymisję...

— Mój drogi Borysie, czasami podziwiam pańską naiwność — pochylił się ku niemu. — Zdradzę panu małą tajemnicę. Truszenko był kochankiem Olgi Karstowej dużo wcześniej zanim wyszła za mąż! Chodził do niej, gdy Karstow gasił pożary w całym kraju!

— Chodzi więc o wyrównywanie rachunków?

— Niewątpliwie, tak.

— A ta piękność, za którą pan tak szaleje, dlaczego pana unika? Jest pan raczej urodziwym mężczyzną.

— Już ma kogoś, zdaje się w Paryżu. Należy do tych z gatunku wiernych, tak przynajmniej twierdzi — wie pan — jak wszystkie kobiety, które wiedzą, że pewnego dnia i tak przestaną być wierne!

Borys odprowadził go do drzwi uspokojony. Chciał mu ze swej strony poradzić, by to raczej on starał się unikać Ewy. Powstrzymał się. Jegorow i tak nie rozumiałby...

6 września.

Piotr Karstow wszedł do swojego gabinetu na piątym piętrze budynku przy ulicy Dzierżyńskiego i podszedł prosto do okna. Całą noc padał deszcz. Popatrzył na szare, pochmurne niebo. Jedną z pierwszych decyzji, jaką podjął po nominacji na szefa KGB, było rozciągnięcie całodobowej opieki nad Ewą, za wyjątkiem chwil, gdy u niej bywał. Do tego zadania kazał wyznaczyć najlepszych agentów. Oficjalny telefon Ewy przełączono na „nasłuch specjalny”. Decyzję o zastosowaniu tych nadzwyczajnych środków podjął 19 lipca, na drugi dzień po tym, jak Ewa pokazała mu oficjalne zaświadczenie, że jest w ciąży. Wczoraj zaś otrzymał raport przygotowany przez agentów, który go bardzo zdenerwował. Redaktor naczelny „Prawdy”, Iwan Jegorow, bez przerwy telefonował do Ewy i z nagranych rozmów wynikało, że zalecał się do niej w sposób natarczywy. Jedno zdanie szczególnie wyprowadziło Karstowa z równowagi. Jegorow wspominał coś o wieczorze, który spędzili razem i powiedział dosłownie: „Przyzna pani, że niewiele brakowało, by pani uległa, gdy wzięłem panią w ramiona?”

Ewa odłożyła wtedy słuchawkę. Myśl, że ten łajdak mógł ją dotknąć, doprowadzała Karstowa do szału. Podejrzanie, że Ewa mogła go zdradzić jeszcze potęgowała jego wściekłość. 29 lipca widziano młodego człowieka, studenta prawa, dorabiającego jako kierowca

taksówki, gdy odwoził ją do domu. Rozmawiali jeszcze długą chwilę ze sobą i dwie rzeczy zwróciły szczególną uwagę ludzi Karstowa. Samochód zatrzymał się piętnaście metrów od wejścia do domu, a rozmawiali przy włączonym na cały regulator odbiorniku radiowym, tak, jakby nie chcieli, by ktoś słyszał ich rozmowę. Udało im się zarejestrować kilka jej fragmentów: „dziesięć tysięcy dolarów... dziękuję... jutro”. Trzy dni później studenta, niejakiego Mojseja Henkina znaleziono martwego. Zawał serca...

Karstow zdjął płaszcz i rzucił go na kanapę. Nie chciał zakładać u niej podsłuchu, ale zmienił zdanie. Zażądał również śledztwa w sprawie studenta. Nie spał całą noc, rozpatrując wszystkie możliwe hipotezy. Słowo „szpieg” nasuwało mu się wielokrotnie. Dlaczego nie kazał śledzić jej za granicą? Za każdym razem odrzucał tę myśl z niesmakiem. Uratowała mu życie, nosiła jego dziecko!

Historia ze studentem wydawała mu się dziwna, ale był przekonany, że Ewa mu ją wkrótce wyjaśni. Może dała się wciągnąć w jakąś aferę z przemytem dewiz? Bardziej niepokoił go jednak Jegorow. Postanowił natychmiast go wezwać.

Redaktor naczelny „Prawdy” zjawił się już pół godziny później i wszedł uśmiechnięty do biura, dumny z tego, że jest pierwszym dziennikarzem, którego przyjął nowy szef KGB. Piotr kazał mu usiąść, nie podawszy nawet ręki. Obserwował go w milczeniu. Jegorow czuł się nieswojo. Kręcił się niespokojnie i nie wiedział, co począć z rękami. Piotr powoli wstał i bez słowa zaczął chodzić po pokoju, rzucając w jego stronę przenikliwe spojrzenia. Jegorow, osłupiały z przerażenia, nie ośmielił się odezwać. Piotr raptownie odwrócił się, usiadł i ostro spytał:

- Ile pan ma lat?
- Pięćdziesiąt dwa.
- Z pańskiej kartoteki wynika, że był pan cztery razy żonaty.

Jegorow skinął głową. Nie pojmował, o co marszałkowi chodzi. Piotr ciągnął dalej:

- To pan rzucał żony?
- Naprawdę, nie wiem, co to...

— Nie musi pan odpowiadać.
— To ja je rzuciłem, wszystkie, ale...
— Jest pan, można rzec, podrywaczem.
— Tak niektórzy mówią. Jegorow siłił się na blade uśmiech.
— Ile razy któraś kobieta nie chciała pójść z panem?
— Ani razu — odpowiedział dumnie.
— Niech pan się dobrze zastanowi. Nie było ani jednej, która by odmówiła?

Jegorow pomyślał o Ewie Dumoulin.

— Tak, ma pan rację — przyznał. — Rzeczywiście, jedna odmówiła. Ale ja jeszcze nie zrezygnowałem!

Wszystkiego się spodziewał, ale nie tego, że z najpotężniejszym człowiekiem w kraju będzie rozmawiał o swoim życiu intymnym.

— Mógłby mi pan powiedzieć, kto jest tą kobietą?

— Najpiękniejsza kobieta w Moskwie, ale to raczej przemawia za mną...

Piotr dał mu znak, by mówił dalej.

— To cudzoziemka, Francuzka. Jest dziennikarką. Wszyscy marzą by ją mieć.

— Jak się nazywa?

— Ewa Dumoulin. Chce pan, przedstawię ją panu? Będzie wniebowzięta, że pozna szefa KGB. A przy okazji wyświadczy mi pan przysługę. Od dwóch miesięcy nie chce ze mną rozmawiać...

Jegorow poczuł się wyraźnie pewniej. Nie prosząc o pozwolenie zapalił nawet papierosa.

— Dlaczegoż to?

— Ma przyjaciela, narzeczonego. Myślę, że w Paryżu. Któregoś dnia na pewno się złamie. Wie pan, jak to jest z kobietami...

Piotr milczał. Usłyszał to, co wiedział. Ewa była mu wierna! Bał się, że Jegorow wyzna, że z nią spał. Co zrobiliby w tym momencie? Udusiłby go! Ten łajdak uratował swoją skórę, jak na razie...

— Dobrze — rzekł w końcu Piotr. — To nie był, jak się pan domyśla, powód, dla którego kazałem panu przyjść. Chciałem porozmawiać,

ogólnie biorąc o prasie. Stwierdziłem, ku mojemu rozczarowaniu, że krytyka rządu nie ustaje, mimo moich wyraźnych poleceń.

Jegorow chciał coś powiedzieć, ale Karstow powstrzymał go gestem ręki:

— Znam pana problemy. Lecz ja jestem znany nie jako podrywacz, tak jak pan, ale jako człowiek czynu. Trudności wprawiają mnie w zły nastrój, więc żeby uniknąć depresji, szukam szybkich i skutecznych rozwiązań.

Wstał, co oznaczało, że rozmowa została skończona. Jegorow wyszedł całkowicie zdruzgotany. Karstow zadzwonił do zastępcy dyrektora siódmego wydziału KGB. Pułkownik Bardijew wszedł po chwili. Miał on do dyspozycji trzy tysiące agentów nadzorujących cudzoziemców w całym kraju. Wszyscy zostali wyszkoleni w Leningradzie i wyposażono ich w najnowsze zdobycze techniki — lornetki na podczerwień, aparaty fotograficzne o gigantycznych obiektywach, ultraczułe mikrofony kierunkowe, miniaturowe radiotelefony i wszelkiego rodzaju materiały maskujące. Samochody siódmego wydziału wyglądały jak zwykłe wołgi, ale miały silnik czajki o bardzo dużej mocy oraz bagażnik wypełniony różnorodną aparaturą. W tej sekcji KGB, w odróżnieniu od innych, zatrudniano wyjątkowo dużo kobiet.

Piotr Karstow polecił, by ciągle śledzono Ewę tak, jak pracowników ambasad. Na początek przez dwa tygodnie.

— Szpieg? — spytał Bardijew.

— Nie, sprawa pośladków — rzekł śmiejąc się. — Sprawozdania proszę mi składać osobiście i tylko mnie! Czy muszę panu przypominać, że jest to sprawa ściśle tajna?

— Zrozumiałem. Coś jeszcze?

— Nie. Przeczytałem gdzieś, że mimo waszej dużej skuteczności, zagraniczni agenci znikają wam jednak na krócej lub dłużej.

— To prawda. To głośność' temu winna. Nie mamy takiej swobody działania jak za czasów Andropowa.

- Wkrótce będziecie ją mieć. Zajmę się tym osobiście.
- To samo mówił pański poprzednik, a sytuacja jeszcze się pogorszyła, panie marszałku.
- On to on, ja to ja — Karstow prawie krzyczał. Kazał mu odejść.

Tego samego wieczoru, wracając do domu, Ewa zauważyła na rogu ulicy beżową wołgę. Od razu poznała ją po obciążonym bagażniku. Gdy tylko weszła do mieszkania, sprawdziła, czy nie ma podsłuchu. Wynik poszukiwań był pozytywny — znalazła co najmniej dziesięć mikrofonów. Agenci siódmego oddziału nie cackali się! „Pewnie myślą, że jestem domatorką” — pomyślała bez złości. Zarzuciła torbę sportową na ramię i wyszła. Dziesięć minut później pływała już w basenie hotelu „Hilton” obserwowana bacznie przez wysoką blondynkę.

Nie miała wątpliwości, że to sprawka Piotra. Wiedziała, że każe ją śledzić, więc nie przejęła się tym wcale. Dziwiła się nawet, że nie zrobił tego wcześniej. Dlaczego zaczął pilnować ją teraz, gdy była tak blisko celu? Prawdziwym jej problemem nadal jednak pozostawał Borys Pljucz! Ludzie Nelsona znajdą go w końcu i... Chociaż dzisiejsza „Prawda” napisała, że wyjeżdża on na trzy miesiące do Odessy, by pisać tam pamiętniki, Ewa nie uwierzyła ani w jedno słowo artykułu. W nowej sytuacji, w jakiej się znalazła powinna być podwójnie ostrożna, ponadto musiała ostrzec Nelsona, by niczego nie robił. Jak zadzwonić do niego? Zgubić agentów byłoby trudno, ale możliwość taka istniała. Wzbudziłyby tym jednak podejrzenia Piotra. Pozostała jej jedynie nadzieja, że ludzie Nelsona również zauważyli obecność agentów siódmego wydziału. Właściwie, dlaczego dziś rano Piotr prosił ją, by wróciła na dwa tygodnie do dawnego mieszkania na ulicy Czechowa? Chodzi o czas obserwacji? Prawdopodobnie.

— Mam nadzieję, że to nie na zawsze? — oburzyła się niby na serio.

— Na parę dni. W tamtym mieszkaniu muszę odbyć kilka ważnych zebrań.

Próbowała odgadnąć, co mogło wzbudzić podejrzenia Piotra i przyszedł jej na myśl Jegorow. Tak, to z jego powodu. Ewa wiedziała, że „oficjalny” telefon jest na podsłuchu i Piotr musiał słyszeć wyznania, jakie jej niekiedy robił Jegorow. Uśmiechnęła się. „Zazdrośnik — pomyślała rozbawiona. — To jest właśnie powód!”.

Po powrocie do domu Ewa nastawiła płytę. Zadzwoił telefon. Jegorow zapraszał ją na wieczór.

— Panie Jegorow, redaktorze naczelny szmatławca zwanego „Prawdą”! Tym razem niech pan posłucha. Jeżeli nie przestanę mnie pan nękać, to znajdę kogoś, kto da panu po buzi, którą pan uważa nieskromnie za zniewalającą wszystkie kobiety!

Odłożyła słuchawkę.

Za minutę telefon zadzwonił ponownie.

— Żądam wyjaśnień — wrzeszczał Jegorow — i przeprosin. Musi mnie pani przeprosić!

— Pan żąda przeprosin? Proszę bardzo: wypchaj się pajacu!

8 września.

Ewa ciągle nie znalazła sposobu, jak dyskretnie ostrzec Nelsona. Wołga nie opuszczała jej na krok. Niedyskrecja agentów Karstowa potwierdzała jej tezę o zazdrości. Ci zawodowcy wyraźnie się nudzili.

Borys Pljucz nie pokazywał się wcale. Nawet przez chwilę nie podejrzewała, że zrezygnował. Chyba, że rzeczywiście tak się przestraszył w Odessie, że wołał się poddać!

Teza ta wyglądała logicznie. Ludzie Nelsona robili wszystko, by go odnaleźć. Te trzy miesiące w Odessie, to przecież „zmyłka”, by nie szukać go w Moskwie. Ale oznacza to także, że ukrywa się on gdzieś w przebraniu w stolicy i czeka na odpowiedni moment.

W agencji na polecenie z Brukseli objęła swoje poprzednie funkcje do czasu, aż przyjedzie następca Dawida. Wyszła na obiad z Pią i z Martine do restauracji „U Piotra” na Arbacie. Szef przyjął je jak zawsze, z uśmiechem:

— A, bardzo proszę, śliczne panie, bardzo proszę — zaprowadził je do stolika i zawołał: — Kelner! Szampana!

W tej samej chwili pojawiła się blondynka z basenu w towarzystwie trzydziestoletniego mężczyzny. Usiedli przy stoliku naprzeciw. „Powinni mi dziękować z całego serca!” — pomyślała z ironią Ewa. Podniosła kieliszek, ale ten natychmiast wypadł jej z ręki: do restauracji wszedł Pljucz.

Podbiegł kelner i zaczął wycierać obrus, zaś Borys spokojnie zajmował miejsce przy barze, przeglądając jadłospis.

Pia próbowała wybawić Ewę z niezręcznej sytuacji i spytała, czy następcą Dawida nie mogłaby być kobieta.

— Nie. W Brukseli równouprawnienie kobiet nie wszyscy traktują poważnie.

Rozmowa zaczęła toczyć się wokół tej nominacji. Borys ani przez chwilę nie popatrzył w ich stronę. Po co tu przyszedł? Wiedział, że zabójcy chodzą mu po piętach. Udało mu się ich zgubić? Może czekali na niego na zewnątrz? A może chce jej przekazać jakąś wiadomość? Ewa zgodziła się na obiad z koleżankami, licząc na to, że uda jej się wymknąć na parę minut i zadzwonić do Nelsona. Gdy blondynka weszła do restauracji, wiedziała, że to się nie uda.

Borys wstał i poszedł do toalety. Ewa już chciała udać się za nim. Została, przecież zwierzyzna nie goni myśliwego. Jednak instynktownie coś jej kazało to zrobić, była pewna, że Pljucz chce jej coś powiedzieć. Nagle wstała, przeprosiła koleżanki i poszła do toalety. Blondyna zrobiła to samo. Ewa podeszła do telefonu.

— Mogę prosić o wyjście na miasto? — zwróciła się do pracownicy siedzącej przy wejściu.

Wybrała swój numer telefonu i udawała, że z kimś rozmawia:

— Na basenie o siódmej. Tak, ja także. O ósmej byłoby zbyt późno. Ciao!

Wróciła do stolika. Blondyna również. Borys Pljucz jednak nie wracał... Minęło już pół godziny. Obleciał ją strach. Rozejrzała się po twarzach gości. Była pewna, że nikt nie ruszał się z miejsca. Barman, Włoch o kędzierzawych włosach, zawołał właściciela i brodą wskazał na miejsce, gdzie siedział Pljucz, szepcząc mu coś do ucha. Zaniepokojony Pierre poszedł do toalety. Wrócił po chwili wyraźnie zagniewany i pokiwał przecząco głową w kierunku barmana, wzruszając ramionami.

Ewa chciała już wyjść. Przechodząc obok baru spojrzała na nie zapłacony rachunek Borysa.

10 września.

Radio podało wiadomość o zniknięciu inspektora Borysa Pljucza. Ewa wyskoczyła z łóżka i usiadła przy głośniku. Była siódma rano. Dziennikarz twierdził, że inspektor od pewnego czasu popadał w depresję. Wyszedł z domu 8 września o ósmej rano, w tym samym czasie co jego żona. Szli razem aż do stacji metra „Paweleckaja”, po czym on miał pójść do Biblioteki Narodowej. Umówili się, że razem zjedzą obiad. Były inspektor nie przyszedł jednak na spotkanie. O drugiej w nocy żona zawiadomiła policję.

Natychmiast „rozpoczęto poszukiwania” — kontynuował dziennikarz. Pani Pljucz wyjaśniła, że „miał wyjechać na jakiś czas do Odessy, ale postanowił odłożyć wyjazd o tydzień. Nie, powodu do samobójstwa nie miał. Był trochę przemęczony, ale nie załamany”. Pierre, by uniknąć niepotrzebnej antyreklamy, wolał policji nic nie mówić.

Ewa jak zahipnotyzowana weszła do łazienki. Borys zniknął, to znaczy, że nie zabito go w toalecie „U Piotra”. Chyba, że napastnicy zmusili go do wyjścia tylnymi drzwiami, sprowadzili na podziemny parking i zlikwidowali metodą Müllera — jak Aleksandra.

Za wszelką cenę musiała pozbyć się śledzących ją agentów i skontaktować z Nelsonem. Jej położenie stawało się zbyt niebezpieczne. Śledztwo w sprawie zniknięcia Pljucza będzie zapewne bardzo intensywne.

Nagle wpadła na szaleńczy pomysł. Włożyła klucze do drzwi od zewnątrz, przewróciła komodę i weszła do łazienki. Zdarła zasłone prysznic i zaczęła tłuc wszystko dookoła, krzycząc przy tym głośno, tak jakby walczyła z napastnikiem: „Zwariowałeś! Zostaw, jestem w ciąży... puszczaj. Ach!” Upadła na ziemię, wstała i zaczęła, tupiąc głośno, biegać po mieszkaniu. Weszła do łazienki, trzasnęła drzwiami i zaczęła szlochać.

Zadzwoiła do KGB, do Piotra. Było wcześniej rano, miała jednak nadzieję, że będzie już w biurze — przed wszystkimi, jak zwykle. Rzeczywiście zgłosił się Kar stow.

— Chcę iść zaraz do szpitala — krzyczała. — Boję się!

— Co się stało?

Usłyszał, że szlocha, krzyknął więc do słuchawki:

— Nie ruszaj się! Zaraz przyjadę.

Po dziesięciu minutach wpadł jak huragan. Zobaczył Ewę skuloną w kącie salonu. Owinął ją swoim płaszczem i wziął na ręce.

Drzwi otworzyły się i wszedł jakiś człowiek w pizamie.

— Czy jakiś wypadek?

W mężczyźnie w kapeluszu i w ciemnych okularach nie poznał Karstowa. Piotr kazał mu się wynieść. Wyprowadził Ewę na schody. Rozbudzeni lokatorzy stali na korytarzach. Piotr wsadził Ewę do opancerzonego zila i dał znak kierowcy beżowej wołgi, by jechała za nim.

— Co się stało, Ewo, powiedz mi! Ewa, zapłakana, patrzyła przed siebie.

— Ktoś był w mieszkaniu. Co robił?

— Nienawidzę cię Piotr, nienawidzę! Jesteś potworem! — krzyknęła.

Piotr poczuł się nieswojo słysząc te słowa i chciał położyć rękę na jej brzuchu. Odepchnęła ją gwałtownie.

— Nie dotykaj mnie! Nie ruszaj! Jesteś potworem! Chcę stąd wyjechać!

Zaczęła głośno płakać. Krzycząc, rozdarła zasłony służbowego samochodu, waliła pięściami w szyby i biła Karstowa. Chciała otworzyć

drzwi i wyskoczyć z samochodu, lecz zdążył go zatrzymać wymińawszy w ostatniej chwili ciężarówkę. Wysiadł blady jak ściana.

— Błagam cię, Ewa!

Próbował ją objąć. Odepchnęła go.

— Nie dotykaj mnie! Słyszysz! — krzychała. — Zawieź mnie do ambasady francuskiej! Chcę wracać do domu!

Nie potrafił jej uspokoić, więc ruszył z miejsca.

— Ewa, opanuj się! Zawiozę cię do szpitala KGB. Tam będziesz bezpieczna. To tylko szok nerwowy. Zaraz ci przejdzie, zobaczysz, Ewuniu, moja najdroższa!

Głos mu drżał, a po jego twarzy było widać, że nie wie, co robić.

— Puść moją rękę, to boli! Nie chcę iść do szpitala, a zwłaszcza szpitala KGB! Odwieź mnie do domu!

Uspokoiła się nieco. Jechali Prospektem Sreteńskim. Zawrócił. Dziesięć minut później zatrzymał się przed domem przy ulicy Nowo-kuźnieckiej.

Lekarz z polikliniki dla dyplomatów przybył kilka minut po wezwaniu go przez telefon. Klinika znajdowała się kilkaset metrów stąd, przy ulicy Dobryninskiej. Zbadał Ewę pod czujnym okiem Piotra i przepisał jej środek uspokajający. Stwierdził, że stan jej zdrowia jest normalny, przeżyła tylko szok i musi wypocząć. Nie stwierdził śladów gwałtu, a płód poruszał się prawidłowo. Gdy lekarz wyszedł Ewa natychmiast zasnęła. Karstow zadzwonił do swoich współpracowników, że nie będzie go w pracy przez większą część dnia i usiadł przy Ewie pełen niepokoju.

Otworzyła oczy koło południa; Piotr podał jej szklankę wody.

— Napij się trochę — powiedział. — Trzymaj.

Podtrzymał jej głowę, wypila łyk wody. Miała zdziwioną minę.

— Co się stało? Co ty tu robisz?

— Nic poważnego, moja najdroższa. Napij się jeszcze.

Piotr opowiedział jej wszystko.

— Zostawiłaś klucze w drzwiach. Nie pierwszy raz zresztą. Ktoś wszedł do mieszkania i próbował cię zgwałcić. Broniłaś się, więc uciekł.

W czasie, gdy spała, Piotr zarządził dochodzenie. Para agentów wyznaczonych do pilnowania Ewy nie zauważyła niczego nienormalnego. Służby podsłuchowe nagrały całą scenę. Zaalarmowano wołęgę, ale agenci odpowiedzieli dopiero po dziesięciu minutach.

Piotr zwolnił ich natychmiast. Sąsiedzi usłyszeli krzyki około siódmej rano. Ci z parteru twierdzili nawet, że słyszeli na schodach kroki uciekającego mężczyzny.

Ewa powoli dochodziła do siebie i zaczęła opowiadać:

— Przypominam sobie. Stałam pod prysznicem, gdy nagle ktoś zerwał zasłonę. Miał szalik na twarzy. Zaczęłam krzyczeć i instynktownie kopnęłam go w podbrzusze. Skulił się, a ja w tym czasie zdołałam wybiec z łazienki. Dopadł mnie w salonie, rzuciłam w niego chyba krzesłem, a może stolikiem, nie pamiętam... Krzyczałam cały czas, więc uciekł. Dalej już nic nie pamiętam.

— Mogłabyś go rozpoznać? Musiał cię śledzić. Spróbuj sobie przypomnieć. Nie widziałaś w ciągu ostatnich dni, gdzieś na ulicy, twarzy jakiegoś dziwnego typu?

— Nie, ale od kilku dni jakieś małżeństwo w beżowej ładzie nie odstępuje mnie na krok. Chciałam ci o tym powiedzieć wcześniej, ale bałam się, że sprawię ci niepotrzebny kłopot. Wiadomo, że mimo głośności, KGB od czasu do czasu jednak śledzi korespondentów prasowych. Powiedział mi o tym kolega z „Prawdy”.

— Kto?

— Co mówisz?

— Kto jest tym przyjacielem, chciałem rzec, kolegą? — spytał Piotr, siłąc się na obojętny ton głosu.

— Redaktor naczelny „Prawdy” — Ewa wyprostowała się na łóżku. — Chwileczkę...

— Coś sobie przypominasz?

— Nie, to głupie... Słuchaj Piotrze, muszę ci coś powiedzieć...

— Mów!

— Jegorow, tak on się nazywa, chodzi za mną od dłuższego czasu. Próbuje mnie poderwać jak wielu innych. Dla mnie, to nie nowina.

Od pewnego jednak czasu jest bardzo natarczywy. Dwa lub trzy dni temu odprawiłam go z kwitkiem w dość niemiły sposób... Ten człowiek dziś rano miał coś, co mnie zaskoczyło... Zegarek! Tak, marki Cartier! Taki sam, jaki ma Jegorow! Gdy go uderzyłam, przewrócił się i zegarek spadł mu na ziemię. Widziałam, że był to cartier. W pewnym sensie uratował mi życie, bo zanim go podniósł, ja zdążyłam uciec do łazienki. Wiem, że rzucam poważne oskarżenie, ale...

— Ewo, to bardzo poważne oskarżenie — powiedział zakłopotany Karstow. — Ja jednak znajdę prawdziwego winowajcę. Skąd wiedziałaś, że ktoś cię śledzi?

— Najpierw poczułam czyjąś obecność koło mnie. Obecność mi wrogą. Wieczorem miałam sen, koszmar raczej. Gonił mnie czarny samochód i chciał mnie przejechać. Kierowca, kobieta — śmiała się głośno, bardzo głośno. Rano, wychodząc, zobaczyłam beżową wołgę i małżeństwo w środku. Tę kobietę widziałam właśnie we śnie.

— A przed próbą gwałtu nie miałaś... wizji?

Ewa wybuchnęła śmiechem. Wiedziała, że to pytanie padnie.

— Sądzisz, że ja widzę wszystko? Niestety, nie jest to takie proste — zastanawiała się chwilę. — Nie, tego nie widziałam. To znaczy, że moje życie nie było w niebezpieczeństwie, w przeciwnym razie, tak, czy inaczej, czułabym to.

— Ewo, posłuchaj uważnie, co chcę ci powiedzieć i nie złość się na mnie.

Piotr wyjaśnił jej, dlaczego kazał się nią opiekować. Wspomniał o sprawie Mojseja Henkina.

Nie miała wątpliwości, że szef KGB kiedyś się o nim dowie.

— Chciałam przechytrzyć „New York Timesa” — przyznała. — Nasza agencja nie mogła przebić ich oferty, więc postanowiłam zabawić się w szpiega. Student nagrał dla mnie pierwszy wykład inspektora.

— On nie żyje, Ewo!

- Kto? — zapytała zdenerwowana.
 - Student. Znaleziono go kilka dni później w jego samochodzie.
- Nic żył.
- To nieprawdopodobne! Napad?
 - Nie. Umarł na zawał serca.
 - Ależ on miał zaledwie...
 - Dwadzieścia trzy lata. Do tego inspektor Pljucz także zaginął.
 - Jak to, zaginął? Niczego nie rozumiem.
 - Ja też nie. Kazałem wszcząć dochodzenie. To wszystko wygląda dość tajemniczo.
 - On także nie żyje?
 - Prawdopodobnie.
- Ewa poczuła ścisk serca.
- Jak „New York Times” się dowie, że zrobiłam taki numer, to mogę pakować walizki i iść na emeryturę — powiedziała załamana.
 - Nie bój się, mój ty szpiegu, sam szef KGB cię osłania!

Wiadomość o śmierci redaktora naczelnego „Prawdy” znalazła się na pierwszych stronach wszystkich gazet z 11 września. O szóstej wieczorem poprzedniego dnia znalazła go nieżywego w łazience kobieta sprzątająca mieszkanie. Zawał serca. Z redakcji wyszedł o piątej na jakieś umówione spotkanie i miał wrócić za godzinę. Sekretarka twierdziła, że był w doskonałej formie.

Ewa odłożyła gazetę na biurko. Wpadła Martine z teleksem w ręku:

- Znaleziono ciało inspektora Pljucza!
- Podawała teleks. Czytając go Ewę ogarnął nagle wielki żal. Czuli, że nie uda się jej powstrzymać łez i odwróciła twarz. Martine podeszła zaniepokojona.
- To nic — odrzekła Ewa. Mój dziadek... Dowiedziałam się właśnie, że jest w szpitalu. Przepraszam. ..

Martine próbowała ją pocieszać. Przez łzy Ewa czytała treść teleksu agencji TASS. Inspektor Pljucz popełnił samobójstwo strzelając sobie w usta, a jego ciało znaleziono w lesie niedaleko Moskwy.

Okolo siódmej wieczorem po wyjściu z biura Ewa instynktownie skierowała się do kwaciarni hotelu „Meridian”. Ulica Piatnicka była zamknięta, a milicjanci kontrolowali wchodzących. Ewa, z bukietem w ręku, podeszła i pokazała swoją kartę prasową. Milicjant stał nieporuszony i kazał jej opuścić ulicę.

— Byłam bliską przyjaciółką inspektora.

— Przykro mi, ale mogą przejść tylko osoby mieszkające na tej ulicy.

Ewa dyskretnie wsunęła mu sturublowy banknot. Schował go do kieszeni i powiedział szeptem:

— Nie zostanie pani długo? W porządku — krzyknął do pozostałych milicjantów patrolujących w głębi ulicę.

Ewa podeszła pod dom Pljucza. To dziwne, ale nie bała się ani trochę, wchodząc do mieszkania na pierwszym piętrze. Drzwi były otwarte. Żona Borysa siedziała na tapczanie z twarzą ukrytą w dłoniach. Głowy siedzących obok niej osób zwróciły się w stronę Ewy. „Zapewne rodzina” — pomyślała. Rozejrzała się, szukając wzrokiem zwłok zmarłego. W tym pokoju ich nie było. Salonik był nieduży i wąski. Na ścianach wisiały reprodukcje obrazów, jedna to *Spacer więźniów* Van Gogha, a druga, mniejsza, wisząca nad starą komodą, to *W przedsionku komisarza policji*, pędzla rosyjskiego malarza romantycznego Pawła Fiedotowa. Podeszła do wdowy po inspektorze i położyła bukiet kwiatów na stole. Pani Pljucz podniosła wzrok i spojrziała na Ewę. Podziękowała nieznajomej spojrzeniem. Ewa nie wiedziała, co powiedzieć tej załamanej z bólu kobiecie. Wyszła bez słowa.

Wróciwszy do domu, zaczęła analizować swoją sytuację. Karstow

zlikwidował Jegorowa. Pljucza prawdopodobnie zabili ludzie Nelsona, ale oficjalnie podano wersję o samobójstwie. Wieczorny dziennik telewizyjny wspomniał coś nawet o „dziwnym zachowywaniu się” inspektora.

Piotr natomiast zaprzestał śledzenia Ewy. Nie była już więc obserwowana. Za trzy tygodnie, 7 października, jej misja ma się skończyć. W tej chwili nic już jej nie groziło. Poczowała się wolna, nalała sobie duży kieliszek szkockiej i wypła go duszkiem. Pomyślała nagle o dziecku, które nosiła... Piotr wmawiał jej, że będzie to chłopiec. Wypła jeszcze jeden kieliszek i z zaciśniętymi pięściami zasnęła.

17 września.

Cotygodniowe spotkanie szefów dziesięciu dyrekcji generalnych KGB rozpoczęło się w podziemnej sali konferencyjnej głównego gmachu.

Karstowa przyjęto dość chłodno. Jako wojskowy o bohaterskiej przeszłości, przyjaciel i protegowany Gorszkowa, przedkładający dialog nad rozlew krwi, człowiek, któremu udało się powstrzymać nawet papieża, od razu wzbudził ich podejrzenia. Aresztowanie Bogarskiego, dotychczasowego „drugiego po Bogu” w KGB, wywołało ich niepokój — czekali na swoją kolejkę.

Karstow, siedząc na tle portretów Lenina i Gorszkowa, zabrał głos, wyważając każde słowo:

— Sprawdziłem dokładnie wszystkie dokumenty osób pracujących w tym gmachu. Powiem krótko i od razu — reformy są tu nieodzowne. Zacznijmy od was, Smirnow.

Popatrzył w twarz dyrektorowi trzeciego wydziału, odpowiedzialnego za śledzenie armii, w tym sztabu generalnego i wywiadu wojskowego. Oficerowie tego wydziału przenikali w szeregi wojskowych i wraz z oficerami politycznymi eliminowali każdego, kto sprzeciwiał się w jakiś sposób partii i jej komitetowi centralnemu. To właśnie ci ludzie sądzili Karstowa i skazali go na więzienie po uwolnieniu przez niego jeńców w Afganistanie.

— Pana służba kończy się z dniem dzisiejszym — zakończył Karstow.

Twarz Smirnowa pobladła.

— Skoncentrujemy teraz naszą uwagę na zagranicy.

Popatrzył na generała Timoszenkę, dyrektora najważniejszego — pierwszego wydziału KGB. Wydział ten był podzielony na trzy oddzielne dyrekcje: sekcja „S” zajmowała się agentami KGB na całym świecie, sekcja „T” — szpiegostwem w dziedzinie nauki i technologii, a sekcja „K”, znana powszechnie jako „linia KR”, zajmowała się przenikaniem do służb wywiadowczych innych państw.

— Generale Timoszenko, jesteście do niczego! — krzyknął nagle Karstow. — Wyniki ostatnich lat w żaden sposób nie odpowiadają wydatkom przeznaczonym dla pańskiego wydziału. Amerykanie, mimo wielu błędów — choć wygląda na to, że ich nie popełniają — działają o niebo lepiej od nas. Stu osiemdziesięciu radzieckich szpiegów wydano a dwunastu naszych, w dodatku najlepszych, uciekło na Zachód. Wiem, trzech z nich to zdrajcy, ale obawiam się, że nie kontrolujecie ich tak, jak pan twierdzi: w każdym razie — tu zrobił przerwę — daję panu jeszcze jedną szansę.

— Dziękuję, marszałku Karstow — odpowiedział Timoszenko łamiącym się głosem.

— Mamy najlepszą organizację na świecie, nieograniczone środki, a ponosimy jedną porażkę po drugiej. Armia, którą mam zaszczyt reprezentować także, od tej chwili nie będzie kontrolowana przez KGB. Będzie wykonywać swoją zaszczytną służbę na własny rachunek, a wy na swój!

Zwrócił się do generała Zarkicza, dyrektora piątego wydziału, zajmującego się sprawami dysydyntów i ideologii, stworzonego przez Andropowa w celu śledzenia, zastraszania i eliminowania inaczej myślących. Oficerowie KGB nienawidzili tego wydziału za stosowane tam brutalne metody i środki. Mimo głośności, wciąż manipulowano wielką liczbą intelektualistów i polityków.

— Pan — rzekł, wskazując Zarkicza palcem — nasili swoje działania, ale z większą dyskrecją i delikatnością. Zbyt wielu polityków,

konserwatystów i lewicowców... „pokazuje się” w ostatnim czasie.

Obnażał dyrektorów jednego po drugim. Byli absolutnie zaskoczeni. Karstow mówił dalej. Popatrzył w stronę generała Simonowa, szefa drugiego wydziału, odpowiedzialnego za wewnętrzny aparat represji. Simonów zajmował się także obserwacją coraz liczniej przebywających w ZSRR cudzoziemców oraz kontrwywiadem.

— Niech pan się przygotuje na większy wysiłek. Czeka na precyzyjny i szczegółowy plan uwzględniający aktualne procesy demokratyzacji. Ma pan czas do końca miesiąca.

Wypił łyk wody i rozejrzał się po twarzach aparatczyków. Na sali panowała cisza.

— Nie muszę chyba przypominać, że zebranie nasze jest ściśle tajne i nie życzę sobie żadnych przecieków ani do prasy, ani do Komitetu Centralnego.

Karstow wstał i podszedł do drzwi. Odwróciwszy się dorzucił:

— Zapomniałbym o najważniejszym! Zapraszam wszystkich na kolację do mojej dachy. Was także, towarzyszu Smirnow!

19 września.

Ewa Dumoulin spóźniła się. Weszła do ambasady Izraela, gdy przyjęcie na cześć premiera tego kraju już się rozpoczęło. Odźwierny wywołał jej nazwisko dokładnie tak samo jak wtedy, gdy była tu po raz pierwszy. Od razu dostrzegła swojego łącznika i trzymany przez niego kieliszek szampana. Rozmawiał z dziennikarką amerykańskiej agencji UPI. Salony ambasady były przepelnione. Łącznik, przepychając się wśród gości, wsunął jej do ręki złożony w pół kawałek papieru. W tym momencie Olga Karstowa rzuciła się Ewie na szyję.

— Byłam pewna, że panią tu spotkam, moja droga!

Ewa uśmiechnęła się. Nie była zachwycona tym spotkaniem. W ręku wciąż trzymała kartkę od łącznika. Ucałowała jednak Olę.

— Nie chciałam pani sprawiać kłopotu. Wiem, że... — rzekła Karstowa uśmiechając się.

— Cieszę się bardzo, że panią widzę — powiedziała Ewa.

— Czy aby na pewno?

— Dlaczego pani tak mówi?

— O, tak sobie. Chodźmy, napijemy się czegoś. Coś jakby pani przytyła?

— Troszeczkę. Rosyjska kuchnia jest wspaniała, ale fatalnie wpływa na talię.

Ewa była wściekła. W końcu udało jej się schować papier do kieszeni spodni.

— Proszę podejść do baru. Wpadnę tylko do toalety i zaraz do pani przyjdę — powiedziała.

— Tylko szybko! Chcę pani przedstawić mojego przyjaciela.

Przeciskając się między gośćmi, obserwowała Olę. Była w towarzystwie przystojnego około trzydziestoletniego bruneta, o bardzo poważnej minie. „Zupełne przeciwieństwo Piotra!” — pomyślała Ewa. Kim był? Dyplomatą, czy agentem KGB?

Postanowiła odejść stąd jak najszybciej. Ta kobieta denerwowała ją i czuła, że szykuje na nią jakąś pułapkę. W toalecie przeczytała wiadomość i o mało nie zemdląła: „Pies nie umarł. Trumna pusta”. Ewa podała karteczkę na strzępy i wbrew wszelkim zasadom ostrożności, wrzuciła je do muszli. Poczekała chwilę i dwukrotnie spuściła wodę.

Wymknęła się tak, by Olga nie mogła jej zauważyć. W mieszkaniu położyła się na łóżku. „Niemożliwe — myślała — żeby Borys Pljucz zmontował całą tę komedię”. Przypomniała sobie zbolale spojrzenie jego żony. Ciało nie było, to pewne, a nie miała odwagi spytać, czy leży w drugim pokoju, czy w kostnicy. Mógł być także spalony w krematorium.

„Pies nie umarł” oznaczało, że ludzie Nelsona go nie zabili. Mógł jednak popełnić samobójstwo. W to jednak nie mogła uwierzyć. Pozostały dwie możliwości: Komedia lub... KGB. Dlaczego jednak KGB? Ewa nadaremnie szukała odpowiedzi. Żadne wyjaśnienie nie przychodziło jej do głowy. Wracając do przedstawienia... Po co? By zmylić morderców? Jak długo chciał przetrzymać? Gdzie się schował?

Przypomniała sobie raz jeszcze wizytę w domu Pljucza. Nie było tam dzieci, a powinny być. Przecież córka inspektora miała dziecko, a nie było go w pokoju. Nagle przypomniała sobie siedzącego w kącie

staruszka. Wszyscy popatrzyli na nią, gdy weszła, a on nawet nie podniósł głowy. Nie zwróciła na to wcześniej uwagi. Był bardzo stary i miał ciemne okulary, jakie noszą ślepcy. Czy był to Borys Pljucz? Inspektor miewał nieraz tak genialnie proste pomysły...

Zaczęła śmiać się nerwowo. Dwa lub trzy dni temu pomogła ślepemu staruszkowi przejść na drugą stronę ulicy i jeszcze mu wsunęła pięćdziesiąt rubli do kieszeni...

„Jeżeli to byłeś ty — pomyślała — to czapki z głów! Borysie, pamiętaj, jednak, że takie sztuczki udają się tylko raz”.

21 września.

Piotr zadowolony zamknął teczkę. Śledztwo, które w największej tajemnicy kazał przeprowadzić, potwierdziło, z drobnymi odchyleniami, wszystkie fakty przedstawione mu przez Ewę. Zastanowił się chwilę, otworzył znów teczkę i wyjął sześciostronicowy raport. Każdą kartkę z osobna włożył do maszyny do niszczenia dokumentów. Zostawił tylko zdjęcia z czasów dzieciństwa Ewy. Przyglądał im się spokojnie. Już wtedy była urocza, choć miała bardziej prosty nos. Karstow włożył fotografie do osobistego sejfu i zapalił cygaro. Operacja dezinformacji, jaką rozpoczął niedawno, zaczynała przynosić pierwsze pozytywne rezultaty. Prasa międzynarodowa już nie nazywała go „oprawcą Warszawy”, ale umiarkowanym, utalentowanym reformatorem, humanistą, kosmopolitą znającym język angielski i uczącym się francuskiego. Był zwolennikiem pierestrojki i głośności, tańczył tango, pił „Jacka Danielsa” i lubił jazz. Karstow wydawał się być — jak sugerował artykuł „Washington Post” — najlepszym generałem sukcesu Gorskowa i pierestrojki.

W czasie cotygodniowego śniadania z przewodniczącym Rady Najwyższej obaj się z tego śmiali.

— Ta cała operacja to pestka — powiedział Gorskow — w porównaniu z tym, co robiliśmy z moim starym mistrzem, Andropowem. Przedstawialiśmy go, używając tych samych epitetów i uzyskaliśmy

identyczny skutek jak teraz. Wtedy jednak trwała zimna wojna!

Piotrowi zaczynała się podobać władza, jaką skupiał w swoim ręku. Jeszcze krępowały go pochwały i szacunek, jakim go otaczano. W armii był żywą legendą i bardzo sobie to cenił. Dla nomenklatury przeciwnie: był symbolem oportunistów i „czarną owcą” wśród neostalinowców. 6 października wieczorem powinien rozpocząć działanie. Nie czuł się jeszcze do niego psychicznie przygotowany. Coś go powstrzymywało. Pozbył się wszystkich swoich wrogów, zwłaszcza Truszenki. Po co miał iść dalej! Czy czegoś mu jeszcze brakowało? Odłożył cygaro i spojrzął na zegar: szósta rano.

Zadzwonił do Ewy.

— Dzisiejszy wieczór spędzimy razem. Przyjedź do dachy, a ja dojadę później.

Nie czekając na odpowiedź odłożył słuchawkę.

Ewa nie spała już, gdy Piotr zadzwonił. Czekala na ten wieczór od dawna. Zawsze, gdy pytała go, jak daleko zaawansowany jest ich plan obmyślony w Polsce, Piotr zbywał ją banalami typu: „robi się”, „leci jak trzeba”, „zgodnie z przewidywaniami”.

Dzień minął tak szybko, że nawet nie zauważyła, kiedy. W agencji wszyscy zwracali uwagę na jej sylwetkę. Przytyła również na twarzy. Lekko zapadnięte, dodające jej urody policzki, teraz wypełniły się zupełnie. Czasami odczuwała ruchy dziecka i wprawiało ją to w złość. Czula się osłabiona, upokorzona, niepełnosprawna. Już nieraz decydowała się, by pójść i usunąć ciężę, ale przypominała sobie Piotra. Wpadła we własną pułapkę. Była więźniem Mossadu i CIA.

Jedyną rzeczą, która ją jeszcze podtrzymywała na duchu, był Pljucz, i to wbrew wszelkiej logice.

Piotr przyszedł dopiero o dziesiątej. Było już ciemno i Ewa nawet nie wstała, by go powitać.

— Jadłaś coś, mam nadzieję? — spytał podchodząc do niej, by wziąć ją w ramiona.

Tak naprawdę to myślał o swoim synu. Ewa odepchnęła go.

— Źle się czuję. Męczą mnie te ciągłe sny i koszmary, zwłaszcza o tobie.

Zaczęła szlochać i tulić się do niego.

— A co to za sny? — spytał, chcąc ją pocieszyć.

Ewa łkając wyrzuciła z siebie wszystko, co miała mu do zarzucenia; zwłaszcza to, że już nie przejmuje się jej wizjami, w każdym razie w mniejszym stopniu niż kiedyś. Władza uderzyła mu do głowy i już się czuje nie do pokonania, a ją męczą koszmary, że go lada chwila ktoś może zabić...

Próbował ją uspokoić:

— Kochanie, ja nie zdążę do 7 października.

Tak czekała na to zdanie, że o mało nie wybuchnęła. Dla niej oznaczało to, ni mniej, ni więcej, tylko niepowodzenie jej misji. Kompletne fiasko.

Odepchnęła go i poszła położyć się na kanapie. Poszedł za nią.

— Musisz zrozumieć, moja droga. To nie jest zabawa! Nie obrażasz sobie jak się boję. Ty prowadzisz spokojne życie, a ja...

Wtulila głowę w czerwoną jedwabną poduszkę i płakała bez przerwy.

— Nie jestem całkowicie pewny moich ludzi — wyjaśnił. — Któryś z nich może mnie jeszcze zdradzić w ostatniej chwili...

— Powiedz dokładnie, co masz na myśli! Zostawiasz mnie w ciąży, pozwalasz się zabić, a ja? Zostanę sama z dzieckiem jak twoja matka. O to ci chodzi? Słuchaj mnie, Piotr. Ja nie urodzę sieroty. Nigdy, słyszysz?

Piotr poczerwieniał ze złości. Wydawało się, że ją spoliczkuje. Nie przestraszyła się i patrzyła mu prosto w oczy. Uderzył pięścią w stół i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Zapadło dłuższe milczenie. Piotr skapitulował pierwszy:

— 7 listopada. Będę gotów na 7 listopada, nie wcześniej. Mam inny pomysł.

Podszedł, nachylił się i szeptał jej coś do ucha. Ewa słuchała, milcząc. Jego plan był idealny! Jak w Tel Awiwie i Waszyngtonie na to nie wpadli? Musi o tym jak najprędzej zawiadomić Nelsona. Jedyne problem to fakt, że będzie w czwartym miesiącu ciąży. Myśl ta dręczyła ją. Czy miała jednak jakiś wybór? Przyśpieszanie sprawy nie miałyby sensu. Piotr nie uniknąłby katastrofy. Nelson musi się zgodzić, choćby nie wiadomo co! Wiedziała, że się zgodzi. Musi jednak wyjechać, by go osobiście przekonać. A jeżeli Karstow każe ją śledzić?

Poczuła ruchy dziecka. Podświadomie chwyciła rękę Piotra i po raz pierwszy położyła ją na swoim brzuchu. Był podniecony, czuł, że jego syn żyje... Jego syn, którego nazwie Igor, po swoim ojcu...

Piotr Karstow, najpotężniejszy człowiek na ziemi, nie mógł opanovać wzruszenia, płakał po cichu, jak dziecko.

Światło w daczce zgasło dokładnie o 1¹³ w nocy. Tę godzinę wskazywał zegarek Borysa Pljucza. Wyłączył swój superczuły mikrofon skierowany ku daczce i postanowił poczekać jeszcze godzinę. Siedział na grubej gałęzi stuletniego drzewa, zaledwie dwa metry od daczki. Usadowił się tu trzy godziny przed przybyciem Francuzki. Rano, gdy Karstow dzwonił do Ewy, Borys był u wdowy, która stała się jego przyjaciółką i współpracowniczką. Po co uciekać setki kilometrów stąd, skoro można być zaledwie dwa kroki od swojej ofiary i jej tajemnicy? O jego fałszywej śmierci wiedziały tylko trzy osoby: żona, córka i wdowa. Pani Pljucz natomiast nie wiedziała o wdowie — Jekaterinie, która miała czterdzieści cztery lata i Borys nie chciał, aby żona podejrzewała go choćby w najmniejszym stopniu o zdradę. Wdowa była brunetką o dużych czarnych oczach i zmysłowych ustach. Jej mąż, główny geodeta Moskwy, zginął w katastrofie samolotowej sześć lat temu.

Godzinę przed jego wyjazdem na lotnisko, lekarz oznajmił Jekaterinie, że wyniki badań są pozytywne i wkrótce będzie mogła mieć dziecko. Tragedia zniszczyła jej marzenie. Była lekarzem, ale przestała pracować jeszcze tego tragicznego dnia. Żyła z zasiłku, który jej wypłacano w miejscu pracy i z renty po mężu. Przybycie Borysa Pljuczca, którego знаła ze słyszenia, przywróciło jej chęć do życia. To ona podsunęła Borysowi pomysł z niby-śmiercią. Borys chwycił się go, jak tonący koła ratunkowego. Nazajutrz, widząc Ewę wchodzącą do restauracji, postanowił zaaranżować zniknięcie. Chciał, żeby zobaczyła go po raz ostatni. Poszło łatwiej niż myślał. Z restauracji „U Piotra” wyszedł na podwórze przez okno. Stamtąd pozostało mu tylko przeskoczyć płot i przejść na drugą stronę ulicy. Po dziesięciu minutach był już u Jekateriny. Ewę śledziła KGB i on o tym wiedział. Przypuszczał, że Ewa nie odważy się pójść do toalety sprawdzić, czy on tam jest.

Jekaterina nie wiedziała nic o sprawie, którą prowadził Borys, ale postarała się dla niego o czuły mikrofon do podsłuchiwania na odległość. Borys przebrał się za montera telefonów i wywiercił niewielki otwór pod oknem mieszkania Ewy, umieszczając w nim mikrofon z nadajnikiem. Z mieszkania naprzeciwko mógł usłyszeć 50 procent rozmów. Stroje do przebrania się przygotowywała mu także Jekaterina. Najlepszym z nich był ten, w którym udawał ślepeca. W tym przebraniu mógł śledzić Ewę w dniu swojej „śmierci”, a nawet raz trzymać ją za rękę przed ponad pół minuty! Udając ślepeca ukrył się za drzewem na cmentarzu i widział, jak dwoje zabójców, którzy chodzili za nim w Odessie, a Ewa go o tym uprzedziła, odkopało jego pustą trumnę...

On zaś wymyślił dla siebie przebranie za popa. Dziwił się, że nie wpadł na to wcześniej. Na początku ulicy Piatnickiej stała osiemnastowieczna dzwonnica i dwa kościoły. Jeden — z początków XVI wieku pod wezwaniem Św. Jana Chrzciciela i drugi — z końca XVIII wieku, poświęcony świętym księżetom Michałowi i Teodorowi Czernogom. Dalej, na rogu ulicy Klimentowskiej stał ogromny kościół

papieża Klemensa, wzniesiony za panowania Katarzyny II. W takiej okolicy najlepiej zginąć w tłumie w sutannie popa.

Żona Borysa nie wiedziała, gdzie się on ukrywa. Od czasu do czasu telefonował do niej do pracy. Gdy trzykrotnie dzwonił po trzy razy, wszystko było w porządku.

Za oszczędności całego życia kupił używaną ładę i wózek inwalidzki, którym posługiwał się, udając kalekę. Jekaterinie udało się też załatwić mu posadę ogrodnika w dacy burmistrza Moskwy, dawnego przyjaciela jej męża. Była ona oddalona od dacy Karstowa o niecały kilometr.

Borys zasnął na gałęzi. Około piątej nad ranem obudził go deszcz. Spał wprawdzie w śpiworze, ale czuł, jak wilgoć przenika go aż do kości. Leżał nieruchomo, zgięty i obolały. Nie mógł rozprostować pleców i marzył, by znaleźć się w swoim ciepłym łóżku. Wyjął z torby termos i nalał sobie kubek kawy, by się rozgrzać. O tej godzinie nie mógł sobie pozwolić na odejście.

O wpół do szóstej w dacy zapaliło się światło. Piotr Karstow wyszedł. Wsiadł do zila i odjechał. Kilometr dalej przyłączyła się do niego wołga KGB i odjechali w kierunku Moskwy. Borys odłożył lornetkę na podczerwień i syknął między zębami: „Druga osoba w kraju, a jeździ bez obstawy. Zwariował!”. Ewa wyjechała około szóstej i Borys mógł w końcu opuścić swoją kryjówkę. Zmarznięty szedł trzęsąc się do dacy burmistrza, a tam skierował się wprost do garażu.

Burmistrz wychodził właśnie w towarzystwie urodziwej blondynki:

— Tak wcześnie, panie Popow?

— Przyroda nie liczy się z czasem, panie burmistrzu — odparł uprzejmie Borys.

— Ależ pan jest cały mokry! Złapie pan katar. W pana wieku trzeba uważać!

Borys rzeczywiście wyglądał staro, od kiedy przestał golić zarost.

W okularach na nosie i w kombinezonie ogrodnika nie musiał się maskować. Był nie do poznania.

— Ja mam twarde kościska, panie burmistrzu!

Cztery godziny później był już u Jekateriny i przesłuchiwał zarejestrowane wczoraj taśmy magnetofonowe. Wyraźnie słyhać było daty wymieniane przez Karstowa — 7 października a później 7 listopada. Dla niego były one zrozumiałe — 7 października to Dzień Konstytucji, a 7 listopada — rocznica rewolucji. Z wielkim wysiłkiem, gdyż dźwięk na taśmie był bardzo niewyraźny, udało mu się odtworzyć przebieg rozmowy Ewy i Karstowa. Brakowało mu zaledwie kilku szczegółów. Najbardziej frapowało go zdanie, które Francuzka wymówiła bardzo głośno: „Ja nie urodzę sieroty”. Wiedział, że jest w ciąży. Przypadkowo zobaczył ją nagą, patrząc w jej okno przez lornetkę na podczerwień. Wróżka mówiła prawdę. Teraz był pewien, że to dziecko Karstowa.

Co roku 7 i 8 listopada na placu Czerwonym odbywała się defilada wojskowa. Członkowie Politbiura odbierają defiladę z trybuny przed Kremlem. Od 1991 roku defilady były mniej pompatyczne, ale i tak robiły wrażenie.

Borys zamknął oczy i próbował się skupić. Przed oczyma zaczęły mu się przesuwać obrazy. Ktoś zapukał do drzwi. Weszła Jekaterina z dymiącym talerzem.

— Proszę, inspektorze, rosołek pana rozgrzeje.

Podziękował patrząc na nią nieprzytomnie. Zaniepokoiła się, usiadła i wzięła go za rękę.

— Pan jest chory, komisarzu! Ma pan gorączkę!

— To nic. Muszę tylko troszeczkę się przespać.

Trzymała jego rękę i patrzyła mu prosto w oczy. Borys spuścił wzrok. Już sto razy miał ulec tej pięknej kobiecie i sto razy odpędzał tę myśl. Bardzo Jekaterinę szanował. Patrzył na nią, jak nago, z rękawikiem owiniętym wokół bioder, wychodziła z łazienki. Na widok jej piersi miał ochotę ją porwać. Ale Jekaterina nie należała do kobiet,

które kładą się do łóżka z każdym, dla przyjemności. To była kobieta jednego mężczyzny. Ten mężczyzna zaś nie żył.

Z kolei on był mężczyzną jednej kobiety, która mieszkała, zżerana przez niepokój, zaledwie o pięć minut drogi stąd. Jekaterina puściła jego rękę, za co Borys był jej wewnętrznie wdzięczny. Wypił rosół. Zmęczony, zataczając się, wszedł do swojego pokoju.

Bruksela, 24 września.

— Nie możemy dłużej czekać! To niemożliwe!

Tak jak się spodziewała, Robert Nelson szalał ze złości. Ewa przyleciała wczoraj po południu. W agencji jako powód podała poważny stan zdrowia dziadka, a Piotrowi zostawiła wiadomość: „Muszę spotkać się z moim przyszłym zastępcą. Wracam za dwa, trzy dni. Bądź spokojny!”

Z brukselskiego lotniska zadzwoniła do Roberta Nelsona z prośbą, by pilnie przyleciał do Brukseli. Kazał jej wsiąść w najbliższy samolot do Waszyngtonu, ale odmówiła zdecydowanie i poprosiła o zawiadomienie Klaudiusza (był to pseudonim szefa Mossadu).

Nelson przyleciał dopiero nazajutrz o dziesiątej rano, sam i zły jak licho.

— A Klaudiusz? — spytała Ewa, gdy wszedł do małej willi na uboczu w Zoute, kurorcie na wybrzeżu belgijskim, pustym o tej porze.

— Klaudiusz nie przyjedzie — odparł oschle Nelson. — Pani naciska na przycisk i my musimy skakać, jak na rozkaz, tak? Ciesz się, że chociaż ja jestem! Mam nadzieję, że chcesz mi oznajmić, że wszystko idzie zgodnie z planem.

Popatrzył na nią chłodnym okiem, mierząc ją od stóp do głów. Przez chwilę zatrzymał wzrok na jej brzuchu.

— Słucham cię.

Miała ochotę go udusić. Stosunki z Nelsonem stawały się, coraz gorsze. On nigdy nie wybaczy jej, że działa po swojemu. Nawet jeżeli operacja się powiedzie, dla Nelsona będzie to tylko połowiczne zwycięstwo, bo Piotr Karstow pozostanie pod jej, a nie CIA kontrolą. Usiadła i zaczęła mówić, starając się panować nad sobą. Mówiła o obawach i zastrzeżeniach Karstowa i o jego planie. Nelson słuchał, chodząc nerwowo po pokoju.

Gdy skończyła, przystanął i długo nic nie mówił. Po czym wybuchnął i zasypał ją wyrzutami, nie szczędząc brutalnych słów. Od początku nawalała! Do tej chwili nie zapanowała nad Karstowem i 7 listopada on znów ogłosi, że nie jest jeszcze gotów! Pljucz wciąż żyje i nie można go znaleźć. To istna bomba z opóźnionym zapłonem. Jest naprawdę lekkomyślna.

Ewa nagle poczuła się wyczerpana, niekompetentna. Gdyby tu był szef Mossadu, z pewnością poparłby ją, bo jej pomysł jest o wiele lepszy niż pomysł strategów CIA. Nelson powinien to przyznać, ale on nie był obiektywny. Chciał jak najprędzej zobaczyć wyniki swojego planu i wejść do historii, wieńcząc sukcesem całą swoją karierę.

Nelson znów spojrzął na jej brzuch. Ewa odwróciła się. Początkowo myślała, że nie będzie rozmowy na ten temat.

— 7 listopada bękart będzie miał cztery miesiące. Jaką mamy gwarancję, że nie zakochasz się w Karstowie i nie zechcesz zatrzymać dziecka?

Ewa wstała i podeszła spokojnie do okna. Jedynie dzięki nadludzkim wysiłkom zachowała zimną krew i po dłuższym milczeniu odwróciła się. Na twarzy Nelsona widać było nienawiść.

— Nie widzę żadnego problemu. Potwierdzam to, co powiedziałam w Hajfie.

— Cztery miesiące... Chcesz zabić żywą istotę?

— Jak to ładnie powiedziałaś!

Oczy Ewy płonęły gniewem. Nelson zrozumiał, że przesadził i nagle zmienił ton.

— Posłuchaj Ewo. Mam możliwości przyśpieszenia sprawy i manipulowania Karstowem na odległość. Zrobiłem to z Bogarskim.

Opowiadaj mu o swoich snach i koszmarach, a ja uruchamiam całą serię działań. Mam parę pomysłów...

— Mogę wiedzieć, jakich?

— Nie, bo nie są jeszcze dopracowane.

— Jeżeli przyspieszysz bieg spraw, wpakujesz Karstowa wprost w katastrofę, a mnie razem z nim. Wiem, że się powtarzam.

Nelson, wsłuchany w swoje myśli, nie zwracał na Ewę uwagi. Milczała. Fakt, że zaatakował jej dziecko, odczuła jako cios w samo serce. Między Nelsonem a nią nastąpiło zerwanie. Będzie go nienawidzić do końca życia. Nic, nawet sukces operacji, już nie będzie w stanie ich pogodzić. Dał do zrozumienia, że jej misja praktycznie się skończyła i on teraz przejmuje sprawę w swoje ręce. Ona ma tylko spać jeszcze jakiś czas z Piotrem i zabawiać go historyjkami o snach i widzeniach! On geniusz, sam zbierze owoce zwycięstwa misji, która „ma zmienić oblicze świata”. Przez moment przyszła jej myśl, by podać się do dymisji.

— Muszę wiedzieć, jakie masz plany, bo muszę działać zgodnie z nimi — odezwała się zmienionym nagle głosem.

— Możesz na mnie liczyć. Nie wszystko jest całkiem jasne, ale wkrótce będzie. Powiadomimy cię normalnym kanałem. Sądzę, że powinniśmy się pożegnać.

Podszedł do niej i wyciągnął rękę. Ewa zamknęła oczy i uściśliła ją. Wyszedł pierwszy. Ewa usiadła w fotelu, wyciągnęła się w nim i długo tak siedziała, zanim zdecydowała się wyjść także.

26 września.

Borys Pljucz nie był zdziwiony, widząc Ewę wychodzącą z domu, z torbą podróżną w ręku. „Wyjeżdża, do Izraela” — pomyślał. Gdy wracała po dwóch dniach, uśmiechnął się do siebie: „Szybka misja”. Nie posunął się zbyt daleko w domysłach, co ma się zdarzyć 7 listopada. Niewątpliwie coś szczególnego, bo chyba nie zwykły wybuch, których i tak jest za dużo! I te zabójstwa! Ostatnie, Jegorowa, wytrąciło go zupełnie z równowagi.

Nagle przypomniał sobie, co powiedziała mu wróżka: wysoki blondyn zawlecze ją po schodach na szczyt pomnika... strzeli do niej z bliskiej odległości. Będzie wiele krwi... Czy to stanie się 7 listopada?

Myślał o tym, że Ewa zginie i nie mógł się skupić. Już tyle o niej wiedział, a wciąż nurtowały go trzy pytania: Dlaczego uratowała mu życie? Co stanie się 7 listopada? Dlaczego chcą ją zabić? Narzucało się i czwarte pytanie: komu zależy na jej śmierci? Mossadowi? CIA?

Mało wiedział o Mossadzie, prócz tego, że był to najlepszy wywiad na świecie, i że dla nich życie każdego Żyda to rzecz święta. Śmierć Dawida i Mojseja oznaczała, że jeżeli Ewa współpracowała z Mossadem to nie tylko z nim. Poważną rolę musiała tu odegrać CIA...

Jeżeli ci wszyscy niewinni nie zginęli na darmo, a jego poświęcenie nie ma być zmarnowane, musi działać szybko.

Wrócił znów myślami do Ewy. Między nimi zawiązała się jakby nie telepatycznego porozumienia. Wiedział, że przyjdzie do jego domu z bukietem kwiatów, wiedział, że pomoże mu przejść przez ulicę, gdy udawał ślepcę. Nie podszedł do niej, wiele osób było bliżej, ale to ona wzięła go pod rękę. Banknot pięćdziesięciuroblowy naprawdę go wzruszył. Nie był to gest szpiega bez skrupułów! Była dla niego tajemnicą, kimś rozdwojonym, prawdopodobnie manipulowanym przez ludzi bez skrupułów, wykorzystujących jej słabszą stronę... Niekiedy zdawało mu się, że odczuwa strach Ewy.

Jekaterina wyrwała go z zamyślenia. Weszła bez pukania, z talerzem w rękę. Wchodziła dziesięć razy dziennie przynosząc to szklankę wody, to filiżankę kawy, to talerz zupy. Opiekowała się nim jak dzieckiem. Od jakiegoś czasu Borys czuł, że już tylko godziny dzielą ich od fizycznego zbliżenia. On już nie znajdzie dość sił, aby się oprzeć temu, co ona tak umiejętnie podsyciała...

Ewa pomogła mu i tym razem. Właśnie weszła do domu.

— Wróciła — powiedział zdławionym głosem.

Stanął w „punkcie obserwacyjnym”. Od wielu dni Ewa nie chodziła już na basen. „Nie chce pokazywać brzucha” — wywnioskował.

— Komisarzu? — spytała Jekaterina cicho.

Odwrócił się.

— Tak, panienko?

— Powiem pewnie głupstwo... Mogę?

— Oczywiście, wiem, że takie życie...

— Komisarzu...

Wahała się, stojąc z opuszczonymi oczami. Borys czekał na jej wyznanie. Serce biło mu szybko.

— Komisarzu, nie jest pan troszeczkę zakochany?

— O czym też pani myśli? Traktuję panią jak córkę!

— Nie myślałam o sobie, komisarzu, ale o kobiecie z naprzeciwka.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

27 września.

Skończyło się posiedzenie Politbiura. Na porządku dnia był tylko jeden punkt: Ukraina. Od trzech tygodni trwały tam strajki i odbywały się masowe demonstracje. Neostalinowcy toczyli zaciekle boje z demokratami i zwolennikami niepodległości. Pod naciskiem strajkujących i aby położyć kres chaosowi, przewodniczący ukraińskiego parlamentu, bez konsultacji z Moskwą, obiecał proklamowanie niepodległości republiki 26 grudnia, jednak pod warunkiem, że 27 września rano strajkujący wrócą do pracy. Według najnowszych danych wszystko przebiegało normalnie.

Gorszkow publicznie dał wyraz swojemu niezadowoleniu używając bardzo ostrych słów. Ostatnie sondaże opinii publicznej wykazały, że 97 proc. Ukraińców żąda całkowitej niezależności od władz w Moskwie.

— Mam nadzieję, że nie będziemy zmuszeni do interwencji — krzyczał Gorszkow, patrząc na Karstowa.

Głos zabrał jednak minister gospodarki, „czarna owca” Politbiura.

— Uważam, że zrobilibyśmy niewybaczalny błąd, a na pewno byłby to koniec pierestrojki. Proces trwa i wstrzymywanie zmian, które pan sam zapoczątkował, do niczego dobrego nie doprowadzi. Ponadto nie mamy na to środków, wątpię nawet, czy w Azerbejdżanie nasi żołnierze są w stanie spełniać swoje zadania.

Karstow zgadzał się z nim całkowicie, ale nie chciał głośno tego powiedzieć.

— Możemy interweniować i grozić Ukraińcom, a cały świat jeszcze nam podziękuje. W Układzie Warszawskim pozostajemy praktycznie sami. NATO zaś prawie już nie ma. ZSRR jest największą potęgą wojskową w Europie, nie sądzę, by ktoś chciał nam się sprzeciwić.

Gorszkow, milczący do tej pory, poprosił o głos:

— Marszałek ma rację. Jediną siłą, jaką jeszcze mamy, jest armia. Dopóki nie rozwinie my naszej gospodarki, przemysłu i technologii, zmuszeni będziemy na pierwszym miejscu stawiać armię. Nie mamy innego wyboru!

Zrobił przerwę i dodał spokojnie:

— Myślę, że Europa to zrozumie.

— Jeżeli spacyfikujemy Ukrainę, cudzoziemcy natychmiast wycofają swoje inwestycje — wtrącił minister gospodarki.

— Cudzoziemcy nie wycofali się po interwencji w Polsce. Uznali, że pomogliśmy zwalczyć panującą tam anarchię — rzekł Gorszkow wstając. — To zebranie jest, przypominam, ściśle tajne. Na razie kończymy.

Po zebraniu Karstow, tak jak zawsze, poszedł do biura Gorszkowa.

Prezydent kazał mu przygotować plan szybkiej brutalnej akcji na Ukrainie.

— Przygotuję, panie prezydencie.

— Jak zareagują Amerykanie?

— Sądzę, że tak, jak w przypadku Polski. Będą protesty, straszenie embargiem itd. Oczywiście dla zachowania twarzy. Są zbyt zajęci wojną ekonomiczną z EWG i Japonią. Europa zareaguje jak zwykle, dość powściągliwie, a w głębi duszy będą nam wdzięczni za zaprowadzenie porządku... Dziś jeszcze każę moim agentom zebrać opinie na miejscu.

Gorszkow podszedł do barku i nalał dwa kieliszki szkockiej. Podał jeden Karstowowi i spytał, dlaczego okłamał go, mówiąc o zerwaniu z tą zagraniczną dziennikarką.

— Jest zdaje się nawet w ciąży z panem! Chyba, że nie z panem?

Karstow zachował zimną krew. Gorszkow szpiegował. To oczywiste i zależało mu, by Piotr o tym wiedział.

— To prawda. Nie przestałem jej spotykać — przyznał skrzepowany. — Jest w ciąży, to też prawda i na pewno ze mną.

Gorszkow usiadł przy biurku i zaczął bawić się ołówkiem. „Czyżby wiedział także o Jegorowie?” — pomyślał Piotr i wysilił wszystkie swoje zmysły.

Gorszkow złamał ołówek i rzekł nieprzyjemnym tonem:

— Czekam na wyjaśnienia, marszałku!

— Kazałem przeprowadzić śledztwo na jej temat. Jest czysta, mogę to panu przysiąc. Postanowiłem ożenić się z nią.

Gorszkow złamał następny ołówek.

— Piotrze, wiem, że nie był pan szczęśliwy z Olgą. Ona nie była pana godna. Poza tym zdradzała pana, o czym wszyscy wiedzieli.

Piotr zdziwił się.

— Tak. Również z pańskim poprzednikiem. Czy pan wiedział?

Karstow rozgniewał się i odpowiedział:

— Nie. Nie wiedziałem! Ciągłe byłem poza domem, pan wie ...

— Piotrze, pan musi przestać spotykać się z tą dziewczyną!

Gorszkow wstał i położył mu rękę na ramieniu:

— Człowiek numer dwa nie może ryzykować...

— Ależ dziesiątki „dygnitarzy”, w tym i minister transportu, ożenił się z cudzoziemką — protestował Karstow, zdenerwowany i upokorzony.

— Pan nie rozumie, Piotrze. Jest pan inteligentny, odważny, lojalny. Doskonały strateg. Można rzec, że ma pan same zalety, ale też jedną tylko wadę: jest pan naiwny!

Piotr nie zareagował.

— Nie rozumie pan, że któregoś dnia usiądzie pan tu, na moim miejscu, a pierwszy człowiek w ZSRR musi mieć żonę Rosjankę?

ZSRR to nie republika bananowa. Carowie woleli cudzoziemki, my musimy brać żony z ludu!

Karstow miał ochotę złożyć dymisję.

— Ona nosi moje dziecko — powiedział poważnie.

— Musi usunąć i skończyć tę znajomość!

Karstow popatrzył na niego zamyślony.

— Dobrze. Proszę mi dać parę dni.

— Wiedziałem, że jest pan rozsądny. Tu chodzi o pana własny interes. Należy zakończyć tę sprawę jak najprędzej. W najbliższych tygodniach będziemy musieli dać pierwszeństwo ważniejszym sprawom. Chyba pan w to nie wątpi.

Przyjaznym gestem dał mu do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Dla Karstowa był to najdłuższy dzień w życiu. Nie wyobrażał sobie życia bez Ewy. Jednego był pewien: Gorszkow kazał go śledzić i to przez KGB. Miał więc założony podsłuch? Jeżeli tak, to Gorszkow wiedział o Jegorowie. Nie żałował, że go zlikwidował. Dla Ewy, jeżeli trzeba, zamorduje jeszcze raz. „Człowiek numer jeden nie może się ożenić z cudzoziemką”. Co za głupota! On nie opuści jej nigdy, niezależnie od tego, co myśli ten cynik Gorszkow. „Ewa będzie moją żoną, ona jest moją żoną, bez niej nie mam po co żyć, przestanę istnieć” — mruzczał do siebie siedząc w samochodzie, którym wracał do ministerstwa obrony.

29 września.

Piotr Karstow dowiedział się o tym przypadkowo. Miał ochotę pójść prosto na Kreml i złożyć dymisję na ręce Gorskowa. Wczoraj późnym wieczorem, jego zastępca, generał Bazow, wszedł do gabinetu szefa KGB bez pukania.

— To co, powtarzamy numer z Polski?

— Mam nadzieję, że nie. Polska tkwi mi w gardle po dziś dzień.

— Nie uda nam się zmusić Ukraińców do pozostania w granicach Związku Radzieckiego. Podobnie jak w Polsce będzie jednak trzeba zlikwidować premiera ich prącego do niepodległości rządu. Co o tym myśli prezydent?

Piotr nie rozumiał, o czym on mówi. Udawał, że się zastanawia i przypomniał sobie powody, które doprowadziły do interwencji w Polsce.

Kolejne wybory wyeliminowały całkowicie komunistów z rządu. Nie mieli żadnej możliwości działania. Nowy socjaldemokratyczny rząd zażądał wycofania radzieckich wojsk w ciągu ośmiu miesięcy. Związek Radziecki zareagował nieprzychylnie i wkrótce potem zaczęły się pierwsze zabójstwa. Od kul nie zidentyfikowanych sprawców padli politycy różnych orientacji, dziennikarze, księża i działacze „Solidarności”. Kryzys gospodarczy pogłębiał się i w każdej chwili mogło dojść do wojny domowej. Do tego momentu sytuacja dla

Karstowa była jasna. Następny fakt, to odnalezienie ciała premiera torturowanego i zamordowanego w lasku niedaleko stolicy. O morderstwo oskarżono skrajną prawicę, tak też napisała cała światowa prasa. KGB rozpoczęła zakrojoną na szeroką skalę akcję dezinformacyjną, sugerując że wojsko polskie szykuje się do przejęcia władzy. Wtedy uwierzył w to również Karstow. A teraz przychodzi Bazow i najnaturalniej w świecie oznajmia mu, że to dzieło KGB! W dokumentach, nawet najtajniejszych, na ten temat nie było ani śladu. Oszukano go! Truszenko nie mógł tego zrobić bez wiedzy Gorszkowa. To było niemożliwe, zatem Gorszkow oszukiwał go od początku! Czyli jest on człowiekiem żadnym krwi, tyle że w przebraniu demokracji! Karstow czuł się oszukany. Gorszkow miał rację, mówiąc mu, że jest naiwny.

— Tak, być może masz rację. Skąd się o tym dowiedziałeś?

— Przypadkowo, dziś rano. Przyznaję, że mnie aż zemdliło, ale prawdę mówiąc jest to jedyny sposób na utrzymanie imperium.

— „Przypadkowo” — to znaczy jak?

— Przeglądając tajne archiwum Truszenki, tak jak mi poleciłeś, trafiłem na dokument podpisany przez Gorszkowa, który teoretycznie powinien już zostać zniszczony.

— Możesz mi go pokazać — spytał Karstow wyraźnie podniecony.

— A nie wiedziałeś o nim? Myślałem, że twój przyjaciel prezydent...

— Owszem, mówił mi, ale mimo wszystko chciałbym rzucić okiem.

Uśmiechnął się.

Gdy jego zastępca wyszedł po dokument, Karstow nerwowo kręcił się po pokoju. Po trzech minutach Bazow wrócił. Miał głupią minę. Był błady, a w rękę trzymał kłębek pociętych na paski papierów.

— Patrz, co z niego zostało! Dokument leżał na biurku... Nic nie rozumiem.

— Uspokój się — rzekł Piotr, sam będąc na skraju rozstroju nerwowego.

Zamilkli obaj. Głośny oddech Bazowa przeszkadzał Piotrowi zebrać myśli. Odszedł i patrzył przez okno. Przypomniał sobie słowa Ewy: „Mężą mnie koszarne sny, ktoś chce cię zabić i może to zrobić w każdej chwili. Ja nie chcę urodzić sieroty!” Czuł jak chłód przeniknął całe jego ciało. Działo się tak zawsze, gdy naprawdę się bał.

Oczywiście, znów Truszenko! Jego ludzie wciąż pracowali w tym budynku. Dlaczego Gorszkow zgodził się na usunięcie Truszenki, mimo że byli przyjaciółmi od kilkunastu lat i łączyła ich tak wielka tajemnica?

Odwrócił się:

— Przyjacielu, nie próbuj niczego zrozumieć i zapomnij o tym, co widziałeś. Tu chodzi o interes całego kraju.

— Ale...

— To rozkaz.

Dał mu znak, żeby milczał, wziął kartkę papieru i coś napisał. Bazow wziął ją do ręki i przeczytał: „Przyjdź do mnie o północy, sam. Zaufaj mi”.

30 września w „New York Timesie” ukazał się na pierwszej stronie artykuł że, „papież osobiście ochrzcił szefa KGB”. Cała historia była opisana z dokładnością do kilku szczegółów... Jeszcze tego wieczoru Gorszkow wezwał Piotra Karstowa.

— Co to za historia? — spytał wściekły.

— Niewątpliwie dezinformacja, panie prezydencie.

Ewa przykazała mu nigdy nie mówić o tym Gorszkowowi. „Kiedyś wykorzysta to przeciw tobie”.

— Nie podoba mi się to. Trzeba jak najszybciej odszukać autorów tej bredni. Jeżeli wmisza się w to Kościół, to dokąd dojedziemy? Żądam, aby pan natychmiast ogłosił dementi. Zadzwoń do papieża, aby zrobił to samo!

— Przepraszam, panie prezydencie, ale nie widzę powodu. Niech opinia światowa uwierzy w te idiotyzmy. Będziemy mogli to kiedyś wykorzystać.

— Nie. Stanowczo żądam zdementowania. Jeżeli Kościół potwierdzi opinię „Timesa”, dla nas będzie to potwarz!

Gorszkow nie panował nad sobą. Zaczął krzyczeć i mówił bez sensu.

— O mnie mówią, że jestem łajdak... że wszystkie środki, nawet sam Bóg, są wykorzystywane do oszukiwania ludzi. Polska znowu się zbuntuje. Numer dwa ZSRR ochrzczony? Konserwatyści i neostalinowcy nas powyrzynają.

Piotr nie wiedział, co o tym myśleć. Prawdę znała tylko Ewa i dwaj jezuici, którzy towarzyszyli papieżowi. Jeden z nich wygadał? A może sam Ojciec Święty? Tak czy inaczej znowu ktoś próbował go dosięgnąć. Kto inny, jak nie sam Gorszkow... Tylko po co? By kolejny raz ocalić swoją skórę? Ewa miała rację, jak zawsze. Przypomniawszy sobie, co powiedziała mu kiedyś w daczce: „Gorszkow da ci pełnię władzy, by później zaraz ci ją odebrać. Odciać jak siekierą. On potrzebuje kozłów ofiarnych. Tylko dzięki nim wciąż się trzyma. Zbliży się twoja kolej”.

— Zaraz ogłoszę dementi — oznajmił spokojnie Karstow.

Gorszkow, wstając, usprawiedliwił się:

— Przepraszam, że się uniosłem, ale sprawa ta w normalnych czasach rzeczywiście mogłaby służyć jako dezinformacja, teraz jednak uważam, że może nam szkodzić. Przed ogłoszeniem dementi trzeba porozumieć się z naszymi agentami w Watykanie.

Karstow pojechał prosto do biura KGB. Chciał zadzwonić do Ewy z samochodu, ale powstrzymał się. Kierowca był niewątpliwie też szpiegiem, mimo że wybrał go osobiście w dniu swojej nominacji.

Musi go zmienić. Wybierze kogoś spośród dawnych komandosów z Afganistanu. Piotr czuł, że wokół niego zaciska się pętla.

Wczoraj około osiemnastej młody Berzin, prowadzący śledztwo w sprawie Henkina, złożył mu pierwszy raport. Agenci siódmego wydziału zaczęli śledzić studenta już od następnego dnia po jego rozmowie z Ewą. Była to rutynowa czynność. Wśród wielu klientów Mojseja odnotowano także byłego inspektora Borysa Pljucza. Rozmawiali długo w taksówce. Prowadzący śledztwo nie widzieli w tym niczego szczególnego. Matka studenta, mieszkająca w Odessie, zeznała, że jakaś dziennikarka zagraniczna obiecała jej synowi ogromną sumę pieniędzy za nagranie wykładów jakiegoś słynnego moskiewskiego inspektora. Mojsej pisał o tym w liście, obiecując, że kupi jej na urodziny telewizor i złoty naszyjnik. Zniknięcie Pljucza, później jego samobójstwo, zwróciły uwagę Berzina na związek obu tych spraw. Kazał odkopać trumnę Pljucza. Była pusta, a co gorsza, ktoś odkopał ją już przed nim! Inspektor więc nie umarł i prawdopodobnie to on zabił Henkina. A motyw? Raport przedstawiał Borysa ze wszystkimi szczegółami. Wycinki z prasy zapowiadały cykl wywiadów, w czasie których miał on odsłonić kulisy wielu tajnych afer. Kontrakt podpisany przez Jegorowa i Pljucza dowodził znaczenia tych wykładów — „Prawda” za prawo wyłączności ich publikowania zaoferowała pięćdziesiąt tysięcy rubli. Prowadzący śledztwo w swoim raporcie zwracał uwagę na prawny aspekt tej tajemniczej sprawy i proponował skierowanie jej do policji, na Pietrowkę... Karstow przypomniał sobie pewien szczegół, na który Berzin nie zwrócił uwagi. Inspektora widziano po raz ostatni w modnej francuskiej restauracji. Tak zeznali agenci śledzący wtedy Ewę. W raporcie dopisali: „Emerytura byłych inspektorów musi być wysoka, skoro Borys Pljucz również przychodzi tu na obiady!”

Karstow kazał zatrzymać dokumenty w KGB i dopisał odręcznie: „Nie ruszać. Czekać na nowe polecenia”.

„W co ta Ewa wdepnęła”? — pomyślał, zamykając teczkę z aktami. Rozumiał, że jako prawdziwa dziennikarka interesowała się tą sprawą, ale nie podobało mu się, że przez przypadek znalazła się w tej samej restauracji co Borys Pljucz. Ewa zapewne znajdzie jakieś wyjaśnienie. Teraz nie chciał już dłużej o tym myśleć.

Karstow przejrzał notes i zadzwonił do Andrieja Leonowa. Powiedziano mu, że jest z wojskami okupacyjnymi w Polsce. Poprosił o jego numer w Warszawie. Po godzinie głos przyjaciela odezwał się w słuchawce.

— Pakuj walizy. Wracasz natychmiast. Wszystko przygotowane.

Dawny porucznik „specnazów”, którzy pod dowództwem pułkownika Karstowa służyli w Afganistanie, był dziś majorem. Wszedł do budynku ministerstwa obrony dokładnie o piątej. Był wysokim blondynem z grzywką opadającą mu na czoło. Karstow uściśnął go serdecznie. Młody major był wyraźnie wzruszony. Piotr podał mu kartkę i dał znak, by się nie odzywał. Leonow czytał bezgłośnie i twarz mu jaśniała.

Piotr Karstow wyprowadził go na podwórze ministerstwa i spacerowali jak dwaj przyjaciele, którzy dawno się nie widzieli. Po rutynowej wymianie zdań na temat pogody Piotr szepnął:

— Masz wolną rękę. Uczymy nasze spotkanie 5 października. Działaj więc, jak możesz najprędzej.

— To nie będzie łatwe. Prawie wszyscy zostali w armii, ale są rozrzućeni po całym kraju. Brakuje tylko kamerzysty. Zniknął bez śladu. Pewnie go zabili.

— Rób wszystko w największej tajemnicy. Nikt nie może się o niczym dowiedzieć. Popatrzył mu w oczy: — Traktuj to jak operację komandosów.

— Wszyscy marzyliśmy, by znów być razem, ale nigdy nie miałem odwagi ci o tym napisać!

— Masz załatwione. Teraz już nikt nas nie rozdzieli.

Ewa przygotowywała kolację, gdy usłyszała lekki szmer dochodzący spod drzwi. Ktoś wsunął kopertę. Otworzyła ją natychmiast.

„Dziś wieczorem o dziesiątej przyjedzie po ciebie mój przyjaciel Andriej Leonow. Weź coś do ubrania i nie pytaj o nic. Piotr”.

Ewa spojrzała na zegar. Była dwudziesta. Karstow nie kontaktował się z nią od czterech dni i po raz pierwszy zrobił to w tak dziwny sposób. Czyżby chodziło tu o artykuł w „New York Timesie”? Wiedziała, że była to sprawka Nelsona. Wyobrażała sobie reakcję Nadii Szarońskiej, gdy dowiedziała się, że Karstow ją oszukał. Ochrzczony potajemnie, ukrywający, że jest Żydem — gdyby zaczęła mówić, oznaczałoby to katastrofę.

Jutro ma przybyć nowy dyrektor generalny Europejskiej Agencji Prasowej. Przysłał potwierdzenie telefaksem. Piotr zaś każe jej zabrać ubrania i nie stawiać pytań. Czyżby zdecydował się przyspieszyć bieg wydarzeń?

Po drugiej stronie ulicy Borys Pljucz obserwował ją i zaniepokoił się. Zauważył bowiem czarną czajkę zatrzymującą się przed domem Ewy.

Wysiadł z niej mężczyzna w cywilu, wszedł do budynku i po chwili z niego wyszedł. Pljucz widział, jak Ewa chodzi w kółko po pokoju i przeczuwał, że stanie się coś ważnego. Ewa położyła na tapczanie torbę podróżną i zaczęła do niej wkładać ubrania. Nigdy nie widział jej tak zdenerwowanej.

Borys wszedł do kuchni i rzekł do Jekateriny:

— Muszę wyjść. Dzieje się coś dziwnego. Proszę o herbatniki i kawę.

— O.K, komisarzu!

— Wezmę także śpiwór.

— Chce pan spać na dworze?

— Wszystko możliwe. Biorę także wózek inwalidzki.

Z komody wyjął rewolwer, załadował i wsadził za pas pod marynarkę. Mężczyzna, który wszedł do Ewy, był wysokim, silnym

blondynem. Czyżby to na niego wskazywała wróżka? Wspomniała o wysokim, chudym blondynie; mogła się jednak pomylić.

Po chwili Jekaterina wyszła z domu, pchając przed sobą wózek inwalidzki w kierunku lady-breaka. Przy końcu ulicy inspektor kazał jej się zatrzymać.

— Dziś musi pani dla mnie zaryzykować.

Jekaterina popatrzyła zdziwiona.

— Tu jest mikrofon z mikronadajnikiem. Ktoś po nią przyjedzie. Nie wiem, o której. Musi pani podejść do tego samochodu i przykleić to do jego bagażnika. Teraz niech pani wraca do domu i czeka na mój sygnał.

Pljucz dał jej japoński radiotelefon, który Jekaterina kupiła mu dwa dni temu.

O dziesiątej w nocy czarna czajka z opuszczonymi zasłonami przejechała obok niego i zatrzymała się po cichu obok budynku Ewy. Pljucz wywołał Jekaterinę:

— Już przyjechał. Niech pani szybko idzie.

W tej samej chwili spostrzegł, że Ewa wyszła i wsiadła do samochodu, który natychmiast odjechał. Jekaterina nie zdążyła nawet wyjść na chodnik. Borys ruszył, zwolnił obok Jekateriny, krzyząc, by wracała do domu i pojechał za czarną czajką.

Wyjechali za miasto. Borys starał się zachować taką odległość, by nie stracić ich z oczu. Kierowca czajki nie przejmował się wcale przepisami drogowymi. W rezultacie Borys także dwa razy przejechał na czerwonych światłach.

Ta pogoń-wyścig podniecała go i nie zwracał uwagi na przyspieszone bicie serca. Samochód przed nim jechał coraz szybciej i dwa razy o mało co nie spowodował wypadku. Sądził, że kierowca jedzie do dacy Karstowa, gdy tymczasem jechali na południowy wschód, w kierunku lotniska Demodiedowo. Ryzyko, że zostanie zauważony, wzrastało w miarę jak oddalali się od centrum. Nagle czajka zatrzymała się. Borys nie miał wyboru. Chyba go zauważyli. Dwa kilometry przed lotniskiem! Klął na cały głos i musiał jechać prosto, przed siebie. Jak będzie miał szczęście, odnajdzie ich na lotnisku. Patrzac w

lusterko wsteczne zauważył, że samochód zniknął w ciemności. Wściekły szarpnął kierownicą i zawrócił. Nie było nikogo. Zdruzgotany wrócił do Jekateriny.

Ewa wsiadła do wojskowego helikoptera oczekującego w zupełnych ciemnościach na skraju lotniska Demodiedowo. Pilot włączył silniki i wystartował. Ewa zobaczyła ładę-breaka zaraz po wyjeździe z Moskwy. Chcąc się upewnić, czy ją śledzi, poleciała Andriejowi Leonowowi, by się zatrzymał i zjechał w boczną dróżkę wśród krzaków. Tak jak się spodziewała, łada po chwili jechała w przeciwnym kierunku. Stojąc za drzewem Ewie udało się zapamiętać cztery z sześciu cyfr numeru rejestracyjnego. Zapisała je na okładce notesu. Helikopter wylądował na dużej polanie i Ewa udała się wprost do domku, w którym jedynie parter był jasno oświetlony. Zauważyła kilku uzbrojonych po zęby „specnazów” patrolujących teren. Miała na sobie mundur jaki nosili wyżsi oficerowie KGB, który Andriej dał jej w samochodzie. W ciemnościach nikt nie rozpoznałby, że jest kobietą.

Piotr czekał na zewnątrz. Wybuchnął śmiechem na jej widok i uścisnął ją z niezwykłą siłą.

— Zostaniesz tu przez kilka dni — powiedział.

Ewa chciała zaprotestować, ale znów przytulił ją mocno do siebie i szepnął jej do ucha.

— Zaczyna się wyrównywanie rachunków...

— Muszę z tobą porozmawiać — przerwała mu.

— Mam tylko dziesięć minut... Już powinienem być w Moskwie.

Przyjadę jutro lub pojutrze.

Ewa potrząsnęła głową.

— Chcę porozmawiać natychmiast. To bardzo ważne.

Karstow zgodził się i poszli spacerkiem w stronę lasu, tuż za domem. Gdy znaleźli się w bezpiecznej odległości, Piotr zaczął mówić:

— Zdecydowałem się rozpocząć akcję 7 października. Ty musisz w tym czasie pozostać tutaj. Gorszkow...

Ewa przerwała mu.

— Gorszkow dowie się, że tu jestem. Ktoś nas śledził.

— Pewna jesteś?

— Tak. Wprawdzie ich zgubiliśmy, ale to nic nie znaczy.

— Wołga KGB, tak jak wtedy...?

— Nie, to była łada.

Piotr zamyślił się.

— Ja także muszę wrócić do Moskwy — powiedziała wspominając mu o swoim jutrzejszym spotkaniu w agencji. — Niepotrzebnie ściągniemy na siebie podejrzania. Będę żyć normalnie, tak jak zwykle, aż to się skończy. Znajdź tylko jakieś bezpieczne miejsce, gdzie moglibyśmy się spotkać.

— Być może masz rację. Zajmę się tym jeszcze dziś wieczorem. Spójrz mi teraz głęboko w oczy. Jesteś pewna, że mnie kochasz?

— Z całej duszy!

— Pewna jesteś, że chcesz urodzić mi dziecko?

— Tak.

— Niczego nie ukrywasz w sprawie Mojseja?

Ewa odparła bez wahania:

— Wszystko ci powiedziałam, czemu wciąż wracasz do tej sprawy?

— Ponieważ z Mojsejem spotkał się także inspektor Pljucz, którego widziano ostatni raz w restauracji, gdzie ty byłaś także.

Karstow przedstawił jej szczegóły zawarte w raporcie.

— Co za głupiec wymyślił to wszystko — broniła się. — Przysięgam ci, na twoje dziecko, które jest we mnie, że powiedziałam prawdę.

Piotr ustąpił.

— Powiedz mi lepiej, co widzisz w swoich snach.

— Uda się. Ja to czuję.

Ogarnęło ją dziwne uczucie. Poczula się źle, zaczęła się dusić, jakby jakieś niewidzialne ręce ścisnęły ją za gardło. Przed oczyma zaczęły przesuwać się jakieś obrazy, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Karstow przestraszył się.

— Źle się czujesz?

— Chodź, wracajmy.

Przyśpieszył kroku podtrzymując Ewę, która szła z trudem. Gdy znaleźli się w pokoju chciał, by się położyła, ale ona objęła go ze wszystkich sił.

— Piotrze — szepnęła cichym głosem — poczekaj do 7 listopada. Nie teraz!

— Ale ...

Potrząsnęła nim gwałtownie.

— Nie teraz, Piotrze, posłuchaj mnie! 7 listopada to dobra data!

— Pewna jesteś? — spytał Piotr patrząc ze strachem na Ewę.

— Tak! Widziałam jasny i wyraźny obraz. Nie mam wątpliwości. Nad Kremlem łopocze nowy sztandar z orłem. Tak, z orłem! Widzę go, Piotrze, widzę!

Opadła na łóżko.

Karstow omal nie zemdłał. Wstał, przyniósł jej coś do picia, a gdy się uspokoiła, powiedział, że wychodzi.

Pół godziny później Ewa odleciała z powrotem, także helikopterem.

Borys Pljucz zatrzymał się przed domem Jekateriny, ale natychmiast zawrócił. Nie tyle z obawy przed porażką, co instynktownie wrócił na lotnisko Demodiedowo. Zauważył stojącą w bocznej uliczce wśród krzaków czarną czajkę. Ruszyła powoli w stronę pasa zarezerwowanego dla helikopterów wojskowych. Była pierwsza w nocy. Zobaczył lądujący śmigłowiec i wysiadającą z niego Ewę. Nadajnik, który udało mu się przykleić do czajki w momencie, gdy Andriej odszedł za potrzebą, działał prawidłowo. W drodze powrotnej był bardzo zadowolony z tego, że zobaczył Ewę żywą, chociaż jej mundur KGB trochę go zdenerwował.

Borys stanął na końcu ulicy i zaczął, aż pogasną światła w oknach Ewy. Wsiadł z samochodu i zaczął iść, zataczając się jak pijak, do domu Jekateriny. W salonie wziął lornetkę i mikrofon podsłuchowy.

Ewa spała, mógł więc położyć się także. Nie zauważył, kiedy weszła Jekaterina. Przestraszył się, gdy objęła go za szyję. Słabe światło dochodzące z ulicy oświetlało jej nagą, prześwitującą przez koszulę sylwetkę. Pljucz nie mógł się ruszyć, tak był zaskoczony.

— Ja już nie mogę, komisarzu — szepnęła.

Wstał i przygarnął ją z całej siły, aż zabrakło mu tchu. Poczul nieznośny ból. Położył ręce na jej ramionach i przesuwał je wzdłuż całego ciała w dół. Moment, którego tak się obawiał, właśnie nadszedł. Czuł, jak ciało Jekateriny drży, a jej usta dotykają jego ust. Zakręciło mu się w głowie od tego pocałunku, a napięcie gromadzone przez całe tygodnie nagle go opuściło. Nie opierał się Jekaterinie prowadzącej go do sypialni.

5 października.

Wszyscy, którzy przeżyli legendarną już akcję z 17 maja 1983 roku, stawili się u Karstowa. Przyjmował każdego osobiście. Dziś większość z nich zajmowała ważne stanowiska. Było ich dwudziestu dziewięciu. Spotkali się w dacy Karstowa i świętowali do rana, śpiewając i bawiąc się, zanim popili się do nieprzytomności. Piotr obserwował ich bacznie przez całą noc. Niektórzy z nich dotychczas nie otrzymali stanowisk, na jakie zasłużyli. Piotr rozmawiał z każdym z osobna i obiecał naprawić każdą niesprawiedliwość. Nie zmienili się zbyt wiele. Pozostali oddanymi żołnierzami swojego jedyne szefa, jakiego cenili — marszałka, jak go nazywali. Piotr poprosił szefa sztabu generalnego, marszałka Igora Nikołajewicza Wasiliewa, aby ich wszystkich przeniósł do Moskwy przed 20 października.

— A co się stanie po dwudziestym?

— Po dwudziestym zaczniesz się twoje prawdziwe życie. Mam wiele propozycji dla ciebie, ale zachowaj to w tajemnicy, Igorze — dodał poważnym tonem i uściśnął mu ramiona.

Podczas tej nocy — spotkania dawnych towarzyszy — Karstowowi udało się powtórzyć to właśnie zdanie wszystkim gościom tak, by każdy myślał, iż powiedział to tylko jemu.

Po ostatnim toaście przysięgli mu wierność i posłuszeństwo, po czym rozeszli się. Karstow zasnął, snując swoje wizje.

Waszyngton, 8 października.

Robert Nelson dał znak swojemu gościowi, by usiadł. Nalał dwa kieliszki whisky i podszedł podając mu jeden.

— To dla pana — rzeki, wskazując brązową kopertę leżącą na stole.

Mężczyzna odstawił kieliszek i wziął kopertę. W środku było wiele zdjęć i kilka notatek. Przejrzał je uważnie i wszystkie razem wsunął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wypił łyk whisky i spytał:

— Kiedy to ma być?

— 8 listopada. Nie wcześniej! Uwaga, to bardzo doświadczony agent.

— Podwójny?

— Tak. Ponadto osłania go KGB! To misja najwyższej wagi. Chodzi o bezpieczeństwo naszego kraju. Z tego względu wybrałem właśnie pana. Misję rozpocznie pan w momencie opuszczenia tego pokoju. Nikt, nawet ja, nie może już zmienić polecenia, jasne? Są pytania?

Mężczyzna założył nogę na nogę. Kanty jego niebieskich spodni były nienaganne, jak ostrze żyłетки. Wyjął zdjęcia i przejrzał je jeszcze raz.

— Nie ma — odpowiedział w końcu.

Złożył fotografie, dopił whisky i wstał.

W drzwiach odwrócił się. Nelson miał wrażenie, że chce coś powiedzieć.

— Tak? — odezwał się Nelson.

Blondyn odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Moskwa, 20 października.

Wróciwszy do domu 1 października o drugiej w nocy, Ewa rozpląkała się. Była wstrząśnięta. Wizję, o której mówiła Piotrowi, naprawdę zobaczyła. Nagle poczuła straszliwy ból głowy i widziała Piotra triumfującego 7 listopada. Czyżby naprawdę miała zostać wizjonerką, jaką udawała od tylu miesięcy? Myśl ta przerażała ją. Nie chciała być kontrolowanym elementem gry, chciała tę grę prowadzić sama...

Nazajutrz dokonała odkrycia, które zmroziło jej krew w żyłach. Chciała napełnić gazową zapalniczkę i przypadkowo odkryła w jej wnętrzu mikroodbiornik wielkości główki od szpilki. To robota Nelsona. Miał więc zapis jej ostatniej rozmowy z Piotrem. W jaki sposób Nelson podłożył jej w Brukseli ten gadżet i dlaczego ukryty w obcasie jej buta detektor nie wykrył mikrofonu w zapalniczce? Przypomniała sobie, że zapalniczka leżała na pudełku papierosów w czasie ich rozmowy w Zoute. Nelson musiał ją zamienić, gdy podeszła do okna. Wychodząc z domu dostrzegła ładę, która śledziła ich w drodze na lotnisko. Stała zaparkowana przy końcu ulicy. Porównała numery. Pierwsze cztery cyfry były identyczne z tymi, które zapisała na okładce notesu. Zatrzymała się. Do tej pory myślała, że jest to samochód sąsiadki z naprzeciwka, która przewoziła nim czasami inwalidę na wózku. Po co jednak jechała za nimi na lotnisko? Ewa nie mogła

uwierzyć. Czy byli to ludzie Nelsona? Albo KGB? Albo?... Przyszło jej na myśl nazwisko Borysa Pljucza.

Wracając koło północy z kolacji, na którą zaprosił ją nowy dyrektor agencji, próbując Ewę poderwać, zauważyła, że samochodu już nie było. Rozpoznała go dopiero po dwóch dniach. Był przemalowany na niebiesko, ale miał te same numery rejestracyjne. Ani CIA ani KGB nie popełniłyby tak ewidentnego błędu. Zdecydowała więc, że musi to sprawdzić.

4 października o ósmej rano zamówiła przez telefon taksówkę. Nagle zobaczyła sąsiadkę z naprzeciwka wyprowadzającą inwalidę na wózku. Rozpoznała Borysa Pljucza mimo przebrania. Był tak blisko, dziesięć metrów od niej!

Andriej przyszedł wieczorem i zastał ją siedzącą nieruchomo w fotelu i patrzącą nieobecny wzrokiem. Próbował coś zrobić, ale bez skutku. Zadzwoił do Karstowa, a ten kazał ją natychmiast zawieźć do kliniki specjalną karetką. Pljucz obserwował całą scenę zza firanki.

Jeszcze tego samego dnia wysłał jej bukiet kwiatów, nie podając nazwiska ofiarodawcy. Ewa była zaskoczona. W bukiecie było 13 czerwonych róż, tyle samo, ile zaniósł mu do domu w dniu jego „śmierci”. Byli więc kwita.

Ewa wyszła z kliniki 13 października po kuracji zastosowanej przez ordynatora i polegającej głównie na długim śnie. Andriej przyjechał po nią wcześniej rano i odwiózł do willi, stojącej opodal Parku Akademickiego, przy drodze do międzynarodowego lotniska Szerebietiewo.

Od trzech dni Pljucz obserwował cudzoziemca o skandynawskiej urodzie, kręcącego się w pobliżu domu Ewy. Był podobny do mężczyzny,

o którym wspominała wróżka. Widział nawet, że wszedł on do mieszkania Ewy i słyszał, jak głośno przeklinał po angielsku. Borys ciągle nie wiedział, co stanie się 7 listopada, ale był pewien, że aby odnaleźć Ewę, musi śledzić nieznajomego.

Mężczyzna był ostrożny, ale Borys miał nad nim wielką przewagę: znał go!

30 października.

Czarny ził stanął na parkingu zarezerwowanym dla członków Politbiura. Piotr Karstow wysiadł i wbiegł po schodach do budynku.

Gorszkow już nie wspominał o Ewie. Sprawa chrztu zaś mimo oficjalnego dementi, wciąż wracała na pierwsze strony gazet. Watykan na ten temat nie wypowiedział się w ogóle.

By uniknąć dalszych komplikacji, Karstow spotkał się z Nadią Szarońską raz jeszcze. Niedawna rzeczniczka „moskiewskiego lata” przyrzekła mu, że nie zdradzi tajemnicy o żydowskim pochodzeniu i do dzisiaj dotrzymała słowa.

Karstow wszedł do gabinetu Gorszkowa i widząc w jego ręku polamany ołówek zrozumiał, że wzywa go nie przyjaciel, ale szef państwa.

— Robisz błędy w KGB, Piotrze.

Mówił mu przez „ty” po raz pierwszy. „To zły znak” — pomyślał Karstow.

— W jakim sensie błędy?

— Boję się, że w każdym. Źle zrobiłeś likwidując trzeci wydział bez konsultacji ze mną. Ja wydałem nawet specjalne instrukcje, by zwiększyć nadzór nad wojskiem.

— Ale pan kazał mi pogodzić armię i KGB. Po wydarzeniach w Rumunii we wszystkich krajach zrobiono to samo. To zbyt duża strata energii.

— Cały ten system to strata energii! Ale właśnie dzięki temu przetrwał on od 1917 roku. Opiera się on na trzech filarach: na armii, partii i KGB. Jeżeli jeden z nich osłabnie — taką sytuację mamy dziś — nie jest jeszcze źle. Dwa pozostałe podtrzymają system. Jeżeli jednak jeden z filarów rozpadnie się, rozpadnie się i całość. Zdajesz sobie z tego sprawę, nie? Przykład naszych byłych bratnich krajów jest tu wymowny. Partia, czy socjalistyczna czy socjaldemokratyczna, nie może zniknąć, zanim nie powstaną solidne struktury demokratyczne. Nam jeszcze daleko do tego.

— Rozumiem — odezwał się Karstow licząc, że go udobrucha.

— Nie. Niczego nie rozumiesz! Działasz jak amerykański menedżer, licząc tylko na zysk. To głupota. Tak jest w ekonomii, w przemyśle. Dowiedli tego na Zachodzie! Zanim jednak nie nastąpi normalna demokracja, wszystkie trzy filary muszą pozostać na miejscu. Armia musi czuć, że jest kontrolowana. Partia, mimo że nosi inną etykietkę, musi być pewna wierności i lojalności armii! Jeżeli nie, to pewnego dnia zobaczymy lewackie rządy zaprowadzające porządek w naszych republikach i w krajach ościennych. Nie możemy sobie pozwolić na tak idiotyczny luksus!

— Zaraz się tym zajmę, panie prezydencie — odezwał się Karstow spokojnie.

— To jeszcze nie wszystko. Ukraina... sytuacja zaostrza się. Wynika to z twoich raportów. Chcę, żebyś przedstawił mi plan zaprowadzenia tam porządku w ciągu dwóch tygodni. Plan kompletny, w tym szybkiej interwencji, tak szybkiej, żeby nikt nie zdążył zareagować. Przedstaw go najpierw mnie, a co z Politbiurem, zobaczymy.

— Już mam taki plan — oznajmił Karstow. — Chciałem go panu przedstawić 5 lub 6 listopada.

— Możesz mi podać główne założenia? Już teraz?

— Musimy interweniować natychmiast, to nie ulega wątpliwości.

Trzeba stworzyć pozory zamachu stanu. Mam ludzi, którzy to przygotowują. Stworzy się klimat napięcia międzynarodowego, co usprawni nasze manewry wokół granic i spotęguje naciski i wątpliwości co do naszych zamiarów. Po cichu podstawi się ludzi, którzy nam sprzyjają. Mam już odpowiednią listę. Zaczniemy od wysadzenia w powietrze samochodu szefa ukraińskiego rządu. Sprawca zostanie natychmiast ujęty i przyzna się do członkostwa w organizacji zmierzającej do przewrotu. Osobiście obiecałem temu agentowi sumę dziesięciu milionów dolarów. Cała opinia światowa zwróci się przeciwko zamachowcom, a my będziemy mogli nadal kontrolować sytuację na Ukrainie.

Gorszkow słuchał Karstowa w milczeniu. Na jego twarzy widać było zadowolenie.

— Jesteś geniuszem, Piotrze. Wiem, że sprawa utrzymania Ukrainy jest przegrana, ale pozostała nam ostatnia szansa i nie możemy jej stracić.

Stanął przy oknie. Długo milczał. Karstow miał spocone ręce. Gorszkow odwrócił się i spytał:

— Rozwiązałeś już swój osobisty problem?

Marszałek wyjął z kieszeni kopertę i podał mu ją.

Gorszkow przeczytał po cichu. Zaświadczenie lekarskie potwierdzało, że niejaka Ewa Dumoulin, narodowości francuskiej, z zawodu dziennikarka dokonała zabiegu przerwania ciąży w poliklinice przy ulicy Dobryninskiej 3.

— Nie jest sfalszowane, mam nadzieję? — powiedział śmiejąc się Gorszkow.

— Opuściła terytorium ZSRR 15 października. Ta sprawa została zamknięta — odpowiedział Karstow stłumionym głosem.

— Przykro mi, ale pewnego dnia mi podziękujesz.

2 listopada.

Borys Pljucz nie miał wątpliwości — Ewa wyjechała z Moskwy. Oficjalnie... W agencji poinformowano Jekaterinę, że pani Dumoulin została przeniesiona do siedziby agencji w Brukseli, a on sam stwierdził, że mieszkanie przy ulicy Czechowa zajmował już ktoś inny. W ministerstwie spraw zagranicznych potwierdzono jej wyjazd do Brukseli.

Mimo związku z Jekateriną bardzo brakowało mu żony. Wolał jednak do niej nie wracać dopóki mordercy deptali mu po piętach. Mężczyzna o skandynawskich rysach najwyraźniej zgubił ślad Ewy. Ciągle jednak się pojawiał, co dla Borysa było dowodem na to, że miał zadanie ją zlikwidować. Dzięki przyklejonemu mikronadajnikowi udało mu się w końcu ustalić miejsce, w którym ukrywała się Ewa. Trwało to kilka dni, ale któregoś ranka Andriej Leonow podjechał pod dom Ewy, by zabrać jakieś drobiazgi. Borys pojechał za nim. Nowe mieszkanie Ewy znajdowało się dwa kilometry na zachód od międzynarodowego lotniska Szeremietiewo.

Willa z początków obecnego stulecia nie była zbyt pilnowana. Borys wiedział, że kierowca nie odstępował Ewy na krok. Zaczekał do nocy i podszedł jak mógł najbliżej, chowając się w przylegającej do domu przybudówce. Widział stamtąd światła salonu i kuchni. Wyjął mikrofon kierunkowy i skierował go w stronę salonu. Nie słyszał

żadnego hałasu. Nie zmieniał jednak pozycji „wyczekującego wędkarza”. Około północy usłyszał głos Ewy. Jej słowa nie brzmiały sensownie:

„Zobaczę cię, Dahlio, chodzisz za mną od początku. Poznałam cię. Czego ode mnie chcesz? Chcesz to dziecko, chcesz je... Ale nie będziesz go miała, Dahlio... Wiem, że go kochasz... moje dziecko nie powinno się urodzić. Musisz to zrozumieć, że nie mam wyboru. Nie możesz tego zrozumieć, a ja nie mogę ci tego wyjaśnić, jeszcze nie teraz... Wiem, że to ty uratowałaś życie Pljuczowi, widzisz, ja wiem wszystko. Ty mnie szpiegujesz, a ja ciebie też.

Nagle zaczęła szlochać. Borys był wzburzony. Usłyszał szum wody ciekącej z prysznica. Wrócił do Moskwy. Całą noc przesłuchiwał taśmę, analizując znaczenie tych słów, aż w końcu uległ zalotom Je-kateriny.

6 listopada.

Karstow wypił łyk kawy. Była zimna i gorzka. Za trzy godziny ma być na Kremlu, gdzie na jego żądanie zbierze się nadzwyczajne plenum Politbiura. Ma on na nim przedstawić ostateczny plan rozwiązania kwestii ukraińskiej. Wczoraj przedłożył prezydentowi dwie wersje. Jedną, która tak spodobała się Gorszkowowi, i drugą bardziej umiarkowaną, na użytek członków Politbiura. Od 1 listopada spotkał się potajemnie z Gorszkowem co najmniej z dziesięć razy i wspólnie dopracowywali wszystkie aspekty militarne, dyplomatyczne i polityczne całej operacji.

Tymczasem trwały przygotowania do obchodów rocznicy rewolucji. Czyniono je w pośpiechu i z rozmachem, jakby miała to być ostatnia rocznica. Przygotowywano największą od dziesiątków lat defiladę wojskową. Za radą marszałka Karstowa prezydent chciał uświadomić wszystkim narodom Europy, a zwłaszcza Polakom i Ukraińcom w czym tkwi jego siła.

Plac Czerwony zamknięto dla publiczności już 2 listopada, a po stolicy rozeszła się plotka, że Gorszkow wygłosi 7 listopada z trybuny honorowej nad mauzoleum Lenina, w otoczeniu wszystkich członków Biura Politycznego i wobec najpotężniejszej armii świata, bardzo ważne przemówienie.

Nawet najstarsi moskwianie nie pamiętali tyłu czołgów, wozów opancerzonych, helikopterów i oddziałów wojska zgromadzonych na

ulicach stolicy, przez radio podawano komunikaty zalecające już dzisiaj mieszkańcom szybki powrót do domu i nie wychodzenie na ulice. Mówiono coś o wzroście przestępczości, włamaniach a jutrzejszą defiladę radzono obejrzeć w telewizorze 3 i 4 listopada milicja zrobiła nalot na zagrożone rejony stolicy, więc atmosfera strachu opanowała niemal całe miasto. Najbardziej zapobiegliwi rzucili się do sklepów, by porobić zapasy na wypadek zamieszek.

Politbiuro miało się zebrać w komplecie o godzinie osiemnastej tego wieczoru, dwie godziny przed oficjalnym przyjęciem dla korpusu dyplomatycznego, jakie wydawał prezydent w Sali Georgijewskiej Kremla.

Karstow spojrział na zegarek. Była 15³⁰. Przez całą noc nie zmrzył oka. Generał Bazow, równie blady jak on, wszedł do pokoju bez pukania.

Ręką dał mu znak, że wszystko w porządku i natychmiast wyszedł. Wczoraj Karstow znalazł chwilę czasu, by spotkać się z Ewą, pierwszy raz od miesiąca. Zapewniając sobie wszystkie możliwe środki ostrożności przybył do niej około pierwszej w nocy. Ucieszył się, że jest spokojna i odprężona. Brzuch wyraźnie się powiększył. Przyłożył do niego swój policzek.

— Nawet gdybym chciał, już nie mogę się wycofać — szepnął, jakby mówił do swojego dziecka.

— Uda ci się — powiedziała Ewa.

Kochali się w milczeniu. Odjechał po dwóch godzinach.

Borys był jeszcze w szoku. Widział, jak wczoraj przyjechał Karstow, więc natychmiast włączył swój mikrofon. Jakość dźwięku na taśmie nie była najlepsza. Zrozumiał tylko dwa słowa: „wycofać się” i „uda się”. Gdy wrócił do Jekateriny, natychmiast zasnął w fotelu w salonie. Miał dziwny sen. Widział defiladę wojskową w dniu 6 października 1981... w Egipcie. Uroczystość zakończyła się zabójstwem prezydenta Anwara es-Sadata na trybunie oficjalnej! Obudził się o

piątej nad ranem, drżąc na całym ciele. Widział te scenę tylko jeden raz w telewizji. We śnie zaś zobaczył zamach tak, jakby oglądał go na własne oczy, widział to, czego nie pokazywano na ekranie, włącznie z twarzą egipskiego prezydenta po śmierci! Pljucz siedząc w fotelu rozmyślał na różne sposoby, co mogły oznaczać te tajemnicze obrazy, wzbudzające w jego głowie tysiące pytań, na które nie potrafi znaleźć odpowiedzi. Cały dzień siedział jak otępiały, bez jedzenia i picia. Dopiero około szesnastej zrozumiał, że sen ten był odpowiedzią na wszystkie jego pytania.

Jak uprzedzić przywódców kraju? Potraktują go jak wariata. Dochodziła siedemnasta gdy Borys Pljucz zdecydował się zadzwonić na Kreml. Czekał, aż ktoś podniesie słuchawkę. Przy trzynastym sygnale wreszcie usłyszał kobiecy głos:

— Kreml. Słucham?

— Inspektor Borys Pljucz z komisariatu 1 Maja. Chcę pilnie mówić z prezydentem Michailem Gorszkowem. To pilne, bardzo pilne.

— Powiedział pan „Pljucz” — ten słynny inspektor?

— Tak, osobiście! Proszę łączyć szybko, to bardzo ważne. Liczy się każda minuta.

— Ale ja czytałam w gazetach, że...

— Wyjaśnię to pani innym razem. Proszę nie tracić czasu, jest zbyt drogi.

— Mam nadzieję, że to nie kawał? Tylu szaleńców do nas dzwoni, pan wie?

Borys zaczął głośno wrzeszczeć, życząc telefonistce, by spadły na nią wszystkie plagi świata.

— Łączę z gabinetem prezydenta, proszę zaczekać.

Michał Gorszkow wyszedł z biura i szybkim krokiem podążył do sali zebrań w podziemiach prawego skrzydła Kremla. Jego osobista sekretarka, blondynka o brązowych oczach, biegła za nim, przytrzymując suknię obiema rękami. Już doganiała prezydenta, gdy nagle

skręciła nogę w kostce i upadła na podłogę. Gorszkow odwrócił się zdziwiony. Jego osobisty strażnik próbował podnieść dziewczynę. Z grymasem bólu na twarzy mówiła szybko:

— Przepraszam, panie prezydencie ... przyjąłam rozmowę do pana. To pilne... Inspektor Pljucz chce z panem rozmawiać...

— Ależ, Taniu, przecież on nie żyje!

— No właśnie! A on twierdzi, że żyje... On...

Gorszkow patrzył na nią podejrzliwie.

— On mówi, że to bardzo pilne — upijała się dziewczyna.

— Dobrze. Niech ktoś się panią zajmie. Ale mam nadzieję, że to nic ważnego, proszę więc powiedzieć temu duchowi, że zadzwonię do niego za godzinę.

Odwrócił się i po chwili znalazł się na sali obrad. Dwunastu członków Politbiura już na niego czekało. Uścisnął rękę każdemu z nich i usiadł za stołem na swoim miejscu. Uśmiechnął się i od razu zaczął.

— Towarzysze, zdaje się, że inspektor Borys jest przy życiu. Dzwonił do mojej sekretarki. Dziewczynę wprost zwałiło to z nóg!

— To na pewno jakiś pomylenieć, panie prezydencie. Ostatnio mamy ich aż nazbyt — rzekł cyniczny jak zawsze Woroncowa.

— Zajmijmy się poważniejszymi sprawami. Spotkaliśmy się na prośbę ministra obrony i dyrektora KGB, towarzysza Karstowa. Zakładam, że wszyscy zapoznali się z raportem, który dostarczono wam dziś po południu.

Spojrzał ostentacyjnie na zegarek, jakby chciał zaznaczyć, że posiedzenie nie powinno trwać zbyt długo.

— Czy ktoś z was ma uwagi lub propozycje — spytał patrząc po twarzach zebranych. Popatrzył na ministra gospodarki i pierestrojki: — Niech pan zacznie. Mam przeczucie, że pana coś gryzie — powiedział ironicznie.

Siedzący po prawej stronie prezydenta Karstow wyglądał jak posąg. Słowa Gorszkowa o Borysie Pljuczu wzbudziły w nim niepokój. Czuł, jak ściska go w żołądku. Głos zabrał minister, mówiąc o sytuacji gospodarczej.

Gorszkow przerwał mu natychmiast.

— Przyszliśmy tu porozmawiać o raporcie, który macie przed sobą!

— To wszystko jest powiązane. Udało nam się przechwycić 70 procent pomocy z Zachodu kierowanej do Polski. Za te pieniądze moglibyśmy...

Drzwi otworzyły się na oścież. Dwóch generałów i sześciu żołnierzy w mundurach polowych weszło do sali z karabinami Kałasznikowa i założonymi tłumikami w rękę. Zamknęli za sobą drzwi.

— Co to wszystko ma znaczyć? — wrzasnął Gorszkow.

Jeden z generałów spojrzął na Karstowa. Piotr skinął głową.

Samochód Borysa Pljucza pędził na pełnym gazie w stronę Kremła. Zegarek wskazywał 18¹³. Prezydent nie zadzwonił. Borys próbował połączyć się z jego żoną. Odsyłano go z jednego biura do drugiego, a za każdym razem musiał przekonywać swoich rozmówców, że jest Borysem Pljuczem. Nadaremnie. Trzeci raz zadzwonił do sekretarki Gorszkowa. Potwierdziła, że prezydent obiecał zadzwonić, gdy skończy się posiedzenie Politbiura.

— Politbiura? Teraz?

— To posiedzenie nadzwyczajne.

Borys odłożył słuchawkę i zbiegł do samochodu. Wszystkie ulice prowadzące do placu Czerwonego były zamknięte. Żaden z patrolujących milicjantów i wspierających ich żołnierzy, nie zgodził się na przepuszczenie inspektora, mimo że bardzo nalegał. Nikt go nie rozpoznawał. Zrozumiał, jak bardzo fizycznie zmienił się. Zdruzgotany wewnętrznie, zawrócił.

— Ktoś dzwonił? — spytał Jekaterinę już od progu.

— Niestety, nikt — odpowiedziała, patrząc ze współczuciem, jak łapie oddech.

Staął obok telefonu. O 20⁰⁴ zrozumiał, że los był szybszy od niego. Postanowił zobaczyć co u Ewy.

Ewa niemal zemdlała, gdy o 20⁰⁸ zadzwonił telefon. Trzęsącą się ręką podniosła słuchawkę.

— To ja. Jesteś wolna. Wszystko gra.

Piotr mówił spokojnie. Ewa zaczęła szlochać. Siedzący w kuchni Andriej podbiegł do niej. Objęła go z całej siły.

— Po wszystkim, Andriej. Możemy wyjść!

— To znowu ja. Pljucz nie umarł... Chciał pilnie rozmawiać z prezydentem. Nie wychodź z domu, zostań z Andriejem.

Odłożył słuchawkę.

Ewa czuła, jak wzbiera w niej dzika wściekłość. — Skurwysyn — syknęła przez zęby. Zwróciła się do Andrieja:

— Zawieziesz mnie do domu. Wyjeżdżam natychmiast.

— Jest pani pewna? Marszałek mówił, żeby nie opuszczać tego miejsca.

— Wiem, ale przed chwilą z nim rozmawiałam. Jedziemy, szkoda czasu.

Wzięła swoją torbę podróżną i wrzuciła do niej parę rzeczy. Nagle poczuła się wolna, szczęśliwa. W samochodzie poprosiła Andrieja, by podjechał na lotnisko. Chciała kupić jakieś gazety. O 20⁴⁰ czajka zaparkowała przed głównym wejściem. Andriej chciał wyjść z Ewą, ale kazała mu zostać.

Podbiegła do kabin telefonów międzynarodowych.

Waszyngton, 13⁴².

Robert Nelson podszedł do telefonu po pierwszym dzwonku.

— Halo, tatuś? To ja. Wszystko załatwione. Zdałam egzamin z rosyjskiego. Na piątkę z plusem. Powiedz wujkowi Klaudiuszowi. Muszę kończyć, bo nie mam więcej pieniędzy. Nie zapomnij wysłać przekazu.

Odwiesiła słuchawkę.

Nelson, zdziwiony stał bez ruchu. Nie był to umówiony dialog, ale rozumiał, o co chodzi. Z Ewą nigdy nie wiadomo do końca... Wybrał numer do Tel Awiwu. Po chwili zgłosił się tubalnym głosem szef Mos-sadu.

— W porządku, stary belfrze, twój uczeń się spisał!

Odłożył słuchawkę i wyszedł nie tracąc czasu. Kierowca czekał w samochodzie.

— Do Białego Domu! — rozkazał z uśmiechem na ustach.

Ewa wsiadła do samochodu z kilkoma gazetami w rękę.

— Jedziemy, Andriej, tym razem prosto do domu!

Gdy czajka ruszyła z miejsca, Ewa opadła na oparcie fotela. Nie mogła uwierzyć, że to koniec. Udało się jej! Szalała ze szczęścia. Nie potrafiła się skupić i odłożyła na później pytanie, co dla niej oznacza ten sukces. Z jednej strony Karstow, a z drugiej Pljucz. Dojechali bez przeszkód i o 2112 czajka zatrzymała się przed jej domem. Odsunęła firankę na tylnej szybie i popatrzyła w okno Borysa. W salonie było ciemno. Wysiadła z samochodu i wraz z Andriejem weszła do budynku.

Biały Dom, 6 listopada, godz. 14⁰⁰.

— Panie prezydencie, w Moskwie nastąpił wojskowy zamach stanu — rzekł Nelson, gdy tylko znalazł się za drzwiami owalnego gabinetu.

— Co? Co ty opowiadasz?

Nelson usiadł naprzeciw zaskoczonego prezydenta. Spokojnym głosem opowiedział, jak od początku przebiegała cała operacja, unikając starannie słów o roli, jaką odegrały w niej jego służby. Gdy skończył, prezydent zasypał go pytaniami.

A Gorszkow?

— W raju!

Prezydent zmarszczył brwi.

— Skąd o tym wszystkim wiesz?

— Godzinę temu... numer dwa Mossadu przybył specjalnie, by przekazać mi te informacje...

— Dlaczego Mossad działał sam? Nie ma dość problemów na Bliskim Wschodzie? A jakież miał on interes...

— To oczywiste, panie prezydencie. Mossad ma nadzieję, że Karstow wypędzi od ręki wszystkich Żydów. 300000 już wyemigrowało, a zostało jeszcze ponad dwa miliony, z których większość wcale nie chce wyjechać. A Izrael potrzebuje świeżej krwi, zwłaszcza gdy pod międzynarodową presją musiał na swoim terytorium utworzyć państwo palestyńskie...

— Hm! A jaki my mamy w tym interes?

— Jest równie oczywisty, panie prezydencie. Marksizm nie żyje. Wkrótce odrodzi się Rosja. Będzie to Rosja liberalna, kapitalistyczna, lecz wykrwawiona, niedorozwinięta gospodarczo i bez wpływów. Jako mocarstwo drugorzędne, mimo całego potencjału nuklearnego, będzie naszą najlepszą sojuszniczką...

Prezydent przerwał mu:

— Ależ to wszystko już realizowaliśmy z moim przyjacielem Michailem Gorszkowem, na Boga!

— Niezupełnie, panie prezydencie. Ryzyko, że stalinowcy, wspomagani przez nacjonalistów, obejmą władzę, było bardzo poważne i groziło nam stale. Tylko armia może zrobić porządek z tą diabelską ideologią. I to się stało!

Przerwał na chwilę.

— Poza tym nasze ostatnie oddziały opuszczą Europę za miesiąc. Nie będziemy mieć tam żadnych wpływów. W naszym interesie leży zacieśnienie więzów z Rosją, uzależnienie jej od nas. Mamy na to środki. Będzie to przeciwwagą dla EWG i zjednoczonych Niemiec, które już teraz prowadzą z nami bezlitosną wojnę gospodarczą.

— Karstow... Co to za człowiek?

- Według Mossadu, dobry. Jutro pokaże się na trybunie i sprawi wszystkim niespodziankę.
- Co ma zamiar ogłosić?
- Październik II. Drugą rewolucję październikową. Tym razem tę dobrą.

Kreml, 20³⁰.

Karstow wszedł do Sali Georgijewskiej, gdzie oczekiwał cały korpus dyplomatyczny. Niezgrabnie podszedł do mikrofonu i poprosił o ciszę.

— Prezydent Gorszkow poczuł się źle. Prosi państwa o wybaczenie. Lekarze twierdzą, że jutro już będzie zdrow. Wszyscy członkowie Politbiura są przy nim. Proponuję pozostać na sali, bo być może prezydent będzie mógł przyjść. Dziękuję.

Odwrócił się i wyszedł. Na sali rozległy się szepty.

Gdy Borys wrócił do domu Jekateriny około dwudziestej, czekała go niespodzianka. Dwaj żołnierze z bronią w ręku stali przed wejściem do budynku Ewy. Inspektor zaparkował samochód kilkadziesiąt metrów niżej i spojrzał w rozświetlone okna Francuzki. Zdenerwował się. Zamiast krążyć tyle kilometrów nadaremnie, trzeba było siedzieć na swoim stanowisku obserwacyjnym, skąd na pewno zobaczyłby, jak wracała. Żołnierze niewątpliwie zapewniali jej ochronę. Niespodziewany powrót Ewy oznaczał, że „to” już się zdarzyło. Załamany, wszedł do mieszkania Jekateriny i usiadł w fotelu. Przegrał, a nawet nie wiedział co i z kim

7 listopada.

Dokładnie o godzinie 10⁰⁰ na trybunie honorowej pojawiło się dziesięciu mężczyzn w mundurach. Rozpoczęła się defilada wojskowa, powodując piekielny wprost hałas.

Kamery stacji telewizyjnych rozpoczęły pracę, ale z pierwszych komentarzy wynikało, że dziennikarze zupełnie nie wiedzą, co mają mówić. Europejska Agencja Prasowa była także obecna, a młody kamerzysta John skierował ogromny teleobiektyw na twarze mężczyzn siedzących na trybunie. Na tle obrazów z kamery rozpoczął się komentarz:

„Jesteście państwo naocznymi świadkami wybuchu drugiej rewolucji październikowej. Października II. Oficerowie, których widzicie na trybunie, to ekipa rządząca nowym Związkiem Radzieckim. Dzisiejsza data, 7 listopada 1994 roku, przejdzie do historii. Będzie oznaczać ni mniej, ni więcej, tylko ostateczny koniec ideologii komunistycznej”.

Na ekranie ukazała się rozpromieniona twarz Ewy Dumoulin.

— Tak, mamy właśnie do czynienia z drugim Październikiem, tym razem oznaczającym śmierć komunizmu. Nowy prezydent, marszałek Karstow, za chwilę ogłosi oficjalnie początek nowej ery. Z naszych źródeł dowiadujemy się, że przedstawi on testament Michaiła Gorskowa, zmarłego dziś w nocy na atak serca.

Stojący kilka metrów dalej korespondent CBS News nagle zamilkł i zaczął się jękać:

- Wybaczenie, drodzy państwo. Przed chwilą... usłyszałem ...
Spojrzał na Ewę Dumoulin.

— Co takiego? Co ty wygadujesz, Ewo? Jesteś pewna tego, co mówisz?

Ewa nie odpowiedziała. Ciągnęła dalej swój komentarz.

Plotka rozeszła się błyskawicznie. Koledzy po fachu, jak oszaleli, próbowali powtórzyć informację i w nieopisanej panice mówili do mikrofonów.

„Gorszkow nie żyje... Zmarł, zdaje się, na zawał serca, dzisiaj w nocy... Informacja nie została potwierdzona, jednak z naszych źródeł... Nie, na trybunie go nie ma, nie ma go wśród zaproszonych oficjeli”...

Nigdy, od śmierci prezydenta Johna Kennedy'ego, wśród dziennikarzy nie panowało takie zaskoczenie i zamieszanie.

Ewę zasypano pytaniami. Dziennikarze chcieli wiedzieć, skąd otrzymała takie informacje. Niektórzy próbowali nawet gróźb. Jeszcze większy rozgardiasz zapanował, gdy do mikrofonu podszedł Piotr Karstow. Po chwili jednak na placu Czerwonym zrobiło się zupełnie cicho.

Ewa przystawiła sobie wizjer kamery do oka, by lepiej widzieć Karstowa z bliska. Miał przymknięte oczy, zapadniętą i bardziej poraną zmarszczkami niż zwykle twarz. Z daleka jednak jego postać wyglądała na nie zmienioną. Poprawił mundur i odchrząknął. Przygotowywał się do wygłoszenia mowy o historycznym znaczeniu. Chwila była uroczysta, ale Karstow nie odczuwał strachu. Tekst wystąpienia znał na pamięć, uczył się go przez kilka tygodni, nie wierząc zbytnio, że go kiedyś wygłosi.

O szóstej rano dokonał wraz z generałami ostatniego bilansu obecnej sytuacji. Operację przeprowadzono po mistrzowsku, z nieopisaną łatwością. O tej godzinie wszyscy członkowie Politbiura i Komitetu Centralnego byli już rozproszeni po całym kraju i zamknięci

pod strażą w odizolowanych i pewnych miejscach. Korpus dyplomatyczny nadaremnie oczekiwał nadejścia Gorskowa i około północy wszyscy opuścili Salę Georgijewską.

— Drodzy rodacy — zaczął Karstow. Nasz drogi i kochany prezydent umarł dziś nad ranem o godzinie 3⁴⁷ wskutek zawału serca. Zgodnie z ostatnią wolą i jego testamentem uroczyście ogłaszam koniec ery komunizmu w naszym kraju.

Zrobił przerwę. Panowała głęboka cisza. Mówił dalej drżącym głosem:

— Związek Radziecki stracił siedemdziesiąt siedem lat i miliony swoich najlepszych synów. Panował tu największy w całej historii ludzkości terror — zarówno fizyczny, jak i duchowy. Ludzie pozbawieni elementarnych praw zaznali głodu, nędzy, upokorzenia i najstraszniejszych prześladowań. Całe generacje poświęcano w imieniu partii — tej utopii, która rządziła nami i tyranizowała nas przez długie lata. Gorskow chciał przerwać ten koszmar, ale stalinowcy, poplecznicy nomenklatury i faszyci wszelkiej maści robili wszystko, by mu w tym przeszkodzić. Armia, której mam zaszczyt przewodzić, dołoży starań, aby jak najszybciej nastąpiło dobro, którego nas pozbawiono na tak długi czas; dobro, jakim jest demokracja! Żaden z narodów świata nie zasługuje bardziej niż my na wolność, równość i braterstwo. Demokracja, ta prawdziwa, nastanie z chwilą, gdy stworzymy niezbędne dla niej struktury. Do tego czasu krajem rządzić będą tymczasowo przedstawiciele armii.

Znowu przerwał i zwrócił się do zgromadzonych na trybunie dyplomatów:

— Krajom Europy wschodniej oświadczam uroczyście, że Pakt Warszawski zostaje ostatecznie zlikwidowany! W chwili, gdy to mówię, dowódcy naszych wojsk otrzymali rozkaz do natychmiastowego powrotu armii do kraju. To samo dotyczy państw, które wciąż jeszcze uciskają swoje narody w imię diabelskiej ideologii, którą my dziś odkładamy do lamusa historii.

Ambasadorowie Wietnamu, Chin, Kuby i Nikaragui opuścili trybunę dyplomatów, wśród wiwatów przedstawiciele państw wschodnioeuropejskich.

— A narody naszych południowych republik wybiorą wkrótce w referendum, czy chcą być wolne, czy też chcą dzielić swój los wspólnie z Rosją.

Przerwał znowu. Po chwili jego poważny, lekko drżący głos zabrzmiał na całym placu Czerwonym:

— Związek Radziecki przestał istnieć. Niech żyje odwieczna Rosja!

Ewa Dumoulin tłumaczyła na bieżąco słowa Karstowa wprost do mikrofonu. Nagle przerwała. Jakby niewidzialna ręka zaczęła opuszczać łopoczący na maszcie za Karstowem czerwony sztandar z sierpem i młotem, a na jego miejsce wciągnęła czerwony sztandar z ogromnym dwugłowym czarnym orłem, rozpościerającym swe skrzydła nad tradycyjnym rosyjskim krzyżem. Na ogromnym placu zapanała uroczysta cisza. Po chwili w szeregach armii podniosła się żywiołowa owacja. Zaczął padać deszcz.

Poprzedniego wieczoru Ewa postanowiła zrobić coś szczególnego dla agencji i po raz drugi w ciągu dziewięciu miesięcy przeprowadzić bezpośrednią transmisję z wydarzeń o historycznym znaczeniu. Dzięki niej agencja, której nikt nie wróżył powodzenia, gdy powstawała dwa lata temu, zdobył sobie szacunek całej międzynarodowej prasy.

O swoim zamiarze powiedziała Piotrowi, gdy zadzwonił o jedenastej wieczorem. Ulegając naleganiom Ewy pozwolił jej popracować w swoim zawodzie po raz ostatni. Nazajutrz, 7 listopada, wcześniej rano i ciągle pod ochroną (tym razem już bardziej dyskretną), Ewa przyszła do agencji, by przygotować artykuł. Dla zamaskowania ciąży włożyła szeroką niebieską suknię, doskonale dobraną do jej niebieskich oczu. Wszyscy pracownicy agencji przyjęli ją z radością, a jej

następca nie ośmielił się zabronić, by przeprowadziła transmisję z placu Czerwonego. O dziewiątej była na miejscu.

Cały kraj wyglądał podobnie jak Moskwa. Było pusto i cicho. Ludność podporządkowała się zaleceniom podanym przez radio.

Piotr Karstow nie powiedział tego wyraźnie z trybuny ale ludność wiedziała doskonale, że został wprowadzony stan wojenny. Wystarczyło wyjrzeć na zewnątrz, by się o tym przekonać. Wojsko było wszędzie, a wozy pancerne patrolowały każdą ulicę, każdy zaułek.

Ewa wracała do samochodu wśród obelg rozłozszczonych na nią niektórych kolegów dziennikarzy. Amerykanin z sieci NBC złapał ją gwałtownie za ramię i wyzwał od najgorszych. Odwróciła się ze złością i zanim spostrzegł, co się dzieje, złapała go z całej siły za gardło.

— Masz mnie przeprosić, głośno i przy wszystkich! Jak nie, to ściśnię mocniej i zostaniesz kaleką na całe życie!

Amerykanin próbował się wyrwać, ale zaczynało brakować mu powietrza. Wszyscy patrzyli zaskoczeni. Ewa ścisnęła mocniej. Twarz dziennikarza poczerwieniała. Inny Amerykanin próbował przyjąć mu z pomocą, ale Ewa celnie kopnęła go w podbrzusze. Zgiął się i upadł, wyjąc z bólu. Ten pierwszy także skapitulował. Ewa puściła go i popchnęła mocno w stronę samochodu. Osunął się na bruk.

— Teraz proś o wybaczenie. Liczę do trzech i zabiję cię!

— Wybacz mi... przepraszam — odezwał się ledwo słyszalnym głosem.

Ewa, zadowolona, wsiadła do samochodu i ruszyła, odprowadzana wzrokiem zaskoczonych kolegów. Tymczasem Borys Pljucz przebrany za księdza wślizgnął się aż pod trybunę zarezerwowaną dla dziennikarzy. Zobaczył ją w telewizji o godzinie dziewiątej i od razu pospieszył na plac Czerwony. Tym razem miał więcej szczęścia, bo milicjanci przepuścili go bez problemów. Ktoś inny także ujrzał Ewę Dumoulin w telewizji. Wysoki blondyn aż upuścił filiżankę kawy, gdy zobaczył ją na ekranie.

8 listopada.

Wiele europejskich gazet przedrukowało analizę, którą przedstawiła Ewa Dumoulin w długim artykule, przesłanym wczoraj do swojej centrali w Brukseli. Było w nim wszystko, prócz słów „wojskowy zamach stanu”.

Artykuł Ewy przedrukowała także „Prawda” po uzyskaniu specjalnej zgody nowej cenzury wojskowej, ustanowionej jeszcze 7 listopada. Borys Pljucz przeczytał go dwa razy.

Upadek partii był mu w zasadzie na rękę. Nigdy do niej nie wstąpił, mimo stałych nacisków, jakie na niego wywierano. Prawdę mówiąc, nie krył także swojej niechęci do nomenklatury i aparatczyków. Wiele razy musiał zrezygnować ze śledztwa w „imię interesów bezpieczeństwa państwowego”. W większości wypadków chodziło o mniej lub bardziej wpływowego członka klasy rządzących lub jego krewnych zamieszanych w przemyt narkotyków, dewiz a nawet ohydne morderstwa. Kiedyś groził mu nawet generał KGB. Znalaziono ciało prostytutki zastrzelonej z rewolweru. Odnalazł sprawcę mordu — wyższego oficera KGB. Oczywiście, odebrano mu śledztwo. Sprawę Ewy Dumoulin, nawet gdy nie był tego w pełni świadom, Borys traktował jako próbę zemsty na systemie, który tłamsił go od tylu lat. Ani przez chwilę nie uwierzył w zawał serca Gorszkowa, ani też nie wątpił, że zamach wojskowy — choć tak go nie nazywano — był sterowany z

zagranicy. Wiedział, że Ewa była szpiegiem o dużym znaczeniu. Patrzył na jej działania przez wiele tygodni. Jeszcze wczoraj na jego oczach powaliła przecież dwóch dziennikarzy, mężczyzn w pełni sił, nie zważając na to, że jest w ciąży.

Patrzył wtedy na jej twarz, spiętą i bez śladu litości. Była to twarz wysoko kwalifikowanego zawodowego mordercy.

Osobowość Ewy zafascynowała byłego inspektora, zwłaszcza teraz. Mógłby o niej napisać książkę, tak dobrze ją poznał. Odgadywał jej niewiarygodny życiorys. Zaangażowano ją bardzo wcześniej ze względu na wysoki współczynnik inteligencji i niezwykłą urodę. Zrobiono z niej bezlitosną maszynę do uwodzenia i do zabijania, którą on, prosty moskiewski gliniarz usiłował naiwnie zablokować.

Gdzieś jednak chodzi teraz po mieście człowiek, który może ją zabić w każdej chwili. Szpiegów, którzy wiedzą za dużo i którzy — jak Ewa — mogą wycofać się przed zakończeniem misji, należy zlikwidować. Jej mocodawcy, zapewne Amerykanie, boją się kobiety, która wymyka im się spod kontroli, i która pewnego dnia może wyjawić szczegóły całej operacji. Byłoby to narażenie się na niepotrzebne ryzyko. Ewa zaś nie była zbyt twarda, załamywała się wiele razy. Raz ratując życie jemu, Borysowi Pljuczowi, innym razem popadając w depresję nerwową, a także przechodząc chwilę załamania przed lustrem. Tej ostatniej sceny sam był świadkiem.

Był przekonany, że jego analiza jest poprawna. Pozostał problem, jak zareaguje Karstow, gdy dowie się, że nim manipulowano? Co zrobi, gdy porzuci go kobieta jego życia?

Ewa nie wychodziła przez cały dzień. Borys powinien właściwie zapomnieć o niej i wrócić do domu. Pozostał jednak na swoim „stanowisku obserwacyjnym”, by jeszcze raz popatrzeć na młodą

Francuzkę, która pokonała go w tej nierównej walce. Wygrała, to prawda, ale wciąż była zagrożona... Dopiero około ósmej wieczorem ocknął się z zamyślenia. Zauważył czerwoną ładę z wypożyczalni samochodów podjeżdżającą pod dom Ewy. Za kierownicą rozpoznał wysokiego blondyna.

W tej samej chwili Ewa wyszła z Andriejem. Rozmawiali z żołnierzami stojącymi przy wejściu do budynku. Uścisnęli sobie ręce, a Andriej i żołnierze wsiedli do czajki. Ewa udała, że wraca do siebie, ale natychmiast wyszła. Czajka zniknęła za rogiem ulicy. Ewa podeszła do czerwonej łady i wsiadła do środka. Odjechali w kierunku placu Dobryninskaja. Pljucz zerwał się. Jednym skokiem — nie musiał się już przebierać — złapał rewolwer z komody i wypadł na ulicę. Szarpnął drzwi zaparkowanej przed domem łady i ruszył w pościg.

Czerwona łada skręcała właśnie w prawo, przecinając plac Oktjabrskaja, wjeżdżając w Prospekt Lenina. Borys zwolnił. Nie musiał jechać zbyt blisko. Dziesięć dni temu udało mu się dyskretnie przykleić do łady mikronadajnik. Działał normalnie. Dlaczego pojechała z tym człowiekiem? Pewnie uwierzyła, że ma dla niej wiadomość...

Łada minęła Muzeum Geologii i Paleontologii. Kierowca włączył prawy kierunkowskaz. Wjechali w Worobiewskoje Szosę, w kierunku Wzgórz Lenina. Borys był dziwnie spokojny. Bał się, że blondyn pojedzie dalej Prospektem Lenina w kierunku oddalonego o około 30 kilometrów od Moskwy lotniska Wnukowo. Po chwili zatrzymał ich patrol wojskowy. Ewa pokazała jakąś kartkę, żołnierz z karabinem maszynowym gotowym do strzału zasalutował. Ruszyli. Zatrzymano z kolei Borysa. Wyłączył radio samochodowe i władczy gestem podał żołnierzowi swoją legitymację milicyjną. Ten przeglądał ją dokładnie.

— Jestem na służbie. Proszę nie zabierać mi czasu!

Żołnierz zignorował jego słowa i kazał mu zaczekać. Musi sprawdzić tożsamość. Borys nie wiedział, że marszałek Karstow osobiście podpisał rozkaz aresztowania Borysa Pljucza, ujęcia go żywego lub martwego...

Nagle zobaczył trzech idących w jego stronę wyraźnie zdenerwowanych oficerów. Nie miał wyboru. Musiał iść na całego. Ruszył gwałtownie uderzając w zaporę. Natychmiast rozszczękały się karabiny maszynowe, jechał więc zygzakiem, dociskając pedał gazu do podłogi. Poczul straszliwy ból w lewym ramieniu. Obficie popłynęła krew. Nacisnął przycisk nadajnika. Cisza. To znaczy, że samochód zatrzymał się.

Musiał dogonić ładę, która odjechała już dość daleko. Po chwili zobaczył ją zaparkowaną koło przystani przy Wzgórzach Lenina. Nikogo nie było w środku. Zahamował i stanął w poprzek chodnika. Zaczął biec, ale musiał przystanąć, by złapać oddech. Krew z rany ciągle tryskała. Bolało go bardzo, ale udało mu się przewiązać ramię szalikiem. W słabo oświetlonym parku nie było prawie nikogo. Zaledwie kilka par odważyło się tu przyjść, mimo obowiązującego w całym kraju od wczoraj stanu wojennego.

Borys biegł w zasadzie bez celu. Przypomniał sobie, że wróżka mówiła coś o schodach. Zawrócił więc w kierunku Wzgórz Lenina. Drżał na całym ciele, a serce waliło mu jak młot. Zdobył się na ostatni wysiłek i zataczając się, podbiegł w kierunku schodów. Popatrzył w stronę wierzchołka wzgórza i rozpoczął wspinaczkę. Nie uda mu się pokonać tych siedemdziesięciu pięciu stopni. Usłyszał za plecami ryk syren nadjeżdżających samochodów wojskowych. Za parę minut będą tu i zastrzelą go jak psa... Na dziesiątym stopniu potknął się i spadł w dół. Poczul ból w zwichniętej kostce i nie mógł wyprostować palców.

— Wzgórza Lenina kiedyś nazywano „Wróblimi Wzgórzami”. Wie pan, że przed rewolucją była tu granica miasta?

Ewa opowiadała swojemu koledze z CIA historię tego miejsca. Patrzyli na światła Moskwy. Mówiła dalej zmęczonym głosem:

— To tu uciekł Iwan Groźny podczas pożaru, który strawił Moskwę w 1574 roku, a Napoleon obserwował stąd przebieg walk, zanim wkroczył do miasta w 1812 roku. Stąd też, w 1917 roku artyleria komunistów ostrzeliwała Kreml.

Ewa opowiadała dalej. Mężczyzna, stojąc za nią, wyjął spod płaszcza wielostrzałowy kolt z tłumikiem. Nagle Ewa odwróciła się.

— Dzieje się coś dziwnego. Mam wrażenie, że w pobliżu są żołnierze. Ale...

Ktoś krzyknął, żeby natychmiast rzuciła się na ziemię i padł strzał. Blondyn, trafiony w pierś, upadł. Zdążył jednak wystrzelić w kierunku, skąd został zaatakowany, po czym podniósł się i oddał dwa strzały w stronę biegnącej ku schodom Ewy. Upadła. Amerykanin chciał uciekać, ale został trafiony kulą prosto w czoło. Wijąc się po ziemi wystrzelał cały magazynek. Borys podczołgał się do Ewy i nachylił się nad nią. Kula trafiła ją w lewe udo, a druga drasnęła w szyję. Patrzyli na siebie w milczeniu. Na ustach Rosjanina pojawił się uśmiech. Ewa uśmiechnęła się także, ale poczuła potworny ból w brzuchu. Zaczęła tracić swoje dziecko...

10 listopada.

Ktoś ją delikatnie klepał po policzku. Ewa podniosła powieki i zobaczyła Borysa podającego jej szklankę mleka.

— Proszę wypić. Potrzebuje pani tego.

Podtrzymał jej głowę i pomógł wypić.

— Gdzie ja jestem?

— W bezpiecznym miejscu.

Ewa nie usłyszała jednak odpowiedzi, gdyż natychmiast znowu zasnęła.

Odezwała się po raz pierwszy od tamtej tragicznej nocy. Przez dwa dni leżała jakby w półśnie.

Rano około dziewiątej obudziła się znowu i powoli zaczynała odzyskiwać świadomość. Pljucz siedział przez cały czas koło niej. Po godzinie zaczął jej opowiadać co się zdarzyło.

Ostatkiem sił wdrapał się na szczyt Wzgórz Lenina, dokładnie w chwili, gdy blondyn wyjmował rewolwer. Strzelił pierwszy, ale przeciwnik był mocno zbudowany i wytrenowany. Musiał dostać jeszcze dwie kule, by wreszcie wybrać się do piekła. Borys wyjął kluczyki lady z kieszeni denata i włożył do niej swoją legitymację milicyjną. Zrzucił Amerykanina w przepaść. Odgłos upadającego ciała odwrócił uwagę żołnierzy, którzy natychmiast rzucili się w tamtym kierunku. Borys wykorzystał ten moment, wziął Ewę na ręce i zszedł po schodach w drugą stronę. Udało mu się dojść do samochodu mordercy. Ruszył

nim w stronę miasta w chwili, gdy park zaczęli okrążać żołnierze. Przy pierwszej zaporze Ewa resztkami sił pokazała swoją przepustkę. W mieszkaniu Jekateriny oboje niemal równocześnie stracili przytomność.

Były lekarz — Jekaterina — natychmiast zabrała się do roboty. Oczyszczyła rany i wyjęła kule.

Następnego dnia Borys odzyskał już pełnię sił.

Jekaterina pochyliła się nad Ewą i powiedziała po cichu:

— Jeszcze z pięć minut dłużej i straciłaby pani dziecko. Na szczęście ma pani wyjątkowo solidną budowę.

Ewa słuchała w milczeniu. Borys wiedział, o czym myślała. Dokładnie o tym samym, co on.

— Co dalej? — zaniepokoiła się.

— Dziękuję — odpowiedział Borys.

Spojrzał na Jekaterinę i dał jej znak, by zostawiła ich samych. Pochylił się nad Ewą. Wziął ją za rękę i pocałował w czoło jak ojciec.

— Dziękuję — powtórzył po raz trzeci. Dzięki pani przeżyłem najbardziej burzliwe, najstraszniejsze i najpiękniejsze chwile w moim życiu. Podjąłem najważniejsze wyzwanie w mojej karierze. Poznałem najniezwyklejszą kobietę, jaką mężczyzna może spotkać w swoim życiu. Tak, dziękuję, Ewo.

Chciała coś powiedzieć, ale nie pozwolił jej:

— Proszę nie mówić. Boję się, że zburzy mi pani całą konstrukcję, którą od tak dawna usiłowałem odtworzyć.

Wstał i wyjął z kieszeni pudełko. Ewa patrzyła zdziwiona. Poprosił by je otworzyła. Na jej ustach zarysował się delikatny uśmiech, gdy zobaczyła w pudełku swój zegarek, cały i na chodzie.

— Proszę popatrzeć na mnie, Borysie — powiedziała w końcu.

Podniósł głowę i przyglądali się sobie przez długą chwilę. W ich oczach widać było taki sam zamęt, to samo zmęczenie i wyczerpanie.

Ewie nagle przez głowę przeleciała myśl: mój ojciec, mój prawdziwy ojciec... Raz tylko widziała go na zdjęciu. Jedyny raz. Jakże Borys jest do niego podobny! Zamknęła oczy.

— Proszę Borysie, niech pan weźmie ten zegarek. Nie lubię go. Jest... Jakby to powiedzieć, zbyt niewygodny, a pan sobie nań zasłużył.

Borys uśmiechnął się.

— Proszę mi powiedzieć, Dahlio ...

Zerwała się. Borys wciąż patrzył na nią. Widział, jak przez ciało dziewczyny przeszedł dreszcz.

— Proszę mi powiedzieć, Dahlio — powtórzył — co pani zamierza teraz robić?

Dahlia zaczęła szybko oddychać. Na czoło wystąpiły jej kropelki potu, ale rysy twarzy złagodniały. Poczowała lekkie kopnięcie gdzieś wewnątrz brzucha. Zamknęła oczy i powiedziała cichutkim, dochodzącym jakby z zaświatów głosem:

— Muszę wrócić do Piotra. Jest pewnie strasznie zaniepokojony.

SPIS TREŚCI

Część pierwsza	7
Część druga	161
Część trzecia	263